ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XV. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LX.

TOM IV. — ZESZYT III.

Grudzień.

WARSZAWA.

1890.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

SPIS RZECZY.

Zeszyt niniejszy zawiera arkuszy 13¼.

Druk ukończono dnia 4 grudnia 1890 r.



Bil Mac-Kinley'a.

Zanim przystąpimy do zdania sprawy z faktu prawodawczego, jakim ostatni peryod posiedzeń kongresu Stanów Zjednoczonych zamknął swe czynności, należy uprzytomnić sobie otoczenie, śród którego znalazły się czynniki i żywioły umożliwiające zjawisko prawie potworne, powiadamy potworne, bo nieusprawiedliwione żadną naglącą potrzebą, ani polityczną, ani fiskalną, ani wymaganiami ogólnie ekonomicznéj natury.

Stany Zjednoczone stoją na szczycie potęgi politycznéj, pomimo, iż nie posiadają ani licznéj stałéj armii ani floty godnéj uwagi, pomimo, że od lat wielu nie prowadziły zwycięskiéj zaborczéj wojny, któraby aureolą chwały wojennéj otwartych lub skrytych wrogów olśnić mogła. Żaden pancerz stalowy nie opasuje brzegów ich kontynentu, żadne fabryki torpedów i bezdymnego prochu nie pracują dzień i noc nad wytwarzaniem i gromadzeniem środków zagłady, a mózgi ich dyplomatów nie ślęczą nad wykombinowaniem i podżeganiem do intryg i nieporozumień śród wrogiéj ligi pokoju, lub śród koalicyi państw zachowujących sobie politykę wolnéj ręki. Przeciwnie, amerykańscy mężowie stanu poczytują sobie za zasługę, że wszędzie starannie unikają mieszania się do spraw narodów i państw postronnych. Potęga Stanów leży w dzielności 63-milionowego, dzielnego, energicznego, przedsiębiorczego, wolnego ludu, który jak jeden mąż powstanie, gdy go zaczepią, gdy ujrzy zagrożonemi swe prawa.

Zaprowadzenia ceł ochronnych, a raczéj prohibicyjnych, nie mogła dyktować polityka, bo niemasz takich sąsiadów, którychby za pomocą tego środka do ustępstw terytoryalnych, lub do przystąpienia do związku, zmuszać było potrzeba.

Że nie ustanawiano ceł w interesie fiskalnym, silić się na do-

wody jest również zbyteczném, wiemy bowiem wszyscy, że olbrzymi dług państwowy, zaciągnięty na wojnę domową, maleje gwałtownie i z końcem stulecia, najdaléj w pierwszych latach przyszłego wieku, spłacony będzie zupełnie; wiemy, że dziś zapasy kruszców szlachetnych są tak wielkie w skarbcu Stanów, iż pozwalają na spłatę obligów państwowych po kursie 124 za 100, a kupony od obligów umarzają się na 6 miesięcy przed terminem, bez potrącenia eskonty. Wiemy daléj, że nie ma kraju na świecie, gdzieby wszystkie pretensye osób prywatnych mogących się podszyć choćby pod cień jakiejś usługi przed 26 laty oddanéj, wynagradzane były z większą rozrzutnością, a roboty użytku publicznego prowadzone były na szerszą jeszcze skalę. Raczéj posądzaćby należało autorów bilu o intencyą wstrzymania dopływu funduszów płynących dotąd z komór pogranicznych, niż o chęć powiększenia tych dochodów.

A wymogi ogólno-okonomicznéj natury? Tu zastanowić się musimy nieco dłużéj, bo jednym rzutem oka objąć tego kraju dziwów niepodobna, jak niepodobna w kilku sentencyach skreślić obrazu dzisiejszego położenia ekonomicznego Stanów.

Zastrzedz się przedewszystkiém musimy, że na uwagi tu wypowiedziane, nie złożyły się wyczerpujące gabinetowe studya licznych wydawnictw, téj materyi dotyczących, podyktowane raczéj zostały przez dorywcze spostrzeżenia, zaczerpnięte z tego lub owego czasopisma, z téj lub owéj obszerniejszéj, w Warszawie dostępnéj książki, więc też pretensyi do podawania najświeższych dat, mieć nie możemy. Wiadomo, że rozkwit Stanów na zewnątrz. datuje od epoki rozpowszechnienia plantacyi bawełny. Rozkwit ten przerwała wojna domowa, lecz po 1864 roku, z nową niesłychaną energią zabrano się w Stanach do tworzenia i gromadzenia bogactw. Jednocześnie z zaprowadzeniem ceł ochronnych, wtedy w widokach czysto fiskalnych, budowano koleje, regulowano rzeki, kopano kanały i porty, powiększono eksploatacyę kopalń węgla, nafty, rozszerzono plantacye bawełny, posiewy kukurydzy i pszenicy. A z chwilą zniesienia kursu przymusowego banknotów i z chwilą pierwszego wielkiego eksportu pszenicy do Europy, Stany Zjednoczone stały się potęgą ekonomicznie straszną, któréj cła ochronne w Europie, nakładane na zboże, mięso, tłuszcze, naftę, bawełnę i t. d., podkopać nie zdołają.

Wartość eksportowych produktów rolnych w 1869 roku wynosiła 259 milionów dol., a w r. 1889 podniosła się do 671 milionów, obecnie około 800 mil. wynosi; gdyby ceny tych produktów nie były się znacznie obniżyły, przedstawiałaby cyfrę miliarda dol.

Gdyby pobierano obecnie opłaty kolejowe od transportu towarów na drogach żelaznych w Stanach Zjednoczonych podług skali taryfowéj z roku 1869, to drogi żelazne tamtejsze miałyby o 192 mil. funt szt. więcéj dochodów niż teraz mają. Innemi słowy, opłaty od przewozu między rokiem 1869 i 1889 obniżone zostały w stosunku do roku ostatniego, o 192 mil. f. st. rocznie, to jest prawie o cyfrę kontrybucyi zapłaconéj przez Francyę, tyleż prawie wynosi dwa razy wzięty cały budżet dochodów Rosyi.

Jakiemi cudownemi środkami osiągnięto te prawdziwie cudowne skutki? Przed nami leży wyjątek z rocznego sprawozdania drogi żelaznéj Illinois Central.

Krótki bilans obejmuje w aktywach koszt 10 linii kolejowych nabytych, koszt parku linii wydzierżawionych i głównéj drogi w kwocie 110,118,829 dolarów, w pasywach zaś akcyi na 50,000.000 i obligacyi na 62.662,000 dolarów, 5,693,966 dol. zysków i drobniejsze pozycye.

Daléj przytaczamy słowa tekstu:

„Rozwój obsługiwanego kraju był fenomenalny. W miarę rozwoju okolic, lepsza usługa i szersze udogodnienia były wymagane".

„Dla dostarczenia żądanych usług, wywołanych przez nowoczesne wymagania, musieliśmy pożegnać się z dawnemi typami, *maximum* wagi lokomotywy podnieśliśmy z 49 na 61 ton, wagę relsów z 61 funtów do 71 funtów na yard, siłę nośną wagonów towarowych z 20 na 30 ton; musieliśmy powiększyć balast na drodze i powiększyć ilość podkładów pod szynami. Pomnożono rozjazdy i przedłużono linie o podwójnych szynach, znacznie dokompletowano tabor przez dokupno tak lokomotyw jak wagonów, a mimo to wszystko kierownicy drogi, nie mogą wciąż podołać nawałowi transportów, przewyższających zdolność przewozową sieci kolejowéj".

Tu następuje wyliczenie środków finansowych, potrzebnych dla wykonania robót, dokupna taboru i t. d. w celu oddania *maximum* usług za *minimum* ceny, bo walka konkurencyjna w sferze obniżek taryfowych ustała, trwa jednak w sferze udogodnień, a w téj walce zwycięstwo pozostanie po stronie dostarczającéj najlepsze usługi.

Ktoby jeszcze wątpił o rozwoju ekonomicznym Stanów, tego przekona fakt, że już w r. 1885 ilość wszelkich towarów przewiezionych na drogach żelaznych amerykańskich, wynosiła $7^{6}/_{10}$ ton na głowę (463 pud.), u nas w bardzo pomyślnym roku 1888, przewiozły koleje wogóle 1,927,477,000 pudów czyli około 200 pudów na głowę

ludności. Rolnictwo, górnictwo, przemysł Stanów Zjednoczonych corocznie w obniżce opłat przewozowych, w budowie po 15,000 wiorst kolei żel. rocznie (cała nasza sieć nie dochodzi 28,000 wiorst), czerpały nowe siły do konkurencyi z starą Europą, — czyż w obec tak potężnéj dźwigni, potrzebowano uciekać się do nowéj broni w zarysowanéj walce ekonomicznéj?

To jedna tylko, pobieżnie zaznaczona strona kwestyi, do niéj wrócimy przy sposobności omawiania polityki kolejowéj u nas i w Ameryce.

Widzieliśmy, z powyższych szczegółów, że długu państwowego szybko ubywa, że gromadzi się nadmiar funduszów w kasach skarbowych, że ruch towarowy się wzmaga, zatém że wytwarzanie bogactw postępuje; lecz może ktoś zarzuci, iż przemysł miejscowy, sztucznie wyhodowany, jednak opieki, protekcyi celnéj potrzebuje, bo sam się obronić nie zdoła.

Zobaczmyż, jak ten słaby przemysł żyje.

Niedawno obiegła codzienną prasę wiadomość, że niejaki John Rockfeller ofiarował 1,000,000 dolarów dodatkowo do uprzednio udzielonego ½ miliona na uniwersytet w Chicago. Kim jest pan Rockfeller? Człowiek, mający dziś nieco więcéj jak 50 lat wieku, był buchalterem pod koniec wojny domowéj, a żona jego szyciem dorabiała na utrzymanie domu W r. 1871 rozpoczął Rockfeller agitacyą, celem utworzenia związku rafinerów nafty, a skutkiem agitacyi było założenie towarzystwa „*Standard oil Company*“, które w roku 1885, od kapitału 3½ mil. dolarów, wypłacało miesięcznie milion dolarów dywidendy. Jakiemi drogami, prawnie i bezprawnie, kroczyło stowarzyszenie, opowiadać tu nie będziemy, ciekawych odsyłamy do książki Alfreda von der Leyen o północno-amerykańskich drogach żelaznych.

Bodaj czy nie pierwszym był Rockfeller na drodze „konsolidowania“ pewnych gałęzi przemysłu, bo wiązanie się producentów w organiczne całości w celu obrony interesów, w celu eksploatacyi monopolów, stoi na porządku dziennym już dawno, za oceanem. Aby nie nużyć uwagi wyliczaniem rozmaitych *trusts*, *syndicate*, *ring*'ów, wspominamy tylko o związku wszystkich gorzelni w Stanach, celem ograniczenia produkcyi do 40%, o związku wszystkich rafineryi cukru, wszystkich olejarni wytłaczających oléj z nasion bawełnianych, spółek rzeźni z kapitałami od 10 do 25 mil. dolarów, o związku walcowni szyn, hut szklanych etc. Nietylko bezpośrednie zmonopolizowanie przemysłu, narzucenie danego artykułu po pewnéj cenie krajowemu konsumentowi, oddawanie na eksport tegoż towaru za połowę ceny, mają te związki na celu. Oto

przed nami leży prospekt obligacyi, wypuszczanych przez „Nationale Cordage Company“ w kwocie 5,000,000 dol. Spółkę zawarło 15 największych zakładów powroźniczych, w celu wspólnego zakupywania konopi, dla niedopuszczenia spekulacyi tym towarem etc. Kapitał zakładowy powstał z 10,000,000 dol. akcyi rozebranych przez stowarzyszone zakłady.

Jakiéj jeszcze protekcyi potrzebować może przemysł Stanów Zjednoczonych?

Bil Mac-Kinleya składa się z 761 paragrafów, zgrupowanych w 13 działach i z długiego dodatku. Zwrócimy uwagę na kilka wybitniejszych artykułów dla wykazania, że jeśli niektóre ustępy noszą na sobie piętno prohibicyi, to jednak inne nie przekraczają opłat u nas istniejących, lub téż proponowanych obecnie skutkiem rewizyi taryfy. Tak np. kwas siarczany tam obłożono cłem $^1/_4$ centa od funta, czyli 10 centów od 40 funtów angielskich. — u nas proponowana jest opłata 25 kopiejek złotem od puda *brutto*, co jest znacznie wyżéj. Cent jest wart obecnie około $1^1/_5$ kop. w złocie.

W paragrafie 26 ekstrakty farbierskie i garbarskie płacą $^7/_8$ centa od funta, czyli od 40 funtów ang. 35 centów, u nas płacono dotąd rs. 3 w złocie od puda.

W paragr. 28 znajdujemy glicerynę rafinowaną przy opłacie $4^1/_2$ centa od funta, zatém od 40 funtów angielskich 180 centów, u nas proponowane jest cło 150 kop. w złocie od puda.

Soda kaustyczna opłaca 1 centa od funta, u nas była opłata 72 kop. od puda, a proponowaną jest 120 kop. od puda.

Natomiast porcelana, fajans i t. d. w wyrobach białych bez ozdób 55% od wartości; w wyrobach kolorowych, malowanych, ozdabianych w jakikolwiek sposób 60% od wartości; gdy u nas proponują 16 rubli od puda, co ma jakoby odpowiadać ocleniu w stosunku 32% od średniéj wartości.

Paragraf 112 obejmuje szkło do okien, nie szlifowane, nie przenoszące 10×15 cali ang. $1^1/_3$ centa od funta; nie przenoszące 16×24 cali ang. $1^7/_8$ centa i t. d. U nas proponują 170 kop. w złocie od puda, co odpowiada ocleniu dla mniejszych wymiarów 21%, a dla większych aż 57% od wartości.

Surowiec w gęsiach i w fragmentach żelazny $^3/_{10}$ centa od funta, czyli 10 centów od 40 funtów angielskich. — u nas opłata jest wyższa i jeszcze ma być podniesioną.

Paragraf 143 o blasze białéj opiewa, że wyrób ten opłacać będzie od 1 lipca 1891 roku $2^2/_{10}$ centa od funta. Cło takie zaprowadzone jest prowizorycznie i obowiązywać będzie do 30 czerwca 1897 r. Gdyby zaś cała produkcya takiéj blachy w Stanach Zjedno-

czonych, w którémkolwiek z pomienionych lat sześciu, nie dosięgła ilościowo $1/3$ części blachy zagranicznéj, importowanéj i oclonéj w odpowiednim roku —to uchylona zostanie opłata nadal. Pozwolimy sobie zatrzymać się nieco dłużéj nad znaczeniem tego paragrafu; zużytkowanie blachy białéj w Stanach Zjednoczonych wynosi około 500,000 skrzynek blachy miesięcznie, dla konserwowania jarzyn, owoców, ryb, mięsiwa i t. d. Na raz koszt opakowania artykułów codziennéj tam potrzeby, a w znacznéj części i artykułów eksportu podrożeje kolosalnie, bo miesięcznie około 600,000 dolarów płacić będą musieli za same cło więcéj, jak dotychczas. Kopalni cyny nie ma w Stanach, a fabrykanci z Wallii, którzy, na pierwszą wieść o proponowanéj zwyżce opłaty celnéj, przybyli do Stanów dla rozpatrzenia się w warunkach miejscowych, utrzymują, że dopiéro przy opłacie cła dwa razy większéj, mogłaby się opłacić fabrykacya.

Trzeba wiedzieć, jak obszerne jest zastosowanie blachy białéj dla opakowań,—aby zrozumiéć, że paragraf 143 sam jeden wystarczyłby dla zochydzenia rozpatrywanego bilu.

W namiętnéj polemice, jaka z tego tytułu zapełnia szpalty dzienników amerykańskich, przytaczają, że blacha biała na pokaz w Stanach wyprodukowana i dostarczona w epoce posiedzeń kongresu do Waszyngtonu, kosztowała tyle, co blacha srebrzona.

U nas proponują również podnieść cło od téj blachy, i co dziwniejsza, znieść przywiléj sprowadzania blachy do Batumu przez tamtejszą fabrykę opakowań dla nafty wywożonéj do gorących krajów.

Pomieniona fabryka importuje obecnie około miliona pudów takiéj blachy. W miarę jak gotowe opakowania napełnione naftą, są wywożone zagranicę, komora miejscowa uwalnia fabrykę od opłaty cła za wywiezione ilości. Środek ten, dozwalający kupować blachę tam, gdzie jest najtańsza, umożliwia konkurencyę dla nafty kaukaskiéj z naftą amerykańską w Turcyi, Egipcie, Indyach. Tutejsi protekcyoniści niespodziewanie znaleźli w autorach bilu Mac-Kinleya popleczników, bo jeśli utrzyma się bil Mac-Kinleya, to i nadal konkurencya nafty będzie możliwą, — bo opakowanie amerykańskie i kaukaskie byłoby prawie jednakowo drogiém. Tak to protekcyoniści na dwóch półkulach wzajemnie sobie szkodzić, lecz i wzajemnie popierać się mogą.

Dla porównania opłat celnych dotychczasowych i nowych w Stanach, przytoczymy szczegóły z przemysłu dywanowego. Wnoszono cła:

za gatunki	dawniej od jarda	i od wartości	teraz od jarda	i od wartości
Aubusson, Auxminster Moquette, Chenille	30 centów	40%	60 centów	40%
Saxony Wilton i Tournay . .	30 „	45%	60 „	40%
Brussels.	38 „	30%	44 „	40%
Plusz na meble	30 „	25%	40 „	40%

Obliczają, że przy opłacie cła obecnego od wełny, do wyrobu dywanów potrzebnéj, musi się znacznie zmniejszyć wyrób dywanów. Jakoż spotkaliśmy już ogłoszenie, że fabryki dywanów w Bostonie skracają czas pracy o 40% i tém samém, zamiast oczekiwanego powiększenia produkcyi, nastąpić musi jéj zmniejszenie.

W dziale 5-ym zatytułowanym cukier, znajdujemy ustęp taki: od 1 lipca 1891 r. i do 1 lipca 1905 r. producentom cukru (trzymającego nie mniéj, jak 90 stopni podług polaryzatora) dobytego z buraków, sorga, trzciny cukrowéj, udzieloną zostanie premia 2 centy za każdy funt.

Bliższe szczegóły określi biuro dochodów wewnętrznych.

Znajdujemy tu pierwszy przykład w historyi celnictwa Stanów Zjednoczonych, bezpośrednio wypłacanéj premii producentowi. Premie tego rodzaju znaliśmy i tutaj, np. premia płacono przez pewien peryód czasu stalowniom za produkowanie szyn stalowych.

W dziale 7-ym znajdujemy cło od jaj, 5 centów od tuzina.

Jakkolwiek daleko od nas do Stanów Unii, przecie skutkiem tego cła, do pewnego stopnia utrudniony zostanie wywóz jajek z cesarstwa, bo Kanada, która bardzo znaczne ilości jajek dotąd bez cła eksportowała do Stanów Unii, zmuszoną będzie przesłać jaja do Anglii i tam konkurować z tutejszemi. Z Kanady eksportowano do Stanów od 14 do 16 milionów tuzinów jajek rocznie. Izba handlowa w Montreal domaga się ustanowienia odpowiednich ceł na produkta Stanów.

W tymże dziale chmiel obłożono cłem 15 centów od funta, czyli około 8 rs. w złocie od puda, u nas cło dotychczasowe było—10 rs. od puda,—a cykoryę paloną 2 centy od funta, u nas zaś dotąd 60 kop. od puda i proponowano 80 kop. od puda *brutto*.

Sól 12 centów za 100 funtów ang.

O ile jednak przemysł krajowy użyłby do solenia ryb, mięsa etc. soli zagranicznéj, za którą cło zostało opłacone, na co dostarczy stosownych dowodów. będzie miał prawo żądać przy wywozie solonych produktów zwrotu opłaconego cła. Reklamacye dotyczéć mogą tylko kwot cła wyżéj 100 dolarów.

W dziale 11-ym spotykamy się z wełną. Tu zaznaczyć należy dokładne rozklasyfikowanie wełny na gatunki: 1) wełna sukiennicza, 2) wełna czesankowa, 3) wełna ordynarna, czyli naturalna nieu-

szlachetniona, a w tych trzech gatunkach odróżnia rozpatrywany bil, wełnę surową, wełnę mytą na owcach i wełnę odtłuszczoną.

Cła ustanowione są prohibicyjne, bo wynoszą dla pierwszego gatunku 11 centów, dla drugiego 12 centów od funta. Nie koniec na tém: wyraźnie bil zastrzega, iż cło od wełny mytéj gatunku I wynosić ma 22 centy, od wełny gatunku I i II-go odtłuszczonéj 33 centy od pierwszego i 39 centów od drugiego.

Dotąd nasza taryfa celna nie uwzględniała wcale różnicy między wełną surową, mytą i odtłuszczoną,—są jednak wskazówki, że przy obecnym przeglądzie taryfy, różnice te uwzględnione zostaną, coby wyszło na korzyść krajowéj hodowli owiec.

Przejdźmy teraz do względnie długiego spisu towarów uwolnionych od cła. Wybitniejsze towary są następujące.

Albumin, alizaryna, bursztyn nie w wyrobach, sole anilinowe. arszenik, asfalt nie w wyrobach, asfalt surowy, wosk pszczelny, kości surowe, książki drukowane w wszelkich językach prócz angielskiego, kamfora, cykorya nie palona i nie mielona, kakao, kawa, korale surowe, drzewo korkowe surowe, materyały apteczne, kory, trawy etc. nieczyszczone, pióra i puch dla pościeli, maty plecione chińskiemi zwane, daktyle, orzechy kokosowe, brazylijskie, palmowe. futra niewyprawne, dżuta, konopie manila, guano i wszelkie nawozy, skóry surowe, solone lub suszone, indygo, india rubber, kość słoniowa surowa, sok cytrynowy, — wody mineralne naturalne, igły do szycia i szydełka, oleje i oliwy do maszyn, oliwki, masa papiérowa, parafina, potaż, platyna, pomeks, szafran, sago, nasiona i bulwy niejadalne, jedwab surowy, soda, cynamon, kwiat muszkatołowy, siarka, kwas siarczany, który przy temparaturze 60^0 Farenheita nie przechodzi ciężkości gatunkowéj 1.380, dla preparowania superfosfatów, herbata, terpentyna, wosk ziemny.

Pozwoliliśmy sobie wynotować jedynie towary znane szerszemu ogółowi, aby dać jaśniejsze wyobrażenie o doniosłości nowego prawa.

Bil daje prawo prezydentowi i nakłada na niego obowiązek (*and shall be his duty*), w stosunku do krajów niewywzajemniających się za dozwolenie swobodnego dowozu skór, cukrów surowych, herbaty etc., zawieszać czasowo prawo swobodnego importu danych towarów. W tym wypadku pobieranoby między innemi cło od herbaty 10 centów od funta, a od kawy 3 centy od funta, od skór 1½ centa od funta.

Z tak pobieżnie zestawionych danych można zauważyć, że bil w mowie będący, nie miał jakoby na widoku powiększenia dochodów celnych, bo np. takie przedmioty codziennego masowego użytku, jak herbata i kawa, pozwala importować bez cła, (herbata

u nas płacić ma 21 rs. zł. od puda). Przeważnie zaś zajmuje się ocleniem przedmiotów do wytworzenia których praca ręczna jest potrzebna, albo które jako produkta rolne lub mineralne miejscowe, domagały się opieki wobec konkurencyi europejskiéj. Ochronić pracę wolnego obywatela Stanów od pracy pauprów europejskich (tak brzmiało hasło promotorów bilu), jest jego zadaniem.

Między innemi pośredniemi dowodami téj tezy, znajdujemy w bilu i dowód bezpośredni.

W par. 51 powiedziano: Dla wszelkich przedmiotów. towarów lub artykułów handlowych, produkowanych w krajach zagranicznych przez więźniów, wstęp do portów, lub przez granice Unii jest wzbroniony. Sekretarz skarbu jest upoważniony do wydania przepisów wprowadzających w wykonanie niniejsze rozporządzenie.

Nietyle jednak wysokie opłaty celne od fabrykatów wszelkich, czy to tkanin. czy wyrobów metalowych, oburzają europejskich eksporterów i importerów w Ameryce, ile dodatkowe przepisy.

Prawodawstwo celne wymagało dotąd, prawie powszechnie, w razie obliczania cła podług wagi, tylko dokładnego podania wagi danego towaru *netto*, wskazania jego nazwy taryfowéj, oraz wskazania odnośnego paragrafu taryfy celnéj; w razach zaś, gdy cło pobierano od wartości, obowiązkiem importera było: podać wartość tak wysoką, aby nie mogło się opłacić danéj komorze nabywanie danego towaru na swój rachunek, po cenie przez importera wskazanéj.

Bil Mac-Kinleya nie zadawalnia się prostą deklaracyą wagi i wartości. Wymaga, aby przysyłający towar, podał koszt produkcyi towaru, wyszczególnił koszt materyałów użytych, łącznie z kosztami przygotowania, opakowania towaru, aż do chwili załadowania.

Takie niesłychane wymagania, piętnuje izba handlowa Nowego Yorku jako „niszczące naturalne prawa handlu i wymiany“. Bo jakże można zmusić fabrykanta, by tenże objaśniał swego klienta o sekretach produkcyi. Wreszcie nie każdy fabrykant utrzymuje biuro statystyczne dla ścisłego rozsegregowania pojedyńczych czynników na koszt produkcyi wpływających. Naturalnie, kto będzie mógł się uchylić od składania podobnéj deklaracyi, to nie omieszka tego uczynić i fabrykanci zagraniczni, zamiast sprzedawać bezpośrednio swe towary Amerykanom, przesyłać będą mogli towar do własnych agentów, którzy ze swéj strony, pod przysięgą (jak tego ustawa wymaga) nie omieszkają uznać, że deklaracye zagranicznych fabrykantów „są sprawiedliwe i wierne“. Major Mac-Kinley i jego koledzy, którzy tak gorące wygłaszali filipiki na posiedze-

niach kongresu przeciwko zagranicznym fabrykantom i ich agentom, ułożyli jednak prawo, dozwalające bezpiecznie zajmować się importowemi interesami tylko agentom domów zagranicznych. Rozdział o opakowaniach wywołuje również namiętną krytykę, bo niedosyć, że po większéj części cło obliczane jest *brutto*, zatém opakowanie płaci cło podług skali zawartego w nim towaru, lecz nadto jeśli opakowanie jest niezwykłe, to płaci osobno podług skali do podobnych przedmiotów stosowanéj. Gdy naprzykład dany towar przybył na komorę w kufrze a nie w skrzynce to waga kufra policzoną będzie raz na równi z towarem w nim zawartym, a drugi raz podług cła od kufrów pobieranego.

Wprowadzenie w wykonanie ustawy pociągnęło za sobą gwałtowne podniesienie ceny wszystkich fabrykatów zagranicznych i miejscowych. któremi się ustawa zaopiekowała. Importerzy wcale nie tają się z wyrażaniem nadziei, że publiczność, że ostatni konsument, zapłaci całą podwyżkę ceł, zanim ujawnić się zdoła konkurencya miejscowych fabryk. Amerykańscy przemysłowcy ze swéj strony zbyt dokładnie oceniają położenie, aby się śpieszyć mieli z wywołaniem konkurencyi między sobą. w własnym kraju. Oni wolą, zamiast konkurować. połączyć się celem wspólnego, trwałego, gruntownego wyzyskania położenia.

To cośmy przytoczyli o fabrykach lin i sznurów, daje się powiedzieć o każdéj znaczniejszéj gałęzi przemysłu: o dywanach. meblach, o siekierach i piłach, o koszulach i t. d. To téż zwyżka cen w handlu detalicznym daje się uczuwać na całéj linii, wszędzie masa konsumentów odczuwa na własnéj kieszeni, jak źle się bawiono w kongresie, jak te środki skierowane niby to dla protegowania narodowéj pracy, skutkują tylko zbogacenie się niewielu fabrykantów, kosztem wielkiéj masy konsumentów. Stąd téż okrzyk oburzenia, okrzyk potępienia bilu i jego autorów jest tak donośnym, tak powszechnym.

Zwykliśmy podziwiać energię i szybkość pracy Amerykanów, lecz tamtejszy świat handlowy, pewno nie bez racyi. nazywa pośpiech w dyskutowaniu rozpatrywanéj ustawy i pośpiech w jéj zatwierdzeniu „nieprzyzwoitym“. Raport komisyi bil układającéj, nastąpił 26 września, odczytany został w kongresie 27 września, w senacie 30, a podpisany przez prezydenta już 1 października, wszedł w wykonanie o północy z 5 na 6 października.

Zaznaczyć jednak wypada, iż w kilku punktach przynajmniéj, korzystnie wyróżnia się od tego rodzaju ustaw w innych krajach. Prócz bowiem podkreślonéj już premii udzielanéj krajowemu cukrownictwu, uwalnia od opłaty cła wszelkie materyały używane do

budowy okrętów morskich, uwalnia dalej od cła wszelkie materyały sprowadzane do fabryk amerykańskich, o ile też materyały w tymże stanie lub w przerobionym wywiezione zagranicę zostaną, a nadewszystko mnóstwo towarów uwolniono od cła, i właśnie takie towary jak np. herbata, kawa, soda, które w innych krajach bardzo wysokie cło opłacają.

W całości swojéj, jak na wstępie zaznaczyliśmy, bil Mac-Kinleya, jako nieusprawiedliwiony ani fiskalnemi, ani ogólno-ekonomicznemi motywami, jest może objawem daleko sięgajacego zepsucia stronnictwa, chwilowo u steru będącego, i prawdopodobnie spowoduje upadek swych twórców.

Ponieważ jednak daleko łatwiéj jest cła zaprowadzać, niż je znosić, to niewątpliwie długo jeszcze patrzéć będziemy na walkę stronnictw w Stanach, życząc powodzenia demokratom, których rzecznikiem był poprzedni prezydent Unii. Dla Europy mniéj jest straszną Ameryka opancerzona cłami, jak Ameryka przyszłości, gdy skutkiem wolnego handlu rozwiną się olbrzymie zasoby przyrodzonych bogactw i wynalazcza energia jéj synów. Wtedy północna Unia stanie się naprawdę tą „sławną rzeczpospolitą, w któréj Europa z zazdrością szuka wzorów i od któréj z drżeniem oczekuje wyroków“.

Br. Werner.





ASCETKA.

(Dokończenie).

VI.

O tak zwanéj celi siostry Kajetany krążyły po klasztorze, cicho i głośno opowiadane legendy. Pierwsze niosły, że było to więzienie, w którém niegdyś, bardzo dawno temu, zamkięto zakonnicę o stosunki z szatanem obwinioną i w którém ona, o chlebie i wodzie żyła czas jakiś, opętana, wyjąc, szczekając, straszne bluźnierstwa wyrzucając, przeciw Jezusowi i jego Matce. Innym razem, inna występna siostra, także bardzo już dawno temu, za zbrodnię złamania ślubów zakonnych i oddania się ziemskiéj miłości, ponosiła tam podobno karę, u któréj końca jednak, przez samego biskupa rozgrzeszona, umarła we łzach skruchy i na równi z temi, które w niewinności ze świata zchodziły, do trumny na głowę otrzymała wieniec z białych róż. Czy podania te zawierały w sobie prawdę, lub część jéj, trudno było dowiedzieć się na pewno, ale w sali nowicyatu o zmierzchu szeptane, grozą powlekały młode twarze nowicyuszek i posępne ogniki krzesały w zagasłych źrenicach, opowiadających je starych, zgarbionych, zeschłych zakonnic. Były to może tylko ciemne sny fantazyi, które w ludzkie głowy spływały z pod sklepień napełnionych wiecznemi zmrokami, ale być téż może, iż zawierały one w sobie mniéj lub więcéj wierne echa krzyków, któremi rozlegały się tu niegdyś, istotne, bardzo dawne tragedye. Co przecież było pewném, to że w celi siostry Kajetany, oprócz dwóch owych mglistych i wpół bajecznych przemieszkiwały w ciągu dwuwiekowego przeszło istnienia klasztoru. trzy inne istoty, również choć w sposób całkiem odmienny tragiczne, z istnieniem dobrze już udo-

wodnionèm przez akta klasztorne, a względem ostatniéj przez naoczne, świéże świadectwa. W przeciągu dwustu przeszło lat, trzy tylko siostry zakonne dosięgły takiego stopnia zaparcia się ciała i podniesienia ducha, że zapragnęły miejsce to zamieszkać. Ostatnią z nich była siostra Kajetana, która od lat dwudziestu zastępczyni już nie miała i któréj imię dotąd cela ta nosiła. Z pośród młodych zakonnic prawie żadna nie widziała jéj nigdy, starsze zaledwie przypomniéć sobie mogły parę razy dostrzeżone jéj wnętrze i drogi do niéj już nie pamiętały. Wiedziano tylko powszechnie, że w najdalszéj głębi klasztoru jest jakieś ciasne, nigdy nie uczęszczane podwórko, z bardzo wysoko wznoszącém się, gęsto okratowaném okienkiem, za którém, w wiecznym zmierzchu i nieprzerwanéj ciszy, żyły i cierpiały dwie zbrodniarki i trzy święte.

Powszechne też było zadziwienie i wzruszenie na wieść, że siostra Mechtylda prosiła przełożoną o pozwolenie zamieszkania celi siostry Kajetany i wstąpienia w ślady trzech doskonałych ascetek klasztornéj przeszłości, o których istniały podania, że włosiennicy nie zdejmowały z siebie nigdy, po kilkadziesiąt dni z rzędu nie jadały, w trumnie sypiały, a przez ostatnie lata swych istnień, nie przestąpiły ani razu progu schronienia swego i do żadnéj istoty ludzkiéj ani jednego słowa nie wyrzekły. Wszystko to przechodziło wyobraźnię i możność bardzo nawet nabożnych i dość srogo umartwiających się sióstr, inne, chłodniejsze, wprost grozą napełniało. Nie zdziwiły się też wcale wiadomością, że matka wielebna na swoją tylko odpowiedzialność sprawy téj brać nie chcąc, dla rozstrzygnięcia jéj do kapitulnéj sali na naradę wezwała matki, czyli starszyznę zgromadzenia, złożoną z zakonnic, które już około lat 20 przeżyły w ślubach zakonnych. Co tam podówczas w wysokiéj sali, dokoła marmurowego stołu, otoczonego adamaszkiem obitemi fotelami i na kosztownéj posadzce stojącego, mówiono, jakie pytania zadawano stojącéj przed starszyzną i wyroku jéj oczekującéj siostrze Mechtyldzie i jakie uczucia budziły jéj odpowiedzi pokorne, lecz pełne nieugiętéj woli i dokładnéj praw zakonnych znajomości, niewiadomo; ale, na parę godzin przed wieczorem, wszyscy wiedzieli, że starszyzna przystała na jéj żądanie, z tém jednèm zastrzeżeniem, aby nie przestawała ona udzielać, jak dotąd, codziennych lekcyi rysunku i robót w nowicyacie. Była to zapewne matka Romualda, która przemocą pozostawiła jéj to jedyne już okienko, otwarte na światło i powietrze—które Bóg stworzył.

Przed wieczorem, na krótko przed chwilą, w któréj dzwonek *silentium* nakazujący, rozledz się miał po klasztorze, stara, zgarbiona, kaszląca matka Gertruda, która przechowywała klucze od strychów

i spichrzów, jeden z nich w dawno znać nieotwieranym zamku obróciła i nawpół otworzywszy małe drzwi, do malutkiego wnętrza wiodące, zadyszana od przebytych wschodów, zgarbiona, niska, ciężka, twarzą zwróciła się do stojącéj za nią, wysmukłéj, bladéj jak opłatek siostry. We dwie zajmowały całą szerokość korytarzyka tak wąskiego, że popobnym był do szczeliny wyrzniętéj w chropawych, potężnie grubych murach. Przez chwilę nie mówiła nic. Czoło jéj było zakryte płócienną opaską, ale po szerokich, żółtych, w zgrzybiałych policzkach zmarszczki tak drgały i biegały, jakby zaraz rozpłakać się miała.

— Niech Pan Jezus dopomaga i sił dodaje... — szepnęła nakoniec.

Pomilczała chwilę, potém równie cicho mówić zaczęła:

— Ciężkiém jest życie nasze. O, Jezu, czy ty ofiary nasze przyjmujesz? Pięćdziesiąt lat już w klasztorze przebyłam... a pamiętam pokój, w którym tatko huśtał mię na swoich kolanach... Od trzydziestu lat nie wiem, co stało się z Jasiem i Ludwisiem, z Manią, Julką i Elżunią, a pamiętam ich, jak wyglądali, co do jednego... Trudno zapomnieć, że człowiek ze świata jest i z gliny ziemskiéj... Pięćdziesiąt lat modlę się do Jezusa i jego tylko kocham... a pamiętam... O, Jezu, czy ty ofiary nasze przyjmujesz?

Trzęsła głową i ku wysmukłéj towarzyszce wznosiła oczy ze staremi, mrugającemi powiekami. Ta, z dzbankiem w jednéj ręce, a kilku nabożnemi książkami w drugiéj, wyprostowana, odpowiedziała.

— On tylko jest dobrem i wiecznością, wszystko co ludzkie, wraz z ludzką pamięcią, to zło i znikomość.

Poczém, z pokłonem wymówiwszy: „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, przestąpiła próg drzwi tak niskich, że głowy nieco ugiąć musiała.

— Na wieki wieków, Amen! — odpowiedziała matka Gertruda za zamkniętemi już drzwiami, z za których, dość długo jeszcze słychać było ciężki, chrypliwy kaszel, posuwanie się starych nóg po podłodze korytarza, a potém, wraz z głośném zstępowaniem ze wschodów, zdające się wić i czepiać po chropawych, potężnych murach westchnienia: „Jezu, czy ty ofiary nasze przyjmujesz?“

Siostra Mechtylda przyniesiony dzbanek z wodą na ziemi postawiła i obejrzała się po nowém swojém siedlisku. Łatwo je było obejrzéć. Pięć kroków wzdłuż i wszerz, sufit tak niski, że wyciągniętą w górę ręką dotknąćby go mogła, pod nim, w jednéj z poszarzałych od starości i wilgoci ścian, wpół okrągłe, zakratowane okienko, przez które nad kawałkiem ciemnego dachu, widać było wąski pasek nieba.

Wspięła się na palce i przez malutkie, żelaznemi prętami przysłonione szybki spojrzawszy, ujrzała, że znajduje się u wierzchu czegoś, co miało pozór studni, w ogromnych murach wydrążonéj. Był to niezmiernie ciasny czworokąt, powstały z zetknięcia się czterech kilkopiętrowych murów, z których dwa posuwając się daléj tworzyły zamieszkiwane części klasztoru, a dwa inne, w malutkie otwory zamiast okien zaopatrzone, zawierały stare, opuszczone składy i śpichrze. Nigdzie żadnego okna, żadnéj istoty żyjącéj. W głębokim dole dawno znać rozrzucone kamienie i cegły, u szczytu, nad załamami dachów, mały płatek nieba, po którém jakby nigdy nie przepływało słońce, bo z pomiędzy kamieni i cegieł, wyglądała czarna, wodę sącząca ziemia. Znowu zwróciła się do wnętrza i po ramionach jéj przebiegło drżenie. Wywołał je ten instynkt nieprzezwyciężony, który w żyjącéj istocie budzi wstręt do grobu. W téj zaś ciasnéj i niskiéj izdebce, w ten dzień majowy i gdy słońce pełną tarczą nad zachodem jeszcze wisiało, panował przejmujący chłód i prawie gęsty zmrok, w którym, u dołu, odrzynały się od ściany zarysy stojącéj na ziemi trumny. Wszystko tu od śmierci siostry Kajetany, nieporuszoném pozostało. Obok téj trumny, w któréj sypiała ona i może jéj poprzedniczki, prawie do sufitu, wznosił czarne ramiona wielki ciężki krzyż, a u stóp jego, na niskim stołku, obok dziś postawionéj tu lampki, bielała trupia głowa. Nic więcéj.

Drżenie siostry Mechtyldy było instyktowe, lecz trwało długo.

— Bóg jest ze mną i tylko on—myślała i drżała ciągle.

Raz, niegdyś, pozwolono jéj do tego miejsca zajrzéć, zapamiętała je i wiedziała, co w niém znajdzie. Dlatego téż, że wiedziała, zapragnęła go w chwili niespodziewanego łamania się na dwoje wewnętrznéj swéj istoty. W gęstym zmroku, przed czarném widmem krzyża, z opuszczonemi rękoma stojąc, myślała o tém, co ją tu czeka. Opowiadano jéj, że do tego miejsca nie dochodzą żadne odgłosy panującego w klasztorze ruchu. Za temi drzwiami żadna droga do niczego nie prowadzi, nie mija ich téż i nigdy nie zastuka do nich nikt. Za tém oknem nigdy żadna roślina nie zaszeleści z wiatrem i żadne ptaszę nie zaszczebiocze. Wieczna cisza, wśród któréj tylko nocami słychać rozlegające się i przewlekłe echa, budzące stuki, upadki, tententy. To szczury, nietopérze i całe gniazda robactwa, żyjące na dole i naprzeciw, w rozległych, pustych strychach i śpichrzach. Wieczny także zmierzch i chłód, bo ani jeden promień wschodu lub zachodu tu nie przenika, a same upalne południa letnie nie osuszają dna téj studni, ani rozgrzéwają potężnych, wiekową wilgocią i pleśnią przepojonych murów.

Tu pokutę swoją spełniały grzesznice i na niebo zapracowywały święte, niezbyt długo. O tych drugich zupełnie pewne daty i świadectwa opowiadały, że przez ostatnie lata swoich istnień, dla braku sił nie opuszczały już wcale dobrowolnego swego więzienia i wcześnie pomarły. Inaczéj być nie mogło; siostrę Mechtyldę przypomnienie to napełniło radością. Wkrótce zapewne i dla niéj przyjdzie czas, w którym będzie miała prawo nie wydalać się stąd wcale, nic już stworzonego nie widziéć, nie słyszéć, nie czuć i nigdy ani na chwilę nie przerywać swojego sam na sam ze Stwórcą. Potém, jak poprzedniczki jéj, rychło umrze. Na klęczki przed krzyżem upadła i z wybuchem uśmiechów dziwnie ze łzami zmieszanych, wołała:

— Panie, prędzéj weź mię do siebie... Racz wziąć! litości!... prędzéj! prędzéj!

Nigdy żarliwsza modlitwa o rychłą śmierć z niczyich ust nie wyszła, może dlatego, że na dnie niczyjéj piersi nie leżał cięższy i silniéj w nią wrosły kamień cierpienia. Wyobrażała sobie, że pochodzi on od zbytecznéj jeszcze w klasztorze bliskości ziemi i że go w tém miejscu, tak do pustyni podobném, z siebie wyrzuci. Teraz czuła, że to miejsce nie było jeszcze wszystkiém, czego pragnęła i że z jéj udręczenia, w którém mieszały się z sobą pierwiastki tęsknot, żalów, głuchych pożądań i niepokojów, nie ubyło nic.

— Bóg jest ze mną i tylko on — szeptała i nie czuła żadnéj pociechy. Pocieszyła ją dopiéro myśl, o rychłych śmierciach poprzedniczek i nadzieja dostąpienia takiéjże łaski. Przez nią uspokojona, długo modliła się w ciemności, wśród modlitwy przysłuchiwała się dzwonkowi, który po klasztorze *silentium* ogłaszał, a tu dochodził z takiéj odległości, że za brzęczenie komara wziąćby go mogła. Potém, z klęczek powstawszy, zapaliła lampkę, która na téj malutkiéj przestrzeni dość obficie oświeciła czarny krzyż, trupią czaszkę i na ziemi stojącą trumnę. Na tę ostatnią siostra Mechtylda, z podaną naprzód postacią i rozszerzonemi oczami, długo patrzała. Zdało się jéj i może tak było, że płótna wyściełające jéj wnętrze i leżąca u jéj wezgłowia poduszka, zachowywały jeszcze pogłębienia i rysunek tego ciała, które ostatnie wśród nich umiérało. Miały one zresztą barwę żółtawą i zalatywała od nich woń stęchlizny. Trumna była bardzo stara, brzegi jéj tu i owdzie kruszyły się od spróchniałości, trochę téż próchna usypywało przy niéj ziemię. Może w niéj nie jedna tylko siostra Kajetana sypiała i skonała, ale i tamte także, jéj dawne, bardzo dawne poprzedniczki? Siostra Mechtylda zaczęła szybkie spojrzenia rzucać po malutkiéj przestrzeni, zewsząd grubemi murami zamkniętéj. Z murów tych zdawały się wydobywać dziwne i rozmaite

dźwięki: szczekanie opętanéj, głębokie szlochy grzesznicy ziemskiéj miłości, roztęsknione westchnienia miłośnic nieba. Duszne powietrze przerzynały świsty dyscypliny, pod niziutkiém sklepieniem przeciągały litości wzywające szmery. Siostra Mechtylda drżała. Nigdy, ani włosienica, ani dyscyplina, ani srogie posty i bezsenne noce, nie budziły w niéj takiego wstrętu, takiéj trwogi, jakie czuła w obec myśli położenia się w téj spróchniałéj trumnie, na téj zbutwiałéj pościeli, pośród zamieszkujących tę czeluść widm jéj przeszłości. Rozpoczynała zdejmować z głowy welon i z przejmującym dreszczem opuszczała ręce. Ciało jéj zebrało wszystkie swoje siły, aby odepchnąć ten kielich, przed którym wzdrygało się w najgłębszych swoich wnętrznościach. Ale było to ciało i siostra Mechtylda z oburzeniem i wzgardą obróciła się przeciw niemu. Pokona je, dlatego tu przyszła, aby ostatecznie je pokonać. Niech wzdryga się od wstrętu, niech drży i kurczy się od trwogi, tém lepiéj, tém większém będzie zwycięstwo duszy i łaskawszym zwrócony ku niéj wzrok Boga. Drżąc, wzdrygając się, kurcząc, pomimowolne, szybkie spojrzenia za siebie rzucając, zdejmowała welon i habit, oblekała włosienicę i prędko szeptała:

— Dla miłości twojéj Panie! za zbawienie moje! za rychłą śmierć moją! za grzechy świata! Panie, Panie, za grzechy i nędze świata!

Gdy niedaleko stąd, w samym ogrodzie klasztornym, purpurowe światła zachodu oblewały jeszcze białym kwiatem obsypane akacye, ona, w grubéj ciemności wyciągnęła się na pogłębieniach pościeli, po konającém ciele poprzedniczki jéj pozostałych i z powstrzymanym w piersi oddechem słuchała—ciszy. Była ona zupełną, grobową, nawet złudy szczekań i szlochów pomilkły; tylko zdala, jakiś szum wielki i nieustanny, do toczącego się w oddaleniu grzmotu podobny, dochodził tu tak głucho, jak do podziemia dochodzą wrzawy wznoszące się nad powierzchnią ziemi. Siostra Mechtylda wiedziała, że były to głosy wielkiego miasta, zlane w ten jeden, nieustanny, głuchy szum, który tu więcéj, niż do innych części klasztoru dochodził. Był to szum świata. Znała go niegdyś zbliska, była niegdyś jednėm z milionowych jego drgnięć, jednym z listków, miotających się w tym uraganie. Umiała więc teraz rozłożyć go na pojedyńcze obrazy, które też długim sznurem przesunęły się przed nią, na tle ciemności. Ulice pstre od śpieszących tłumów ludzi; rozległe ogrody, pełne ludzi; wielkie sale napełnione światłem, muzyką i ludźmi; wysokie domy, od dołu do szczytu nalane życiem ludzkiém; mrowisko, uwijające się, śpieszące, zdyszane, którego jednostki rodzą się po to, aby umierać, kochają się, aby obojętnieć, przysięgają, aby zdradzać, gonią za blaskiem, który jest błotem lub dymem, ścigają szczęście, a chwytają

boleść. Jedna wielka gromada szaleńców, nie myślących o jedynéj, ważnéj swojéj sprawie; sam grzéch i szał, sama znikomość. Jak to szumi! Ile w tym szumie kłamstwa, chciwości, zdrady, zawodów, płaczu, westchnień! Jak to daleko szumi! O, Panie, dzięki ci, że tak daleko!

Świat miał nad nią podwójną siłę wpływów: ilekroć przypomniała go sobie w postaci czystéj, cichéj natury i swoich własnych, pomarłych złudzeń o miłości, przyjaźni i cnocie, powstawała w niéj burza wspomnień i żalów; ale przed szumną, pstrą, śmiejącą się, grającą, za blaskiem i rozkoszą goniącą jego postacią, czuła ten sam przestrach i tę samą wzgardę, z jakiemi po raz pierwszy w klasztorne progi wstąpiła. Teraz, od dalekości tego drugiego świata, którego szumu w ciemném wnętrzu swojéj czeluści słuchała, spłynął w nią dawno nieznany spokój. Uczuła się w obec tamtych, ślepych, poplamionych, zagrożonych, oświeconą przez Pana, czystą, bezpieczną. Z dna jéj piersi zniknął kamień cierpienia. Odetchnęła szeroko. Uczuła na sobie okrywające ją do snu skrzydło boże i wyraźnie, z jasnością zupełnéj halucynacyi, ujrzała wzrok Boga, w postaci łagodnego promienia, przebijający mur sufitu i spływający na nią.

— Bóg jest ze mną i tylko on! — myślała i cicho, głęboko, jak dziecko usnęła.

Spokój ten nie opuszczał ją przez pewien szereg dni, w czasie których siostry widywały ją już tylko na chórze i niekiedy w refektarzu. Do tego ostatniego nie zawsze przychodziła; było bowiem rzeczą wiadomą i z góry niejako postanowioną, że mieszkanka celi siostry Kajetany, którą teraz celą siostry Mechtyldy nazywać zaczęto, zadawać sobie musiała pośród wielu innych umartwienie częstych postów. Na korytarzach i wschodach klasztornych nie spotykano już jéj nigdy; z czeluści bowiem w któréj mieszkała, wiodły wszędzie przejścia przez nikogo nie uczęszczane, wąskie jak szczeliny, pełne zupełnie ciemnych załomów i jak drabiny wąskich, kołyszących się pod stopami wschodów. Na chórze nawet, do którego przychodziła zawsze, rozległa się dokoła niéj samotność. Siostry, sąsiednie miejsca zajmujące, rzadko tylko i nieśmiało podnosiły na nią oczy; żadna z małych albo podrastających dziewczynek obok jéj ławki nie klękała, bo nuż którąkolwiek pochwyciłaby ona tak, jak Klarcię, na gorącym uczynku roztargnienia i swawoli! Gdzieindziéj zbijały się w gęstszą nieco kupkę, to miejsce, pośród wszystkich innych, pustém pozostawiając. Siostra Mechtylda spostrzegała to i spokój jéj wzrastał. Świat usuwał się i oddalał od niéj w jedynych już chwilach i w jedyném miejscu, wzajemnych ich spotkań. Przez wszystkie te dnie mogłaby tu do żadnéj

żyjącéj istoty jednego słowa nie wymówić i usta otwierać tylko do rozmowy z Bogiem, gdyby nie codzienne, stanowczo jéj przez zwierzchność nakazane, lekcye w nowicyacie.

VII.

Nowicyat był wielką, czworokątną, wysoką salą, z którą łączyły się sypialnie próbantek i nowicyuszek wraz z celą zakonnicy, pełniącéj czynność dozorowania ich i odpowiedniego kształcenia, a noszącéj tytuł mistrzyni nowicyatu. Kilka jéj okien i oszklone drzwi wychodziły na dziedziniec, ze staremi drzewami i sporym ogródkiem, w którym lekarskie zioła zasiewano. W zimie nawet, przy zaściełającym obszerną przestrzeń śniegu i okrywających drzewa brylantowych szronach, było to jedno z najweselszych miejsc w klasztorze. Teraz, od góry do dołu sala napełnioną była powietrzem i światłem, wchodzącém przez drzwi i okna szeroko otwarte na dziedziniec, cały zasłany zielonością murawy i na którym ptaki świegotały w drzewach, a z ogródka buchały mocne wonie mięty, czombru, szałwii, rumianku. W otaczających dziedziniec murach, okna do cel zakonnic należące, na oścież były pootwierane; niektóre miały za żelazną kratą wazonik z kwitnącą rośliną, lub klatkę z ptaszkiem. W ogródku zaś, pochylając się, to prostując, wyrywając z ziemi chwasty albo kroplistą strugę wody z blaszanéj poléwaczki na dobre zioła lejąc, pracowała młoda, maleńka, z drobną i rumianą twarzą zakonnica. Pośrodku sali, dokoła okrągłego stołu siedziały próbantki w szarych i białych welonach i nowicyuszki, które po wykonaniu pierwszych zakonnych ślubów nosiły już habit, lecz ani czarnego welonu, ani złotego krzyża na piersi jeszcze nie miały. Jedne z nich, białą materyę okrywały splotami aksamitnych gron i liści, inne na aksamicie wyszywały złote hafty, inne jeszcze cérowały drogocenne, stare koronki, lub zręcznie obracały w rękach narzędzia i materyały do wyrabiania sztucznych kwiatów przeznaczone. Stół piętrzył się pokrajanemi w różne kształty i wielkości kawałkami materyi i aksamitów, złotemi i srebrnemi nićmi, blaszkami, galonami, mnóstwem plączących się z sobą pasm różnobarwnych jedwabiów, zwojami starych koronek, mającemi pozór wzorzystych, żółtawych puchów.

Dokoła stołu robotnice siedziały na twardych stołkach, nad robotami pochylając głowy w białych welonach. Milczały. Cisza, w sali panująca, pełną była szelestów jedwabiu, skrzypów igieł przez grube materye przesuwanych, lub krających je nożyczek, postukiwania młotków, wybijających krochmalne muśliny, z których robiono

kwiaty. Z za okien wpadał świegotliwy gwar ptastwa i basowy brzęk owadów; za jednemi z zamkniętych drzwi śpiewały przyciszone długie akordy pokojowego organu. To mistrzyni nowicyatu, najlepsza w klasztorze muzyczka, uczyła na instrumencie tym jedną z próbantek grania ku chwale bożéj.

Siostra Mechtylda, w stojącéj postawie nad dwoma próbantkami pochylona, bacznie przypatrywała się robocie, którą było pysznie aksamitnemi liśćmi i gronami przyozdabiane antepedyum. Czasem biały jéj palec przesuwał się po materyi wskazując drobną do poprawienia usterkę, czasem, wymawiała kilka cichych słów wskazówki lub biorąc ze stołu ołówek, jedném jego pociągnięciem rysowała jakąś nową, czy ozdobniejszą linię. Tylko co była tu przyszła, ale nie przez dziedziniec jak dawniéj, tylko przez drzwi z wnętrza gmachu prowadzące. Nie potrzebowała już teraz, tak jak dawniéj, idąc tu przebywać pięknego, jasnego dziedzińca, ale ciemnemi korytarzami, po ciemnych wschodach spuszczała się prawie pod same drzwi téj sali, na słoneczne okna któréj, mijając je, nigdy ani jednego spojrzenia nie rzucała. Rysy jéj, bardziéj jeszcze przez zwiększoną chudość zaostrzone i całą postawę okrywał surowy spokój; z ruchów, spojrzenia i dźwięku głosu wiał doskonały chłód. Od tego chłodnego i surowego spokoju dziwnie odbijał żar gorączki, napełniający zapadłe oczy, nad któremi często mrużyły się i przymykały od światła odwykłe powieki. Od próbantek wyszywających antepedyum przeszla do nowicyuszki, która na czerwonym aksamicie, złotemi nićmi haftowała ozdobny krzyż. Żar jéj oczu wzmógł się, ale usta surowszemi jeszcze się stały, gdy na ten znak zbawienia długo patrzała, poczém wzięła ze stołu zwój żółtych jedwabiów, któremi brzegi stuły, ze złotemi krzyżami u końcow, wydziergane być miały.

Wtedy, z drugiéj strony dziedzińca, z drzwi przeciwległych tym, które w sali nowicyatu na oścież były otwarte, wyszła matka Romualda i powoli, z niepozbawioną wdzięku powagą ruchów, po zielonéj, murawie dziedzińca iść zaczęła. Zamyśloną była, może nawet czémś stroskaną, — klasztór miał wiele materyalnych i moralnych interesów, które jéj głowę i sumienie obarczały, — jednak, skoro tylko spójrzenie jéj upadło na małą zakonniczkę, pracującą w ogródku z ziołami, uśmiechnęła się i ku niéj iść zaczęła. Wiedzieli wszyscy, że przed rokiem zaledwie wyświęcona, od jakiejś dalekiéj wsi i rodziny tu przybyła, siostra Wincenta była ulubienicą całego zgromadzenia, zarówno jak przełożonéj. Nadewszystko inne lubiła ona pielęgnować chorych i kwiaty. Matka Magdalena aptekarka i zarazem ogrodniczka, wzięła ją od razu na uczennicę i przyszłą zastępczynię swoją.

Uprawiała więc ogródek z ziołami, suszyła je, przyrządzała z nich leki, w wielkim klasztornym ogrodzie oczyszczała wiosną liście z robactwa, jesienią wykopywała i na świéże miejsce przenosiła krzewy, wszystko to pełniąc z tą samą gadatliwością, z jaką modliła się na chórze. Tam odmawiała modlitwy tak prędko, śpiesznie, że dziesiątą już skończyła wtedy, gdy inne siostry zaledwie rozpoczynały trzecią; tu także prędko i wiele mówiła do każdéj dostrzeżonéj istoty ludzkiéj a w braku jéj, pomimowoli, do drzew lub ziółek. Przytém śmiała się często, śmiechem przyciszonym, przez habit jakby przytłoczonym, lecz w którym dźwięczała naiwna wesołość i młodość. Chodziła równie prędko jak odmawiała modlitwy, cichym, zwinnym, do mysiego podobnym krokiem. Zakonne siostry, nawet stare i surowe, bądź dla małości wzrostu, bądź dla dziecinnéj jéj wesołości, nazywały ją siostrzyczką. Przełożona, z powodu małéj, okrągłéj, rumianéj jéj twarzy, dawała jéj czasem nazwę różyczki.

Teraz ujrzawszy zbliżającą się ku sobie przełożoną, siostra Wincenta z radością zaszczebiotała.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Mateczka wielebna idzie na moje ziółeczka popatrzeć! Dobry Pan Jezus zesłał im téj nocy śliczny dészczyk, a Matka Najświętsza, dzisiaj słoneczkiem je ogrzała. Jak ślicznie zakwitły! Niech mateczka będzie łaskawa zobaczyć, co tu kolorów, i powąchać, ile tu zapachów. Czomberku najwięcéj, ot jak dużo, taki liliowy jak te ametysty, które moja siostra Zosia w wyprawie ślubnéj od mamy dostała. Dla niéj ametysty, dla mnie czomberek, na chwałę Pana Jezusa i na zdrowie siostrzyczek kwitnący. Wolę czomberek i Chrystusowi za swoją cząstkę dziękuje. A ślazy moje, jakie pyszne, widzi mateczka! Rozrosły się jak króle, rozkwitły jak malwy i cały płotek tak zakrywają, że ani go widać. Takie te kieliszeczki delikatne i blado różowe, a liść aksamitny, jakby srebrem pokropiony. Chwała niech będzie Bogu za cudne twory Jego! W tym kątku, mateczko, rośnie piołunek i będą jeszcze kwitły nasturcye, a w tamtym rumianki, jak białe gwiazdki rozsypały się po trawie. Tu nasiałam troszkę mokrzyczki, dla kanarków matki Magdaleny, bo stworzenia te przecież śpiewają na chwałę Boską i klasztór rozweselają, więc myśléć trzeba i o nich. A tu... chi, chi, chi, chi, chci, chi, niech mateczka wielebna zgadnie, co w cieniu téj gruszy rośnie!... Aha! widzi teraz, mateczka! niezapominajki! Nigdy, tu jeszcze ich nie było, ale tak prosiłam matki Magdaleny, aby mi pozwoliła kąciczek mały niemi zająć, że pozwoliła. Niech mateczka wielebna popatrzy, jakie to ma błękitne ze złotem oczka! Na nic to jest, do niczego nie przyda się człowiekowi, ani najeść się tém, ani na-

pić się tego nie można, ale pięknością swoją chwałę Stwórcy głosi i rozwesela ludzkie oczy. Chwała niech będzie Bogu, za cudne Jego twory!

Chodziły obie, czarne od habitów i welonów swoich wśród rozkwitłych ziół: jedna poważna i nieco ciężka, druga malutka, szczupła i zwinna. Zatrzymywały się przy krzakach ślazu i dotykały ich aksamitnych liści, zrywały srebrny piołun i wciągały w siebie odżywczy jego zapach, nachyliły się nisko nad niezapominajkami i długo patrzyły w ich liczne, błękitne oczy. Gadatliwy szczebiot siostry Wincenty dolatywał do wnętrza nowicyatu, wtórzyły im zrzadka, trochę basowe odpowiedzi matki Romualdy; po schylonych nad robotami twarzach próbantek mknęły uśmiechy, w zamian, usta siostry Mechtyldy zacisnęły się jeszcze mocniéj i strudzone, różowe jéj powieki nie podniosły się ani razu z nad splątanych pasem jedwabiu.

Pogłaskawszy twarz młodéj siostry i z uśmiechem nazwawszy ją różyczką, matka Romualda do sali nowicyatu weszła i po wymówieniu zwykłego, nabożnego pozdrowienia, któremu wszystkie obecne osoby chórem głosów odpowiedziały, usiadła przy stole, na stołku zupełnie takim, na jakich siedziały próbantki i nowicyuszki. Przychodziła tu na jakąś jedną, poobiednią godzinę zawsze, ilekroć nie przeszkodziły jéj w tém, pilne klasztorne sprawy, lub reumatyzmy, na które wskutek wilgoci murów cierpiéć zaczynała. Lubiła to miejsce widne i słoneczne, z dużą przestrzenią za oknami, w zimie białością śniegu, a w lecie zielonością trawy usłaną. Lubiła téż może patrzéć na nie zgasłe jeszcze rumieńce młodych próbantek i godziny codziennéj obecności swojéj tutaj używała dla nauczania niektórych z pomiędzy nich roboty sztucznych kwiatów, w któréj posiadała smak wytworny i wielką wprawę. Dziś także, pomiędzy dwoma próbantkami robiącemi kwiaty usiadłszy, wzięła do rąk odpowiednie materyały i narzędzia, i pilnie zajęła się układaniem cieniutkiéj materyi w kształt różowego kielicha, ale milczała. Widokiem i szczebiotem siostry Wincenty na chwilę rozweselona, zamyśliła się znowu głęboko, kto wié czy nad sprawami klasztoru, lub duszy własnéj, lub na zawsze opuszczonego świata. Nie była posępną, ani zagniéwaną, tylko trochę stroskaną i smutną. Po dość długiéj chwili podniosła głowę i we wzniesionych nieco ręku, ukazała przedziwnie kształtny i delikatny kwiat powoju, który do zielonéj gałązki drucikiem przymocowany, łudził wybornym pozorem natury.

— Bardzo dobrze. Girlanda z takich powojów pięknie przyozdobi ołtarzyk Najświętszéj Panny Łaskawéj. Rozpogodzona uśmiechała

się do swojéj roboty. Potém nieco monotonnym, do odmawiania modlitw widocznie przyzwyczajonym głosem, mówiła daléj.

— Praca uspakaja, praca pociesza, praca usposabia serce do cierpliwego znoszenia cierni życia i lepszego cieszenia się z jego darów. Bóg stworzył smutek, troskę, pokusy, potrzeby i naprzeciw nim wysłał pracę, mówiąc jéj: „Pocieszaj, uciszaj, broń, karm, przyodziewaj!“

Powieki siostry Mechtyldy podniosly się i wnet znowu opadły, ale w tém mgnieniu oka strzelił z pod nich ku matce Romualdzie surowy i ostry błysk, z ust jéj wyszły téż ciche pokorne, lecz trochę syczące słowa.

— Praca bywa często służebnicą grzechu, a owoce jéj są znikome. Wszystko jest zagrożoném przez zło i wszystko przemija. W Bogu tylko obrona, pociecha, nasycenie i wieczne trwanie.

Matka Romualda nie odpowiedziała. Może od wszczęcia kontrowersyi z tak pokorną, a jednak tak śmiałą podwładną, powstrzymała ją myśl o jéj świątobliwości, albo obawa narażenia wobec uczennic nowicyatu, swojéj powagi. Ponsowe jéj usta na chwilę tylko przybrały wyraz niezadowolenia, które wnet w sobie zwyciężyła, czując, że znowu świętość téj siostry przyprowadza ją do grzechu. Ręce z robotą na kolana opuściła i ze wzrokiem w otwarte oko utkwionym, rzekła.

— Popatrzcie, dzieci, jak wdzięcznie kołyszą się z wiatrem gałęzie tego drzewa i posłuchajcie, jak wesoło szczebiocą ptaki... Bóg stworzył drzewa i ptaki, dobrze jest kochać i podziwiać dzieła Jego!

Gdy zaś młode głowy w białych welonach podniósłszy się z nad robót, z wdzięcznością za udzieloną im chwilę spoczynku zwróciły się ku pływającéj w słoneczném świetle zieleni, ona, głosem cichym i trochę śpiewnym, który ożywiał się coraz bardziéj, mówiła.

— W kraju, nad którym Bóg rozciągnął szafirowe niebo i którego ziemię usiał czerwienią kaktusów i zielonością laurów, żył wielki święty, imieniem Franciszek, od rodzinnego swojego miasta, Franciszkiem z Assyżu nazwany. Ciało jego było mizerne, odzież nikczemna, lecz w sercu płonął mu brylant czystéj, potężnéj miłości dla wszechżycia i wszechstworzenia. Ilekroć świat ubrał się tak jak dzisiaj w wiosenne klejnoty i hafty, on taką odmawiał modlitwę:

„Bądź pochwalony, Panie, za wszelkie stworzenie swoje, a zwlaszcza za najjaśniejszego brata naszego, słońce, które sprawia dzień i światło; piękne jest ono, promienne wielką światłością i twój obraz widzimy w niém, Panie!

„Bądź pochwalony, Panie, za siostry nasze gwiazdy, które świecą na niebie, jasne i piękne.

„Bądź pochwalony, Panie, za wiatr i chmury, za niebo pogodne, powietrze czyste i wszystkie czasy, które stworzeniom dają byt i wsparcie!

„Bądź pochwalony, Panie, za siostrę naszą wodę, pożyteczną, drogocenną, skromną i czystą.

„Bądź pochwalony, Panie, za brata naszego, ogień, który oświetla noce, pięknym jest, błogim i potężnym.

„Bądź pochwalony, Panie, za siostry jaskółki, niewinne, wesołe, lotne!

„Bądź pochwalony, Panie, za matkę naszą ziemię, która rodzi owoce, trawy i kwiaty“...

Tak modląc się, gdy spostrzegał glistę wijącą się pośród drogi, przenosił ją na murawę, zdala od stóp przechodniów, jagnię bronił przed napaścią kozłów; z pastki dobywał pochwyconą w nią liszkę; pokarm nosił ptakom na nieżyzne grunta; kochał czyste krople wody i strzegł, aby zdeptane lub zbrudzone nie były. To téż, gdy umiérał, chmura skowronków, na dach lepianki jego zleciała i chociaż noc zapadła, ci kochankowie światła, jeszcze go swoją pieśnią kołysali do snu wiecznego.

Przestała mówić; a po chwili, w milczeniu, które napełniło salę i mieszało się tylko ze świegotem ptaków za oknami i przeciągłym akordem organu za ścianą, rozszedł się szmer z cicha lecz dobitnie wymawianych słów.

— Próżność nad próżnościami i wszystko jest próżnością. Wspaniałe słońce oświéca ciemną ziemię. Drzewo usycha i zmienia się w próchno, na jaskółkę spada jastrząb, wodę czystą zatruwa ślina pijącéj ją gadziny. Ten tylko, kto nad tém wszystkiém mieszka jest czysty i wieczny.

Słowa te wymówiła siostra Mechtylda i spojrzenie jéj znowu na mgnienie oka spotkało się ze spojrzeniem matki Romualdy, którego szafir schmurzył się i dumnie błysnął. Widocznie, wyzywano ją do walki. Czyżby w głowie téj siostry powstał zamiar wytworzenia w klasztorze rodzaju dysydentyzmu, narzucenia zgromadzeniu swego całokształtu wiary, przez walkę z tym, który szerzyła jego zwierzchniczka? Podniosła głowę i już odpowiedziéć miała, gdy widok biegnącéj przez dziedziniec matki Norberty, uwagę jéj w inną stronę skierował. Mistrzyni pensyi biegła przez dziedziniec po swojemu, więc jak wicher, z rozwianemi skrzydłami welonu, tak piętami o ziemię mocno uderzając, że na murawie nawet sprawiało to głośny ten-

tent. Wielki kłopot i niemniejsze zmartwienie malowały się na jéj grubych, energicznych, żółtą skórą obleczonych rysach, a biała opaska aż do połowy czoła podniesiona ukazywała brwi czarne i gęste, gdy szerokim krokiem próg przestępując, mówić zaczęła.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! A to szczęście, żem nakoniec matkę wielebną znalazła! Byłam w celi, nie ma, na chórze, nie ma! No, myślę sobie, pewno w nowicyacie, kwiaty robi i o świętych opowiada. To na chwałę Pana Boga, nie ma gadania, ale na pensyi, nieszczęście... co tu robić? co tu robić?

Zdyszana na stołek upadła, białą opaskę na brwi ściągnęła i zapytań matki Romualdy nie słuchając, daléj mówiła.

— Nieszczęście wielkie i niebezpieczeństwo!... jedna z małych zachorowała... jeszcze zawczoraj niedobrze jéj było, ale myślę sobie: nic to, przejdzie! Od lekcyi uwolniłam, tęgim rosołem karmić i herbatą poić ją kazałam, myślałam, że to tak sobie... Aż dziś, biéda! Przychodzę z rana na pensyę, mówią mi: Klarcia bardzo chora!...

Tu przerwała sobie mowę i instynktowo spojrzała w stronę, w któréj rozległ się brzęk stali o stół uderzającéj. Widząc jednak, że to tylko nożyczki wypadły na stół z rąk siostry Mechtyldy, która téż nie wróciła już do nich, lecz w ręce wzięła znowu zwój żółtych jedwabiów, matka Norberta daléj i śpiesznie ciągnęła.

— Przychodzę, patrzę, leży na łóżeczku swojém, jak żużel rozpalona, z błędnemi oczami, nie bardzo mnie nawet poznaje... ciężko chora, nie ma gadania! Strzałą posłałam po lekarza. Przyszedł, obejrzał i cóż powiedział? Jezu Chryste, miéj nas w świętéj opiece swojéj... Niech matka wielebna bardzo się nie przeraża, ale to rzecz straszna, dla pensyi szczególniéj straszna... no, nie ma gadania, powiedzieć trzeba: tyfus plamisty!

Wyrzuciwszy z siebie dwa ostatnie słowa, pot z długich i żółtych policzków otarła i powolnym ruchem przeżegnała się, szepcąc:

— W imię Ojca i Syna i Ducha...

Matka Romualda słuchała opowiadania wyprostowana, uważna, teraz zaś wstała ze stołka i rzekła:

— Trzeba tę małę jak najprędzéj od innych dzieci odłączyć, stanowczo i jak najprędzéj.

— Nie ma gadania, wstając téż i podniesioną znowu opaskę na brwi ściągając, zawołała matka Norberta, lekarz powiedział także: absolutnie i jaknajprędzéj odłączyć... Śliczna rzecz, gdyby zaraza po tych niebożątkach poszła... Nie ma gadania, że odłączyć, ale gdzie umieścić?... W infirmeryi pensyjnéj, za blisko pensyi... w téj znów klasztornéj...

Zawahała się.

— Za blisko sióstr...

Matka Romualda przez kilka sekund milczała, aż powzięła silne znać postanowienie i zwolna mówić zaczęła:

— Dzieci te powierzone nam są przez rodziców i opiekunów, klasztor nasz fundowanym został z warunkiem, abyśmy nad niemi czuwały, wedle najsurowszych wymagań sumienia. Jeżeli niebezpieczeństwo zarażenia się grozić ma im, albo nam, my je przeciw sobie obrócić powinniśmy. Rozporządź się, siostro, aby biédne maleństwo w infirmeryi klasztornéj umieszczoném zostało.

Postanowienie to widocznie matkę Norbertę ucieszyło, ale nie załatwiło jeszcze wszystkich jéj kłopotów. Mówić zaczęła, że Pan Jezus widać zesłał matce wielebnéj takie mądre i święte natchnienie, bo istotnie, przecież one, zakonnice, wyrzekły się już świata i dóbr jego, a poświęciły się na umartwienie ciała. Jeżeli więc straszna choroba spaść ma na kogo, niech lepiéj spada na nie, niż na te dzieci, które jeszcze swojéj woli nie mają i wyboru czynić nie mogą. Rzecz słuszna, logiczna: nie ma gadania! Ale nie koniec na tém! Trzebaż biédactwo to pielęgnować! Na ręce służących zdać jéj niepodobna. Rodzice tak daleko, że paru tygodni trzeba, aby list z wiadomością do nich doszedł, a drugich paru, aby przybyć tu mogli. Żadna z nauczycielek świeckich nie zechce i obowiązku nie ma... Koniecznie więc, jedna z sióstr poświęcić się musi... tak poświęcić się, że przez cały czas pielęgnowania małéj nie bywać już nigdzie, aby nie opuszczać choréj i po klasztorze zarazy nie roznosić. Któraż jednak byłaby do tego sposobną i chętną, bo przecież takiego rozkazu nawet matka wielebna wydać nie ma prawa...

— Bardzo dobrze—odpowiedziała matka Romualda — ale pewna jestem, że pomiędzy siostrami znajdzie się nie jedna do tego ochotniczka. Wszakże,—dodała ciszéj nieco,—wiemy wszystkie, jak i za co cierpieli rodzice téj małéj... Niech Bóg, który stworzył niesprawiedliwość i naprzeciw niéj wysłał odwagę, wynagrodzi im te cierpienia, co do nas, zwiększają one obowiązki nasze względem ich dziecka...

Matka Norberta z energicznem twierdzeniem trzęsła głową i końcem palca łzę z kątka oka ociérała.

Matka Romualda zaś uspakajała ją upewnieniem, że zaraz po nieszporach przywoła do siebie wszystkie odpowiednie zadaniu siostry i w imię Chrystusa wezwie, aby jedna z nich dopełniła ziemskiego, ale świętego obowiązku. Tak naradzały się; za nimi przysłuchując się, stały w gromadkę zbite, nieco przerażone próbantki i nowicyuszki, przez drzwi od dziedzińca zaglądała różowa twarz siostry Wincenty,

która o chorobie jakiéjś zasłyszawszy, zwinnym swym krokiem tu przybiegła, w innych znowu drzwiach, tych, za któremi niedawno rozlegał się organ, stanęła wysoka, z uwiędłym i uduchowionym profilem, a dłonią u złotego krzyża na piersi złożoną, mistrzyni nowicyatu. Nikt nie zauważył dość szczególnéj jednak postawy, jaką miała siostra Mechtylda. Od początku toczącéj się obok niéj rozmowy zdawała się jéj nie słuchać, bo usiłowała nic słuchać, ale wysmukła i nieruchoma, stała przy stole z powiekami spuszczonemi i obwisłemi rękami, z których na habit jéj opadały długie, żółtości wszystkich odcieni, pasma jedwabiu. Możnaby rzec, że w niezmiernéj jakiéjś walce skamieniała, tylko na blade jak opłatek jéj policzki, wybijały się powoli małe, okrągłe rumieńce.

W niespełna godzinę potém, matka Romualda, uprzedzając wkrótce mające rozpocząć się nieszpory, kończyła w dużéj rachunkowéj księdze dodawanie długiéj kolumny cyfr. Siedziała ona w swojéj celi na dość skromnym, ale wygodnym fotelu, przy biurku z pięknego drzewa, z przyrządami do pisania i papiérami okrytém. Cela była niezbyt obszerna, ale i niezbyt ciasna, z dwoma oknami za kratą na ogród otwartemi, ze ścianami przyozdobionemi parą religijnych obrazów dobrego pędzla, rzeźbioną z kości słoniowéj sceną ukrzyżowania i porcelanową, o świéżych barwach kropielnicą. Przy jednéj ze ścian, białe firanki ukrywały łóżko, u którego na pięknéj posadzce leżał puszysty dywanik; w oknach, za kratami, kwitły miesięczne róże i fuksye. Pogrążona w rachunkach, które widocznie sprawiały jéj nieco troski, matka Romualda jednak lekkie pukanie do drzwi usłyszała i podnosząc głowę zawołała:

— Proszę wejść!

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, — ozwał się we drzwiach przyciszony głos siostry Mechtyldy. Cicho za sobą drzwi zamknęła i cicho przeszedłszy celę, przed zwróconą ku niéj i widokiem jéj wyraźnie zaniepokojoną zwierzchniczką stanęła, zapytania jéj oczekując. Otrzymawszy je, z plamkami rumieńców na policzkach i z drżeniem ust, rzekła:

— W imię Jezusa Chrystusa, proszę cię, matko wielebna, abyś mnie powierzyła pielęgnowanie tego ciężko chorego dziecka. Ze wszystkich sił ciała i duszy, o których użyczenie błagam Pana, usiłować będę jak najlepiéj zadanie to spełnić.

Matka Romualda nie zaraz odpowiedziała, była bowiem bez granic zdziwiona i ze zdziwieniem wpatrywała się w stojącą przed nią siostrę. Po chwili dopiéro wahającym się głosem zaczęła:

— Ty, siostro, ty, pielęgnować chcesz to biédactwo! Bardzo dobrze, ale skądże to?... dlaczego? jakie pobudki? Mam prawo i po-

winnam wiedzieć o przyczynach, które wstręt twój ku stworzeniu zmieniły w chęć złożenia mu w ofierze zapewne... własnego życia?...

Tamta stała wciąż przed nią ze splecionemi u piersi rękoma, z twarzą pochyloną, w któréj, nietylko już usta, ale wszystkie zda się muskuły drżały i po chwili dopiéro, wzroku z nad ziemi nie podnosząc, bardzo cicho zaczęła.

— Zwyciężoną jestem, matko, cierpienie tego dziecka i grożące mu niebezpieczeństwo pokonały mię... Ach, jakże trudno zapomnieć, że człowiek ze świata jest i z gliny ziemskiéj... może Pan nie opuści mię, bo idę tam, aby o jedną kroplę umniejszyć powszechne morze goryczy i o jednę chwilę od jednego życia oddalić śmierć... Idę tam, bo nie mogę... nie mogę zapomnieć...

Bez najlżejszego szelestu osunęła się na klęczki i ramionami kolana matki Romualdy obejmując, a twarz kryjąc w fałdach habitu, w cichym głębokim płaczu dokończyła.

— To jego dziecko i téj, przez którą go utraciłam...

Matka Romualda z podniesioną twarzą i wzniesionemi w górę oczyma, milczała, myślała. Zrozumiała znaczenie jéj słów. Po raz pierwszy w téj chwili zrozumiała także to śmiertelnie zranione serce i przyczynę jego bez granic namiętnych ucieczek od świata—ku niebu. Wielką litością napełniły się jéj oczy, gdy na opartéj o jéj kolana i cicho rozpłakanéj głowie obie dłonie położyła i z łagodną powagą rzekła:

— Bóg stworzył nieszczęście i cierpienie, i naprzeciw nim wysłał dobroć, mówiąc jéj: czyń, lecz przebaczaj! Bądź, siostro, wyrazem miłosierdzia życia, stojącego naprzeciw jego okrucieństwu i od srogiéj boleści usiłuj obronić tych, którzy ci zadali najsroższą boleść.

Eliza Orzeszkowa.





PRZESILENIE ROLNICTWA WE FRANCYI I SYNDYKATY ROLNE.

(Annuaire des Syndicats Agricoles et de l'Agriculture française, publié avec les encouragements du Ministère de l'Agriculture par Mr. Hautefeuille. Paryż. 1890, 1 tom gr. in 8-o, 1900 stron. — F. Convert. Les Entreprises agricoles, Organisation, Direction, etc. Paryż. 1890, 1 tom, 8-o, 480 s.).

Ciężkie koleje, przez które przechodzi rolnictwo nasze w obecnéj chwili, są wspólnym losem rolnictwa we wszystkich krajach europejskich i przez wspólną wywołanym przyczynę. Czy jest prawdopodobieństwo bliskiego usunięcia téj przyczyny? Nie, jak się zdaje, nawet w przypadku mniéj lub więcéj prędkiego uśmierzenia się konkurencyi amerykańskiéj. Są tacy, którzy przewidują groźniejsze jeszcze dla produkcyi europejskiéj niebezpieczeństwo, z chwilą, w któréj przedsiębiorczość angielska, rozgospodarowawszy się nad dolnym biegiem Nilu, zechce przywrócić tym okolicom ich dawniejszą bajeczną żyzność. Czy skądinąd, w dzisiejszych warunkach téj produkcyi, ziemianie są w stanie pogodzić się ze stałém obniżeniem wartości swoich produktów? I to nie chyba. Tym sposobem obecne przesilenie nie miałoby końca. Chyba znowu, że tym końcem byłby los owego legendowego konia, z którym wiadomo co się stało w wigilię dnia, w którym miał się przyzwyczaić do niejedzenia. Nawet zwiększenie produkcyi, powszechnie zalecane szukającym ratunku rolnikom, może samo przez się nie prowadzić do celu. Bo zwiększona produkcya licytuje sama siebie *in minus*. Ratunek, jeżeli jest, jest gdzieindziéj, a mianowicie w radykalnéj przemianie ogólnych warunków produkcyi, odpowiednio do radykalnego przekształcenia ogółu wiążących się z nią stosunków. Nietylko więcéj ale inaczéj przedewszystkiém produkować trzeba, to jest i więcéj zarazem i taniéj, starając się jednocześnie o samodzielne wywalczenie korzystniejszych warunków

zbytu, a to przez osiągnięcie odpowiedniego wpływu na odnośny obrót handlowy. Obrót ten znajduje się dotąd wyłącznie w rękach osób trzecich, które, stojąc między producentami a konsumentami, ściągają z jednych i z drugich nieproporcyonalny haracz. Ratunek jest w usunięciu na bok, albo przynajmniéj w ograniczeniu roli odgrywanéj przez to obce pośrednictwo, i w zbliżeniu do siebie dwóch ogniw wielkiego łańcucha.

Takie są konkluzye, do których skłania się większość umysłów najbardziéj w téj materyi kompetentnych, i taki jest kierunek, w którym, śród sfer rolniczych najwięcéj oświeconych, rozwijają się za dni naszych najenergiczniejsze usiłowania.

Krajem, który jak dotąd, zajął w tym względzie przodownicze stanowisko, jest Francya; narzędziem zaś najskuteczniejszém olbrzymich postępów, już osiągniętych przez nią na obranéj drodze, stały się tak zwane „Syndykaty rolne“.

„Syndykaty rolne“, pisze p. Hautefeuille, przekształciły prawie zupełnie, w ciągu lat kilku, dotychczasowe metody ekonomiczne rolnictwa francuskiego“.

Mniemamy przeto, iż pożądaną będzie dla czytelników polskich krótka wiadomość o tych stowarzyszeniach, których charakter, organizacya i sposoby działania mało komu są dotąd znane, nawet we Francyi, po za obrębem, ciągle rozszerzającym się zresztą, ich potęgującéj się ciągle działalności.

I.

Historya stowarzyszeń, o których mowa, daje się streścić w kilku słowach. Pierwszy ślad zbiorowego działania, w zakresie produkcyi rolnéj, sięga we Francyi 1757 roku. Zdaje się zaś, że ślad to najwcześniejszy w całéj Europie. Pod tą datą „Stany Generalne“ bretońskie podjęły projekt założenia w Rennes „Towarzystwa dla popierania rolnictwa, sztuk i handlu“. W r. 1759 przyznana została przez Stany temuż towarzystwu subwencya na melioracye rolne, pierwsza także tego rodzaju, jakiéj pamięć zachowały dzieje. Trzy tysiące franków przeznaczono na zakup nasienia koniczyny dla bezpłatnego rozdania rolnikom; 6,400 fr. na premie 50 frankowe dla gospodarzy podejmujących zakładanie łąk sztucznych, i t. d.

Myśl, tym sposobem wprowadzona w życie, znalazła stopniowo zastosowanie w krajach sąsiednich, mianowicie w Szwajcaryi, Niemczech i Włoszech. Pozostała jednak ograniczoną do prób lokalnych i ułamkowych. Zakładano tu i ówdzie współki kredytowe; gdzieindziéj, w górskich miejscowościach, organizowano zbiorowemi siłami

drobne przemysłowo-rolnicze przedsiębiorstwa. Około r. 1840 grupa ekonomistów, między którymi zasługują na wymienienie Ludwik Reybaud, Cormenin i Rossi, zaprzątnęła się obmyśleniem i propagowaniem szerszéj formuły, przeznaczonéj do grupowania zsolidaryzowanych przez naturę samą interesów, ale bezskutecznie. Masy pozostały obojętnemi. Poruszył je dopiéro w Niemczech człowiek, któremu oprócz bystrego poglądu na rzeczy, danym był prawdziwy temperament apostoła. Tak powstały banki, którym Schultze-Delitsch przekazał swoje imię.

Ale i organizacya ta, jakkolwiek potężna i dobroczynna, była i jest jednostronną, nie odpowiadającą wszystkim tym potrzebom, które już w połowie zeszłego stulecia dawały się odczuwać rolnikom zachodnim, za dni naszych zaś stały się tak naglącemi. I, po długich latach, Francyi znowu przypadło w udziale początkowania na drodze wszechstronniejszego rozwinięcia jałowych dotąd formuł i programów. W r. 1883, p. Tavirny, będący owocześnie profesorem rolnictwa w departamencie Loir-et-Cher, przywiódł do skutku założenie w tymże departamencie pierwszego syndykatu rolnego. Usiłowania jego, pomyślnym uwieńczone skutkiem, zeszły się, jak wiadomo, we Francyi z dość żywym ruchem wytworzonym śród sfer przemysłowych w kierunku stowarzyszeń syndykalnych. W r. 1884 uchwalone zostało prawo o syndykatach profesyonalnych „mających wyłącznie za przedmiot badanie i bronienie interesów ekonomicznych, przemysłowych, handlowych i — rolniczych“ (art. 3). Ten ostatni przymiotnik: „rolniczych“, przyłączony został niejako przypadkiem (drogą poprawki wtrąconéj przez p. Oudot) do pierwotnego tekstu, przedstawionego izbom. Nie znalazł bowiem miejsca w tym tekście, ani téż nie został uwzględnionym w ciągu dyskusyi. Niemniéj przeto stowarzyszenia rolne posiadły całość przywilejów zabezpieczonych sąsiednim ugrupowaniom przemysłowym; a więc uwolnione zostały od potrzeby jakiegokolwiek upoważnienia ze strony władzy (art. 1) i uzyskały wszystkie prawa przysługujące instytucyom obdarzonym legalną egzystencyą (po dokonaniu pewnych formalności niezmiernie prostych, przewidzianych artykułem 4). Według uwagi p. Hautefeuille, cały byt tych stowarzyszeń opiéra się dotąd na jedném słowie. Nikt téż zapewne nie przypuszczał w r. 1884, aby te jedno słowo stać się mogło fundamentem tak okazałego gmachu jak ten, na który obecnie patrzymy. W roku bieżącym statystyka wykazuje cyfrę 918 syndykatów rolnych już założonych. Z téj liczby 30 uległo rozwiązaniu, skutkiem bądź dobrowolnego zaniechania czynności pierwotnie zamierzonych, bądź upłynięcia terminu za-

kreślonego z góry tym czynnościom, bądź wreszcie połączenia się z innemi stowarzyszeniami sąsiedniemi. Pozostaje ich przeto przy życiu 888. Skład ich nie jest jednakowo znany, a mianowicie jest tylko 672 takich, które dostarczyły po dzień dzisiejszy odpowiednich wykazów statystycznych. Te ostatnie posiadają ogółem 289,000 członków. Całkowitą liczbę rolników francuskich, wciągniętych do téj organizacyi podaje p. Hautefeuille na 400,000.

Cyfra to poważna; zbyt drobna jednak jeszcze i zostawiająca pole do znacznych w tym kierunku postępów, w zestawieniu z ogólną cyfrą gospodarstw francuskich. Ta ostatnia, podług danych z r. 1882, obejmuje niemniéj 5,672,000 oddzielnych pozycyi. Odtrącając jakie 2½ miliona drobnych ferm i własności, pozostaje jeszcze 3 miliony gospodarzy (dzierżawców lub właścicieli), których objąć z czasem może ruch syndykalny. Szybkość rezultatów już osiągniętych zdaje się być obiecującą w tym względzie. Ma się rozumiéć, jednak najoporniejszą okazuje się klasa średnich i małych gospodarzy, najliczniejsza właśnie we Francyi. Większi właściciele wyjątkowo tylko pozostają niechętnymi, najpospoliciéj zaś ubiegają się o przodowniczą rolę.

Syndykaty rolne, tak jak wszystkie inne syndykaty, są stowarzyszeniami opartemi na zasadzie zespolenia sił ku zabezpieczeniu wspólnych interesów. Ich programy działania wszelako nie okazują się bynajmniéj jednostajnemi. Rozmaitość zaś ta tłómaczy się różnorodnością celów wytkniętych przez naturę samą ich przedsiębiorczości. Łatwo zrozumiéć, iż potrzeby dopominające się zadośćuczynienia w okolicach uprawiających wino, inne są niż te, z któremi zgłaszają się prowincye oddane przeważnie uprawie zboża, albo hodowli zwierząt, albo wyrobowi séra. Podobnież w strefach, w których przeważa drobna własność, najwięcéj poszukiwaną, a przeto najwięcéj uwzględnianą w stowarzyszeniach, jest łatwość kredytu albo rękojmia, wynikająca z wzajemnych ubezpieczeń. Przeciwnie, pośród posiadłości rozleglejszych kredyt i ubezpieczenie schodzą na drugi plan, na pierwszy zaś plan dobywa się paląca kwestya kupna i zbytu, wraz z rozwiązaniem, do którego dążą właśnie organizacye syndykalne, przez usunięcie na bok pośredników. W niektórych razach syndykaty zakreślają sobie cele bardzo specyalne. Tak np. zadaniem syndykatu, w Gorron (w departamencie Mayenne), jest niszczenie chrabąszczy. W Nancy i w Bayon (w departamencie Meurthe-et-Moselle), zespoleni właściciele winnic bronić się zamierzają przeciwko przymrozkom wiosennym za pomocą chmur sztucznych. W Suresnes, pod Paryżem, chodzi uczestnikom miejscowego syndykatu o zabezpieczenie swoich gruntów przed nocnymi rabusiami. I tak daléj.

Bardzo rozmaity jest także zakres przestrzeni saméj, w któréj poszczególne grupy rozwijają swoją działalność. W tym względzie dopominają się najpierw rozróżnienia dwa główne działy syndykatów. Do pierwszego działu należą tak nazywane *syndicats généraux*, to jest takie, które albo łączą pewne kategorye rolników, bez względu na okolicę przez nich zamieszkaną, jak „Syndykat uprawiaczy winnic francuskich, Syndykat jedwabniczy i tym podobne; albo nawet odwołują się do wszystkich kategoryi we wszystkich okolicach, jak np. Ogólny syndykat ekonomiczno-rolniczy, mający swoje siedlisko w Paryżu; albo wreszcie zmierzają do ugrupowania wszystkich syndykatów pojedyńczych, jak w Paryżu także osiedlone Zjednoczenie syndykatów rolnych francuskich (założone w r. 1886). W drugim dziale mieszczą się syndykaty lokalne, działające w granicach jednego departamentu, jednego kantonu, albo nawet jednéj gminy posiadającéj interesy i potrzeby wspólne i specyalne. W Ardenach, w departamencie Hérault, syndykaty miejscowe obejmują cały departament. Departament Meurthe-et-Moselle natomiast, najobficiéj w tym względzie uposażony, chlubi się 38-iu syndykatami; departament Côte d'Or posiada ich 31, departament Charente 29.

Téj różnorodności w przeznaczeniu i w organizacyi saméj stowarzyszeń odpowiada, ma się rozumiéć, redakcya ich ustaw. Uwzględniając jednak ogół danych, któremi rozporządzamy w tym przedmiocie, cele poszukiwane przez uczestników dają się sprowadzić do następujących naczelnych założeń:

1) Badanie i obrona interesów wspólnych; 2) usunięcie pośredników przy kupnie i sprzedaży; 3) kredyt rolny i kredyt wzajemny; 4) pośrednictwo w załatwianiu sporów; 5) ubezpieczenia wzajemne od gradobicia i pomoru bydła; 6) pomoc wzajemna i zabezpieczenie bytu na starość; 7) postępy w rolnictwie drogą działania i propagandy.

Przejdziemy teraz do szczegółów.

II.

Jak dotąd, i niezależnie od osnowy rozmaitych statutów, celem najpowszechniéj uwzględnianym przez przeważną większość syndykatów i w którego osiągnięciu największe uczyniły one postępy, jest drugi z wyżéj wspomnianych: usunięcie pośredników przy kupnie i sprzedaży produktów. Osobliwie zaś przy kupnie syndykaty działają w tym kierunku nakształt spółek spożywczych. Inne założenia, objęte literą statutów, pozostają najczęściéj literą martwą. Nie zbywa

i w tym względzie na dobrych chęciach; zbywa na umiejętności w zużytkowaniu tego zarówno delikatnego jak potężnego narzędzia, którém jest stowarzyszenie sił; zbywa na inicyatywie, śmiałości, duchu poświęcenia; tu i owdzie zaś, choć rzadziéj, na środkach pieniężnych, jakkolwiek skromnych, których wymaga organizacya odpowiednich biur i zarządów. Trafiają się już jednak i mnożą się przykłady syndykatów rezolutniéj wkraczających na drogę szerszego zastosowania dalekonośnego programu swéj działalności. Tak np. w Ardenach syndykat miejscowy zajmuje się czynnie opracowywaniem i rozpowszechnieniem instrukcyi co do używania nawozów sztucznych, zakładaniem stacyi doświadczalnych, organizowaniem odczytów i t. d. W departamencie Pas de Calais syndykaty porozumiały się względem zredagowania jednostajnego wzoru kontraktów o sprzedaż buraków, który przyjęty został przez wszystkich plantatorów i właścicieli cukrowni. W tym ostatnim jednak kierunku dodatniejsze rezultaty obiecywać się zdaje inicyatywa syndykatów generalnych, jako mogących wywierać skuteczniejszy nacisk na opinię publiczną i przedstawiających zarazem większą gwarancyę umiejętnéj administracyi, niż drobne syndykaty lokalne.

Z pomiędzy tych ostatnich, dane będące w naszych rękach wykazują 530 takich, których ustawy zawierają specyalne paragrafy, odnoszące się do ułatwień przy kupnie produktów potrzebnych dla rolnictwa. Podług tych samych danych, cyfra zakupów dokonanych w ciągu roku zeszłego, za pośrednictwem syndykatów, sięga 500 milionów fr. Przedmiotem tych zakupów były dotąd głównie nawozy sztuczne. Korzyść zaś osiągnięta pod tym względem przez stowarzyszonych objawia się w obniżeniu o 20 do 40% ceny nawozów wszelakich i w znaczném polepszeniu ich wartości. I tak np. cena jednego kilogr. kwasu fosfornego (zawartego w superfosfatach) sprowadzoną została do 30 centymów, wówczas, gdy nawet w Niemczech ten sam produkt chemiczny kosztuje dotąd od 60 do 70 fenigów za kilogr. Środkiem prowadzącym do uzyskania téj oszczędności przy organizacyi syndykalnéj jest centralizacya popytu i podaży saméj. Z jednéj strony, fabrykanci nawozów znajdują się wobec jednego tylko potężnego konsumenta, którym jest syndykat i który o tyle może być więcéj wymagający a mniéj skłonny do ustępstw, że jest jeden i liczyć się z nim trzeba bezwarunkowo. Z drugiéj strony, łatwość porozumienia się z tym pojedyńczym kupcem, upraszcza niezmiernie zadanie sprzedających, i zmniejszając koszta obrotu handlowego, uchylając potrzebę komisantów, ajencyi rozlicznych i tym podobnych nakładów, pozwala otrzymać ten sam zysk przy niższéj cenie sprzedaży. W prak-

tyce, rzeczy odbywają się jak następuje: w okolicach, w których przeważają drobne gospodarstwa rolne, syndykaty zbierają na wiosnę i na jesień pojedyncze zapotrzebowania gospodarzy i przesyłają następnie całość tych obstalunków dostawcom, z którymi porozumiały się poprzednio i którzy przychodzą tym sposobem do posiadania gotowéj klienteli. Często nawet zarząd syndykalny, złożony z najkompetentniejszych rolników, zaleca stowarzyszonym dwie lub trzy formuły nawozów najlepiéj odpowiadających potrzebom miejscowéj uprawy. Fabryka uskutecznia wtedy zamówione dostawy do siedliska zarządu, gdzie odpowiednie manipulacye z dostarczonemi pierwiastkami dokonywają się pod nadzorem specyalnéj komisyi. W innych okolicach syndykaty poprzestają na przeprowadzeniu ankiety co do źródeł, z których pożądane nawozy otrzymane być mogą; poczém porozumiewają się, w imieniu stowarzoszonych z fabrykami, ofiarującemi najkorzystniejsze warunki.

Interwencya syndykatów w téj mierze nie obeszła się bez wywołania pomiędzy producentami nawozów dość żywéj z początku niechęci, spowodowanéj nieuzasadnionemi, jak się potém okazało, obawami. Unikano wprost stosunków z zarządami syndykalnemi i robiono wszystko dla zatrzymania dawnéj cząstkowéj klienteli, o wiele, jak sądzono, dogodniejszéj. Nie chciano, jak mówiono, zdawać się na łaskę tych nowych wszechwładnych konsumentów. Pośrednicy, zagrożeni w swoich stanowiskach, nie szczędzili także usiłowań dla paraliżowania przeprowadzanych urządzeń centralizacyjnych. Siła wprowadzonéj w życie formuły organizacyjnéj przemogła jednak i ostatecznie pogodzono się, nawet w téj sferze, z jéj zastosowaniem. Dopomogła do tego rezultatu spotęgowana niezmiernie, pod wpływem syndykalnéj propagandy, konsumcya odnośnego towaru i zwiększony przez nią obrót handlowy, bonifikujący z naddatkiem poniesione ofiary.

Mniéj łatwém okazało się osiągnięcie analogicznych rezultatów pod względem zbytu produktów rolnych. I na téj jednak drodze początkowano z obiecującém wiele powodzeniem. W departamencie Charente-Inférieure, syndykat zajął się transportem kartofli i jęczmienia z portu w La Rochelle do Londynu, umawiając się bezpośrednio z kupcami londyńskiemi co do sprzedaży tych produktów. Syndykat departamentu Indre podjął pierwszy dostawę dla ministeryum wojny, stając w tym celu do licytacyi i obowiązując się dostarczyć 500 kwintalów pszenicy dla garnizonu w Chateauroux. W Sillans (w departamencie Drôme), stowarzyszeni ziemianie zarządzili detaliczną sprzedaż mięsa, osiągając tym sposobem zysk, przenoszący 30%. Zysk ten podwyższony mógłby być jeszcze, zważywszy, iż ró-

żnica między ceną mięsa żywego a sprzedawanego w jatkach, sięga pospolicie 50%, dochodząc w Paryżu do 100%. Prawda, że rzeźnicy uciekają się ze swojéj strony do organizacyi syndykalnéj, skąd wynika walka, która w departamencie Calvados wywołała żywe zatargi między współzawodniczącemi z sobą stowarzyszeniami. Sklepy z mięsem, dostarczaném przez stowarzyszonych ziemian, mnożą się jednak, mianowicie w Dijon, w Lugdunie i innych znaczniejszych miastach. W Die (Drôme) syndykat miejscowy zabrał się skądinąd do hurtownéj sprzedaży wełny. Syndykat departamentu Ille-et-Vilaine sprzedaje byki i ogiery rozpłodowe. W okolicy Haut-Beaujolais nakoniec, zapełnionéj słynnemi winnicami, pomyślano o gremialném dostawianiu na targ cennego produktu miejscowego. Syndykat, ustanowiony w tym celu, porozumiéwa się z syndykatami należącemi do okolic, w których wino nie jest uprawiane.

Wogóle mamy wiadomość o 166 syndykatach, które włączyły do swoich czynności sprzedaż wytworzonych wspólnemi siłami towarów. Brakuje nam jednak dość kompletnych danych w tym przedmiocie.

III.

Organizacya kredytu rolnego za pośrednictwem syndykatów spotyka się z wielkiemi trudnościami, a przedewszystkiém i głównie, z jedną wielką trudnością, którą stanowi utworzenie odpowiedniego kapitału. Nie zbywa jednak na środkach, mogących choć zwolna, ale pewnie, doprowadzić do tego celu. Rozmaite drobne kwoty, wpływające do kasy stowarzyszenia, skutkiem samychże jego prawidłowych czynności, jako to odsetki od należności uiszczanych przed terminem na rachunek sprzedawanych produktów i na odwrót, dyskonto bonifikowane przez dostawców od wypłat uskuteczniań przed terminém, procenta pobierane od stowarzyszonych samych na pokrycie pewnych kosztów (analiz chemicznych, opakowań i tym podobnych); wreszcie wpłaty przypadające od członków wchodzących do stowarzyszenia, wszystko to razem wzięte, uczynić może przy końcu roku kilka tysięcy franków. W téj materyi zaś początek tylko jest ciężki. Stowarzyszeni nie powinni okazywać się zazdrosnymi względem tych kapitalizujących się dochodów kasowych, ponieważ pozostają one ich wspólną własnością. Skromne zaś składki roczne, wnoszone przez nich, przeznaczają się na pokrycie kosztów administracyjnych, wynajęcia lokalu, wynagrodzenia urzędnikom i t. p.

Droga, prowadząca do zużytkowania, na rzecz potrzeb kredytowych, funduszu wytwarzającego się w określony wyżéj sposób, wska-

zana została przez praktykę. Kapitał uzbiérany, dopóki pozostaje bardzo małym, służyć może jako fundusz poręczający w rękach bankiera, biorącego na się dyskontowanie weksli wystawianych przez stowarzyszonych. W dalszym zaś ciągu syndykat przekształcić się winien sam w bank współudziałowy. Ale mogą być i inne drogi.

W chwili obecnéj dwanaście syndykatów francuskich początkowało, już tym lub innym sposobem w tym kierunku. Syndykat departamentu Ariège ustanowił fundusz obrotowy, umożliwiający wypłatę na jeden weksel wszystkich obstalunków, które czynią jego stowarzyszeni. Nie jest to oczywiście jeszcze kredyt rolny, ale jest postęp na drodze, która doń wiedzie. Więcéj śmiałości okazując, syndykat okręgu Poligny założył kasę wzajemno-kredytową, która wypożycza stowarzyszonym kwoty żądane przez nich na skompletowanie warsztatu rolniczego (kupno krowy dojnéj lub pary wołów i t. p.). W Compiègne syndykat posługuje się pośrednictwem odpowiedzialnego zawiadowcy (*gérant*), który poręcza weksle wystawiane przez stowarzyszonych, pobiérając 50 centymów procentu na miesiąc. W Die (Drôme) jeden z miejscowych ziemian, p. de Fontgalland, obmyślił organizacyę, w któréj pożyczający nie otrzymuje gotówki, ale korzysta z pewnéj zwłoki w wypłacie należności za produkta, których dostarcza mu syndykat.

Jak dotąd, syndykaty unikają w ogóle wprowadzenia do swoich ustaw zasady solidarnéj odpowiedzialności wszystkich członków. Zaledwie 21 napotkaliśmy takich, które przyjęły tę zasadę. Ograniczona jednak do wysokości spółkowego kapitału mogłaby ona oddać znaczne usługi, a nie przedstawiałaby żadnych niebezpieczeństw.

Rozjemcza jurysdykcya urzędów syndykalnych wprowadzoną już została do 56 statutów. Funkcyonuje ona bardzo rozmaicie; tam jednak, gdzie prowadzona jest poważnie, rezultaty okazują się bardzo dodatnie. Normandya celuje w tym względzie; okolica zaś ta tradycyjnie usposobiona do sporów i pieniactwa. W departamencie Calvados utworzony został w łonie syndykatu osobny wydział, tak zwany „*du contentieux*“, złożony z byłych urzędników sądowych i adwokatów, który rozstrzyga polubownie przedstawione sobie sprawy, oszczędzając często stronom grubych kosztów proceduralnych.

Kwestya ubezpieczeń wzajemnych, wprowadzona także na porządek dzienny przedsięwzięć syndykalnych, nie doczekała się dotąd, w ich zakresie, ogólniejszego i zadawalniającego rozwiązania. Pojedyncze próby, tu i owdzie podjęte, przybierają bardzo rozmaite formy, dostarczając jednak tym sposobem dowodu wielkiéj giętkości, jaką przedstawia formuła przewodnicząca ich usiłowaniom. W okręgu

Sancerre np. syndykat, złożony wyłącznie z uprawiaczy winnic, wziął na się i wpisał do swojéj ustawy obowiązek wyręczania w uprawie wina stowarzyszonych, znajdujących się w niemożności dopełniania osobiście robót odpowiednich, bądź-to skutkiem wypadku, bądź powołania na dwa lub cztery tygodnie do powinności wojskowéj. — Zasługuje na wzmiankę, z powodu oryginalności swojéj, paragraf pewnéj ustawy syndykalnéj (z prowincyi środkowych), mocą którego stowarzyszeni wzbraniają sobie mówić źle jedni o drugich. Najzwyklejszemi jednak są formy następujące:

Prawie wszystkie syndykaty normandzkie i inne w okolicach, w których kwitnie chów bydła, zaprowadziły kasę ubezpieczenia wzajemnego od pomoru. Straty poniesione bonifikują się poszkodowanym, w stosunku do odpowiedzialności przyjętéj przez stowarzyszonych. Granice téj odpowiedzialności ustanawiają się na podstawie obrachunku prawdopodobieństw, do którego danych dostarcza doświadczenie, z osobnemi zastrzeżeniami dotyczącemi przypadków epidemicznych. Wypłaty uskuteczniają się przy końcu roku. — Ubezpieczenia od gradobicia zaniechane zostały przez większość syndykatów, jako zbyt ryzykowne. Odstraszającym zdał się przykład potężnych finansowych przedsiębiorstw, które nie zdołały wytrzymać ciosów doświadczonych w walce z tym żywiołem, najkapryśniejszym ze wszystkich. Najpotężniejsze we Francyi, a może i w całéj Europie, z towarzystw tego rodzaju, paryska „*Société d'assurances générales*“ zwinęła, po kilkudziesięciu latach próby, ten dział ubezpieczeń. Jednak syndykat departamentu Marne rzucił wyzwanie stwierdzonym przez praktykę niebezpieczeństwom, i, jak dotąd, nie miał powodu żałować swéj odwagi. — Piętnaście syndykatów, w rozmaitych okolicach kraju włączyło do swojéj organizacyi kasę wzajemnéj pomocy, na przypadek choroby, braku zajęcia, lub niezdolności do pracy spowodowanéj starością. Są to wyłącznie syndykaty złożone z drobnych właścicieli. — Jeden tylko syndykat, w departamencie Vaucluse, podjął założenie kasy emerytalnéj. A przynajmniéj nie mamy wiadomości o innych próbach tego rodzaju

IV.

Syndykaty są właściwie tylko spółkami, grupującemi pewną liczbę interesów, które natura zbliżyła i powiązała z sobą. Samo jednak ugrupowanie tych interesów wydziela stowarzyszeniom, o których mowa, inną donioślejszą rolę, przekształca je w czynne narzędzie postępu, w zakresie krajowego rolnictwa. Zbytecznemi nawet są w tym

względzie jakieś specyalnie obmyślane środki; zbędnemi osobne zastrzeżenia statutowe. Postęp wynika z samego działania stowarzyszeń w wytkniętych wyżéj kierunkach. Obniżając cenę nawozów sztucznych, ustanawiając kontrolę nad wartością tego i innych produktów, należących do potrzeb rolnictwa, ułatwiając nabywanie, w dobrych warunkach, wydoskonalonych narzędzi rolniczych, albo zwierząt najodpowiedniejszych miejscowym warunkom hodowli i kultury, syndykat sprzyja najskuteczniéj rozwojowi i melioracyi gospodarstw, oraz ulepszeniu metod agronomicznych. Jeden z syndykatów departamentu Eure wpadł nawet na myśl szczęśliwą zakupienia pewnéj liczby wyborowych reproduktorów na wystawie paryskiéj 1888-go roku, dla rozsprzedania ich następnie, drogą licytacyi, między stowarzyszonych. Inne stowarzyszenia noszą się z zamiarami daléj jeszcze sięgającemi w tym kierunku. Mniemają one, iż syndykaty stawać się mogą same właścicielami reproduktorów i maszyn, takich zwłaszcza, przed których nabyciem cofa się znaczna liczba rolników, ponieważ przedstawiają one kapitał znaczny, a dopuszczający ograniczonego tylko użytkowania przez kilka dni w roku. Ustanowienie odpowiedniéj kolei między stowarzyszonymi co do korzystania z lokomobili, albo nawet młocarni, żniwiarek i siewników, nie przedstawiałoby trudności nie dających się przezwyciężyć. Co się tyczy zaś reproduktorów, trudność nie istniałaby żadna.

Stacye doświadczalne, zaprowadzone przez niektóre syndykaty, powołane są także do oddawania wielkich usług w kierunku, o którym mowa obecnie. W innych stowarzyszeniach, sprawozdania z czynności dokonywanych i z towarzyszących im doświadczeń ogłaszane drukiem, odczyty peryodycznie organizowane, i dyskusye samopowstające między członkami, przyczyniać się muszą do rozwijania inicyatywy indywidualnéj i do rozpowszechniania metod agronomicznych, których doskonałość stwierdzona została. Około stu syndykatów ogłasza stałe miesięczne lub nawet tygodniowe sprawozdania, zawierające po większéj części znaczną liczbę wskazówek, bardzo użytecznych i odpowiadających potrzebom miejscowym.

Ma się rozumiéć, w téj ostatniéj i w innych formach potężniejszą jeszcze może być działalność zjednoczonych stowarzyszeń, łączących kilka, kilkadziesiąt albo nawet kilkaset pojedyńczych ugrupowań. Niektóre z takich departamentalnych syndykatów zbiorowych, przekształciły się już w zasobne i szeroko na wszystkie strony wpływ swój rozpościerające instytucye. Co się tyczy zbiorowéj aglomeracyi wszystkich syndykatów, któréj myśl podjęło wzmiankowane już przez nas „Zjednoczenie rolników francuskich“ i do któréj przyłączyło się

już 354 stowarzyszeń, związek ten powołanym się zdaje do odegrania bardzo poważnéj roli. Wymownéj wskazówki w tym względzie dostarcza ogłoszony w roczniku wydanym przez p. Hautefeuille program ustawowych czynności „Zjednoczenia“, od chwili jego założenia po dzień dzisiejszy.

„Zjednoczenie“ zajmuje się organizowaniem kongresów prowincyonalnych, na których zebrane syndykaty okoliczne obradują nad ekonomicznemi i profesyonalnemi interesami rolnictwa;

Ubiega się o zniesienie głównego podatku gruntowego (*principal de l'impôt foncier*), o utrzymanie przywilejów służących posiadaczom winnic (*privilège des bouilleurs de cru*), o ukrócenie włóczęgostwa i żebraniny po wsiach, o podźwignięcie handlu masłem (*sic*), o lepszą organizacyą władz przedstawiających interesa rolnicze;

Zajmuje się wszystkiemi kwestyami, w miarę jak one stają na porządku dziennym pośród ogółu rolników. Tym sposobem zaprzątał się on z kolei: rewizyą taryf celnych, rewizyą tabel taksacyjnych podatku od cukru, rewizyą taryf kolejowych, reorganizacyą dostaw dla państwa i licytacyi w tym celu urządzanych;

Na każdém z posiedzeń swoich oddaje pod głosowanie pewną liczbę postanowień, które w odpowiedniéj formie (*voeux*) przedstawianemi są następnie władzom kompetentnym i parlamentowi.

Zestawmy z tym bilansem sprawozdanie z czynności pojedyńczego syndykatu departamentalnego, podobnego do wielu innych, a zobaczymy jak rozległe jest pole objęte tą, nieskończenie rozmaitym zastosowaniom podlegającą, organizacyą. Syndykat, o którym mowa, założony w maju 1886 r., w departamencie Charente-Inférieure, za inicyatywą margrabiego de Dampierre, prezesa „Towarzystwa rolników francuskich“, liczy obecnie około 12,500 członków. Zarząd jego składa się z biura centralnego, któremu służy do pomocy izba syndykalna. Izbę syndykalną tworzą członkowie komitetów okręgowych, którzy ze swego łona wyznaczają pewną liczbę deputatów do izby (po 12 na każdy okręg). Komitety zaś są ciałami wybiéranemi bezpośrednio przez stowarzyszonych. Członkowie izby mianowani są na lat sześć, odnawiani w połowie drogą wylosowywania i zawsze mogą być ponownie wybrani. Izba wybiéra członków biura, które składa się z prezesa-syndyka, dwóch vice-prezesów, jednego sekretarza generalnego, dwóch sekretarzy, jednego skarbnika, i jednego archiwisty-bibliotekarza. Wszystkie urzędy są bezpłatne. Wszelkie dyskusye polityczne, religijne i inne, nie mające związku z celem stowarzyszenia, wykluczone są stanowczo z obrębu posiedzeń komitetowych i innych.

Czynności stowarzyszenia:

W ciągu pierwszéj swojéj jednorocznéj kampanii syndykat zakupił 3,500,000 kil. nawozów sztucznych (w téj liczbie 2,700,000 kil. superfosfatów), 12,000 kos, 40 sztuk innych narzędzi i 65,000 kil. mydła. Wszedł w układy z „Towarzystwem kredytu rolnego“ o dostawę superfosfatów z departamentu Somme, o które upominali się stowarzyszeni. Założywszy kasę ubezpieczeń od pomoru bydła, zajął się ułatwieniem, dla stowarzyszonych, ubezpieczeń od ognia, i w tym celu zawarł umowę na bardzo korzystnych warunkach, z „Towarzystwem wzajemnych ubezpieczeń.“ Dostarczył stowarzyszonym na żniwa pewnéj ilości żniwiarek wiążących snopy (*moissoneuses-lieuses*). Cena najmu wyniosła 15 fr. od hektara (zauważyć należy, iż koszt zwykłego sprzętu kosą lub sierpem wynosi we Francyi, ze związaniem, 25 do 35 fr. od hektara). Żniwiarki te zakupione zostały za pośrednictwem osobnéj spółki spożywczéj (*Société coopérative de consommation*), która zaszczepiła się na syndykacie w ten sposób, iż tylko członkowie syndykatu mogą być członkami téj spółki. Utworzenie téj instytucyi narzucone niejako zostało syndykatowi przez nawał zapotrzebowań, którym nie był w stanie sprostać. Oto zaś co pisze o niéj, w ogłoszoném przez się sprawozdaniu, dotychczasowy jéj kierownik, p. Rostand:

„Spółka nasza rozpoczęła czynności swoje w dniu 1 stycznia 1889 r., z kapitałem zakładowym 200,000 fr. (prawo nie dopuszcza większéj kwoty), rozdzielonym na 50-frankowe akcye. Do tego funduszu dołączyliśmy fundusz obrotowy w kwocie 300,000 fr. W pierwszym kwartale zakupy przez nas uskutecznione wyniosły 1,400,000 fr.; sprzedaże 1,100,000 fr. Reszta towarów znajduje się w naszych magazynach. Po potrąceniu kosztów, zysk nasz czysty wyniósł 32,000 fr. Z tego część jedna zwróconą zostanie stowarzyszonym w stosunku do wartości zakupów przez nich poczynionych, część odłożoną na bok, jako fundusz rezerwowy, i przeznaczoną na fundacyę pewnéj liczby zakładów, jako to ochronki rolnéj i domów przytułku dla robotników rolnych. Jednocześnie osiągnięty został ten rezultat, że cena wszystkich produktów dostarczanych konsumentom, obniżyła się w granicach departamentu co najmniéj o 25%. Ponieważ zaś departament Charente-Inférieure liczy 450,000 mieszkańców, przypuszczając na każdą głowę 100 fr. rocznego wydatku w rubryce pospolitych artykułów spożywczych, co zapewne nie dorównywa cyfrze rzeczywistéj, otrzymujemy oszczędność 12 milionów fr., którą zapewniliśmy tymże mieszkańcom. Zauważyliśmy ze strony kupców i handlarzy detalicznych ogromne podwyższanie cen, dochodzące na pewnych artykułach do 200, 400, a nawet 800%. Doświadczyliśmy ze strony niektórych

pomiędzy nimi nader gwałtownych napaści. „Syndykat upadnie, wołali oni, a z nim razem spółka. Gdy zaś do tego przyjdzie, my nie zechcemy mieć żadnych stosunków z byłymi wspólnikami syndykatu.“ Groźby te odstraszyły chwilowo tych i owych, ale nie na długo. Posiadamy obecnie 22 sklepy, 140 kupców korzennych idzie z nami; liczba przyjaciół naszych wzrasta ciągle. Widząc powodzenie nasze, obce osoby zgłosiły się do nas, ofiarując nam swoje kapitały. Nie przyjęliśmy tych propozycyi. Nie robimy finansowéj spekulacyi. Jedynym celem naszym jest polepszenie losu wieśniaków.“

Skądinąd w urzędowym organie (*Moniteur*) syndykatu samego czytamy co następuje:

„Kwestya szkody, którą czynności spółki spożywczéj przynieść mogą pewnéj kategoryi przemysłowców, roztrząsana była przez syndykat i rozstrzygnięta została w sposób najkorzystniejszy dla nich. Większa ich część otrzymuje towary z drugiéj jedynie, albo nawet z trzeciéj ręki, i, aby wyjść na swoje, zmuszona jest zaopatrywać się wyłącznie w towary podrzędnéj wartości, sprzedając takowe po cenie przypadającéj za artykuły wyborowe. Nadto, posiadając kredyt ograniczony, zmuszeni są oni także nabywać rzeczone towary częściowo, co zwiększa koszt transportu i inne wydatki... Postanowiono tedy uczynić ich przedstawicielami spółki spożywczéj... upoważniając ich do sprzedawania stowarzyszonym towarów wyborowych, które im powierzone będą, z lekką podwyżką na cenie ustanowionéj przez zarząd...“

Oto zaś bilans ogólny za rok pierwszy (1886 r.) istnienia syndykatu:

Obrót kasowy wyniósł 1,865,170 fr. 80 c. Całość towarów dostarczonych stowarzyszonym wyniosła 7,000 ton, czyli 7 milionów kilogramów, które rozkładają się jak następuje:

Nawozy rozmaite	4,374,400	kil.
Wytłoki	112,900	„
Sól	90,400	„
Gips	139,000	„
Węgle	190,500	„
Mydła	83,280	„
Nasiona	159,560	„
Siarka	134,000	„
Cukier do winnic	65,000	„
Drut	6,675	„
Okratowania	20,600	„
Rozmaite	10,800	„

Artykuły żywnościowe:

Jabłka, cukier, winogrona, wino, i t. d. około .	100,000 kil.

Materyały budowlane:

Wapno	445,650 „
Cement	40,850 „
Dachówki, drzewo, żelazo, i t. d. około . . .	350,000 „
Rozmaite, narzędzia, maszyny, około	700,000 „
Ogółem	7,023,515 kil.

Trzema latami późniéj, w r. 1889, bilans saméj spółki spożywczéj, założonéj przy syndykacie, przedstawia się jak następuje:

Towary nabyte	2,406,873	fr.	04
„ sprzedane	1,904,377	„	37
Zysk czysty zrealizowany	74,158	„	25
Procent i dywidenda wypł. akcyonaryuszom .	10%		
Wypłacono stowarzyszonym kupującym, tytułem dywidendy	25,000	„	—
Przelano do funduszu rezerwowego	12,536	„	51

Waga towarów dostarczonych przeniosła 20 milionów kilogramów.

Skądinąd syndykat, uwolniony od zaprzątnień natury handlowéj, rozwinął têm energiczniejszą działalność w innych kierunkach. W roku 1887 za jego staraniem urządzona została wystawa rolnicza w Rochefort, na któréj rozdano przeszło 12,000 fr. nagród. Na obszernym placu (5,000 metrów kwadr. pod dachem) zgromadzono przeszło 500 buhajów i krów, wielką liczbę zwierząt innych, drobiu, nasion, roślin, kwiatów i t. d. Przeszło 150 wystawców francuskich i zagranicznych przedstawiło 2,500 okazów maszyn i narzędzi nowych i wydoskonalonych. W r. 1888 oprócz nowéj wystawy, przeznaczonéj dla uprawiaczy winnic, przyszły do skutku wspomnione już wyżéj organizacye ubezpieczeń. W r. 1889 zarządzone zostały w sześciu okręgach konkursa dla nagrodzenia najlepszych metod uprawy, zasłużonych pracowników rolnych i t. d. Rozdano 120 medali i dyplomów i 13,500 fr. nagród. Na rok 1890-ty izba syndykalna uchwaliła: 1) zgodzenie, na korzyść wyłączną stowarzyszonych, nauczyciela agronomii, którego zadaniem będzie: *a*) wygłaszać każdomiesięcznie w każdym okręgu i w miejscowościach, wskazanych przez komitety lokalne, odczyt poświęcony najżywotniejszym sprawom rolnictwa; *b*) pozostawać do rozporządzenia wszystkich stowarzyszonych, dla udzielania im bądź listownie, bądź osobiście, w razie potrzeby, informacyi, rad i wskazówek praktycznych, których żądać zechcą; *c*) dokonywać rozbioru

wszystkich nawozów, okazów ziemi i innych, które mu przedstawione będą; *d)* zawiadywać stacyami doświadczalnemi, których utworzenie postanowione zostanie przez syndykat.

2) Założenie w każdym kantonie osobnéj stacyi doświadczalnéj.

3) Założenie ochronki rolnéj i domu przytułkowego dla starców.

Przykład, którego dostarcza syndykat departamentu Charente-Inférieure, nie jest wyjątkowym, ani téż znowu niewolnicze naśladownictwo udzielonych przezeń wzorów okazuje się cechą ogólnéj przedsiębiorczości pokrewnych stowarzyszeń. Oryginalność i co za tém idzie bogactwo pomysłów, stanowi owszem jéj rys charakterystyczny. Oto np. syndykat departamentu Calvados ogląda się za środkiem zapobieżenia upadkowi, którego doświadczył w téj okolicy handel masłem, i w tym celu obmyśla zaprowadzenie bezpośredniego stosunku między producentem i konsumentem, a to za pomocą próbnych okazów pocztą przesyłanych. Przytaczamy ustęp z okólnika, rozesłanego w znacznéj liczbie egzemplarzy:

„Syndykat oświadcza gotowość dostarczenia panu, na każde żądanie, 5-ciu funtów masła. Masło to będzie panu przesłane wprost przez ziemianina, któremu syndykat zakomunikuje żądanie pańskie... Ekspedycya nastąpi w specyalném opakowaniu, noszącém imię i adres ekspedytora. Tym sposobem, uzyskując łatwość bezpośredniego porozumienia się z producentem, co do dalszych przesyłek w téj saméj lub większéj ilości, będziesz pan jednocześnie zabezpieczonym od oszustwa. W przypadku bowiem dostarczenia złego towaru przez niesumiennego ziemianina, imię i adres dołączone do przesyłki ułatwią pociągnięcie go do sądowéj odpowiedzialności. Syndykat zaś, ze swojéj strony, pozostaje materyalnie odpowiedzialnym za masło dostarczone panu... aczkolwiek udział jego w nawiązaniu tych stosunków jest zgoła bezinteresowny, tak iż żaden procent od uskutecznionych dostaw nie wpływa do jego kasy.“

Załączają się do tego okólnika ceny masła, ustanowione przez zarząd syndykalny, a o wiele niższe od pospolitych cen targowych.

Rachując się z miejscem wyznaczoném nam tutaj, poprzestajemy na tych szczegółach, które wystarczyć mogą dla udzielenia czytelnikom wyobrażenia o charakterze i znaczeniu organizacyi, którą chcieliśmy polecić ich uwadze, oraz o doniosłości osiągniętych już przez nią rezultatów.

V.

Oglądając się atoli na praktyczny cel niniejszego zarysu, chcemy jeszcze dać poznać, bliżéj niż to uczyniliśmy dotąd, zewnętrzną formę,

którą oblekają stowarzyszenia, o jakich mowa, więc stronę ustawową ich bytu i ich działalności. Forma ta nie jest bynajmniéj jednostajną, jak o tém wspomnieliśmy już, nagina się owszem z pożądaną ze wszechmiar swobodą i giętkością do miejscowych stosunków i potrzeb. Tytułem wskazówki jednak i dla dostarczenia powstającym stowarzyszeniom gotowego materyału do wstępnych obrad i gotowéj podstawy do wyjść z nich mającéj kodyfikacyi, „Towarzystwo rolników francuskich“ opracowało formularz, którego powtórzenie zdaje się nam pożądaném:

I. *Założenie syndykatu.*

Artykuł pierwszy. — Między niżéj podpisanymi i między tymi, którzy przyjmą w dalszym ciągu niniejszą ustawę, zawiązuje się syndykat czyli stowarzyszenie profesyonalne, które rządzić się będzie prawem z d. 21 marca 1884 r., oraz wyszczególnionemi niżéj postanowieniami.

Artykuł 2-gi. — Stowarzyszenie nosić będzie imię: syndykatu rolniczego w departamencie . . . (w okręgu . . .). Jego miejsce zamieszkania ustanawia się w . . . . Jego czas trwania określa się . . . . (albo nie określa się wcale).

Początek jego istnienia nastąpi z dniem przepisanego przez prawo złożenia ustawy w odpowiednim urzędzie.

II. *Skład syndykatu.*

Art. 3-ci. — Członkami syndykatu mogą być:

1) Osoby posiadające miejsce zamieszkania lub tytuł własności ziemskiéj w obrębie departamentu . . . . (okręgu . . . .) i eksploatujące takową własność osobiście, lub za pośrednictwem urzędników, kolonistów, dzierżawców;

2) Dzierżawcy i koloniści eksploatujący takowe dobra ziemskie;

3) Urzędnicy i robotnicy zatrudnieni przy uprawie tychże dóbr;

4) I w ogóle osoby zamieszkałe w obrębie departamentu . . . . (okręgu . . . .) i trudniące się rzemiosłem, mającém związek z zawodem rolnika lub właściciela rolnego, i przyczyniające się do wytworzenia tych samych produktów.

Art. 4-ty. — Aby być przyjętymi do udziału w syndykacie, kandydaci będą musieli być przedstawieni przez dwóch członków dawniejszych. Żądanie ich przedłożoném zostanie izbie syndykalnéj, która postanowi o przyjęciu większością (prostą, albo dwóch trzecich, albo trzech czwartych) członków obecnych.

Art. 5-ty. — Każdy z członków wycofać się może każdéj chwili ze stowarzyszenia. W tym celu przesyła dymisyę swoją listem rekomendowanym na ręce prezesa, który odpowiada prostą awizacyą o otrzymaniu listu. Członek, podający się do dymisyi, winien całkowitą składkę za rok w biegu będący; traci wszystkie prawa do majątku syndykalnego i zachowuje jedynie prawo do zysku przewidzianego artykułem 7 prawa z d. 21 marca 1884 r.

Art. 6-ty. — Bankructwo, poniesienie kary sądowéj, przynoszącéj ujmę dobréj sławie, niezapłacenie składek po trzechkrotném wezwaniu, są powodami do wykluczenia, o którém orzeka izba syndykalna.

III. Cel syndykatu.

Art. 7-my. — Syndykat zakłada sobie, jako cel ogólny, badanie i obronę ekonomicznych interesów rolnictwa.

Art. 8-my. — Zamierza zaś osobliwie:

1. Rozpatrywać wszystkie rozporządzenia ekonomiczne i wszystkie reformy prawodawcze, których wymagać może interes rolnictwa; upominać się o ich urzeczywistnienie przed władzami kompetentnemi i starać się mianowicie o zmniejszenie ciężarów, obarczających własność rolną;

2. Rozpowszechniać naukę rolnictwa i należące do tego zawodu wiadomości tak za pomocą wykładów, odczytów, rozdawnictwa broszur, zakładania bibliotek, jak wszelkiemi innemi środkami;

3. Wywoływać i ułatwiać próby z uprawami, nowszemi maszynami i narzędziami wydoskonalonemi i innemi wszelkiemi środkami prowadzącemi do ułatwienia pracy, obniżenia kosztów produkcyi i powiększenia téjże;

4. Przygotowywać, zachęcać, podtrzymywać zakładanie instytucyi ekonomicznych, takich jak towarzystwo kredytu rolnego, towarzystwa produkcyjne, kasy wzajemnéj pomocy i wzajemnych ubezpieczeń od choroby, pomoru bydła, gradu, kasy emerytury dla starców, ubezpieczenia od wypadków;

5. Wydzielać, w miarę środków swoich, zapomogi członkom swoim, którzyby dotkniętemi zostali w interesach swoich rolniczych przez dotkliwe klęski;

6. Zakładać biura dla informacyi i pośrednictwa w sprzedaży produktów, w nabywaniu nasion, nawozów, narzędzi, zwierząt i wszelkich innych przedmiotów użytecznych dla rolnictwa, w ten sposób, iżby członkowie syndykatu korzystali z ustępstw uzyskiwanych od kupców i fabrykantów;

7. Badać miejscowe zwyczaje i dostarczać arbitrów i biegłych dla rozstrzygania spornych między ziemianami kwestyi.

IV. Zarząd syndykatu.

Art. 9-ty. — Syndykatem zarządza i kieruje biuro, któremu służy do pomocy, z głosem jedynie doradczym, izba, zwana izbą syndykalną.

§ 1. Biuro.

Art. 10-ty. — Biuro składa się z siedmiu członków, mianowicie: prezesa, dwóch vice-prezesów, sekretarza generalnego, dwóch sekretarzy, skarbnika, — mianowanych przez izbę syndykalną i wybiéranych z jéj łona na trzy lata. Wszyscy są wybiéralni ponownie.

Art. 11-ty. — Biuro zbiéra się na wezwanie prezesa albo członka, który go zastępuje; gdy wszyscy członkowie zostali wezwani, obecność czterech członków wystarcza dla ważności postanowień.

Art. 12-ty. — Biuro wydaje postanowienia i rozporządzenia we wszystkich przedmiotach dotyczących celu stowarzyszenia, jego interesów ogólnych i szczególnych. Przysposabia materyał dla prac i obrad izby syndykalnéj, oraz ogólnych zgromadzeń. Każdego roku przedstawia zgromadzeniu ogólnemu sprawozdanie z ogółu czynności syndykatu i ze stanu jego majątku.

Art. 13-ty. — Prezes kieruje pracami stowarzyszenia; zwołuje zebrania i przewodniczy posiedzeniom, z głosem decydującym w razie podziału głosów; podpisuje, łącznie z sekretarzem, protokóły posiedzeń i dyplomy przyjęcia nowych członków; załatwia, wedle możności, spory powstające między stowarzyszonymi i przedstawione sobie przez nich, albo odsyła je, w tym samym celu, do izby syndykalnéj. W przypadku nieobecności, zastępuje go jeden z vice-prezesów.

Art. 14-ty. — Sekretarz generalny utrzymuje korespondencyę i może podpisywać ją za upoważnieniem prezesa; redaguje protokóły posiedzeń. W razie potrzeby, zastępuje go jeden z sekretarzy. Mogą być mu przyznane koszta biurowe.

Art. 15-ty. — Skarbnik przechowywuje fundusze stowarzyszenia; ściąga składki i wszystkie inne kwoty przypadające wspólnéj kasie, uiszcza należności za kwitami wizowanemi przez prezesa; przedstawia etat takowych do kontroli biura; sporządza przy końcu każdego roku wykaz z ogólnego obrotu kasowego i stwierdza położenie majątkowe stowarzyszenia pod datą odpowiednią.

§ 2. Izba syndykalna.

Art. 16. Izba syndykalna składa się z 18 członków wybranych, o ile możności w każdym z poszczególnych okręgów. Wybiéra ich zgromadzenie ogólne, większością głosów, na lat dziewięć. Trzecia ich część podlega każdorocznemu odnowieniu drogą wylosowania. Wszyscy są obierani napowrót. Izba syndykalna zbiéra się, na wezwanie prezesa, przynajmniéj raz co trzy miesiące. Jéj postanowienia są ważne, bez względu na liczbę członków obecnych.

Art. 17. Rozpada się ona na trzy sekcye, złożone każda z sześciu członków, między którymi dzielą się, dla odpowiedniego rozpatrzenia, rozmaite przedmioty, któremi zajmuje się syndykat.

Art. 18. Wydaje ona swoje zdanie we wszystkich sprawach, które przedstawione jéj są przez biuro i które wiążą się z celem stowarzyszenia; dostarcza temuż biuru wszystkich wskazówek i dokumentów, które obchodzić mogą lub oświécać jego działalność. Udziela mu zdania swojego w materyach niżéj przewidzianych artykułem 24. Rozpatruje kwestye sporne, które odsyła do niéj prezes, lub które bezpośrednio przedstawiają jéj stowarzyszeni; załatwia je polubownie, albo rozstrzyga je drogą wyroku. Wyrok ten jest bez apelacyi i nie wymaga zatwierdzenia (*exequatur*) przez trybunał. Strona, któraby uchylić się chciała od jego wykonania, naraziłaby się na wykluczenie z syndykatu. Rozpatruje także sprawy podane jéj rozpoznaniu przez trybunały i opracowywuje odpowiednie referaty. Referaty te pozostają do rozporządzenia stron, które czytać je mogą i zdjąć z nich kopię. Wyznacza wreszcie pewną liczbę członków syndykatu, kwalifikujących się do przedstawienia trybunałom cywilnym i handlowym, w charakterze biegłych.

§ 3. Zgromadzenie ogólne.

Art. 19. Zgromadzenie ogólne, złożone z wszystkich członków syndykatu, zbiéra się co najmniéj raz na rok, w terminach oznaczonych przez nie samo; może przytém być zwołane nadzwyczajnie, ile razy biuro uzna potrzebę tego. Postanowienia jego zapadają większością głosów, bez względu na liczbę członków obecnych. Za trzecim razem większość względna jest wystarczającą. Przypuszczonymi do głosowania są ci tylko członkowie, którzy opłacili składkę. Zgromadzenie słucha raportów, które przedstawiają biuro i skarbnik, i dokonywa, jeżeli miejsce po temu, wyborów dla odnowienia izby syndykalnéj.

Art. 20. Zgromadzenie ogólne stanowi o wszystkich wnioskach

sobie czynionych; wnioski wszelako wynikające z inicyatywy pojedyńczych członków winny być przedstawione izbie syndykalnéj, która według uznania swego zanosi je przed zgromadzenie ogólne.

Art. 21. Wszelkie dyskusye polityczne, religijne i inne, obcemi będące celowi poszukiwanemu przez stowarzyszenie, wykluczają się formalnie.

V. Majątek i osobistość stowarzyszenia.

Art. 22. Majątek stowarzyszenia tworzą; 1) składki regularne członków syndykatu; 2) ofiary dobrowolne; 3) subwencye, które przyznane mu być mogą. Zawiaduje nim biuro, które wyznaczyć może urzędnika *ad hoc*, pobierającego płacę odpowiednią.

Art. 23. Każdy członek stowarzyszenia obowiązany jest płacić składkę roczną, któréj wysokość ustanawia się w sumie...

Art. 24. Prezes biura działa w imieniu syndykatu i przedstawicielem się jego czyni we wszystkich aktach życia cywilnego. On działa przed sądem zaczepnie lub odpornie i zastępuje stowarzyszenie w użytkowaniu wszystkich jego praw, a to na mocy uchwały biura i za wnioskiem doradczym izby syndykalnéj. W razie nagłości, upoważnienie biura wystarcza z obowiązkiem zdania następnie sprawy z dopełnianych czynności na pierwszém posiedzeniu izby syndykalnéj. Bieżącemi wydatkami rozporządza prezes dowolnie.

VI. Rozwiązanie syndykatu.

Na przypadek rozwiązania przychodzącego do skutku dla jakiegokolwiekbądź powodu, zastrzega się formalnie zlikwidowanie majątku wspólnego, i podział tegoż między członków syndykatu, chyba żeby zgromadzenie ogólne postanowiło przelać odpowiedni fundusz do kasy innéj lub innych wskazanych przez siebie instytucyi rolniczych.

VII. Rozporządzenia ogólne.

Art. 25. Ustawa niniejsza podlegać będzie zmianom i poprawkom. Zmiany te i poprawki będą mogły być dokonane przez izbę syndykalną we wskazanym wyżéj składzie, która otrzymuje najrozleglejsze pełnomocnictwo w tym względzie. Podlegać wszelako będą zatwierdzeniu przez zebranie ogólne na pierwszém następującém posiedzeniu tegoż.

Art. 26. Ustawa niniejsza ogłoszona będzie drukiem. Jeden egzemplarz wydany będzie każdemu ze stowarzyszonych i opatrzony jego nazwiskiem oraz datą jego przyjęcia do stowarzyszenia.

Ośmielamy się wyrazić nadzieję, że i czytelnicy nasi znajdą w tym wzorze kodyfikacyi i w poprzedzających je, jakkolwiek pobieżnych wskazówkach, nietylko zajmujący, ale do praktyczniejszego użytku przeznaczony materyał.

Nie od rzeczy będzie nadmienić, że arystokracya francuska, po doświadczonych gdzieindziej zawodach, znalazła na tém polu miejsce dla wdzięczniejszego zużytkowania sił i środków, bezczynnie dotąd leżących lub marnowanych w bezowocnych przedsięwzięciach. Ruch syndykalny rozwinął się i rozwija się dotąd z jéj chętnym współudziałem, a nawet w znacznéj mierze, pod jéj przewodnictwem. Wpływu, osiągniętego na téj drodze, wcale ona nie lekceważy.

X.





Ludwik Sztyrmer. *)

X. Twórca powieści psychologicznych (1840—1844).

Pierwszą swą próbę powieściową w języku polskim napisał Sztyrmer w r. 1838 p. t. „Błogosławieństwo matki“, ale oddał ją do druku dopiéro w „Niezabudce“ na r. 1844. Była to istotnie rzecz o wiele słabsza od późniejszych; widocznie nie miał jeszcze autor pewności ręki ani w kreśleniu charakterów, ani nawet w sposobie rozwinięcia akcyi. Zajmując się oddawna kwestyą magnetyzmu i dziwnych objawów życia duchowego, chciał samym tylko faktem zainteresować czytelników. Żaden charakter w „Błogosławieństwie matki“ nie jest ani należycie określony, ani rozwinięty; przeciwnie, jakby dla oszołomienia rozwagi czytelnika nagłe nieumotywowane wprowadzał w nich przemiany. Felicya zalotna, kapryśna, samolubna, oschłego serca, a wyobraźni przewróconéj, ukazuje się pod koniec dobrą żoną, pobożną w miarę, kochającą siostrą, wesołą, tylko nie lubiącą morałów. Kasia przeciwnie, z początku poczciwa, spokojna, religijna, rozważna, dochodzi do egzaltacyi, do wizyi chorobliwych, do podejrzliwości nadzwyczajnéj i dopiéro wpadłszy w suchoty, nabiéra „słodkiego chrześciańskiego przywiązania do męża“ („Powieści nieboszczyka Pantofla“, 1844, I, str. 396) i umiéra ukojona. Wacław—to wcale nie charakter, pierwotnie rozważny, nawrócony do religijności, potém światowiec litujący się nad ubóstwiającą go żoną, wreszcie nijaki w zachowaniu się. Henryk tylko, wesoły, dowcipny, ponieważ występuje epizodycznie, jest utrzymany w charakterze jednostajnym. Główny motyw, co skłoniło Kasię do wyjścia za Wacława bez błogosławieństwa matki (kobiéty niejasnego również charakteru), nie został wy-

*) Dokończenie—patrz zeszyt za m. listopad r. b.

jaśniony. W uwagach swoich mówi autor o religii, jako najdzielniejszéj dźwigni charakterów; w opowiadaniu — skutków dobroczynnych religijności nie widać. Kasia religijna jest nieszczęśliwa; Felicya, mało dbająca o religię, i sama doznaje szczęścia i daje je innym.

Jasność i wyrazistość tendencyi, oraz jedna przynajmniéj osoba dobrze skreślona i konsekwentnie przeprowadzona, odznacza opowiadanie, a raczéj charakterystykę p. n. „Pantofel, historya mojego kuzyna.“ Wziął tu autor za przedmiot jednę z wad u nas najczęstszych, i przeprowadził jéj rozwój przez różne stopnie wieku; wadą tą: brak woli, słabość charakteru. Sztyrmer był dobrze przygotowanym do odtworzenia takiéj osobistości, poczęści bowiem, w dzieciństwie i w latach szkolnych, sam miał w usposobieniu swojém pewne cechy nieśmiałości i zahukania, dopóki tkwiąca w nim dziedzicznie energia nie opanowała ich i nie poddała swym rządom. To téż korzystał z rysów autobiograficznych: ojciec i matka Pantofla, to rodzice Sztyrmera z małoznaczącemi, całkiem zewnętrznemi zmianami; przygody szkolne bohatéra, a mianowicie prześladowanie doznawane od kolegów, są powtórzeniem dziejów samego Ludwika; przywłaszczenie sobie pracy Pantofla przez osoby postronne, również wzięte z życia autora, czytamy bowiem w jego dzienniku pod dniem 25 kwietnia 1832 roku: „Wizyta u Falęckiego—u kawalerzystów — pokazują mi moją pracę za dzieło drugiego, który nie chce ze skromności wyjawić swego nazwiska—śmiesznie!“ W oznaczeniu miejsc akcyi również się trzymał Sztyrmer wspomnień swoich: Kozienice, Tyżyn, Kaliskie tak dla niego pamiętne wchodzą i do powieści. Tylko w obrazie miłości Pantofla dla Emmy, używającéj go za skrzynkę pocztową do przewożenia listów miłosnych, i dla Konstancyi, wielkoświatowéj uroczéj damy, która w czułości szukała środków wygrania procesu i, nie mogąc inaczéj, wyszła za Pantofla, by otrzymawszy zapis, do roli sługi go zniżyć, lubo zapewne także wzięte z doświadczenia, nie znajdują odpowiednich sobie faktów w pamiętnikach Sztyrmera, ciągnących się, jak wiadomo, tylko do połowy r. 1832. Ironia, dowcip sarkastyczny, pomysły oryginalne, zwięzłość, precyzya, trafność, a w potrzebie siła wyrażenia odrazu rzuciły się w oczy każdemu czytelnikowi „Pantofla“, który tém się wyróżnił od innych ówczesnych powieści, że interes główny polegał tu nie tyle na wypadkach, ile na psychologii osób w opowiadaniu wyprowadzonych, przedewszystkiém zaś tytułowego bohatéra. Przed Sztyrmerem główni naówczas powieściopisarze nasi: Fryderyk Skarbek, Kraszewski, Michał Czajkowski, Michał Grabowski (że o dawniejszych nie wspomnę), zajmowali się niemal wyłącznie zarysami zewnętrznych stosunków życia towarzyskiego lub politycznego

w dobie spółczesnéj lub historycznéj, ubiegali się o plastykę w kreśleniu postaci i scen; w analizę zaś stanu psychicznego nie wdawali się prawie wcale, albo zbywali ją powierzchownie. Była to więc nowość w naszéj beletrystyce, kiedy Sztyrmer wystąpił z przedstawieniem wewnętrznego kształtowania się charakteru, nowość bardzo ważna, bo dopełniająca i pogłębiająca zarysy osobistości, ze strony zewnętrznéj przeważnie wtedy kreślonych; musiała téż zwrócić na siebie uwagę.

Istotnie, kiedy „Pantofel“ ukazał się w noworoczniku, wydawanym w Petersburgu przez oryginała Jana Barszczewskiego, p. t. „Niezabudka“, na r. 1841, pod pseudonymem Eleonory Sztyrmer, powszechną obudził ciekawość, czytano go z zajęciem i podziwiano świéżość talentu nowéj „autorki.“ A kiedy w téjże „Niezabudce“ na r. 1842 ukazały się „Urywki z pamiętnika oryginalnie wychowanéj kobiéty“, obfitujące w śmiałe, trafne, a niekiedy głębokie spostrzeżenia, dowcipnie i samoistnie wyrażone, przedstawiające ważną i ciekawą, również z własnego doświadczenia autora wziętą, sprzeczność uczucia i refleksyi, zatruwającéj rozbiorem każdą chwilę szczęśliwą, zaciekawiła się tém zjawiskiem i krytyka i wielkiemi, nadmiernemi obsypała je pochwałami. Pierwszy Kraszewski, w liście prywatnym do St. Lachowicza w Petersburgu (z 11 maja 1842 r.), dziękując za przesłanie sobie „Niezabudki“, przyznał nieznanemu osobiście autorowi „talent wielki, dowcip nieskończony, uczucie stylu niepospolite“, i pierwszy z niewtajemniczonych podejrzéwał, że to nie kobiéta pisała, bo w dwu jéj powiastkach nie znalazł bystrym swym zmysłem „nic kobiécego.“ Pod świéżém wrażeniem lektury posłał 26 maja artykuł o „E. Sztyrmer“ do „Tygodnika Petersburskiego“, którego był bardzo czynnym natenczas spółpracownikiem.

Pisał tu między innemi: „Przeszłoroczna N i e z a b u d k a objawiła nam świéży, oryginalny talent pani Sztyrmer. Powieść jéj p. t. P a n t o f e l, pełna humoru, dowcipu, sarkastycznego ducha, stylem szczęśliwym pisana, z wielką łatwością i zapałem, uderzyła zapewne każdego z czytelników. W P a n t o f l u znaleźliśmy niepospolity talent pani Sztyrmer, objawiony w całości, w najzupełniejszém rozwinieniu i blasku, z właściwym mu, jak nam się zdaje, charakterem, jakiego pewnie nie zmieni. P a n t o f e l jest niczém jako inwencya, lub jedném niczém, nawet zbyteczném może wyszczegółowaniem egzekucyi trochę zakrawa na karykaturę; ale cały wdzięk, cała wartość powiastki leży w artystyczném obrobieniu przedmiotu, z wielkiém bogactwem szczegółów, z przejęciem się, z uczuciem. Talent autorki tak jest wielki, że i przesadzonemu charakterowi przebaczenie wyjednywa i usprawiedliwia wszystko i zapominać każe, jak mitologi-

czną istotą jest ten pantofel. Interesujem się nim, jak czémś prawdziwém, zupełnie prawdziwém. Ale wybór przedmiotu, śmiałość egzekucyi, pomysły noszą charakter nie kobiécego utworu, a przynajmniéj talentu od wszystkich innych w naszém powieściopisarstwie odróżniającego się energią, oryginalnością, męskością. Gdyby imię kobiéce nie było wydrukowane wyraźnie pod tą powieścią, gdyby tegoroczna Niezabudka nie dała nam portretu pani Sztyrmer, myślelibyśmy zawsze, że to pisał mężczyzna, a nawet bardzo mężczyzna, w całém znaczeniu wyrazu, nie wahający się zajrzéć aż do najgłębszych, najczarniejszych cieniów swego przedmiotu. Pamiętniki oryginalnie wychowanéj kobiéty i urywek powieści Frenofagiusz i Frenolesty potwierdzają w zupełności powzięte przez nas z pierwszego utworu pani Sztyrmer o jéj talencie wyobrażenie. Ta sama tu oryginalność i śmiałość pomysłów, ten sam ton szyderstwa, w Pamiętnikach przeplatany tylko smętnemi uwagi niekiedy, ta sama ekscentryczność pomysłów (Frenofagiusz), to samo ubieganie się w wyszukiwaniu charakterów aż do niepodobieństwa prawie oryginalnych, toż samo usprawiedliwienie przedmiotu wyborném obrobieniem, które przedewszystkiém zwraca uwagę. Boć przedmioty wszędzie są albo nienajszczęśliwiéj, albo tylko dziwnie wybrane, nigdzie wypadków nazrzucanych, któremi się ratują i sztukują ubodzy na duchu; wszędzie artystyczne obrobienie płaci za wszystko, jest wszystkiém. Według nas to najwyższy może dowód talentu, z niczego coś zrobić, i nie wahaliśmy się téż po przeczytaniu Pantofla przyznać niepospolity talent autorce — talent skończony, dojrzały, nieobjawiający się już w próbach, dający zupełną miarę tego, czém będzie, raczéj czém jest, i może nawet ekskludujący postęp. Smutno nam to powiedziéć, ale się zdaje, że pani Sztyrmer nie wyjdzie już ze swego charakteru i przez samą pełność talentu, odrazu objawiającego się tak skończonym, zostanie, czém dziś jest. A i to niemało, bo talent jéj, jakim dziś jest, w powieściopisarstwie naszém jedno z najpiękniejszych miejsc zająć powinien. Jednakże z zupełnym sądem o autorce, jeszczeby się może wstrzymać wypadało. A nuż to nie jest jeden z tych talentów jednobarwnych, z tych instrumentów jednostrunnych? Być może; wszakże nam się zdaje, iż ze swojéj indywidualności trudno będzie wyjść autorce. Jéj bowiem, że się tak wyrażę, maniera jest tak oczywiście własna, oryginalna, tak widocznie wypływa z niéj saméj, że się przeinaczyć nie będzie podobno mogła. Naśladownicy tylko podobno i ci, co posiadają rzadki talent mnożenia wedle różnych usposobień swojéj indywidualności, mogą coraz w innym występować charakterze; u pani

Sztyrmer widoczna, że zawsze jedną być musi, zawsze sobą. I niechby tak było, a literatura zyskałaby zupełnie oryginalnego pisarza, któremu większa ilość pism zjedna niechybnie wielką popularność. Co do nas, my nawet życzym autorce, aby nie usiłowała przemieniać maniery, nad którą lepszéj i sobie właściwszéj nabyć nie może.“

Za Kraszewskim pośpieszył złożyć hołd w tymże „Tygodn. Petersburskim“ nowemu talentowi Michał Grabowski, powszechnie jeszcze wtedy za najznakomitszego krytyka uważany. Twierdził on zupełnie słusznie, że w podobnym rodzaju jak opowiadania Sztyrmera nie mieliśmy w naszéj literaturze „lepszego, równego nawet pisarza“, oraz utrzymywał trochę przesadnie, że w jego utworach „niewyczerpany humor łączy się z wielką potęgą i głębokością myśli“, że „rzadko także myśl głęboka i świéża tłómaczy się śmielszym, a ciągle czystym i poprawnym językiem“, że autor byłby „pisarzem pierwszego rzędu w każdym języku i w każdéj literaturze“...

Sztyrmer wszystkie opinie, czy prywatnie, czy publicznie wygłoszone o swoich dziełach, zbiérał starannie i przechowywał, mniejsze mając, jak zapewniał, wyobrażenie o swych utworach aniżeli jego krytycy, ale mimo to nie wolnym będąc od drażliwości autorskiéj, którą u innych wyśmiewał. Do Kraszewskiego zwrócił się, jako Eleonora, za pośrednictwem Lachowicza, z prośbą o odkrycie „czarnéj“ strony swoich utworów. Kraszewski odpowiedział listem z 27 lipca, że ma tylko jedno zdanie „i sam na sam i przy gościach“, że zdanie to wypowiedział w „Tygodniku“; i dodał: „Mamże pani opisać, jak pierwsze odczytanie Pantofla zajęło mnie, zastanowiło, jak z tym Pantoflem nosiłem się do wszystkich, aby z niemi przyjemnością tą podzielić się, tak niespodziewaną w Niezabudce“? Cieszył się nadzieją, że dla Athenaeum otrzyma obiecaną powieść, lubo wątpił, żeby to prędko nastąpić mogło, „bo p. Barszczewski widać wcześnie na 24 lata Niezabudki wszystkie jéj prace wyprosił.“

Sztyrmer jednakże ziścił obietnicę rychło i przesłał do Athenaeum jednę z najlepszych prac swoich, wyborne studyum z własnego życia i usposobienia poczerpnięte, p. n. „Dusza w suchotach.“ Wystawił tu w Karolu jednego z tych bohatérów bajrońskiéj epoki, których najznakomitszym malarzem był Lermontow, z umysłem bujnie rozwiniętym, ale z sercem oschłém, lubiącém kruszyć serca niewieście i „patrzyć, jak się kruszą“, nie znajdującém zadowolenia w niczém, ginącém marnie z sarkazmem na ustach. Autobiograficznych szczegółów jest tu więcéj, aniżeli w którémkolwiek innem piśmie Sztyrmera. Cały pobyt w Kozienicach, stosunki z kuzynkami pocztmistrza, miłość do Emilii, którą tu przezwał Maryą, przemieniając Policznę na pobli-

ską Świetlikową Wolę, w szczegółach nawet wielu dosłownie brzmią w tym obrazku tak, jak w „Pamiętnikach“ Sztymera. Analiza niemiłosierna nieuleczalnéj choroby duchowéj, któréj objawy sam na sobie obserwował, nie złagodzona żadném rzewniejszém, serdeczniejszém uczuciem, dokonana ręką biegłą i pewną siebie, może robić przykre wrażenie, ale dla umysłów badawczych miéć będzie zawsze urok niepospolity. Gdyby było więcéj plastyki w przedstawieniu osób i wypadków, gdyby nie ta okoliczność, że największa część analizy włożona jest w usta samego pacyenta, zachowałaby ta powieść znaczenie nazawsze, nietylko psychologiczne, ale i artystyczne.

Równocześnie z „Duszą w suchotach“ powstały i na téj saméj myśli przewodniéj są osnute dwa utwory: „Trupia główka“ oraz „Frenofagiusz i Frenolesty.“

„Trupia główka“ jest niezbyt udatném opowiadaniem, w którém autor starał się zanalizować, a raczéj przedstawić tylko wytwarzanie się egoizmu i materyalistycznych poglądów w duszy dziecka podrzuconego wieśniakom, które zdobywszy wytrwałą pracą naukę, oddawszy się studyom lekarskim, zatraciło w sobie wszelką uczuciowość, tak że poczynając od obojętności względem poczciwych wieśniaków, co go wychowali, aż do zabicia, niewłaściwém postępowaniem, ojca i kochanki, szlachetne porywy w nim zamarły, najnieszczęśliwszym go czyniąc.

„Frenofagiusz i Frenolesty“ — to rzecz najoryginalniéj pomyślana i najżywiéj wykonana przez Sztyrmera. Wprowadza on tu swoją teoryę o organach czucia i myśli i o owéj nitce, która łączy jedne z drugiemi, a za zerwaniem któréj musi nastąpić obłąkanie lub śmierć. Po świecie uwija się mnóstwo frenolestów (złodziejów umysłu czy mózgu), którzy póty nagabaniami swojemi targają owę nitkę, aż się zerwie, a wówczas zadowoleni prowadzą nieszczęśliwych do swego pana i władcy, Frenofagiusza (zjadacza umysłów albo mózgów), mający swoje siedlisko w zakładach dla obłąkanych. Są to zatém obrazy różnych obłąkań, spowodowanych nadmiarem myśli lub uczucia, brakiem harmonii pomiędzy nimi. Dorobkiewicze, kobiéty-filozofki, kobiéty-kokietki, rozpustnicy, starzy mężowie młodych żon, mizantropi, zbyt czułostkowe panny, zbyt nerwowe matki, autorowie bez talentu starający się wymusić na sobie jakiś utwór i t. p., zapełniają cele w pałacu Frenofagiusza i dają sposobność do skreślenia mnóstwa rysów charakterystycznych z życia społecznego. A że opowiadania te są dokonywane żywo, dowcipnie, w nieustannych niemal rozmowach, ponieważ istnieje wszędzie pogłębienie psychologiczne, ponieważ dużo jest szczęśliwych, oryginalnych wyrażeń, czytają się one

z zajęciem i mają daleko większą wartość, aniżeli podobne obrazki skreślone przez Kraszewskiego w artykule „Bedlam“, pomieszczonym w 1-m tomie jego „Wędrówek literackich“ (1838 r.). Słusznie już w czasie wyjścia pracy Sztyrmera zauważono, że każda z rozpatrywanych przezeń zdrożności miała nieraz swego malarza i satyryka, lecz pod jego piórem „zdają się one nowe, straszniejsze jak dotąd i z niedotkniętéj strony odmalowane.“ Przyczyną tego była niewątpliwie analiza psychologiczna i talent stylowy. „Taki sarkazm — mówiono wówczas — ironia, dowcipem niepospolitym urozmaicona od początku do ostatniego wiersza książki o stu kilku stronicach, nie ma przykładu w dzisiejszéj i przeszłéj literaturze naszéj, a wzór jedyny chyba w Szekspirze i Jean Paul Richterze“ („Bibl. Warsz.“, 1844, t. IV, 615) [1]).

XI. Udział w publicystyce (1842/1843).

Uwielbienia prawie bez zastrzeżeń dla talentu Sztyrmera nie trwały jednak długo. Autor zaszkodził sam sobie. Nie zadawalniając się nadzwyczaj szybko zdobytym rozgłosem powieściopisarza, chciał zyskać sobie jeszcze imię pierwszorzędnego krytyka.

Przy „Tygodniku petersburskim“, głównym organie literackim na Ruś i Litwę, wytworzyła się już wtedy koterya, któréj najczynniejszymi członkami byli: sam redaktor, Józef Emanuel Przecławski (często piszący pod pseudonymem Mikros'a), człowiek niezmiernie giętki we wszystkich kierunkach, dbający przedewszystkiém o prenumeratorów, Henryk hr. Rzewuski, utalentowany a zagorzały arystokrata i apostoł *status quo*, Michał Grabowski (pisujący powieści pod pseudonymem E. Tarszy), wyznawca zasad konserwatywnych, ks. Ignacy Hołowiński (pseudonym: Żegota-Kostrowiec), ścisły katolik i zręczny dyplomata, lawirujący pomiędzy przeciwieństwami. Nie wiadomo, czy z własnéj ochoty, czy też przez Przecławskiego wciągnięty, przyłączył się do téj koteryi i Sztyrmer, warując sobie jednak, zgodnie ze swym charakterem, nietykalność niektórych odrębnych poglądów. W kwestyach religijnych i politycznych prawdopodobnie stał Sztyrmer zupełnie na stanowisku koteryi. Znany już nam jego wstręt do filozofii francuskiéj XVIII wieku i do materyalizmu,

---

[1]) Najszczegółowszy i najtrafniejszy rozbiór „Powieści nieboszczyka Pantofla“ podał w owych czasach „Przegląd poznański“ r. 1845, w tomie II, str. 346—373. Autorem tego rozbioru był zapewne dobry znawca literatury i wytrawny stylista, Stanisław Koźmian.—Wiele też trafnych uwag o talencie Sztyrmera mieści rozprawka Eleonory Ziemięckiéj p. n. „Eleonora Sztyrmer i literatura powieściowa w ogólności“ (Pielgrzym, 1845, t. I, 267—303).

podawanie religijności, przynajmniéj teoretycznie, jako jedynego hamulca na żądze ludzkie, powstawanie na przewagę rozwinięcia rozumu przedstawiają go nam jako zachowawcę wierzącego w postęp tylko na drodze religijnéj. Pod względem politycznym nie wypowiadał on w druku żadnych zdań, ale to, cośmy mówili o przemianie jego zapatrywań na wypadki z r. 1830/31, zamiłowanie karności, wskazują, że różnić się od „Tygodnika“ w téj mierze nie potrzebował. W kwestyach społecznych Sztyrmer zachowywał oględność; sam będąc mieszczaninem z rodu, dostawszy się do towarzystwa żyjącego na wielkim świecie, nie mógł zapewne podzielać stanowczych poglądów Rzewuskiego, lecz tu nie była wymagana zgoda, boć i Hołowiński nie dał bardzo w ten rożek. Wynika stąd, że stanowisko Sztyrmera w koteryi Tygodnikowéj było dość ściśle związane z całością i przynajmniéj przez czas pewien mogło z nią harmonizować. Przecławskiemu chodziło o zyskanie spółpracownika, mającego rozgłos i władającego ciętém piórem, Sztyrmer zaś pragnął wypowiedziéć swoje opinie o literaturze polskiéj bieżącéj. Jakkolwiek więc w pojęciach literackich zachodziły pomiędzy nimi różnice, umiano je tolerować wzajemnie i ukazywać na kolumnach „Tygodnika“ sprzeczne nawet ze sobą poglądy, byle były z siłą wygłoszone.

Pod koniec tedy roku 1842 w 88 numerze „Tygodnika Petersburskiego“ pojawił się „List z Polesia“, napisany przez Sztyrmera pod pseudonymem Gerwazego Bomby, list, który narobił dużo wrzawy wśród publiczności i o mało co nie rozproszył koteryi. Był on nawet w gruncie rzeczy przeciw koteryjności w literaturze wymierzony. Autor zaznaczywszy, że literatura nasza jest „w stanie dzieciństwa“, że w niéj przemaga beletrystyka nad nauką, forma nad treścią; powstaje następnie na zbyt wielką płodność autorską, pośpiech w pisaniu i brak krytyki, a zwracając się wprost do „Tygodnika“, wylicza 7 wad w recenzyach tu pomieszczanych, a mianowicie: 1) admiracyą, 2) ustawiczne porównywanie między sobą pisarzy żyjących, 3) przesadzoną tolerancyę dla ludzi znanych, 4) przedwczesne dzięki, pochwały i nadzieje, 5) pośpiech w sądzeniu, 6) brak konkluzyi, 7) nierówność sądu, gdy z powodu przyjaźni pomiędzy 4-ma mężami, Hołowiński nie zdobył się na otwartość względem „Obrazów z życia“ Kraszewskiego, a Rzewuski — względem „Stannicy Hulajpolskiéj“ Grabowskiego. Wśród tych dowcipnie a ostro napisanych wywodów, z których każdy poparty był odpowiednim przykładem, najwięcéj dostało się Kraszewskiemu, którego Bomba posądził, że nie przejrzał brulionu swoich „Obrazów z życia.“

Doniosłość zarzutów Gerwazego Bomby starał się osłabić Prze-

cławski zaraz w 90-ym N. „Tygodnika“, a zarazem podnieść talent nowego pisarza. Sąd Bomby o całości literatury poczytał więc za zbyt surowy, ale przytém dodał, że krytyk „umiał z dziwną trafnością schwycić słabości dzisiejszego piśmiennictwa“. Radził, żeby Bomba, „wielki estetyk“, wysokie swoje wymagania obniżył, żeby nie mierzył wszystkiego skalą swego znakomitego talentu; literatura bowiem potrzebuje pewnego pobłażania, jeżeli tylko jest na dobréj drodze, jak w owéj dobie, kiedy przeniknięta była religijnością. Protestował przeciw zarzutowi koteryjności, a admiracyę dla znanych pisarzy poczytywał za nieszkodliwą, chociaż sam zwykle inaczéj postępuje w ocenie utworów dokonanych przez znakomitości. Niebawem po Przecławskim zabrał głos Hołowiński (N. 91), który wystąpił z obroną swego zdania o „Obrazach“ Kraszewskiego, a równocześnie z obroną beletrystyki, jako odpowiadającéj wymaganiom chwili.

Zaraz potém ukazał się (N. 92) drugi „List z Polesia“, w którym Bomba potępiwszy polemikę beletrystyczną, jako nie prowadzącą do niczego i powoławszy się w téj mierze na walkę klasyków z romantykami, gdzie „ani jedna ani druga strona nie wiedziała, czego istotnie się domaga, a co potępia“, stawał w obronie klasycyzmu, powiadając, że Kochanowski i Skarga „chcącemu się kształcić na narodowego pisarza zgodnie z obecnym duchem literatury, daleko więcéj przyniosą pożytku jak najlepsze nasze romantyczne utwory“. Ponieważ mu chodziło o ład i rozum w piśmiennictwie, sądził, że w klasycyzmie znajdą się wyborne ku temu wzory. „Nie mamy wprawdzie potrzeby—pisał—tłómaczyć teraz francuskich klasyków, ale możemy się z nich wiele dobrego nauczyć, tém bardziéj, że obecnie literatura nasza, ochłonąwszy od burzy romantyzmu, wstępuje powoli na drogę pokoju, umiarkowania, rozumu i pożytku, ogrzéwa, oświéca i upiększa się żywą wiarą! Przy téj dążności trzeba nam wrócić do wielu pierwiastków klasycyzmu i pozbyć się wielu romantycznych marzeń... Co do uczuć, nie jestem ani klasykiem, ani romantykiem, trzymam się prawidła: *suum cuique* i cenię wszystko, co jest p o ż y t e c z n e i p i ę k n e, nie myśląc o tém, do jakiéj szkoły należy“.

O autorstwo tych „listów z Polesia“, które tak niespodzianie przerwały jednostajność tonu Tygodnikowego, posądzali niewtajemniczeni różnych autorów (Korzeniowskiego, Malewskiego, Olizara, Piotrowskiego); Kraszewski draśnięty w pierwszym, przypuszczał, że pisał go Placyd Jankowski (John of Dycalp), uznawany wówczas za najznakomitszego humorystę. Napisał więc do niego list z wymówkami (10 grud.), w którym między innemi te zawarł słowa: „Com ci jednak był winien, żeś tak usilnie do mnie i najwyłączniéj do mnie

przylgnął, com ci był winien, że chciałeś mnie tak koniecznie poniżyć? nie rozumiem; przyznaję, że wiele słabych napisałem rzeczy, żem się rozproszył na zbytnią ilość pism i pisemek, ale, mój Szanowny Gerwazy, nie wiész, jaki twój artykuł skutek zrobi na czytelnikach, co w nim będą widzieli więcéj, niż włożyłeś, a może się sumiennie nie godziło tak pisać *pour faire de l'esprit et de l'effet*". Gdy Jankowski ze zdziwieniem przyjął te wymówki i zaprzeczył stanowczo swego autorstwa, wpadł Kraszewski na właściwy domysł, i mając straszny żal do wydawcy „Tygodnika", że go rzucił na pastwę dowcipów Bomby, ze Sztyrmerem utrzymał korespondencyę i w obszernym liście z 14 stycznia 1843 r. adresowanym już nie do Eleonory, jak dawniejsze, ale do Ludwika, bronił potrzeby obfitego pisania u nas, gdzie mało jest utalentowanych, trzeba zaś wyrabiać smak w czytelnikach, a zgadzając się, że krytyka nasza nic nie warta, poszedł daléj, twierdząc, że „żadna krytyka do niczego nie prowadzi". W końcu zapytywał o poufne zdanie co do „Mieszanin" Bejły. Sztyrmer w odpowiedzi napisał „najobszerniejszy" list, jaki kiedykolwiek skréślił, otwarcie przed Kraszewskim spowiadając się ze szczegółów życia swego i swoich przekonań, zdawało mu się bowiem, że otwartością łatwiéj sobie zyska „szacunek" znakomitego pisarza. Mamy w téj spowiedzi i usprawiedliwienie surowego poglądu na piśmiennictwo polskie i powód pisania „listów z Polesia" i przyczynę małéj produkcyjności autorskiéj i zdanie o Rzewuskim. Korzystając z brulionu tego listu, jaki się pomiędzy papierami Sztyrmera znajduje, podam z niego najważniejsze charakterystyczne urywki.

Po wstępie, komplementującym Kraszewskiego, powiada Sztyrmer, że narachował dotąd 24½ przyczyn, dla których nie wypadałoby mu się wdziérać do beletrystycznego piśmiennictwa polskiego, i że jeżeli jeszcze znajdzie brakującą ½, to porzuci nie wyznaczony dla siebie zawód, i tak rzecz tę objaśnia: „Służąc w dwóch miejscach razem, przy wojennym ministrze i w zakładzie naukowym, jestem nad miarę obarczony pracą. Wychodzę z domu o 9, wracam o 7, mam i tu jeszcze robotę, tak, że często nie mogę się nawet z dziećmi popieścić. Rachując sobie za obowiązek śledzić za bieżącą literaturą w kraju i zagranicą, poświęcam połowę nocy. Zajmować się więc pisaniem jest dla mnie prawie niepodobna. Każda powiastka nabawia mnie bólu głowy przez tę bezsenność, do któréj mnie zmusza. Zresztą nie widzę, aby moje pisemka na co się przydały, nie czuję w sobie namaszczenia z natury. Owszem, wolę zawsze czytać jak pisać i tylko wtedy biorę się za pióro, kiedy brak mi lektury. Gust mój jest rozdzielony. Miałem z młodości zamiłowanie do nauk, w których czułem się na si-

łach pracować nie bez korzyści dla ziomków. Schiller i Byron sprowadzili mnie z téj drogi, albo raczéj przymusili mnie iść jednocześnie po dwóch gościńcach, co naturalnie z pracującego w naukach zrobiło tylko czytelnika. Literatury zagraniczne zajęły mnie niezmiernie i odtąd nigdy ich nie porzucałem. Nasza bawiła mnie, ale obok tamtych zdała się zbyt bladą. Czytałem jednak wiele, tylko nigdy nie przychodziła mi do głowy żadna chęć pisania. Późniéj z przyczyn odemnie niezależnych do 1840 roku przez 10 lat nie miałem w ręku polskiéj książki. Po napisaniu Pantofla obudziło się we mnie jakby cudem zamiłowanie ojczystéj literatury i w tém trwam dotąd. Obok pojęć o cudzoziemszczyznie, kocham naszą nie dla jéj zalet, ale jako biédne dziecko wielkiéj rodziny, w którém może się rozwinąć szlachetny, wspaniały, piękny charakter przodków, i dlatego każdy krok postępu niezmiernie mnie cieszy, każda usterka boli niewymownie. Uczucia te dochodzą do jakiejś, może śmiesznéj nawet, egzaltacyi, która tém jest dziwniejszą, że z natury jestem dość zimny, a doświadczenie, na które podobało się Bogu mnie skazać, wyrobiło we mnie wiele umiarkowania. Może téż być, że ta gezaltacya podsyca się smutném przeczuciem, że to dziecko nigdy nie dojdzie do dojrzałości; jakkolwiekbądź, z tego źródła wypłynęły artykuły Bomby. Upewniam Pana mego najuroczyściéj, że Bomba nie myślał bynajmniéj o sprawieniu jakiegoś efektu, nie miał na celu żaden (!) puff, ani zazdrość, ani dowcipkowanie, ani śmieszną zarozumiałość uczenia drugich tego, co lepiéj jak on znają... nic z tego! chciał on tylko zwrócić uwagę ludzi najwięcéj przez siebie poważanych (wszakże o żadnym płaskim pisarzu nie wspomniał?) na kilka usterek, których im najłatwiéj uniknąć, a które dla mniéj utalentowanych i dla niemowlęcéj naszéj publiczności, według jego zdania, mogą być szkodliwe. Nie ufając swoim siłom, ten waryat Bomba czytał brulion swéj elukubracyi poufałym znajomym, a razem poważnym literatom Ż. Kostrowcu (!) i Mikrosowi, rachując na radę życzliwéj przyjaźni i światła. Pochwalili i wydrukowali. Potém wyrzekli się pierwszego przekonania i wystąpili z krytyką. Było mi cokolwiek przykro, że mnie wprzód nie ostrzegli... ale może inaczéj być nie mogło. Nie badając przyczyn takiego fenomenu, miałem tylko za złe Mikrosowi jego przesadzone pochwały, na które najmniéj nie zasługuję i które mogły się nie podobać drugim. Żałowałem także, że tyle widocznych herezyi w moim artykule tak późno poznał nasz poczciwy Kostrowiec; ale podobał mi się uprzejmy ton tych dwóch krytyk. Sądziłem, że takim sposobem i inni wszystkie mylne moje sądzenia, w miłości i pokoju zbiją, a prawdę (!), jeśli się

jaka znajdzie, nie będą mi mieć za złe. Nie spodziewałem się, żeby kto mógł się obrazić, bo w takim razie upewniam, że nie byłbym pisał. Czyniono mi nawet nadzieję, że to nigdy nie nastąpi, albowiem w tych, o których mówiłem, unikając przytém ile możności nazwisk, zamiłowanie literatury jest wyższe nad wszelką osobistość. Słowem, miałem nadzieję, że przynajmniéj cel mego artykułu będzie pojęty, i tego najwięcéj pragnąłem. Na nieszczęście, stało się inaczéj. Do Mikrosa z różnych stron posypały się listy, pełne dowcipkowania o Bombie, o pani Bombinéj, o pińskich błotach i stodole, a krytyki w nich ani słowa; listy bez myśli, bez barwy, bez porządnego sarkazmu nawet. Bezwątpienia nie cieszyło mnie to, ale w owym roju pseudonymów nie wyglądałem niczego światłego. Wtém pod nazwiskiem Protazego Tromby wystąpił 60-letni starzec i literat, dla którego miałem szacunek, i ta siwa głowa wędrując po jednéj z małych dróg [1]), za przykładem innych haftowała także na tle Bomby, Bombinéj, Polesia i stodoły, dodając tylko do swych konceptów radę, żebym odczytał fabułkę: *Vipera et Lima.* Wziął mnie wyraźnie za studencika z rapierkiem. Wkrótce potém przypłynęły 3-arkuszowe listy Tarszy do Mikrosa i Kostrowca. W obydwóch odmawia Bombie wszelkich zdolności, czasami przyznając mu tylko dowcip, rachuje go za szkodliwego intruza, pełnego zarozumiałości, czuje się niezmiernie obrażonym przez Bombę, a szczególniéj przez Mikrosa za to, że go nie bronił, i wyrzeka się nadal wszelkiego udziału w Tygodniku. Zdanie moje o jego zdolnościach nie dotknęło mnie bynajmniéj, bo sam o nich jeszcze mniéj trzymam, ale fałszywe pojęcia o moich pobudkach z téj strony, skąd spodziewałem się sprawiedliwości, było dla mnie prawdziwie bolesném. Lubo nieznajomy, napisałem długi i pokorny list do drażliwego Tarszy, przepraszając go za obrazę i błagając, żeby nie opuszczał Tygodnika. Bo istotnie, w cóż to jedyne nasze pismo krytyczne się obróci, jeśli się od niego odstrychną ci, co go dotąd utrzymywali z powszechnym dla ogółu pożytkiem? Czy godzi się dla jakiegoś ulotnego, może głupiego artykułu, który wydawca przepuścił w celu pokazania bezstronności, o któréj brak oddawna go posądzają, porzucać całe pismo? Czyliż

---

[1]) Sądząc z tego wyrażenia Sztyrmera, możnaby przypuszczać, że owym Pr. Trombą był Kazimierz Bujnicki, autor „Wędrówek po małych drogach" (Wil. 1841); ale on nie miał natenczas lat 60, może Sztyrmer w domyśle swym się mylił, może to był ks. Ant. Moszyński. List ów nie był widocznie drukowany, ten bowiem, który się mieści w Nr. 34 „Tygodnika" z r. 1843 przeniknięty jest uznaniem krytycznych zdolności Gerwazego Bomby.

pożytek całéj publiczności nie należy mieć więcéj na względzie jak swoję osobistość? Sądzę, że gdybym był w tym przypadku, skrytykowałbym artykuł, nie szczędząc Bomby i Mikrosa, ale pomocy swéj nigdybym nie odmówił Tygodnikowi. Nie mam dotąd odpowiedzi od p. Tarszy, ale nie wątpię o tém, że idąc za popędem swego szlachetnego charakteru, a miłując literaturę więcéj jak drobnostkowe względy dziennikarstwa, wróci do dawnych stosunków z Tygodnikiem [1]) Po tylu bolesnych wrażeniach, łatwo Pan pojmiesz, jak miłą dla mnie siurpryzą było niespodziane jego pismo... Zawsze miałem równie głęboki szacunek dla charakteru pańskiego, jak dla jego talentu, ale tym listem zobowiązałeś mnie Pan więcéj, jak mu wyrazić potrafię. Przy tém doświadczeniu, jakiego nabyłem w pewnych cierpkich latach mego życia, widzę wprawdzie z listu Pana, że zostało mu jakieś przekonanie o mojéj zarozumiałości i chęci dowcipkowania, wszakże spodziéwam się, że lepiéj mnie poznawszy, oddasz mi zupełną sprawiedliwość. Jako człowiek, bezwątpienia nie jestem zupełnie wolny od miłości własnéj, ale jako chrześcianin staram się ile możności ją hamować; co się zaś tyczy sarkastyczności, jestto na nieszczęście zbyt zakorzeniona wada, nie mego serca, nie ust nawet,

---

[1]) Nie mylił się Sztyrmer. Grabowski, po wydąsaniu się, dowiedziawszy się, kto był Bomba, na list jego odpowiedział z wielkiém dla talentu Eleonory Sztyrmer uwielbieniem i z uznaniem „ogólnych widoków literackich“ Gerwazego Bomby, zastrzegając sobie tylko odmienne zdanie w szczegółach, oraz co do szkodliwości skutków, jakie krytycyzm jego mógł wywrzéć. Pisał do Sztyrmera 25 lutego 1843: „Upiéram się uważać pociski przezeń rzucone jako wypadek szkodliwy dla sprawy wspólnych naszych usiłowań i troskliwości. Przewidziałem z początku, a odtąd widziałem w skutku następstwa téj niespodzianéj opozycyi. Jeżeli zamiarem pańskim było poprawić pisarzy, chybiło to zupełnie celu, lecz natomiast wywarło ogromny wpływ na czytelników i utwierdziło ich w lekceważeniu stanu obecnéj literatury krajowéj, co choćby było nawet rzeczą słuszną, ale z tém razem jest tak wielkiém nieszczęściem, że sam zapewne cieszyć się z tego nie będziesz. Szczerze panu powiadam, że tylko przekonanie, iż jako pisarz naprawisz to, coś zepsuł jako krytyk, umiarkowało moję żałość. Ta zaś ostatnia nadzieja nie jest bez zasady. W okresie żywotnym literatury (w takowym zda mi się literatura polska) pokolenia literackie prześcigają się: to, które schodzi w dobie bliższéj zenitu, okazuje nad poprzedniém znamiona dojrzałości i potęgi; Pan przychodzisz po mnie, po Kraszewskim, po wielu innych; niedarmo masz w umyśle pojęcie i żądzę czegoś wyższego; znać też na panu inny duch, inne zakroje, a co do mnie, nie wystawisz sobie pan, z jak mocném i bezinteresowném upragnieniem życzę panu największych i najświetniejszych powodzeń, któreby nas w cień zapędziły“. Uprzedzał przytém, że pomieści w „Tygodniku“ replikę na poglądy Bomby. Replika ta, w któréj prócz sprostowań sądów poszczególnych, zarzucił Sztyrmerowi „zastałość“, nieznajomość spółczesnéj literatury, domaganie się rzeczy albo niemożliwych albo nie mających rzetelnéj wartości, wyszła w N. 31 „Tygodnika“ z r. 1843.

ale pióra. Listy, które pisałem kiedyś do kochanki, a dziś żony, nie były wolne od dowcipkowania, bo im więcéj kogo kocham, tém większéj pragnę w nim doskonałości".

Przechodząc następnie do odpowiedzi na pytanie Kraszewskiego o „Mieszaniny" Jarosza Bejły, wyraża o nich sąd surowy. „Rzecz pewna — powiada — że Bejła ma głowę potężną, trudno temu zaprzeczyć, ale zdaje mi się, że szatan wykradł mu serce z piersi, bo najmniejszego śladu uczucia w nim nie widzę. Serce zaś tak jest potrzebném człowiekowi, że bez niego z najlepszą nawet głową musi wpadać w paradoksa i miéć do nich pociąg. Ten brak szlachetnego uczucia, to skrzywienie serca, ile mi się zdaje, były główną przyczyną wszystkich bredni Woltera z całą Comp. XVIII wieku. Bejła zanadto rozsądny, żeby wznawiać te kwestye, zresztą widać, że dziś nawet dla efektu lepiéj w naszym kraju bronić wiary, jak na nią napadać; zrobił się więc nieproszonym apostołem i pod płaszczykiem religii swobodnie łamie wszystko, na co drudzy patrzą z szacunkiem lub co kochają od wieków. Religia nie potrzebuje takich apostołów, a naród nigdy nie uczuje sympatyi do takich dzieł, jak Mieszaniny. Po przeczytaniu téj książki zostało mi najnieprzyjemniejsze wrażenie. Bezwątpienia jest w niéj wiele pięknych myśli, ale mało nowego, a złego co niemiara; i to złe staje się jeszcze haniebniejszém przez wzgląd na nas i okoliczności, w których napisane. O, dlaczegoż nie umarł po napisaniu Soplicy? Kochalibyśmy go wszyscy, bo któż lepiéj od niego odsłonił nam obyczajową przeszłość przodków, z taką historyczną prawdą, z tak nieporównanym talentem ożywienia obrazu i oświetlenia go wszystkiemi przymiotami dawnéj naszéj narodowości? Nawet w tym nowym tomie Mieszanin tam, gdzie bez faryzeuszostwa mówi o religii, gdzie ją porównywa z nauką, i przedstawia jako jedyne *criterium* prawdy, niepodobna być obojętnym na głębokość pomysłu, żywotność geniuszu i jasność wykładu, chociaż widać, że wiele bardzo korzystał z Lamennais, od którego pożyczył nietylko zasadę rozumowania, ale nawet główniejsze dowody. Artykuł wstępny wyborny, przeciwnie cała ta apologia arystokracyi oburza mnie niesłychanie. W bezecnym swoim dopisku nie powstydził się powiedziéć, że dla narodu dość, kiedy ma co jeść i kiedy ludność się powiększa! Czémże się naród różni od nierogacizny zamkniętéj w chlewie? Panegiryki wojska, prerogatyw szlacheckich, arystokratycznéj przyzwoitości, ten nikczemny, jak nazywa, plebeizm i t. d. widzę najgorzéj. Obstaje za tém, co mu zarzucano względem nieludzkiéj maksymy, że pieniędzmi można wynagrodzić obelgę prostakowi lepiéj jak pojedynkiem — bez wątpienia, ale za-

pomniał, że lepiéj jeszcze postąpić jak każe religia, t. j. przeprosić! Powtarzam, że cały ten rozdział haniebny... Jestto cokolwiek podle chwytać każdą myśl za ogon i wykręcać ją ku biegunowi. Zdanie o nagle zjawionéj literaturze, jakkolwiek oparte na kilku historycznych faktach, nie trafia do mego przekonania. Jestto mistycyzm, którego dziś nie godziło się wypuszczać, bo i bez tego naród pełen jest smutnych przeczuć. Rozdział o pojedynkach, z początku słaby, student mógłby coś nowszego i lepszego napisać, potém haniebny. Powiada, że pojedynki wyrodziły się z idei, że Bóg sprzyja dobréj sprawie, że kościół je tolerował i t. d. Kłamstwo wierutne! Kościół je zawsze potępiał, lecz powstawał stopniowo przeciw nim, póki zupełnie nie zabronił... W rozdziale o wolności pochwycił myśl, że gdzie jest duch boży, tam jest i wolność i najszkaradniéj jéj nadużył. Żaden człowiek z czuciem zdań jego nie podzieli“...

W końcu wracając do przedmiotu, który korespondencyę wywołał, Sztyrmer odwoływał się do szlachetności Kraszewskiego, prosząc go, żeby „Tygodnika“ nie opuszczał. „Chciałbym—pisze—żeby Bomba nie był przyczyną upadku Tygodnika w opinii publicznéj i przyznam się Panu, że każdy słaby artykuł zjawiający się teraz w jego kolumnach napawa mnie zgryzotą. Bez Pana i bez Tarszy pismo to obejść się nie może; wypadałoby Panom dać drugim przykład. Jeżeli chodzi o Bombę, przyrzekam odtąd nie pisać żadnéj krytyki i tém łatwiéj tego dotrzymam, że istotnie nie mam chwili wolnego czasu... Gdyby nie poczciwy ks. Ignacy (Hołowiński) ,porzuciłbym dawno drogę autorską, ale mąci mi rozum, durzy i namawia, a wskutek tego, choć mnie to wielce kosztuje, piszę jednak. Moim dzieciom przynajmniéj może się to przydać, choć na pamiątkę po ojcu!“

Zachowaniem się swojém wobec obrażonych krytyką Gerwazego Bomby, potrafił Sztyrmer w części przynajmniéj cel zamierzony osiągnąć t. j. nie dopuścić rozbicia się koteryi Tygodnikowéj i zachować powierzchownie przynajmniéj, jak najlepsze porozumienie z Kraszewskim i Grabowskim. Nie powściągnął jednakże swego pióra w wystąpieniach publicznych; tak, że w nowych „Listach z Polesia“ nie darował ani jednemu objawowi, który za mylny lub słaby poczytywał. Nawet z najmilszym sobie, najprzyjaźniejszym i najpoufalszym ks. Hołowińskim, który był częstym u niego gościem lub sam go u siebie przyjmował, stoczył Sztyrmer polemikę o szukanie szlachetnéj sławy na ziemi („Tyg. Pet.“ 1842, N. 98, 100). Bychowcowi Józefowi przekładał, że w wywodach swoich nie wychodzi z istotnych zasad wiary chrześciańskiéj (tamże r. 1843 NN. 20—23), kobietom zamiast filozofii zalecał matematykę i astronomię (tamże N. 29, 30), a w artykule o „literaturze

szpargalikowéj“ t. j. o zagęszczonych wtedy noworocznikach, nanowo dotknął boleśnie Kraszewskiego (tamże N. 60—64), podniósł natomiast wysoko talent poetyczny Aleksandra Grozy (tamże N. 96—99). Z końcem r. 1843 przestał pisać swe artykuły krytyczne, widząc, że dawniejsi stali spółpracownicy, Kraszewski i Grabowski, pomimo zapewnień, że nie mają żalu ani do Bomby ani do „Tygodnika“, co raz rzadziéj przecież zasilali kolumny czasopisma artykułami swojemi, zostawiając pole popisu dla Bomby i Kostrowca. Ażeby więc przywrócić poprzednią harmonią wśród współpracowników, wolał sam się usunąć z widowni publicystycznéj i zasilać „Tygodnik“ tylko powieściami.

XII. Powieści mistyczne (1844—1846).

W twórczości swéj powieściowéj starał się Sztyrmer wprowadzić pewne urozmaicenie. Zarzucano mu nadmiar sarkazmu, brak uczucia, przy ciągłém zalecaniu uczuciowego nastroju a potępianiu suchego racyonalizmu; chciał więc okazać, że nie jest „jednostrunnym instrumentem“ i postanowił posłużyć się malowaniem namiętności i fantastyczności. Już poprzednio, mianowicie we „Frenofagiuszu“ alegorya stykała się ze światem fantastycznym, teraz miał świat ten zapanować w całości utworów. Studya swoje magnetyczne w tym czasie pogłębił, czytając dzieła Deleuz'a, Dupotet'a, Teste'a, Ennemosera; praktycznie nawet sam leczeniem magnetyczném się zajmował (w roku 1841 leczył panią Chlebowską, o czém spisywał po francusku dzienniczek). Idąc za wzorem Hoffmana, napisał „Czarne oczy“, drukowane w początkowych numerach „Tyg. Pet.“ z r. 1844. Mamy tu do czynienia z całkiem nieziemskiemi stosunkami, z cudownemi snami i przepowiedniami, które się sprawdzają, z nadprzyrodzonemi sympatyami, wiążącemi z sobą ludzi przedtém zgoła sobie nieznanych. O portret pięknéj kobiéty z czarnemi oczyma ubiegają się na licytacyi dwaj amatorowie: oryginał Chryzanty D e w i l s k i, którego nazwisko pokazuje bliski stosunek z szatańśtwem, i pan pułkownik Miecznikowski. Chryzanty zwyciężył i tak się w czarnych oczach zakochał, że marzył tylko o wzięciu ślubu z niemi, choć do umarłéj należały. Ślub ten wziął we śnie, a niebawem na jawie ujrzał żywą, bardzo do portretu podobną pannę, siostrę właśnie téj, któréj wizerunek tak go oczarował. Ożenił się z nią, a Rózia, przyjaciółka, którą poprzednio Chryzanty rozkochał, zmarła z rozpaczy. Powieść ta dziwiła nadzwyczajnością, pociągała żywością obrobienia, dowcipem, sytuacyami niespodziewanemi. Po przeczytaniu mówiło się sobie: baśń to, ale zajmująca.

Lecz Sztyrmerowi o samą zabawę nie chodziło; chciał on wywołać głębsze wrażenie i ten świat mistyczny, z którego wziął swe opowiadanie o czarnych oczach, [przeciwstawić światu rzeczywistemu, dla nauki i przestrogi.] Z tego zamiaru wynikła dwutomowa powieść p. t. „Kataleptyk“ ogłoszona r. 1846.

O dziwnym utworze tym, tak pisał w styczniu 1845 roku, odpowiadając Eleonorze Ziemięckiéj, która go prosiła o spółpracownictwo w jéj „Pielgrzymie“: „Od roku nic nie napisałem, bo prawdziwie nie mam czasu; teraz piszę nowe dziełko, które nazwę Światłocienie ducha i serca; będzie to zbiór trzech szkiców, stanowiących jedną całość, może nawet powieść. Jeden z tych szkiców zawiérać będzie Żyda wiecznego. Wątpię, żebym tę robotę mógł wcześniéj skończyć jak w maju. Co będzie warte, nie wiem, bo sam o tém nie decyduję, a ks. Żegocie i Mikrosowi, jako przychylnym mi przyjaciołom, zupełnie nie wierzę. Chciałbym szczerze przysłużyć się Pielgrzymowi, ale mając już zajęcie do maja, a czasu nie więcéj jak kilka godzin co tydzień, nie widzę innego sposobu zadośćuczynienia żądaniu Pani, jak napisać dla niéj osobną powiastkę latem (t. j. w peryodzie od czerwca do września), albo téż po skończeniu Żyda, udzielić Pielgrzymowi mały wyjątek z tego szkicu“.

Ani jedno ani drugie się nie spełniło, tak, że Pielgrzym nie otrzymał wcale żadnego artykułu Sztyrmera; owe zaś Światłocienie, ducha i serca wyszły odrazu w książkowéj formie p. n. Kataleptyk. Z góry wyznać potrzeba, że była to rzecz poroniona.

Artystycznie, jest to zbiór pozszywanych uwag, myśli i opowiadań, mających na celu przedstawienie zjawisk życia duchowego, uwolnionego na chwilę od więzów materyi. Autor widocznie sam nie doszedł wcale do stanowczego zdania o naturze tych zjawisk, t. j. nie wiedział napewno, czy je brać jedynie za podmiotowe, czy téż i za przedmiotowe; i dlatego w tym nieokreślonym charakterze cały swój utwór utrzymał, już to dając do poznania, że to marzenia tylko kataleptyka Floryana, lub nerwowéj Anieli Krzyżowieckiéj, któréj ród od Żyda tułacza miał pochodzić, już to napomykając, że zjawienia nadnaturalne mogły się ukazać w rzeczywistości np. widzenie w dzień Zaduszny orszaku zmarłych, przyjmujących ofiarę osoby podobnéj do Anieli, widzenie, które miał na jawie Seweryn, syn dzierżawcy Krzyżowieckiego, „mocny duch“, polujący w dzień Wszystkich Świętych. Że niepewność autora w tych kwestyach była istotna, dowodzi, prócz sposobu opowiadania, wyraźne przyznanie się w końcu powieści: „Czytelnik może pomyśli, że autorowi należałoby być szczerszym od pana Rafała (Krzyżowieckiego, który zapytany o wyjaśnienie tajemnicy odpowiedział, że są takie kwestye, jakich żadna ludzka „replika“ nie

wyjaśni, a przeto lepiéj w takie rzeczy rozumem się nie zaciekać) i w końcu powieści wyjaśnić wszystkie jéj tajemnice? Chętniebyśmy to uczynili, gdyby to było w naszéj mocy; lecz niestety! oprócz tego, cośmy powiedzieli, nic więcéj nie wiemy“ („Kataleptyk“ II, 227). Figura bohatera głównego, Floryana-wizyonera, utrzymana dobrze w swym charakterze refleksyjnym; figura jego przyjaciela Maurycego, żartobliwego światowca, który chwyta wiadomości w rozmowie z ludźmi ukształconymi, aby je potém zużytkować w salonie, z początku jest zręcznie i dowcipnie przedstawiona, potém staje się drewnianą, gdy wyrzuca z siebie tylko pewne pytania lub zapewnienia na to, ażeby wywołać objaśnienie od Floryana. Aniela, eteryczna prawie marzycielka, kochająca Floryana, pozostawiona została w cieniu.

Taki jest charakter pierwszego oddziału „Kataleptyka“ p. n. Życie dwóch światów. Daje się on czytać z pewném zajęciem; niektóre ustępy są świetne. Podobno w zarysach dotykających muzyki, pomocą Sztyrmerowi był znany i głośny natenczas artysta Wiktor Każyński.

Oddział drugi p. n. Życie wyjątkowe wyprowadza na scenę Żyda wiecznego tułacza, postać, jak wiemy, oddawna już Sztyrmerowi ulubioną, a która w czasach pisania „Kataleptyka“ w literaturze francuskiéj, pod piórem Eug. Sue i Edgara Quinet, tak świetne i nowe przybrała kształty, służąc do wyrażenia idei postępowych. Sztyrmer użył jéj w „Kataleptyku“ najniefortunniéj i wbrew własnéj zasadzie wypowiedzianéj w drugim liście z Polesia („Tyg. peters.“ 1842, N. 92), przedstawiwszy ją naprzód na posiedzeniu „Biblioteki Warszawskiéj“ celem odpłacenia się za krytykę powieści swoich — do wypowiedzenia konserwatywnych poglądów. W bardzo długiéj rozprawie Żyda Tułacza wyróżnić należy dwa ustępy: jeden — o niedostateczności wiedzy spółczesnéj, drugi o wędrówkach jego po świecie dziejowym. W pierwszym nie potępia wprawdzie autor stanowczo rozumu i wiedzy, ale stara się udowodnić, że wobec bardzo małych postępów, jakich dokonała nauka, wobec mnóstwa tajemnic przez nią nieobjaśnionych, lepiéj daleko trzymać się wiary; wskazówki, coby odkryć czy coby uznać należało (jedność sił w naturze i t. p.) dowodzą, że autor nie posiadający gruntownego i metodycznego wykształcenia, czytał jednak dużo w rozmaitych dziedzinach i rozmyślał nad osiągniętemi rezultatami. W drugim ustępie, gdzie przedstawione zostały dzieje XIV wieków cywilizacyi chrześciańskiéj, nie ma ani malowniczości w obrazie klęsk narodu żydowskiego (zburzenie Jerozolimy, powstanie Bar-Kochby), ani głębokości w poglądzie na losy państw starożytnych; a w przedstawieniu życia Krzyżaków i w opisie bitwy pod

Grunwaldem — pospolitość. Kabała żydowska, pisma Ennemosera, wogóle wiadomości o magnetyzmie są dość szczegółowo przez autora rozpoznane, ale bystrości w ocenie materyałów i świetności analizy bynajmniéj nie rozwinął.

W trzecim wreszcie oddziale p. n. Jad we krwi jest historya rodu Krzyżowieckich przepełniona zbrodniami i cudownością. Teorya dziedziczności była tu niewątpliwie myślą przewodnią, lecz nie umiał jéj autor pogłębić; odmalowani przezeń ludzie są źli, lecz filiacye ich usposobień i charakterów nie są wykazane. Grzegorz Krzyżowiecki uwodzi własną siostrę Magdusię, zamienioną przez mamkę z dzieckiem pańskiém; po haniebnéj śmierci Magdusi żeni się z Dorotą Lacką, tyranizuje ją, czém zmusza do ucieczki, w pojedynku z jéj bratem ginie. Rygobert Krzyżowiecki, ożeniwszy się z Jadwigą Starowiejską, niecierpliwością i gwałtownością czyni ją nieszczęśliwą; a gdy jego „zalotność“ zaprowadziła go do ślubu ze zmarłą przed wiekiem księżniczką, która także zalotnością grzeszyła, wpadł w obłąkanie. Fulgenty Krzyżowiecki zbudował sobie, przy pomocy architekta Pandolfiniego, pałacyk z tajemniczemi skrytkami do podsłuchiwania i łapania kochanków; schwytawszy na niewinnéj schadzce dawnego przyjaciela dzieciństwa swéj żony, wtrącił go do lochu wraz z psem: nieszczęśliwy, pogryziony przez towarzysza, zjada go następnie i ginie wreszcie z głodu, żona Fulgentego, Joana d'Avalanche, umiéra; a on sam w najokropniejszych męczarniach kończy życie. Wreszcie dla dowiedzenia, że można jad we krwi zneutralizować, opowiedziana została historya syna Magdusi Szymczaka, który oddał się dyablu, ażeby mógł celnie strzelać, a pokochany przez ubogą dziewczynę nawrócił się i żył uczciwie. Jak widać już z tego suchego streszczenia, jest w téj historyi rodu Krzyżowieckich dużo drażniących, efektownych pierwiastków; a jednak ich wprowadzenie nie wywiéra wcale silnego wrażenia, autor bowiem raczéj jako sprawozdawca, niż jako artysta tu występuje.

„Kataleptyk“ stanowczo zaszkodził sławie autorskiéj Sztyrmera. O ile dawniéj wielbiono jego oryginalność, świeżość pomysłów, dowcip, głębokość spostrzeżeń, o tyle po wydaniu „Kataleptyka“, zaczęto wytykać „ubóstwo wyobraźni i dowcipu“, „tandetną erudycyę“, „fałsz w sztuce“ (Józef Bohdan Dziekoński w „Dzwonie literackim“ 1846, t. II, 325—330); zaczęto w pismach jego widzieć „szumowiny prawdy tylko“, rozwiązywanie ważnych zagadnień „fantastycznie“, jak robi „każdy umysł niedojrzały, lub mniéjwięcéj zwichnięty wpływami, których czasem nawet dostrzedz, a témbardziéj ocenić nie zdoła“ (bezimienny w „Przeglądzie Naukowym“ 1846, t. IV, 890—

893). „Tygodnik Petersburski“ nie pomieścił o „Kataleptyku“ żadnego sprawozdania; zachowawczy „Przegląd Poznański“ wytykał Sztyrmerowi naśladownictwo Hoffmana, Souliégo, Balzaka, Quineta, Kernera i Krasińskiego w „Irydyonie“; o całości wyraził się wogóle nieprzychylnie i z żalem, że autor marnuje talent prawdziwy i „silny umysł“ (1847, t. V, str. 171—190). Pisma postępowe napadały gwałtownie na wsteczną dążność utworu, propagującego lekceważenie rozumu i katalepsyę duchową. Najpoważniéj, a zarazem najdosadniéj przemówił Aleksander Tyszyński „Bibliotece Warszawskiéj“ (zeszyt grudn. str. 613—623). Wychodził on w ocenie poglądów i dążności Sztyrmera ze stanowiska ściśle chrześciańskiego, religijnego, ale dowodził przytoczeniami z Pisma Św. i Ojców kościoła, że religia bynajmniéj nie żąda wyrzeczenia się uprawy rozumu i bynajmniéj nie zasadza cnoty na bierności duchowéj, lecz na działaniu. „Cnota ewangeliczna — pisał Tyszyński — nie jest bezczynność, ale jest czynność. Cnota ewangeliczna to miłość, to przynoszenie owoców setnych i sześćdziesiątych, to uprawianie darów od Boga nam udzielonych. Głównym darem, który otrzymuje człowiek na ziemi, jest bezwątpienia rozum. Wszelka zmiana, która się dzieje wśród ludzi, dzieje się przez duch ludzi. Ten rozum to duch-narzędzie i duch-kierownik. To duch-kierownik człowieka, to duch-kierownik ludzkości... Świat jest walką prawdy i fałszu, lecz go poczęła prawda i wygra prawda. D z i a ł a ć to cel przyśpieszać; to wiek wygranéj przybliżać. Wiek ów oderwanie nie przyjdzie, nagle nie spłynie, ale się niepostrzeżenie i harmonijnie z d u c h a l u d z k i e g o wywinie“. Oceniając zaś talent Sztyrmera pod względem artystycznym, przyznał Tyszyński wielkie zalety jedynie „Pantoflowi“; dalsze zaś utwory jéj za znacznie słabsze poczytał. „W powiastkach tych — powiada — puściła się p-i Sztyrmer na określenie miliona charakterów, których poznania nie przetrawiła; miliona położeń, którym niemiała czasu dać równych spadków; używa za ramy fantazyi, w którą sama nie wierzy; objawia w nauczaniach zasady, których sama nie łączy i nie daje nam w żadnéj: całości do przechowania! W powieściach tych nieraz wprawdzie napotkać możemy kartkę zdolności, nieraz postrzeżenie trafne, myśl własną; powieści te mogą nawet mieć swoją (i z więcéj odznaczonych) publiczność; wszakże nie potrzeba, sądzimy, być zbyt wielkim prorokiem i matematykiem, aby porachować dni ich trwania“.

Krytyki te, spowodowane „Kataleptykiem“, o tyle oddziałały na Sztyrmera, że dał pokój jaskrawym objawom mistycznym i że poglądy swoje na stosunek rozumu do wiary zatrzymał dla siebie i zaczął poszukiwać nowéj formy dla zużytkowania swoich pomysłów i dla okazania w dalszym ciągu, że nie jest „instrumentem jednostrunnym“.

XIII. Powieści feljetonowe (1847/8—1857).

Chciał Sztyrmer pokazać wbrew krytykom „Kataleptyka“, którzy mu między innemi i nudne traktowanie rzeczy zarzucali, że potrafi napisać powieść zajmującą z wypadków życia zwykłego, ziemskiego wysnutą, a rozwiniętą lekko, bez dydaktyki. Jakoż w r. 1847 zaczęło wychodzić w „Tygodniku Petersburskim“ opowiadanie jego p. n. „Światło i Cienie“, od pierwszego zaraz rozdziału interesujące, widocznie według wzorów francuskich naówczas najpopularniejszych pomyślane i na misternie zadzierzgniętéj intrydze oparte. Opowiadanie to nie było ukończoném w rękopiśmie, kiedy się drukować zaczęło; i w tém nawet miało podobieństwo do feljetonowych romansów francuskich. Druk musiał być przerwany; autor widocznie nie miał dość swobodnego czasu do ukończenia swego dzieła; wydawca zaś naglił; potrzeba było jako tako je zaokrąglić; lecz stało się to dopiéro w r. 1848. Łatwo stąd wnieść, że obrobienie powieści nie jest równomierne. Rzecz cała składa się z trzech epizodów, ścisłemi datami opatrzonych, p. t. „Kutno 1805“, „Rozalin 1809“ i „Warszawa 1812“. Ktoby jednak z tych dat wnosił, że znajdzie w powieści obrazy czasów pruskich i Księstwa Warszawskiego, omyliłby się mocno; wypadki historyczne owéj doby są wprawdzie wzmiankowane, niektóre, jak np. kampania r. 1809 nawet opowiedziane, lecz sucho, po kronikarsku; a zresztą służą jedynie za blado nakreślone tło, na którém występuje treść całkiem nie mająca cech dziejowych. Z początku poznajemy Ludwika Rawicza, młodzieńca nadzwyczajnéj piękności i silnych zasad moralnych, wesołego, dowcipnego i mającego szalone szczęście do kobiét. W Warszawie aktorka Włoszka z miłości dla niego otruła się i zapisała mu 20,000 „*talerów*“; on je atoli odrzucił i ażeby się uwolnić od plotek i zapytań, usunął się na wieś; w drodze obecnością swoją przy grze starego Łaszcza sprawił, że ten odegrał się; ponieważ tymczasem dyliżans odjechał, musiał piechotą iść do Kutna i tu dowcipem, konceptami, umiejętném znalezieniem się, zawrócił głowę matadorom miasteczka, a szczególniéj Kasi, córce burmistrza i 12-letniéj Helenie Kostyńskiéj, która pozostawała pod jego magnetycznym wpływem, chorowała, gdy go nie widziała, odzyskiwała zaś zdrowie w jego przytomności, a któréj on z amatorstwa dawał lekcye. Potém na długi czas Rawicz znika z powieści, bijąc się w Hiszpanii; na pierwszy plan wychodzi Ewa Łobzowska, młoda, lecz wcześnie rozwinięta stosunkami na pensyi i czytaniem romansów, bez zasad religijnych, samolubna kokietka, zręczna, dowcipna, energiczna, przebiegła i przewrotna, która chcąc postawić na swojém

i wyjść wbrew woli rodziców za Walerego Prądnickiego, udaje chorobę, wiąże ze swą sprawą nikczemnego przechrztę dra Notkiewicza, dostaje od niego opium i urządza wszystko do ucieczki z domu; ale nieprzewidziany wypadek psuje jéj szyki. Walery, wyczekując przed domem na słocie i zimnie, widząc przez szklane drzwi, że w pokoju Ewy znajduje się polėwka winna, którą dawała pomieszaną z opium matce i służącéj, pociągnięty niepokonanym apetytem, poskoczył, wypił spory haust polewki i wpadł w sen, zakończony śmiercią, gdy go Ewa dla tymczasowego ukrycia w kufrze zamknęła... Mając trupa w swoim pokoju, wezwała przewrotna kobiéta swego młodziutkiego wielbiciela, Stanisława Łaszcza, by wyciągnął nieszczęśliwego kochanka z jéj komnaty i pogrzebał. Zrobił to młodzian, ale stał się dla Ewy niewygodnym. Gdy tedy razu pewnego wraz z kilku towarzyszami łowów, zabawiał się w karczmie, posłała mu butelkę wina z opium i karczmę następnie podpaliła. Wszyscy znajdujący się w oberży zgorzeli; Stanisław się atoli uratował, ale zabrany został przez wojsko austryackie, potém wszedł do legionów i podobnie jak Rawicz znika nadługo w powieści. Ewa, przekonawszy się, że jéj majątek równa się zeru, zgodziła się wyjść za wyżytego egoistę hr. Olborskiego, eleganta powtarzającego często swoje *piu!* dowcipnego, zepsutego, który zawiódłszy się w młodych latach we Francyi na gorącéj miłości, traktował kobiéty jako środek zabawy, nie wierząc w ich cnotę. Bohaterka chciała się poprawić, być dobrą żoną, starała się wynagrodzić krzywdy dawniéj poczynione; ale gdy niebawem mąż porzucił ją obojętnie i szukał rozrywek po za domem, zaczęła i ona praktykować miłostki, wznowiła przymierze z dr. Notkiewiczem, który podmówiwszy niejakiego Kubę do zabicia przejezdnego szlachcica w Kutnie i przy podziale zdobyczy ukrzywdziwszy spólnika, przeniósł się do Warszawy, wyrobił sobie liczną klientelę, wdał się w stosunki z fałszerzami monety francuskiéj, w Berdyczowie robionéj, a w Warszawie przez żydów w kurs puszczanéj. Wówczas to zjawił się napowrót Ludwik i pociągnięty urokiem Ewy, pokochał ją, lecz wkrótce potém wrócił do Heleny Kostyńskiéj i naraz odczuwał dwie miłości, nie wiedząc, która prawdziwsza i większa. Ostrzeżony przez Stanisława Łaszcza, z którym się w legionach zapoznał, zerwał z występną Ewą. Ta przygotowała zemstę; przy pomocy Notkiewicza i Kuby porwała Helenę i do jaskini zbójców i rabusiów na Solcu wpakowała, przyczém Łaszcz, stawający w obronie, o mało nie zginął. Skruszony i żałujący Kuba dał możność Ludwikowi i Stanisławowi oswobodzenia Heleny, oni téż wyjaśniwszy szkarady Ewy, spowodowali ją do otrucia się; Notkiewicz i Kuba zostali powieszeni.

Słowem, w powieści téj nie brak motywów sensacyjnych; nie brak też dowodów dowcipu i sprytu kombinacyjnego, ale brak wprawy w układzie, brak proporcyonalności w obrobieniu części, brak pogłębienia psychologicznego. Charaktery nie rozwijają się tutaj przed oczyma czytelnika, ale są już gotowe odrazu; subtelności w ich analizie nie ma; pozostawienie zaś trupa w pokoju Ewy przez cały tom drugi i podanie wyjaśnienia, jak został sprzątnięty, dopiéro w końcu powieści, jest wielką powieściopisarską niezręcznością. Akcya postępuje żywo; wypadki są dość zajmujące; ale kompozycya wadliwa; a prawdopodobieństwo wśród naszych stosunków niezbyt wielkie. Postaci poczciwe (stryjostwo Rawicza, matka Heleny, Łukasz Łaszcz i jego żona) są małoznaczące, albo krótko zbywane, niekiedy kreślone rysami, zapożyczonemi od Henryka Rzewuskiego; złe zaś (Ewa, Notkiewicz)— szeroko i szczegółowo traktowane. Niektóre między niemi rozmowy są wyborne, ale wydają się z romansów francuskich wziętemi, a w każdym razie nie z obserwacyi.

Tendencya utworu jest w gruncie taż sama, jaką Sztyrmer w kilku poprzednich powieściach przeprowadzał, t. j. zwrócenie myśli i uczuć na drogę religijną, ale środki tu są inne. Nie przez potępianie rozumu, lecz przez wykazanie, że namiętność puszczona samopas i zasadami religijnemi niekrępowana, ciągnie za sobą grzéch po grzechu i wikła w sieć zbrodni, dowodzi autor potrzeby religii. Religia ta, jak dawniéj tak i tu, przedstawiona głównie ze strony formalnéj; łączy się z nią wiara w przeczucia, we wpływy magnetyzmu duchowego, w znachorów. Jakkolwiek autor chwali, na podobieństwo Rzewuskiego i Grabowskiego, karność rodziny staropolskiéj i wątpi o znaczeniu nauki pod względem moralności, uznaje przecież potrzebę wiedzy w wychowaniu, a i kobiétom zaleca dość obszerny zakres wiadomości nabywanych w sposób praktyczny, okazowy, w rozmowach. Rewolucyę francuską potępia bezwzględnie, a niedowiarstwo i filozofizm niżéj stawia od wiary w gusła i baśnie. Opowiadając np. facecye Ludwika o gryfach, nie znoszących jaj, które miał chować na dworze swoim Radziwiłł Panie Kochanku, dodaje prawie zupełnie tak, jakby to zrobił Henryk Rzewuski: „wolę domysły o gryfach, niż gładkie i uczone rozprawy w salonach warszawskich, gdzie roztrząsają, czy dusza istotnie nieśmiertelna, albo czy potrzeba modlić się do Boga, kiedy Bóg wié wszystkie nasze myśli i potrzeby, gdzie się natrząsają z wiary i kapłanów, z najświętszych uczuć i najpierwszych obowiązków społecznych“ („Światło i cienie“, t. I, 94).

Powieść ta nie miała wielkiego rozgłosu, jakkolwiek była zapewne czytana więcéj aniżeli poprzednie, a zwłaszcza „Kataleptyk“; kry-

tyka zachowała się względem niéj dość obojętnie; obszerniejsza recenzya pojawiła się tylko w „Bibliotece Warszawskiéj“ (1849, t. IV, 590—604), gdzie Jan Ryszard Szymański, oddawszy wielkie pochwały części 1-éj, potępił dwie dalsze i powiedział: „Dziwimy się i ubolewamy, że tyle zasobów talentu zmarnowano na tak szkaradne opisy, a dziwimy się jeszcze więcéj téj cierpliwości, z jaką anatomista rozbiéra zgniłego i zaraźliwego trupa i pokazuje go widzom wówczas, kiedy ten w ohydzie powinien nazawsze pozostać w głębi ziemi ukrytym.“

Przez lat dziewięć po ogłoszeniu „Światła i cieni“ Sztyrmer milczał, oddany zapewne całkowicie obowiązkom swego stanu i wychowaniu dorastających dzieci: dwu synów i dwu córek. Przeszły wielkie wypadki europejskie: rewolucya lutowa, wojna krymska i kończący ją pokój paryski. Z nowém panowaniem cesarza Aleksandra II-go, ożywiły się w Petersburgu i w Rosyi w ogóle dyskusye o wielkich zadaniach społecznych. Jakie w obec tego ruchu zachował stanowisko Sztyrmer, nie wiadomo. Jeden z ówczesnych studentów uniwersytetu petersburskiego, Adam Niemirowski, w nekrologu („Kurjer Warszawski“, 1886, N. 160*b*) zapewnia, że Sztyrmer „z młodzieżą uniwersytecką w Petersburgu chętnie przestawał, a jako encyklopedya żywa dawnéj epoki przez wszystkich był widziany życzliwie.“ Z wydawcą „Tygod. Petersburskiego“, Przecławskim, zachowywał niewątpliwie Sztyrmer stosunki dawniejsze, ale do jego czasopisma, coraz nędzniejszego pod względem literackim, artykułów swoich zgoła nie dawał. Dopiéro na wezwanie redakcyi warszawskiéj „Kroniki wiadomości krajowych i zagranicznych“, uwydatniającéj swoje stanowisko katolickie, przygotował dla niéj ostatni swój utwór polski „Noc bezsenna“ (w 3 tomach), który się zaczął w tém piśmie drukować pod koniec r. 1857, a przeciągnął przez znaczną część następnego.

Wpływ czasu odbił się na tym utworze dodatnio w nastroju. Poprzednio Sztyrmer głosił teoretycznie ciągle potrzebę uczucia, ale w samych utworach zazwyczaj widniała wielka oschłość serca. Wzruszenia rodzicielskie, oddalenie od kraju, może nieznane nam jakieś bliżéj stosunki oddziałały na chłodne jego usposobienie, stępiły ostrze sarkazmu, wszczepiły nieco łagodności, a nawet rzewności w jego serce. W „Nocy bezsennéj“ Sztyrmer kocha Mazowsze, ciągle o niém mówi, troszczy się o nie, więc téż nietylko cnoty, ale wady jego wystawia, mianowicie: gadulstwo, zaciętość, nużenie się pracą umysłową, brak wytrwałości, miękkość charakterów. Ceni zdrowy rozsądek chłopa Mazura; dlatego w rozmyślaniach swoich często szuka światła u swego lokaja Jacka, który widzi rozum przedewszystkiém w sile, uczy go zaś

wielkiéj cnoty wyrozumiałości, gdy bal u p. referendarza spać im nie dawał. „Ludzie na Mazowszu—powiada — mają tak dziwną naturę, że albo nogi, albo ręce, albo żołądek, albo jakaś inna część ciała zawsze głowie przeszkadza i dlatego najmniéj myślą o najważniejszych przedmiotach. Może to samo się dzieje i gdzieindziéj; ale wszystkie inne prowincye, narody i państwa mało mnie obchodzą. Życzę im szczęścia i o nic się nie troszczę. Serce rwie się do swoich i umysł marzy tylko o ich pomyślności... Na naszéj biédnéj ziemi jedna tylko miłość wszystko wzajemnie zbliża, łączy i skupia; bez niéj wszystkoby się rozprzęgło i rozpadło“ („Noc bezsenna“, I, 34, 30). „Przyrodzenie— mówi gdzieindziéj (I, 170) — skrapia tę ziemię deszczami mądrości, tylko że jéj nikt nie chce łapać i pozwala spadać na piaski i płaszczyzny bez użytku. Przy takiéj tężyznie, ileby tam rodziło się rozumu, żeby pługiem pracy i cierpliwości dobrze mózgi zaorać, a od kąkolu wschody starannie oczyszczać.“

Zlekka drwi sobie Sztyrmer i z klasycyzmu i z romantyzmu; ale najczęściéj szydzi z ropowszechnionych złych powieści, które zastępowały wtenczas prawie wszelką inną lekturę. Pragnąłby widzieć w literaturze więcéj rozumu i trzeźwości, gdy tymczasem czytać owoczesną powieść, znaczyło to „patrzéć na jakieś przygody wymyślone, zaplątane, dziwaczne, na jakieś brednie niezdrowego mózgu, albo dyabelską komedyę“ (I, 57). „Kto czyta powieść — prawi daléj — ten oczywiście śpi, tylko nie zamykając powiek... We śnie można widzieć rozmaite niedorzeczności i w powieści także, z tą jednak różnicą, że znaczenie snów tłómaczą senniki i stare baby, a znaczenia powieści częstokroć nikt w świecie nie zdoła objaśnić, nie wyłączając i autora. Po przebudzeniu się z naturalnego snu, tylko prostak wierzy w to, co mu się śniło, i stosuje do tego swoje czynności na jawie; po przeczytaniu zaś powieści, ludzie oświeceni wierzą nieraz na ślepo bredniom autorskiego mózgu i nietylko sami wykrzywiają do nich poczciwą swoją naturę, lecz jeszcze rozszerzają zarazę w towarzystwie. Z tego względu, dla osób, które nie są pewne siebie, daleko bezpieczniéj byłoby spać dłużéj snem naturalnym, a sen powieściowy do kaduka porzucić. Mówię bezpieczniéj: bo od najmocniejszego nawet naturalnego spania, z towarzyszeniem silnego chrapu, człowiek przecie nie traci zdrowego rozsądku...“ (I, 58—60).

Od krytyki powieści przechodzi Sztyrmer do krytyki naszych powieściopisarzy i powiedziawszy, że tylko na grobach ludzi rozumnych ukazują się „ogniki“, pyta drwiąco: „Czy jest chociaż jeden autor, wyjąwszy tych, nad których mogiłami żadne światełka nigdy nie zabłysną, coby z zupełną przytomnością umysłu, z wewnętrznem prze-

świadczeniem i z dobréj woli pisał powieść?"—i odpowiada: „wątpię." Nasi pisarze, zdaniem jego, skądinąd zacni i pełni moralności, chorują od czasu do czasu na rozum, wtedy są lekkomyślni, zarozumiali i uparci. Chory „sypie na papiér słowa i peryody, ani na chwilę nie pomyślawszy, jakie z nich mogą wyniknąć następstwa. Co mu tam! On słucha jakiegoś natchnienia, dba jedynie o artyzm, pożąda tylko rozgłosu, oklasków i sławy. On musi koniecznie wyrzucić z głowy wszystkie ogniste szmermele, zebrane tam działaniem choroby, chociażby od nich miało się spiec na węgiel tysiące mózgów. On wreszcie w swoim chorobliwym stanie uważa publiczność za jakiś szpital, w którym wszyscy potrzebują jego pomocy, i sam będąc w gorączce przepisuje drugim lekarstwa, a tak jest pewien ich skutku, że każdego, co się poważy ostrzedz go o własnéj słabości lub podać mu zdrową radę, każdego, kto nie pochwala jego utworu, uważa za zazdrośnika i osobistego nieprzyjaciela" (I, 68—70). A uderzając w nadmiar pochwał, jakiemi się wtedy wzajem w literaturze warszawskiéj darzono, ostrzega bardzo słusznie, że talenta, nawet istotne, takiém przesadném wielbieniem się psują. „Dotąd—powiada—macie tylko wielką żądzę ruchu i działalności, ale płodów téj żądzy nie widać" (I, 212). Czemuż? „O, najmędrsi przyjaciele moi! — woła — nie wątpię o tém, że między wami na Mazowszu znalazłoby się sto takich geniuszów, gdybyście zawcześnie nie obrażali ich skromności, pokazując palcem na każde dziecko w pieluchach, z którego ma wyrosnąć geniusz! Przez to wiele jasnych meteorów, coby unieśmiertelnili swoje imię i wsławili Mazowsze, już w kolebce traci jednę klepkę z głowy. Drudzy przez naszę gorącą admiracyę i rozgłaszanie ich mądrości marnieją w szkołach, zasypiają na laurach pierwszéj ballady, chorują na przesyt sławy po pierwszéj broszurze. Jeden geniusz po drugim kark sobie łamie, spadając w przepaść miłego próżniactwa, a wszystko to przez winę waszych długich języków, przez nieskromność, przez waszę zapalczywą pasyę do trąbienia. Każdego autora otaczano u nas szacunkiem tak, jak w innych krajach—kretynów (I, 72, 82).

W tych słusznych zresztą utyskiwaniach na zbyteczne pochwały, któremi otaczano „każdego" autora, można odczuć trochę goryczy miłości własnéj, że i Sztyrmera obsypywano niegdyś panegirycznemi epitetami, a potém skrytykowano ostro i zapomniano. Na ten domysł naprowadzają dalekie aluzye do zarzutów robionych sobie co do lekceważenia rozumu. „Nigdy—powiada—nie byłem zwolennikiem krzyków i sarkazmów na rozum, powtarzających się u nas dość często, a zwykle bez gruntownego na jego naturę poglądu"; widział on tylko jego granice i stosunkowość (I, 90). Obok siły rozumu „ograniczo-

néj, z natury śmiałéj i niesfornéj“, uznawał drugą siłę „nieograniczoną, z natury skromną lecz potężną“ t. j. serce; wolę zaś „swobodną“ poczytywał za regulatora obu potęg, utrzymującego między niemi równowagę lub przechylającego szalę na którąkolwiekbądź stronę. Wnioski z rozmyślań swoich nad niedołęstwem ludzkiém streszcza w wierszykach: „Siedzi sobie duch potężny, W ludzkiéj skórze niedołężny; Rano wrzeszczy, — dokazuje, Wieczór wzdycha, — lamentuje!“ i dodaje drwiąc sam z tych wyrobów wierszowych: „Niepodobna żądać większéj zwięzłości. Na świętém miejscu nawet, w Częstochowie, nikt lepiéj nie powié“ (I, 151).

Streszczone powyżéj uwagi zajmują większą część pierwszego tomu „Nocy bezsennéj“; przy końcu dopiéro autor przechodzi do właściwego wątku, do podania spostrzeżeń o najlepszym sposobie urządzenia życia. Ażeby dobrać sobie towarzystwo, któreby i bawiło i uczyło, któreby serce, rozum, wyobraźnię i wolę utrzymywało w niejakiéj równowadze, doradza wziąć pewną liczbę: *a*) zacnych niewiast, *b*) rozumnych pantoflów, *c*) najdowcipniejszych na Mazowszu paliwodów i *d*) *ci-devant* mądrych waryatów. Dwa dalsze tomy zawierają sprawdzenie skuteczności téj recepty, ale tylko w uznaniu samego autora. Następują za tém cztery powiastki, rozpoczynając od „Waryata.“ Przedstawicielem téj kategoryi ludzi jest marszałek dworu Frenofagiusza, który uciekł z Warszawy, gdy mu zaczęto przynosić przewrócone powieściami mózgi. Marszałek opowiada Pantoflowi po długim wstępie o grzeczności i Frenofagiuszu, historyę serca niewieściego, Maryni, złamanego niewiernością męża. Sama ta historya, prócz paru dowcipnych rozmów, nie zawiéra w sobie nic ciekawego; uwagi tylko nad pozorami wielkiego świata, nad uczuciami Alfreda i Maryni, rozpatrywanemi pod „mikroskopem“, nad zależnością uczuć od okoliczności zewnętrznych mają pewną, choć niezbyt wielką wagę psychologiczną. Druga powiastka o „Paliwodzie“ Tarabankiewiczu, starym facecyoniście, formującym dywizyę pancerników dla negusa abisyńskiego, pokonywającym batalion krokodylów, żeniącym się z syreną, jeżdżącym na księżyc, mogła się podobać tylko bardzo młodym umysłom; w gruncie rzeczy jest forsowną próbą ubogiéj fantazyi wymyślenia łgarstw dowcipnych na wzór Radziwiłła Panie Kochanku. Trzecia powieść: „Ewa“, przedstawiająca poświęcenie dwu serc niewieścich Olesi i Julki, które się pokochały w ułanie Michale, jest najpiękniejszą; trudno tylko odgadnąć, dlaczego Julka wykształcona, wyższa umysłem, wyszedłszy za ex-profesora literatury bez miłości, ale przywiązawszy się do niego, zaniedbała nauki i talenta, roztyła się i zajęła wyłącznie gospodarstwem i wychowaniem dzieci, gdy Ole-

sia, mniéj wykształcona i zdolna, wyszedłszy za mąż za kochanego, ale wkrótce ją zaniedbującego, kształciła się, czytała i stała się najprzyjemniejszą w towarzystwie niewiastą. Należy chyba przypuścić, czego autor sam nie robi, że jedna nie potrzebowała już męża zdobywać umysłem, a druga pragnęła wykształceniem przytrzymać wymykającego się; ale skutek usiłowań Olesi przeczyłby takiemu przypuszczeniu. Obok tych dwu głównych postaci, ładnie są skreślone dwie poboczne: marszałkowéj i jéj brata. Co do obrobienia, z początku dobre są rozmowy, mianowicie spotkanie się w karczmie; potém relacya mniéj udatna. Czwarta wreszcie powieść „Pantofel“ zapoznaje nas z niezdecydowanym, ale rozumnym panem Jakóbem, który opowiada historyę dwu przyjaciół: Bolesława (karmazyna) i Kazimierza (szaraczka), jako dowód poczucia godności moralnéj. Przyjaciele wiedli z sobą ciągłe spory o znaczeniu magnatów i szlachty. Autor nie wyjawia wyraźnie zdania swego w téj mierze; pragnąłby zdaje się zobopólnéj zgody; argumenty jednak szaraczka czyni silniejszemi. Bolesław pokochał się w narzeczonéj Kazimierza; na zapytanie tegoż wyparł się, ale czynem dowiódł, że w sercu miał miłość. Spoliczkowany, miał się pojedynkować, ale brat jego kanonik wymógł na nim, że zaniechał téj myśli i przeprosił Kazimierza. Ten, wyzwany przez stryja Bolesława dla honoru rodu, nie chciał strzelać w przeciwnika i pozyskał jego uznanie. Bolesław poszedł na wojnę do Grecyi; potém obaj z Kazimierzem w rewolucyi polskiéj się odznaczyli. Na placu boju Kazimierz, z obciętemi nogami, uznał szlachetne postępowanie swego przyjaciela i prosił go, żeby Zofii szczęście zapewnił, co się téż stało. Właściwie w powiastce téj nie obrazy życia towarzyskiego, lecz rozprawy Bolesława i Kazimierza są zajmujące, oraz postać Wysokomirskiego, odzwyczajonego od klęcia w dyabłów przez zastąpienie go klątwą: *per ossa defunctorum.*

Ten zbiór rozpraw i opowiadań, ożywionych niewątpliwie rozumnemi myślami i serdeczniejszém, niż kiedybądź uczuciem, zakończył Sztyrmer surową, lecz niezbyt świetnie przeprowadzoną szykaną krytyki warszawskiéj. Powtarzając tu swoje dawniejsze zdanie, że w literaturze naszéj nie ma żadnéj dyskusyi, bo każdy tylko objawia swoje zdanie i w żadne inne nie wierzy; przytacza szereg najsprzeczniejszych i najniedorzeczniejszych opinii, jakie areopag krytyczny o „Nocy bezsennéj“ niby wygłosił. Sekretarz tego areopagu mieszkał w kurniku, ażeby przywykłszy do wyróżniania głosu kur, mógł bez omyłki notować zdania sędziów krytycznych, którzy wszyscy razem mówili...

* *
*

Z ogłoszeniem „Nocy bezsennéj“ w książkowéj formie r. 1859 i z powtórném wydaniem „Powieści nieboszczyka Pantofla“ r. 1860-go skończył się udział Sztyrmera w literaturze polskiéj. Żył jeszcze potém lat przeszło 26, ale żadnym już artykułem, żadną powiastką nie przypomniał się publiczności naszéj, która téż o nim powoli zapominać poczęła; zagadnienia bowiem żywotniejsze, niż te, które on niegdyś obrabiał, zajęły jéj uwagę.

W literaturze ruskiéj natomiast w tym właśnie przeciągu czasu pojawiły się dwie prace Sztyrmera. Jedna z nich była owocem studyów jego dawniejszych z lat 1838 — 1847, zawierała historyą wojskową starożytną, oraz opis wojen śląskich i siedmioletniéj, i stanowiła część „Historyi powszechnéj wojen“, wydanéj w r. 1872 i 1873 przez ks. Mikołaja Golicyna, niegdyś profesora w Akademii wojskowéj w Petersburgu. Druga zaś, wynikająca również ze studyów nad wojskowością starożytną, wyszła oddzielnie r. 1876 w Petersburgu p. n. „Rzym do czasów i w dobie Juliusza Cezara, zarys wojskowo-historyczny.“ Krytyka ruska przyjęła prace te przychylnie, lecz nie zastanawiała się nad szczegółowym ich rozbiorem; fachowe wiadomości zawarte w nich uznała za zupełnie trafne, jako popularyzujące wyniki badań obcych, filozoficzną zaś ich stronę (mianowicie „Rzymu“) za słabszą.

Od tego czasu przez dziesięć ostatnich lat życia nic już Sztyrmer nie drukował. Jako generał-lejtnant sztabu generalnego, zmarł on w Petersburgu 4 czerwca 1886 r.

Przypominając go pamięci naszego społeczeństwa, sądzimy, żeśmy spełnili obowiązek, jaki ciążył na literaturze krytycznéj, by znaczenie jego właściwe w niéj oznaczyć, a przytém dać poznać człowieka na podstawie materyałów, jakie rzadko służą do rozświetlenia życia autorów naszych, a za których dostarczenie wyrażamy tu wdzięczność pozostałéj wdowie, pani Eleonorze Sztyrmerowéj.

Piotr Chmielowski.





Z BELETRYSTYKI ZACHODU.

VII.

Henryk Becque i teatr pesymistyczny. — Początki i rozwój jego piśmienniczéj twórczości.—Wpływ naturalizmu.—Moralność i sceptycyzm. — Aleksander Dumas i Henryk Meilhac, jako przeciwstawy.

„Komedya Francuska“, świątynia Moliera, najpierwszy nietylko z paryskich, ale i z europejskich teatrów, opromieniony kilkowiekową tradycyą, wiernie odźwierciadlający pochód i rozwój literatury dramatycznéj, zajmuje stanowisko tak odrębne i tak wydatne w świecie teatralnym, że gdy wystawia na swéj scenie utwór nowego, mniéj rozgłośnego pisarza, odrazu wznosi go na piedestał i stawia go pomiędzy wielkościami. Tego rodzaju zaszczytne wyróżnienie dała przed kilku dniami p. Henrykowi Becque, wystawiając na scenie, do arcydzieł przywykłéj, jego komedyę *La Parisienne*, która przed kilku laty pojawiła się już w drugorzędnéj salce teatru „Renaissance“. Sankcya, jaką „Komedya Francuska“ dała sztuce pana Becque, ma tém większe znaczenie, że pisarz ten przedstawiany jest przez całe młode pokolenie literackie, jako jego przywódca, jako reprezentant najbardziéj utalentowany; że mamy w nim widzieć uosobienie nowych prądów ujawniających się w piśmiennictwie dramatyczném, zapowiedź przyszłości teatru. Nie pierwszy to utwór tego pisarza grany jest w „Teatrze Francuskim“, gdyż dawniéj już dawano tam bez wielkiego powodzenia sztukę inną pod tyt. *Corbeaux*. Ale przedstawienie tamtéj nie miało żadnego manifestacyjnego znaczenia i uważać je można było, jako zachętę dla oryginalnego a obiecującego młodzieńca. Obecnie rzeczy stoją inaczéj i świat literacki, oraz te wyrafinowane koła inteligencyi, które do „Komedyi Francuskiéj“ uczęszczać zwykły, zostały wezwa-

ne jako trybunał, mający orzec o istotnéj wartości pisarza, który sam o niéj nie wątpi. P. Becque postawił swą kandydaturę do Akademii Francuskiéj na fotel wakujący po Emilu Augier i nie ma zwyczaju zaprzeczać, rumienić się, gdy go jego entuzyastyczni zwolennicy nazywają geniuszem *fin de siècle.* Pierwszy z teatrów, na którym tak długo Augier królował, zdaje się wyrażać opinię, iż Henryk Becque nie byłby niegodnym jego następcą.

Jakikolwiek będzie dla niego praktyczny rezultat téj kampanii i jakiekolwiek stanowcze miejsce naznaczy mu potomność, jest już rzeczą niezaprzeczoną, iż mamy tu do czynienia z talentem oryginalnym i co więcéj, otwiérającym nowe szlaki, albo przynajmniéj otwiérać go mającym.—Czytelnicy nasi zwykli nie zadziwią się tedy, że mu dajemy miejsce w galeryi, najwybitniejszym współczesnym osobistościom literackim poświęconéj.

W dwóch grubych tomach wydał p. Becque w roku zeszłym, gdy stawiał swą kandydaturę do Akademii Francuskiéj, swój teatr. Ażeby zebrać takie żniwo, nie zaniedbał żadnego rozproszonego kłosika. Jest tam nietylko *Sardanapal*, libreto do opery naśladowane z Lorda Byrona, nietylko dwa wodewile, które, chociaż autor poważnie nazywa komedyami, są pozbawione wszelkiéj głębszéj wartości i w najlepszym razie uważane być mogą jedynie za ćwiczenia, za próby młodzieńcze, dla których nie wypada być surowym, ale i dramat w pięciu aktach i siedmiu obrazach, „Michał Pauper," który do teraźniejszych doktryn teatralnych autora bynajmniéj nie przypada i który jemu samemu powinienby wydawać się obecnie, po upłynionych dwudziestu latach, najzupełniéj śmiesznym. Istotna, oryginalna twórczość dramatyczna autora, ta, która mu nadała jego fizyognomię w literaturze, ogranicza się do czterech sztuk: *la Navette*, *les Honnêtes femmes*, *les Corbeaux* i *la Parisienne.* Dwie pierwsze są jednoaktowemi komedyjkami, rodzajem studyów i przygrywek do dwóch drugich, a raczéj do ostatniéj, w któréj cała filozofia i cała etyka autoraześrodkowywać się zdaje. Obiecuje nam wprawdzie od lat kilku nową sztukę: *les Polichinelles*, która, jak orszak jego satelitów utrzymuje, ma być arcydziełem, ale na białego tego kruka czekać nam jeszcze pono przyjdzie czas jakiś. P. Becque pracuje powolnie i starannie, mozolnie struże te strzały zatrute, któremi przeszywa łono społeczeństwa. Nie zajmie tedy wiele czasu zaznajomienie się z jego utworami.

Gdy przed dwudziestu laty, jako niedoświadczony młodzieniec, wystąpił ze swoim zamaszystym dramatem „Michał Pauper", nie można było przewidzieć, że będzie on po upływie lat kilkunastu najwyż-

szym przedstawicielem suchéj ironii i skrystalizowanego naturalizmu. W dramacie jego było widoczne niedoświadczenie, brak umiejętnego rozporządzania środkami, nagromadzenie niepotrzebne scen gwałtownych, jak samobójstwo ojca, pohańbienie córki, zamach morderstwa przez męża na żonie, pomieszanie zmysłów męża; była także melodramatyczność romantyczna i pomysły dziwaczne, jak zgon bohatéra pośród ognia z palących się brył dyamentowych nakształt apoteozy, ale były już dowody niezaprzeczonego talentu i siły. Autor chociaż nie wystudyował sumiennie charakterów działających i nie pochwycił ich wśród życia, ale stworzył abstrakcyjnie, apriorycznie, jak to zazwyczaj czynią młodzieńcy wstępujący do zawodu piśmienniczego, chociaż zamieszał do ludzi prawdopodobnych, typy cudackie, istotnie zagadkowe, niezrozumiałe, jak ów baron von Holweck, zaciekawił swym debiutem lubowników teatru. Osoba główna jego dramatu, Michał Pauper, był przedstawicielem warstw ludowych, o socyalistycznym nastroju, i zdawać się mogło, że autor będzie tę nową żyłę wyzyskiwał w przyszłości.

Ale stało się zupełnie inaczéj. Wojna, która wybuchła w chwili, gdy grywano ten dramat młodzieńczy, odjęła mu niebawem cały interes. Imię jego zostało zapomniane przez szerokie koła publiczności i gdy po upływie lat dziesięciu na nowo przed nią stanął, mieliśmy z zupełnie nową osobistością do czynienia. Nie było już mowy o entuzyazmie i romantycznych tendencyach, ale natomiast zobaczyliśmy czarnego pesymistę i urągliwego sceptyka. Łatwo się taki *awatar* wytłómaczyć daje i jednocześnie uległ takowemu nie jeden z rówieśników literackich p. Becque. Ideały polityczne zostały podówczas strzaskane, wielkość ojczyzny, zmroczoną, gwałt i siła fizyczna zapanowały nad sprawiedliwością, a wśród chaotycznego zamętu kilku lat owych, gorycz i żółć wkradły się do młodych wyobraźni, stłumiły w zarodzie wszelkie szlachetne porywy, opętały je, wyjałowiły, a jako najwyższą formę twórczości piśmienniczéj ukazały im — naturalizm. Poszukiwać prawdy, nagiéj, gołéj, zimnéj prawdy i niczego jak prawdy, stało się ich wyznaniem wiary, a hasłem: „precz ze złudzeniami! precz z ideałem!“ W powieści królował wówczas Zola, a owa energiczna kampania, jaką wiódł po dziennikach za utworzeniem naturalistycznego teatru podług téj saméj modły, nie mogła pozostać bez echa.

W pośród pisarzy dramatycznych, którzy postanowili zaciągnąć się do tego hufca, uczynić stanowczy rozbrat z przeszłością, nie stawiać już na scenie wyidealizowanych bohatérów, ale codzienne, dotykalne osobistości, oraz pospolite sprawy, w pośród pisarzy, którzy

powzięli zamiar zaniechania teatru artystycznego, harmonijnie ukształtowanego, rozwijającego się logicznie, owianego atmosferą humanitarnego optymizmu, a natomiast sprowadzić go i ograniczyć do kilku scen energicznych, plastycznych, wyrwanych żywcem z realistycznego otoczenia, w pośród tych nowatorów p. Becque pokazał się odrazu nietylko najbardziéj cierpkim i sceptycznym, ale i najsystematyczniejszym. Można było spostrzedz od pierwszéj chwili, że nie ma zamiaru czynić żadnych ustępstw dawniejszym metodom i że na ruinach dawnych bożyszcz nie postawi żadnego nowego bożka, ale ogłosi próżnię, nicość, nirwanę. Miał dość energii i siły, aby stanąć sztorcem względem oponentów, i dość cierpliwości, aby wyczekiwać chwili zwycięstwa. I stało się widoczném niezadługo, iż nie pomylił się w swym rachunku. Ci, którzy za nowym wzdychali mistrzem, znaleźli go bez trudu, a im więcéj szeroka, przeciętna publiczność okazywała wstrętu do téj metody i czém goręcéj protestowała przeciw tak jednostronnemu zapatrywaniu się na życie i na społeczeństwo, tém hałaśliwiéj mu przyklaskiwano w jego szczupłym obozie. Wystarczało wyrazić powątpiewanie, co do absolutnego piękna i absolutnéj prawdy moralnéj takiéj dyagnozy, ażeby być policzonym natychmiast do szeregu niedołężnych filistrów, krótkowidzących, pospolitych umysłów. Tryumfu jego zaprzeczać nie ma powodu, ale o jego znaczeniu zdanie wypowiedziéć wolno.

Jeżeli jest jaki zastraszający symptomat co do moralnego stanu społeczeństwa francuskiego, to można właśnie znaleść takowy w téj okoliczności, iż typy przedstawiane w komedyach Becqua i sytuacye, w których sobie podoba, przestały już razić, że wywołują już one nie żarliwe protestacye, ale pobłażliwy uśmiéch sympatyi. Wprawdzie i inny, dawniejszy teatr nie stracił jeszcze całkowicie swych zwolenników i w razie, gdyby dobra jego gwiazda przywiodła mu jakiego pisarza genialnego, toby z łatwością, odwołując się do szlachetniejszych stron natury ludzkiéj, potrafił on owładnąć smakiem publiczności. Lecz obecnie ogół jest eklektyczny i przyjmuje zarówno jedne, jak drugie utwory sceniczne. Pod względem moralnym jest to groźniejsze nawet, aniżeli pod czysto artystycznym. Gdyby o ten ostatni wyłącznie chodziło, możnaby z ufnością spoglądać w przyszłość, boć przecie zaprzeczyć się nie da, że pesymizm wyjaławia twórczość, i że niebawem, dla ujawnienia swéj żywotności, dążyć ona musi do wiecznie świéżych i sączących źródeł poezyi i ideału. Ale gdy książka i bezpośredniéj jeszcze od niéj działający na masy społeczne teatr, stale a systematycznie, bez najmniejszych zastrzeżeń i wyjątków, wystawia nam brudne, podłe strony natury człowieczéj i szkaradę towa-

rzyskiego organizmu, to wykorzenia wśród nowych pokoleń wszelką wiarę w uczciwość, w szlachetność, w cnotę, daje im poczucie, iż są po prostu wilkami w wilczém stadzie, że się nietylko odgryzać, ale gryźć i napastować powinni. Trudno sympatyzować z literaturą na takiéj etycznéj wznoszącéj się podwalinie i jeżeli doprawdy ma ona być postępową, to chcemy wierzyć, iż nie będzie to ostatni szczebel na téj drabinie, że nas w przyszłości czekają inne, czystsze i pełniejsze fazy rozwojowe.

Wziąwszy sceptycyzm za filozoficzną zasadę, p. Becque nie rozstrzelił swéj twórczości ani w dziennikarstwie, które tyle już pochłonęło talentów, ani w romansie—téj elastycznéj i dogodnéj dla społecznego spostrzegacza formie; nie pisze téż przedmów ani komentarzy do swych komedyi, nie staje w obronie swych teoryi, lecz ześrodkowuje wszystkie swe siły w komedyach samych. Po czynach swoich każe się sądzić i poznawać. Taki stoicyzm jest wyjątkowy i uznania godzien. Krytyk nie potrzebuje się zaprzątać żadnemi dodatkowemi stronami tego talentu, i wszedłszy w naturę głównéj, nie ma już żadnego dalszego odkrycia do zrobienia.

Powiedzieliśmy już wyżéj, że pisarz ten nie jest płodny i z łatwością w ciągu kilku godzin można obejść jego podwórko.

Pierwsza komedyjka w jednym akcie, *la Navette*, grana była przed dwunastu laty na scenie teatru „Gymnase.“ Tak jak czółenko tkacza przesuwa się regularnie z jednego krańca krosien do drugiego, tak w téj komedyi Antonia, półświatówka, przechodzi z objęć jednego kochanka do drugiego. Bez żadnych frazesów, bez żadnego oburzenia pobożnego, w niczém nie zdradzając swego własnego sądu, autor wprowadziwszy nas do tego buduaru, pokazuje co się w nim dzieje, jakie motywa działania wprowadzają w ruch jego bohatérów, jaką rolę przeważną gra w nim pieniądz i próżność, a jak podrzędną roskosz lub poprostu przyjemność. Zasługa pisarska autora polega na tém, że umiał pozostać ironicznym i sarkastycznym od pierwszego do ostatniego słowa, w niczém téj ironii nie zdradzając. Jest istotnie nader komiczne przeciwieństwo pomiędzy moralną ohydą wszystkich działających osób, a zachowaniem form przyzwoitości, o jakie im chodzi. Nie podejrzéwają nawet swéj zgnilizny i swego upadku, i w téj ich nieświadomości leży właśnie *vis comica*. Jest to subtelna analiza i jeżeli tłum mógł jéj nie zrozumiéć, to przyklasnęli téj fraszce wyrafinowani znawcy. Ponieważ autor wprowadził nas w świat, w którym ani moralności, ani czystości szukać nikt nie myśli, nie było zasady zbyt się na tę metodę oburzać. Inaczéj się stało, gdy autor ten sam temat przeniósł do większéj i najcelniejszéj ze swych kome-

dyi, do „Paryżanki.“ Ale nim do niéj przejdziemy, znajdziemy jeszcze w chronologicznym porządku czteroaktową komedyę: *les Corbeaux*.

Nie znamy w całym nowoczesnym repertuarze francuskim sztuki, któraby smutniejsze, bardziéj przygnębiające wrażenie czyniła, aniżeli te „Kruki.“ A nie pochodzi to bynajmniéj z obecności na scenie w przeciągu trzech aktów czterech kobiét, w grubą żałobę odzianych, bo się to już pokilkakroć zdarzyło: dość będzie przypomniéć ten misterny klejnocik pani de Girardin, *la Joie fait peur* i oddawna cieszący się powodzeniem „Testament Cezara Girodot.“ Tutaj sama treść prozaiczna, codzienna a smutna, bez jednego przebłysku słonecznego, bez jednego porywu szlachetności wyższéj, przyprawia każdą nerwową naturę o cierpienie. Autor postawił sobie za zadanie odmalować powszednie życie rodziny mieszczańskiéj w świetle katastrofy, która je druzgocze. Wprowadza nas do domowego ogniska zamożnego rękodzielnika p. Vigueron. Poczciwy ten człowieczyna, dorabia się znacznéj fortuny w spółce ze starym wyzyskiwaczem i lichwiarzem, p. Tessier, który się nim posługuje. Żona i trzy córki p. Viquerou narysowane są przez autora wydatnie, ale bez żadnéj skry sympatyi. Pełno szczegółów poziomych, prozaicznych, wprowadzonych umyślnie, autor wystrzega się nietylko dowcipu i błyszczącego dyalogu, ale nawet mowy poprawnéj. Dzięki téj metodzie, widz albo czytelnik nie czuje żadnego sympatycznego pociągu do żadnéj z osób téj rodziny i nie współczuje należycie katastrofie, która nadchodzi wskutek gwałtownéj, niespodzianéj śmierci ojca rodziny. W drugim akcie widzimy rodzinę nietylko osiéroconą, ale zrujnowaną i oddaną na pastwę krukom. Budowniczy, co rozpoczął budowę domów, notaryusz, w którego ręku złożone były interesa zmarłego, a przedewszystkiém jego ohydny wspólnik oszukują i okradają wdowę i siéroty. Trzeba przyznać, że autor nie oszczędził nam żadnego drobiazgu, aby wykazać, jak się ta ruina dokonała. Nietylko że idziemy w ślad za utarczkami z wierzycielami, że znamy cały bilans majątkowy, ale lekkomyślność rodziny do niespodzianéj zmiany majątkowéj nieprzywykłéj, pokazana jest z prawdziwym realizmem. Widz jest głęboko przekonany, że to wszystko jest prawdą, że się takie smutne sceny dziać muszą, ale musi się zapytać: dlaczego? w jakim celu wprowadzony jest za kulisy takiego niepociesznego widowiska. Spory, kłótnie, łzy, żale, narzekania, wyzyskiwanie słabych przez łotrów: oto pasmo dwóch drugich aktów. Psychiczna walka uczuć jest dotknięta w kilku scenach dodatkowych. Najmłodsza z córek była zaręczoną i uwiedzioną przez swego narzeczonego; gdy straciła posag, zostaje

przezeń opuszczona i w ostatnim akcie widzimy ją pozbawioną zmysłów. Druga, najstarsza, która w muzyce chciała szukać środków zabezpieczenia życia rodzinie, zostaje wydrwiona i odepchnięta przez muzyka, który przedtém był jéj hołdownikiem. Pozostaje jeszcze trzecia córka, umysł umiarkowany i serce dobre. Jéj praktyczne zalety uderzają starego Tessier, łotra, co wyzyskał jéj ojca i okradł go po śmierci, i ten starzec chce naprzód zrobić z niéj swą faworytę, a następnie dochodzi do wzięcia jéj za żonę. Marya, wychodząca za wstrętnego sobie starca dla wyciągnięcia matki i sióstr z nędzy, powinnaby wywoływać w widzu żywe współubolewanie. Po wiele razy już podobna sytuacya w dramatach poruszyła ich do głębi; dodawano do takiego poświęcenia ofiarę z jakiéjś czystéj, prawdziwéj miłości. P. Becque uważał tego rodzaju szczegół za zbyteczny i z umysłu go wykluczył z osnowy swéj komedyi. Podług niego, Marya stanie się z czasem żoną oszusta i jego wspólniczką, mniéj lub więcéj roli swéj świadomą. Daje nam w końcowéj scenie przedsmak tego wykolejenia charakteru w bliższéj lub dalszéj przyszłości.

Oto komedya p. Becque'a. Wprawdzie terminologia dawniejsza straciła już swe znaczenie i w komedyi obyczajowéj nie szukamy koniecznie konceptów, dowcipów i wesołości. Tutaj nie ma ich śladu i systematycznie są wymazane z programatu. Ale oschłość analizy, brak tendencyjny wszelkiéj jasnéj strony charakterów razi i odstręcza. Gdy autor, jako ironiczny epilog, kładzie w usta największego łotra, starego Tessier, tę przestrogę zwróconą do swéj narzeczonéj, że od śmierci jéj ojca są otoczone jedynie przez nicponiów, to powiada albo za mało, albo za wiele. Są krytycy, którzy taki wybryk cynizmu podziwiają. Widzieliśmy następstwa praktyczne, jakie ta metoda przyniosła. „Théâtre libre", pod dyrekcyą p. Antoine zostający, i całe grono młodych pisarzy dramatycznych, którzy się wysilali, aby nam pokazać jeden w energiczniejszych obrazach, aniżeli drugi, do jakich ostateczności dojść może w człowieku wyzucie się z uczuć honoru i godności osobistéj i jak wielce w naturze ludzkiéj zaważyć mogą instykta czysto zwierzęce—oto spadkobiercy p. Becque w prostéj linii. Jak zazwyczaj, uczniowie posunęli tylko do ostateczności wady mistrza. Z jego skoncentrowanéj, zatrutéj ironii zrobili skandaliczne urągowiska, a jego łotrów uchodzących i chcących uchodzić za uczciwych, przemienili na galerników i dzikie potwory, podobające sobie w moralnéj ohydzie i chełpiące się ze swego upadku. Są zapewne stopnie pomiędzy utworami p. Becqua i jego naśladowców, tak samo jak jest różnica talentu, ale że płyną z jednego i tego samego zdroju, to nie jest dla nas wątpliwém.

W trzechaktowéj komedyi „Paryżanka“, która dotąd jest najbardziéj skończoném jego dziełem, p. Becque podniósł ten sam temat, którego się był dotknął pobieżnie w *Navette*, ale przeniósłszy go z półświata do towarzystwa ludzi przyzwoitych i napozór uczciwych, odjął mu odrazu wszelkie, nie powiemy prawdopodobieństwo, ale wszelkie prawo do uchodzenia za obraz rzeczywistości. W najlepszym razie mamy tu tylko do czynienia z wyjątkiem, smutnym lub zabawnym, stosownie do sposobu, w jaki się nań zapatrywać chcemy, ale z wyjątkiem. Autor nie dorósł jeszcze do malowania ogólnie ludzkich charakterów, do stwarzania nieśmiertelnych a wewnętrzne życie posiadających typów. Nietylko do Moliera, ale i do Augiera mu daleko.

Scena, jaką się zaczyna „Paryżanka“ jest, raz osnowę przyjąwszy jako dobrą, znakomita. P. Lafont, czyni powolnéj pani Klotyldzie wyrzuty, że jest kokietką, że przestała być czułą, że go już nie kocha, wystawia jéj całą zdrożność jéj postępowania i szkaradę moralną zdrady, gdyby się jéj dopuściła. Ta scena zazdrości całkowicie na miejscu i zrozumiała w małżeńskiém stadle, nabiéra jednak nowego znaczenia, gdy spostrzegamy, że ów p. Lafont nie jest bynajmniéj mężem Klotyldy ale jéj kochankiem! Autor wprowadza nas do domowego ogniska o trzech zwykłych działaczach, żonie, mężu i kochanku. Pomiędzy tą trójcą panuje dobra harmonia, a mąż okazuje prawdziwą przyjaźń i zaufanie temu, który go zdradza. Dotąd nie byłoby nic wielce oryginalnego w tym stosunku po wielekroć już razy odmalowanym. Lecz autor temat swój logicznie i konsekwentnie rozwija w następstwie. Zazdrość kochanka wzrasta, a ponieważ sceny, jakie jéj robi i wyrzuty, jakimi ją obarcza, zaczynają nudzić panią Klotyldę du Mesnil, zatém zrywa z nim, oznajmiając mu, iż znalazła dlań następcę. Wprowadziła go jednak na fałszywy trop, a istotnie miała już wtedy innego kochanka! Był to młodzieniec, posiadający przez swą matkę wielkie wpływy w świecie urzędowym i przez nich Klotyldzie udało się pozyskać dla męża korzystną posadę. W trzecim akcie jesteśmy świadkami, jak się ten stosunek miłosny pomiędzy nią a kochankiem, noszącym numer drugi, rozwiązuje, i trochę przez zadraśniętą miłość własną, trochę przez żal za Lafontem, który znosił swoje wygnanie, powraca znów do kochanka numeru pierwszego. I w końcowéj scenie widzimy znów *trio* pojednane, zadowolone ze swego wzajemnego położenia i możemy przeczuć, że chociaż wypadki, jak ten z numerem drugim, powtarzały się już i powtarzać będą częstokrotnie, to życie rodzinne popłynie nadal spokojne, niezamącone, harmonijne. Klotylda będzie zawsze przykładną matką, dbałą o swe dzieci, wyborną gospodynią i panią domu, żoną pełną poświęcenia,

okazującą mężowi nietylko poświęcenie i świadczącą mu usługi, ale zaspokajającą wszelkie jego zachcenia. Przewrotność téj kobiéty okłamującéj męża, okłamującéj kochanka, wywodzącéj ich w pole, wodzącéj ich na pasku, igrającéj z nimi jak z maryonetkami, a jednocześnie uszczęśliwiając ich, przedstawiona jest przez autora z niezaprzeczoną wyrazistością, siłą i mnóstwem szczegółów, mających udowadniać prawdopodobieństwo takiego charakteru i takich sytuacyi. P. du Mesnil będzie nosił rogi, ale nieświadomie i w głębi serca będzie życzył sobie utrwalenia swego losu, będzie błogosławił swą nieporównaną małżonkę. P. Lafont, nakoniec ów starzejący się kawaler, którego ogrzano i przyjęto w tém rodzinném kole jak swojego, który nie zamącił szczęścia nikomu, a sam je znaleść potrafił, nie potrzebuje się na los skarżyć. Rezultat do jakiego nas sztuka ta doprowadza, jest, że nie ma nic pożyteczniejszego i nic przyjemniejszego zarazem, jak występek. Stara poetyka melodramatów uczyła nas, że w ostatnim akcie cnota powinna tryumfować, a zbrodnia być ukaraną. Nowoczesna etyka, któréj p. Becque jest wielkim mistrzem, wprost przeciwne wystawia zasady. Cnoty wprawdzie w jego sztukach nie ma i takiego rodzaju staremi rupieciami się nie zaprząta, ale za to wiarołomstwo, cudzołóstwo, przedajność czci niewieściéj, przedstawione są z nieposzlakowaną obiektywnością jako zdarzenie codzienne, normalne, nie zakłócające bynajmniéj towarzyskiego ustroju, jako stanowiące, prawie nieodzowny jego czynnik składowy.

Nie pamiętamy już jaki krytyk wyrzucał panu Becque, iż w nienawiści swéj do kreślonych przez się charakterów czyni je czarniejszymi niźli mogą być w istocie. Co do nas, nie mogliśmy się téj nienawiści dopatrzéć. Wiemy wprawdzie, że celem jaki autor ściga, jest satyra i przyznajemy, że przez swą cierpkość, swą zawziętość przewyższa i La Rochefoucauld'a i Chamforta, że jest satyrycznym pisarzem okrutnym, ale nie podobna nam zamknąć oczu na usterki, jakie wiedzie za sobą w taki sposób wyrażona krytyka etyczna i na nieporozumienia, jakie wywołać może.

Każdy komedyopisarz wytyka w satyryczny sposób wady indywidualne i społeczne, ale każdy jest moralistą, podczas gdy p. Becque nie jest i nie ma zamiaru uchodzić za moralistę. Jest on poprostu sceptykiem. Skrystalizować w sztuce charaktery takie, jakie się znajdują rozproszone w naturze, oto jak dosłownie powiada, jedyny cel, który ma przed sobą. Nie idzie mu bynajmniéj o walkę z występkiem, z nikczemnością, z ujemnemi stronami charakteru ludzkiego, nie idzie mu o skruszenie kopii za prawdę, za dobro, za sprawiedliwość. Przypatrywać się z sarkastycznym uśmiechem menażeryi ludz-

kiéj -- oto cały jego cel, całe zadanie. Zapytać się więc można, czy posiada jakie *criterium* moralne, czy wié co jest złém, a co dobrém i czy widzi potrzebę tryumfu tego nad tamtém. Zdaje się przeciwnie, że z niezaprzeczoném zadowoleniem stwierdza istnienie brudów i podłości. Ten brak protestacyi ze strony pisarza zadziwia, razi, oburza po głębszém zastanowieniu. Czujemy najprzód mimowiednie, że jest to dopiéro spełnienie połowy obowiązku, stwierdzając istnienie zła, i że pozostaje jeszcze uczynić krok daléj, spełnić drugą połowę obowiązku, stawając po stronie dobra i wykazując łączącą nas z niém spójnię. Lecz jest jeszcze i wzgląd drugi, społeczny, humanitarny. Być może, że dla umysłów wyrafinowanych, posiadających najwyższą kulturę, ta obiektywność przedstawienia wystarcza, być może, że one zrozumieją tę ironię, ten sarkazm ukryty i same dojdą do potępienia zgnilizny społecznéj. Ale obok tych jednostek wyjątkowych istnieje wielka, wielomilionowa masa o mniéj attyckim smaku, o mniéj wydelikatnionych nerwach, o sądzie instynktowym raczéj, aniżeli wyrobionym gruntownie. Ta masa powinna być oświécona co do istotnych zamiarów, co do poglądu autora na wypadki i charaktery, które im stawia przed oczy; nikt nie ma prawa ich obłąkać, zamącać ich sumienia, pozostawiać ich w błędzie. Teatr — to przybytek, gdzie się udają dla rozrywki, i jest istotném podejściem dawać im zamiast osłody, czarę zatrutą.

Napróżno adepci szkoły sceptycyzmu literackiego utrzymują, że od pisarza nie powinniśmy żądać kapłaństwa, podnoszenia moralnego dyapazonu masy; oddawna już doktryna tego rodzaju potępiona została. Nazywa się ona sztuką dla sztuki. Dla tych, co nie stracili rzeczywistego gruntu pod stopami, jest inny drogowskaz: sztuka dla życia, dla człowieczeństwa, dla uczynienia go lepszém, czystszém, wznioślejszém.

Napróżno stronnicy szkoły, tak zwanéj psychologicznéj, utrzymują, że wystarcza zejść do głębin duszy, pokazać mechanizm uczuć i namiętności, które tam początkują i tam się ściérają jedne z drugiemi, i że to widowisko ma samo w sobie czar, urok wystarczający. Być może. Gdy lekarz mówi o pięknéj chorobie, o doskonałéj epidemii — to rozumiemy łatwo jego myśl i jego zachwyt. Wobec jasno zdeklarowanych symptomatów postawiony, jest w stanie je ocenić, wystudyować i zaradzać im. Szkoła psychologiczna ten ostatni postulat uznała za niepotrzebny, za niewchodzący do jéj zakresu.

Są nakoniec tacy, co utrzymują, że pisarze dramatyczni nie mają możności interweniowania do akcyi dramatycznéj, że raz postawiwszy przed widzem typy działające, powinni im samym zostawić swobodę

czynów i odpowiedzialności za takowe. Rzecz się ma przeciwnie. Mają nie jeden, ale kilka sposobów kierowania akcyą i ujawnienia swoich na życie, na prawdę, na obowiązki człowiecze poglądów. Jednym z nich był sposób, że tak powiemy mechaniczny, obecnie słusznie już zaniedbywany, mianowicie wprowadzenie pomiędzy działające osobistości jednéj, któraby je niejako tłómaczyła, oświecała swą krytyką widzów co do istotnego ich charakteru, potępiała ich w imię moralności, lub oddawała im hołd należny. Tego rodzaju charakter, przezwany w teatralnym języku francuskim Desgenais od typu, który go unieśmiertelnił, nie jest bynajmniéj niezbędny i p. Becque ma słuszność, iż się nim nie posługuje, że go uważa za dziecinny sposób oświecania swéj latarni. Światło da się sprowadzić i istotne tendencye autora wykazać w daleko prostszy, naturalniejszy sposób. Wystarczy pokazać ten zakątek świata, który autor za tło sobie wybrał takim, jakim jest w istocie, a zatém zbiorowiskiem, mieszaniną ludzi złych, nijakich—ani złych, ani dobrych — i dobrych nakoniec. Postaci ujemne i dodatnie pod względem moralnym istnieją; nie należy wyłącznie posługiwać się jednemi, a systematycznie wykluczać drugie. Głębsi autorowie nie zadawalniają się nawet taką klasyfikacyą elementarną, ale wiedząc, że nie ma ani szatanów, ani aniołów całkowitych, i że w każdéj duszy ludzkiéj jest zlepek pierwiastków różnorodnych, umieją wykazać jak z nich czyny często w odwrotnym, a zawsze w skomplikowanym wypływają kierunku.

„Nie uczuwać samemu żadnéj namiętności, nie żywić samemu żadnego uczucia, ale rozumiéć u innych każde i wszystkie“ — oto, jak utrzymuje Maurycy Barrès, jeden z najbardziéj utalentowanych pisarzy szkoły pesymistycznéj, oś około któréj obracać się winna twórczość pisarska w epoce naszéj. Do czego taka zasada prowadzi, teatr p. Becque'a dokładnie wykazuje. Gdy przestaje być cynicznym, jest oschłym, suchym, zamrożonym.

Chcielibyśmy być zrozumianymi dokładnie przez czytelników naszych. Nie odejmujemy p. Henrykowi Becque żadnéj z jego zalet i chętnie przyznajemy, że są one wielkie, pierwszorzędne. Ale znikają one w oczach naszych prawie całkowicie wskutek téj zasadniczéj obiektywności, posuniętéj do ostatecznych granic. Zdawałoby mu się rodzajem ubliżenia, pospolitością gminną ze stanowiska umysłowego, gdyby się pokazał moralistą. Dla tego téż nie może on rościć pretensyi ani praw do téj szerokiéj popularności, która jest nagrodą mistrzów i przewodników społeczeństwa. Masa nie będzie nigdy czuła się spokrewnioną, zbliżoną z tym szyderczym mefistofelowskim umysłem. Nietylko, że ironia jest niezrozumiałą dla szerokich warstw

narodów, ale być nią nie może. Tłumy są pociągane jak magnesem przez zapał natchniony albo przez gorąco serdeczne: serca lgną do serc, a entuzyazm wieszcza, nawet gdyby był tylko przeczuwany, nie zaś całkowicie pojęty przez prostaczków, porywa ich w swój prąd zaczarowany. Wiktor Hugo będzie zachwycał publiczność zgromadzoną w sali teatralnéj, a dramaturg jak Aleksander Dumas syn, nie przestanie wywoływać głębokiego interesu psychicznego.

Przykład tego ostatniego, którego imie mimochodem znalazło się pod piórem naszém, wyjaśni zresztą całkowicie punkt sporny i jaskrawe przeciwieństwo pomiędzy twórczością teatralną taką, jaką do tego czasu uważano za odpowiadającą najwyższym wymaganiom etycznym i artystycznym, a tą którą nam p. Becque i jego naśladowcy zapowiadają jako formę przyszłości.

Nie ma wątpliwości, że A. Dumas wypowiedział wiele paradoksów w swych sztukach i że w tych, gdzie się dał powodować jakiemuś ewangelicznemu mistycyzmowi — *La femme de Claude* przedewszystkiém — żąda od zdrowego rozsądku przeciętnéj publiczności ofiar prawdziwych, aby pozostać na tym co on gruncie. Ale nawet przesada w obronie kobiéty uwiedzionéj, w obronie opuszczonych i wyzyskanych, nie razi nas u niego. Jaskrawe barwy jego palety użyte są dla przyciągnięcia oczu roztargnionych, dla poruszenia odrętwiałych umysłów. Są w każdéj jego sztuce prawdziwe tezy, rozbiory wielkich kwestyi społecznych, miłości, pieniędzy, cudzołóstwa, prostytucyi, dzieci nieprawych i t. d. Mówi o nich nie jako satyryk, nie jako sceptyk, któremu wszystko jest obojętném w gruncie rzeczy i którego nikczemności i ohyda nawet zabawiać mogą, ale jako moralista, jako sędzia. Boleje on, współczuje nad krwią i łzami wylanemi przez ofiary, a tych, co przez ciasny egoizm lub złą wolę gniotą, wyzyskują bliźnich, tych co się pastwią nad słabymi, potępia, potępia bezwarunkowo, surowo, nieubłaganie, chłosta ich swoją ironią, odkrywa raka, toczącego ich łono, piętnuje ich gorącém żelazem. Pisarz taki jest wyrazem i przedstawicielem sumienia powszechnego. I dla tego, też porywa on wszystkie serca, łzy sprowadza do oczów, a wśród publiczności rozbudza ten wyższy nastrój duchowy, który, jak to jeszcze Lessing słusznie zauważył, leży spowity w sercu każdego, a budzi się zawsze wśród masy zebranéj w sali teatralnéj. Jest i u Dumasa sceptycyzm pewien, nie przeczym, i nie byłby inaczéj w umysłowéj spójni ze swojém społeczeństwem. Ale nie przeszkadza mu to bynajmniéj posiadać *criterium* moralne, umiéć rozróżnić cnotę od występku, łotra od uczciwego człowieka, czystą dziewczynę od wszetecznicy, widziéć w jednych swych przyjaciół, w drugich — przeciwników, popiérać je-

dnych całą powagą swych argumentów, a wykazywać ku jakiéj przepaści zdążają drudzy.

Moglibyśmy jeszcze przytoczyć, jako inny przykład, pisarza dramatycznego, który pod wielu względami służył p. Becque za model ale któremu, zdaniem zaszém, nietylko nie dorównał, którego jest raczéj karykaturą. Mamy tu na myśli Henryka Meilhac'a. Nie ma wątpienia, że ten pisarz dramatyczny jest i satyrykiem i sceptykiem. Napisał on kilkadziesiąt sztuk, z których kilkanaście, to arcydzieła w swoim rodzaju, a w każdéj z nich zepsucie moralne, lekkomyślność, zbutwiałość społeczeństwa, wystawione są w rysach niezatartych. Lecz Meilhac jest poetą, a fantazya, skrzydlata, kapryśna fantazya jest jego mistrzynią. Chwyta on na uczynku przywary nietylko współczesne, ale nawyknienia i aż sposób mówienia dnia dzisiejszego. Stawia przed swą obserwacyjną kamerą te wady i śmieszności, posuwa je z wesołym humorem aż do karykatury, otacza je fajerwerkowém światłem dowcipu, skrzącemi fantazyą paradoksami, kąpie w lekkiéj, nieujętéj pianie, wywołuje śmiéch i nawet, o dziwy! i wzruszenie wśród swych widzów. Mistrzowstwo formy, eteryczna jéj lekkość różnią go już od suchego i anti-poetycznego p. Becque, ale więcéj jeszcze różni ich sam nastrój duchowy. Kiedy p. Becque dogmatycznie stawia nam galeryą łotrów i pozwala nam wyciągnąć z tego wniosek, że społeczeństwo jest po prostu zbiorem takowych, to Meilhac tak zręcznie, tak delikatnie sobie drwi z tych śmiesznych, albo tych przewrotnych typów, że nie pozwala wątpliwości mieć żadnéj, co do sądu, jaki o nich wydaje i o tym, jaki pragnie, ażebyśmy my o nich wydali. I on więc jest moralistą, nie Bossuetem, ani Massilonem, ale jednym z tych dobrych, doświadczonych przyjaciół, do którego chętnie zdążamy po radę i wskazówkę w trudnych i zawikłanych okolicznościach życia, który zna ludzi na wylot, ceni ich podług istotnéj wartości i którego nam tak miło wziąć za mentora.

Rozwiedliśmy się nad zasadniczą doktryną p. Becque'a, którą jeden z najbystrzejszych krytyków nazwał trafnie teatrem nihilistycznym, dlatego że jest ona wyrazem najnowszéj szkoły dramatycznéj we Francyi i że podług wszelkiego prawdopodobieństwa posłuży za za wzór dla wielu pisarzy, dotąd drogi swéj szukających, a zwracających się naturalnie ku wschodzącemu słońcu. Surowość, z jaką wypowiedzieliśmy zdanie nasze o téj doktrynie, nie zamyka nam oczu na zalety drugorzędne, jakie p. Becque w wysokim stopniu posiada. Układ jego sztuk jest prosty, naturalny, bez żadnych naciągniętych sprężyn, bez najmniejszego nieprawdopodobieństwa. Charaktery i typy zaczerpane z życia, tak prawdziwe, tak znane, że się w nich

wita dawnych znajomych. Rozmowa posiada nietylko prostotę nieporównaną, ale są w niéj, jak wrzedzionki na płci, te pospolitości i te niedorzeczności, jakie i najrozumniejsi ludzie mówią i mówić są zmuszeni bez przerwy przy zetknięciu się z innymi. Nie ma żadnych tragicznych wypadków w jego sztukach, nic coby wychodziło ze sfery zdarzeń pospolitych, i dlatego téż nie ma w nich żadnego końca logicznego. Sytucya jest przerwaną dlatego, że autor nie widzi potrzeby zatrzymywać się nad nią dłużéj i że nie widzi potrzeby wyciągać z niéj żadnych ogólnych wniosków. Jestto kęs życia wycięty z organizmu, jestto fotografia momentalna, *instantanée*. Są to wszystko zalety i zalety nie lada. Nie przeczymy. Mamy jednak nadzieję, że czytelnicy przyznają wraz z nami, iż mamy prawo pragnąć innych, wyższych i że ten teatr rozpaczliwego pesymizmu nie jest ideałem, ku któremu wyciągamy ramiona. Nad fotografią, choćby wyborną, przekładamy obraz samodzielny, dlatego już choćby, że jest on stworzony przez najwyższą z mistrzyń—przez wyobraźnię. Nie znaleźliśmy jéj śladu u p. Becque'a i dlatego nie podobna nam widziéć w nim twórczego artysty.

Ten.





CAVOUR.

(Dokończenie).

Nadzwyczajne męstwo wojsk sardyńskich, jak niemniéj rozumne zachowanie się ich wodzów, zjednały Piemontowi wielką pochwałę i uznanie. Tym sposobem zdobył on sobie prawo spółrzędnego stanowiska obok wielkich mocarstw; tym sposobem Cavour zrobił pierwszy olbrzymi krok naprzód i położył węgielny kamień pod przyszłe państwo włoskie. Wojna krymska podniosła kwestyą włoską do znaczenia kwestyi europejskiéj, otworzyła dla niéj wrota kongresu paryskiego, pozyskała jéj sympatyę i faktyczną pomoc Francyi, oraz doprowadziła do wojny z r. 1859.

Pierwszym rezultatem było zaproszenie do wzięcia udziału w kongresie paryskim.

Cavour przewidywał, że opinia włoży na niego obowiązek reprezentowania Piemontu, i zanim cośkolwiek w téj mierze postanowiono, oznajmił członkom gabinetu i przyjaciołom, że misyi téj nie przyjmie. Być może, iż się obawiał, że jako przedstawicielowi małego państewka, wypadnie mu zająć drugorzędne stanowisko wśród wielkich mocarstw, co obrażałoby jego dumę i mogło zaszkodzić sprawie Włoch. Prawdopodobném jest także, że do tego kroku skłoniło go wahanie się króla w wyborze między nim a d'Azeglio. Jakoż w istocie wybrany został Maksym d'Azeglio. Ten wszakże również okazał się mało skłonnym do przyjęcia misyi i oznajmił otwarcie, że zgodziłby się tylko wówczas, gdyby otrzymał dokładną informacyą co do stanowiska, jakie Sardynia ma zająć obok wielkich mocarstw. Naród nie ukrywał swojego niezadowolenia z powyższego wyboru pełnomocnika: rozumował trafnie, że d'Azeglio, mimo powszechnie uznanych zasług,

jako bardziéj w sobie zamknięty raczéj na uczonego, niż na dyplomatę wyglądał a tymczasem na kongresie obrońca sprawy włoskiéj powinien śmiało głos podnieść, ażeby mógł być słyszanym. Cavour sprawił, że wzięto udział w wojnie krymskiéj, naród bowiem niechętnie składał ofiarę ze krwi i pieniędzy, więc téż Cavour powinien był dokonać rozpoczętego dzieła. Do tego łączyły się jego osobiste zalety i energia, stosunki z francuskimi dyplomatami i wielkoświatowe maniery.

D'Azeglio podrażniony tém, że publiczność wyżéj nad niego stawia Cavour'a, złożył mandat, Cavour zaś przekonany o słuszności wymaganych usług publicznych, zajął jego stanowisko.

Dzieje kongresu paryskiego są powszechnie znane i każdy przyzna słuszność opinii publicznéj, która pośród wielu znakomitych dyplomatów Piemontu uznała Cavour'a za najodpowiedniejszego do obrony interesów włoskich. Pomimo, iż państwo reprezentowane przez niego było małe, pełnomocnik sardyński był na kongresie jedną z najwybitniejszych osobistości.

Roztropność, z jaką tam omijał, lub stawiał czoło przeszkodom wynajdywanym przez chytrą a częstokroć tchórzliwą politykę Napoleona, daléj śmiałość, któréj dał dowody, gdy mimo wielkiego znaczenia, jakie przywiązywał do francuskiéj przyjaźni, podniósł kwestyę rzymską, stanowiącą piętę achillesową cesarza, dzięki czemu zyskał przychylność Anglii i prawdopodobnie Rosyi sobie nie zniechęcił; wszystko to zwróciło na niego uwagę całéj Europy, dało poznać świetne jego zdolności polityczne i stanowiło fundament jego sławy. Za powrotem do Piemontu spotkało go uznanie, tak ze strony króla jak ze strony rady państwa i narodu. Krainy włoskie połączyły się a wdzięczność swoję za usługi Cavour'a na kongresie okazane wyraziły, darząc go zaszczytnym medalem.

Będąc w Paryżu, Cavour odbywał częste konferencye prywatne z Napoleonem i przekonał się o sympatyi i gotowości pomocy ze strony cesarza dla Włoch; jednakże jako mądry dyplomata wiedział, że Napoleon w ówczesném położeniu Europy nie mógł wystąpić w charakterze obrońcy, lecz, że należy czekać odpowiedniejszéj chwili; daléj że sojusz jego z państwem, które występowało jako sprzymierzeniec kraju znajdującego się w jawnéj insurrekcyi, gdzie fanatyczni spiskowcy działali jako mordercy, skompromitowałby cesarstwo wobec innych mocarstw. Przecież już nuncyusz papieski w Paryżu po zamachu Orsini'ego odezwał się do cesarza: „To są owoce knowań rewolucyjnych popieranych przez Cavour'a“.

Najpilniejszém przeto staraniem Cavour'a było usunięcie tego

skrupułu z umysłu cesarza i jawne udowodnienie, że dążenia sardyńskie nie mają nic wspólnego z knowaniami rewolucyonistów; jakoż, zdarzyła się potemu nieoczekiwana sposobność.

Po zamachu Orsini'ego toczyły się w izbie rozprawy o wydaniu prawa karzącego zamachy i sprzysiężenia na życie zagranicznych monarchów. Cavour wygłosił wtedy mowę, w któréj bez litości potępiał spiskowców, a szczególniéj mazzinistów i ich przywódcę; utrzymywał prócz tego, że ostatnie powstania w Genui mieściły w swoim programie zamach na króla. Ta mowa Cavour'a, będąca arcydziełem jasności i prawdy, skłoniła Mazzini'ego do długiego i osobliwie zredagowanego listu do Cavour'a, z którego dla przykładu podajemy następujące aforyzmy: „Jeżelim już dawniéj pana nie lubił, to teraz nim gardzę; dotychczas byłeś pan moim wrogiem, teraz jesteś wrogiem niegodnym i nizkim. Jesteś pan bardziéj zły, niż ograniczony. Ograniczonym i potwarcą byłeś pan już wówczas bezwątpienia, gdyś w łatwowierną izbę wmawiał dla pozyskania od niéj haniebnego przyzwolenia, jakobyśmy zagrażali życiu Wiktora Emanuela. Gdyby życie pańskiego króla było istotnie zagrożone, wasze prawa nie zdołałyby go ochronić... Włochy, mój panie, muszą wybierać między wami a nami. Sądzę, że mogłeś pan Włochy zjednoczyć, gdybyś chciał, ale pańska i d'Azegli'a polityka doprowadzą tylko do tego, że zgubicie Piemont...“

List ten obiegł wszystkie dzienniki, a jeżeli w jakim zakątku Europy byli jeszcze ludzie, którzy w zaciekłości stronniczéj lub nieświadomości tłómaczyli sobie na złe politykę Cavour'a, dokument ten wystarczał, żeby go oczyścić z podejrzeń o jakiekolwiek stosunki z partyą rewolucyjną.

Zdaje się, że Cavour, który umiał każdego i wszystko wyzyskać, skorzystał z téj sposobności do wywarcia nacisku na Napoleona.

W rozmowach, o których wiedział, że dojdą uszu cesarza, wyrażał przekonanie, że rewolucyoniści składają całkowitą odpowiedzialność za cierpienia Włoch na cesarza, od którego spodziewały się pomocy, i że pomimo wszelkiéj czujności, trudno będzie zapobiedz zamachom. Czy Napoleon rzeczywiście uląkł się tych pogróżek, jest wątpliwém; niemniéj jednak przypuszczenie takie panowało na dworach angielskim, belgijskim i pruskim, a w liście księcia Alberta do króla Belgów jawnie je wypowiedziano. Tak samo i ówczesny książę regent pruski kończy list swój do wspomnianego monarchy następującemi słowy: „Wojna lub sztylet i to nie sztylet francuski lecz włoski. Czyż to jednak dostateczna pobudka do rozpoczynania wojny?

Na nieszczęście, obawa sztyletu włoskiego stała się jak widać manią Napoleona". Faktem jest, że Napoleon na wiosnę 1858 r. zdecydował się na działanie i wysłał do Turynu powiernika swojego dra Connau, żeby z Cavour'em obmyślił spotkanie, które miało nosić charakter zupełnie prywatny. Na miejsce zjazdu wybrano Plombière, dokąd się cesarz udał na kuracyą. W lipcu pojechał Cavour jak zwykle do Genewy, dla odwiedzenia krewnego swojego de la Rive i tam oczekiwał na osobiste wezwanie cesarza, które w istocie za pośrednictwem listu adjutanta cesarskiego Béville nadeszło. W oczach publiczności odwiedziny ministra sardyńskiego wyglądały jako dowód szacunku dla cesarza Francuzów; w Piemoncie zaś tylko król, La Marmora i niewielu zaufanych wiedzieli o nadzwyczaj ważnym celu zjazdu.

Cavour przyjechawszy do Plombière stanął w hotelu; lecz zaledwie cesarz dowiedział się o jego przybyciu, zaprosił go do siebie w gościnę. Tutaj traktował go jak przyjaciela. Wieczorem pojechali na spacer małym powozikiem, którym cesarz bez służby powoził: roztoczył przed nim całą swoją tak słynną uprzejmość. Napoleon rozpoczął pierwszy wyjaśnienia. Największa trudność leżała w wynalezieniu slusznéj przyczyny do wojny. Cavour zaproponował jako motyw pewne uchybienia w traktatach handlowych. Cesarz wszakże uznał to za niedostateczne. Również odrzucił jako powód, nieprawne rozciągnięcie władzy austryackiéj na ziemi włoskiéj z ciągłą okupacyą Romanii i Legacyi. Wreszcie, po rozmaitych projektach nasunął się książę Modeny; mianowicie srodze uciskana ludność Massy Carrary miała być skłonioną do proszenia króla sardyńskiego o obronę, a nawet o anneksyą, którą jednak Wiktor Emanuel powinien odrzucić, lecz za to wystąpić jako obrońca uciśnionych i wysłać do księcia Modeny wyzywającą notę. Przypuszczano, że ten licząc na pomoc Austryi, odpowie zuchwale. Tym sposobem wojna stanie się popularną w całéj Europie i neutralność wielkich mocarstw będzie zapewniona. Cesarz również nie miał żadnych obowiązków dla księcia Modeny, ponieważ tenże od r. 1830 nie chciał uznać żadnego z panujących francuskich. Wielki za to skrupuł dręczył go o papieża i króla neapolitańskiego. Pierwszego musiał oszczędzać ze względu, że sam panował nad katolickim narodem; drugiego zaś z téj racyi, że był protegowany przez Rosyą. Cavour wszakże umiał te skrupuły nawet w takim Napoleonie III przezwyciężyć. Dowodził tedy, że wojska francuskie, stojące załogą w Rzymie, są dostateczną rękojmią katolickich usposobień cesarza, a co się tyczy króla neapolitańskiego, niech tylko pozostanie neutralnym, a nikt go nie zaczepi. Po rozwa-

żeniu wszystkich szczegółów, śród których brano w rachubę ustąpienie Nizzy i Sabaudyi, zgodzono się po ośmiogodzinnéj konferencyi na wszystkie punkta z wyjątkiem jednego, najdraźliwszego, który Napoleon na razie pominął, ażeby go podczas spacerowéj przejażdżki na nowo podnieść. Punkt ten wystawiał gorące serce Cavour'a na ciężką walkę z politycznemi jego obowiązkami. Chodziło o małżeństwo najmłodszéj córki Wiktora Emanuela, księżniczki Klotyldy z księciem Napoleonem [1]). Cesarz przywiązywał wielką wagę do tego małżeństwa, i żeby go nie obrazić, co mogło pociągnąć obalenie wszystkich planów, nie mógł Cavour odmówić swojego pośrednictwa u Wiktora Emanuela. Cavour był świadom uczuć króla dla swojéj rodzinny, a zwłaszcza dla najmłodszego dziecka, przytém znał już dobrze księcia Napoleon. Ile go to odstąpienie księżniczki sabaudzkiéj kosztowało, można się domyśléć z naciąganych argumentów, jakiemi przekonywał Wiktora Emanuela w liście pisanym tuż po wyjeździe z Plombière, na rogu stołu w hotelu w Baden-Baden. List obejmował ni mniéj ni więcéj, tylko czterdzieści stronic.

Niewiele dokumentów historycznych moglibyśmy porównać z tym listem Cavour'a do króla, gdzie przebiegły dyplomata walczy o lepszą z głęboko czującym człowiekiem. Na swoim królu musiał Cavour wymódz dwie ofiary: utratę dwóch pięknych prowincyi, będących gniazdem przodków królewskich, i najukochańszego dziecka. Ostatni ten punkt król przyjął tylko z tym warunkiem, że córka jego bez nacisku, lecz zupełnie dobrowolnie na związek przystanie. Księżniczka Klotylda na zrobioną jéj propozycyą odpowiedziała wprost: „Jeżeli to małżeństwo jest życzeniem mego ojca i konieczne dla dobra mojéj ojczyzny, piszę się na nie". Gdy Cavour'owi dano znać o téj odpowiedzi, stanęły mu łzy w oczach.

La Marmora, ówczesny minister wojny i marynarki był szczegółowo wtajemniczony w plany Cavour'a. Z Genewy, zaraz po otrzymaniu cesarskich zaprosin, pisał doń Cavour: „Dramat zbliża się do rozwiązania. Oby mnie Bóg oświecił, żeby w téj wiekopomnéj chwili nie popełnić jakiego głupstwa. Mimo zwykłéj ufności w siebie, czuję wielką obawę". 24-go lipca zaraz po wysłaniu listu do króla, pisał znowu donosząc o stypulacyach umówionych z Napoleonem. Były one następujące: cel wojny: wyparcie Austryaków; utworzenie państwa z górnych Włoch, któreby obejmowało Marchie i Legacye, ustąpienie Sabaudyi i prawdopodobnie Nizzy. W liście tym między innemi czy-

---

[1]) Księżniczka Klotylda, matka księżniczki Letycyi, zaślubionéj we wrześniu 1888 r. księciu Amadeuszowi.

tamy: „Mam mocną ufność, a nawet przekonanie, że jeżeli się tylko król zgodzi na małżeństwo, wejdziesz za dwa lata do Wiednia na czele naszéj zwycięskiéj armii.“

Cavour opuścił Plombière w najlepszém usposobieniu, a ponieważ dwie muchy jedną klapką zwykł był zabijać, wracając zboczył do Baden-Baden, gdzie przebywali królowie, ministrowie i dyplomaci wszystkich krajów; zamiarem jego było zbadać, o ile nadzieje Napoleona, co do prawdopodobnéj neutralności wielkich mocarstw w razie wojny z Austryą, były uzasadnione. W jednym dniu konferował z królem wirtemberskim, księciem pruskim, Manteufflem, wielką księżną Heleną i z wieloma dyplomatami, i wyniósł przekonanie: „że Austrya — chwała Bogu! — swoją nierzetelnością oburzyła na siebie cały ląd europejski.“

Pierwszego sierpnia widzimy znowu Cavour'a w Turynie, odmłodzonego o lat 10 nadzieją rychłéj wojny z Austryi i pomocą Francyi. Mimo to przejmowało go nieraz ciężkie zniechęcenie. Nie wątpił wprawdzie o szczerości Napoleona, za to inne dręczyły go obawy. Zadawał sobie pytanie, czy wojska francuskie dla sprawy tak mało je obchodzącéj, okażą pożądany zapał wojenny? Czy téż mocarstwa w istocie zachowują tę życzliwą neutralność, jakiéj się spodziewał Napoleon?

25-go sierpnia pisał do ministra oświaty Lanzy; „Robię co mogę, żeby pośród licznych trosk zachować swobodny umysł; zapewniam jednak pana, że jestem nieco zniechęcony i pragnąłbym, abyś pan wrócił i przywiózł rozwikłanie téj plątaniny...“ 30-go zaś grudnia pisał do Villamarin'y, posła sardyńskiego w Paryżu: „Horyzont zaciąga się chmurami, burza już huczy. Miejmy nadzieję, że wpływ Rosyi na dworze berlińskim udaremni intrygę angielską, pracującą nad sklejeniem sojuszu Prus z Austryą.“

Jak dalece Cavour'a pochłaniała ta myśl, dowodzi ciągłe wahanie się jego między obawą a nadzieją. Już dniem późniéj, 1-go stycznia, w liście z życzeniami do Boncampagni'ego, posła sardyńskiego we Florencyi, wyraził stanowczo nadzieję, że w przeciągu miesiąca rzecz się rozstrzygnie, a chociaż wojna nie zaraz wybuchnie, nie mniéj jednak wszystkie punkta wstępne będą już ustanowione. Tegoż dnia otrzymał Cavour telegraficzne doniesienie o szorstkich słowach, z jakiemi cesarz francuski na urzędowém noworoczném przyjęciu zwrócił się do posła austryackiego, a które cała Europa uważała za wyzwanie.

W 10 dni późniéj Wiktor Emanuel miał ową wspaniałą mowę tronową, przejętą „bolesnym krzykiem Włoch“, którą mu Cavour

podsunął, a która wywoła tak surową naganę ze strony gabinetu angielskiego. Nagana rządu angielskiego mało go obchodziła w obec faktu, że cesarz swojemi słowy przypieczętował niejako związek przeciwko Austryi, a mowa tronowa króla odezwała się echem w sercach całego narodu włoskiego, co pociągnęło za sobą znaczne osłabienie partyi republikańskiéj; najlepsze siły, które w zwątpieniu przyłączyły się do agitacyi, teraz z nią zerwały, żeby się szczerze zjednoczyć z domem Sabaudzkim. Również kwestya pieniężna, która sprawiała Cavour'owi tyle kłopotów, rozwiązana została pomyślnie. Usiłowania Napoleona, żeby pożyczkę sardyńską poprzéć w Paryżu, okazały się bezskutecznemi, gdyż, jak wyżéj powiedzieliśmy, Francya niechętnie patrzała na sojusz z Włochami; to téż nie bez szyderstwa pisał wówczas książę-małżonek królowéj Wiktoryi do lorda Malmesbury, że wié z ust Lafitte'a, iż Cavour nic nie zyskał, że jest zrozpaczonym bankrutem. W parę tygodni potém pisał „zrozpaczony“ Cavour do posła sardyńskiego w Londynie: „Pożyczka nasza, po długiém ociąganiu się wszystkich wielkich bankierów europejskich, doznała u nas świetnego przyjęcia. Radośnie było patrzéć, jak mali kapitaliści śpieszyli złożyć skromne swoje mienie w ręce rządu. Fakt ten w połączeniu z ciągłym przypływem młodzieży lombardzkiéj pod nasze chorągwie, zdaje się dowodzić, że poczucie narodowe Włochów nie jest wynalazkiem „wichrowatego mózgu hr. Cavour'a.“

Wszystko zdawało się sprzyjać zamiarom. Austrya wzmocniła swoję armię na terytoryum włoskiém; starcia między aroganckimi oficerami austryackimi a mieszczanami lombardzkimi wzmagały się codziennie i niejednokrotnie wywoływały bardzo przykre następstwa. Wszystkie te prowokacye upoważniałyby Piemont do wypowiedzenia wojny, jednak cesarz położył za warunek, że zaczepka powinna wyjść ze strony Austryi, żeby Francya mogła wystąpić w charakterze sojusznika. Jakoż zdarzyła się i ta sposobność. Setki popisowych zbiegały się pod chorągwie Wiktora Emanuela, a pośród nich wielu Lombardczyków i Wenecyan, nawet synów znakomitéj szlachty i wysokich urzędników. Niepodobna było Austryi pokryć milczeniem téj jawnéj obrazy, tego przyjmowania austryackich dezerterów do szeregów armii sardyńskiéj. Stosunki tak się zaostrzyły, że lada dzień „spodziewano się“ wypowiedzenia wojny. Wtedy to Prusy i Anglia z obawy, że kwestya włoska może wywołać wojnę europejską, wystąpiły z nieszczęsném pośrednictwem i zażądały rozbrojenia zwaśnionych mocarstw, proponując natomiast, żeby kwestyą rozwiązać na kongresie europejskim, z którego jednak Sardynia byłaby wyłączoną.

Ciągła chwiejność planów i postanowień Napoleona przed roz-

poczęciem wojny z r. 1859 jest dość znana, żebyśmy się nad nią zastanawiali. Cavour uważał osobiste porozumienie się z cesarzem za niezbędne, a ponieważ nie mogli mu tego odmówić, więc pod koniec marca został wezwany do Paryża.

Przed osobistém widzeniem się z cesarzem, konferował Cavour z ministrem Walewskim, który jako wręcz przeciwny sojuszowi, używał wszelkich sztuczek i kruczków, żeby doń nie dopuścić. Zapewniał on Cavour'a, że w obec obrotu, jaki cała sprawa u mocarstw europejskich wzięła, cesarz postanowił wystąpić w kwestyi włoskiéj tylko jako pośrednik i to w tém przekonaniu, że da się rozstrzygnąć na drodze pokojowéj. Cavour na to odrzekł, iż powyższe mniemanie ministra może przypisać tylko nieznajomości stanu rzeczy, gdyż posiada w ręku dowody, któreby dowiodły niesłowności cesarza, gdyby chciał umyć ręce od sprawy włoskiéj. Następnego dnia cesarz był nie zdrów i leżał w łóżku.

Cavour oburzony chciał opuścić Paryż bez widzenia się z cesarzem i zaledwie udało się przyjaciołom zatrzymać go na miejscu. Wtedy to wyrzekł Cavour: „że gdyby go po mowie, jaką miał w parlamencie, po wywołaniu ruchu narodowego i po tylu ogromnych wydatkach, Francya tak haniebnie opuściła, nie śmiałby stanąć przed oczyma swoich ziomków. Dlatego téż chciał co rychléj wracać do Turynu i zażądać dymisyi, co musiałoby pociągnąć za sobą abdykacyą króla. Następnie miał zamiar jechać do Ameryki i tam opublikować posiadane dokumenty, któremiby dowiódł całemu światu, że miał słuszną zasadę wierzyć cesarzowi i liczyć na pomoc Francyi w wojnie z Austryą.

Dopiéro na trzeci dzień nastąpiła konferencya z cesarzem, który istotnie używał wszelkich środków, żeby skłonić Cavour'a do rozbrojenia. Cavour jednakże pozostał niewzruszony i oświadczył, że on i jego monarcha byliby zgubieni, gdyby przyjęli ten uwłaczający warunek i zgodzili się na postanowienia kongresu, w którym Sardynia nie brałaby udziału. Podobne oświadczenie złożył przed posłem angielskim i dodał: Sardynia nietylko jest zdecydowana odmówić rozbrojenia, ale jest gotowa na prowokacye austryackie odpowiedzieć wypowiedzeniem wojny, bez względu na to, czy się to Francyi podoba lub nie podoba. Poczém rozczarowany i zaniepokojony opuścił Paryż. Teraz już wiedział, że gdyby wojna prędzéj lub później wybuchła, nie łatwo byłoby skłonić Napoleona, by swojego słowa dotrzymał. W przeddzień wyjazdu z Paryża pisał do La Marmory: „W skutku błędów i nieszczęśliwych okoliczności ze sprawą włoską jest tak źle, jak tylko być może.“

W Piemoncie zaś obok Cavour'a nikt tak gorąco nie pragnął wojny, jak Wiktor Emanuel. Rozkaz dzienny generała austryackiego Gyulay'a, zredagowany nader brutalnie i przeczytany żołnierzom w koszarach na początku kwietnia, skłonił króla do skreślenia następujących wyrazów do pierwszego swojego ministra:

„Mój kochany Cavour'ze!

Rozkaz dzienny jest istotném wypowiedzeniem wojny. Sądzę, że dość już konferencyi; jestem cały w potach z oburzenia. Proszę pana, abyś w swojém imieniu przesłał księciu Napoleonowi następującą depeszę cyfrowaną: „Posyłam Ci rozkaz dzienny do armii, wydany przez cesarza; namyśl się nad nim.“ Kochany Cavour'ze! Napisz mi cośkolwiek; chciałbym, żeby już dziś wieczorem zagrzmiały armaty.

Twój życzliwy *Wiktor Emanuel.*“

Pomimo téj ochoty do wojny, musiano bardzo przezornie myśléć, żeby Anglii nie obrazić, która, stojąc jak bogini zgody na wysokim piedestale, głosiła pokój, a dyplomatów wzajem na siebie szczwała. W połowie kwietnia wysłał król Maksyma d'Azegli'a do Londynu w nadziei, że mu się uda, dzięki poważaniu, jakiego tam używał, przekonać gabinet angielski, że sprawa włoska nie może być dłużéj w zawieszeniu, gdyż pobudzone w najwyższym stopniu umysły ludności, oczekują z natężeniem ostatecznego rozwiązania. Lord Malmesbury przekonał się, że nadzwyczajny poseł sardyński, zgodnie z życzeniem królowéj Wiktoryi, bardziéj był skłonny do przeniesienia sprawy włoskiéj na grunt dyplomatyczny, niż to Cavour i król przewidywali. Jest rzeczą pewną, że lord Malmesbury, zaniechawszy dalszéj wymiany not z gabinetem sardyńskim zakomunikał urzędownie gabinetowi francuskiemu, przez posła swojego w Paryżu, rezultat konferencyi z Azeglio. W skutku tego hr. Walewski polecił niebawem posłowi francuskiemu w Turynie księciu Latour d'Auvergne, zawiadomić hr. Cavour'a o porozumieniu Francyi i Anglii, co się tyczy rozbrojenia, i żądać od niego natychmiastowéj zgody.

Nieszczęsna ta depesza nadeszła do Turynu późno w nocy z 18 na 19-ty kwietnia, a około wpół do drugiéj udał się sekretarz poselstwa francuskiego, Aymé d'Aquin, do pałacu Cavour'a, gdzie wszystko było pogrążone w głębokim spokoju. Kiedy zameldowano francuskiego dyplomatę, zrozumiał Cavour, że chodzi o sprawę niezmiernéj wagi. Przyjął go w sypialni i siedząc na łóżku przebiegł notę oczyma. Osłupiały wzrok utkwił w papierze, a następnie uderzywszy się pięścią w czoło zawołał: „Teraz pozostaje mi tylko w łeb sobie pal-

nąć.“ Widział, że gmach tak mozolnie przezeń stawiany rozsypuje się w gruzy i że w Paryżu gotują mu upadek. Rano około szóstéj udał się sam książę Latour d'Auvergne do Cavour'a. Zastał go przygnębionym i zdecydowanym na wzięcie dymisyi, gdyż nie mógł doradzać swojemu królowi zmiany w dotychczasowym kierunku polityki. W godzinę potém po drucie telegraficznym pędziła następująca nota do Paryża:

„Ponieważ Francya łącznie z Anglią żądają od Piemontu uprzedniego rozbrojenia, rząd królewski jest gotowy zadość uczynić żądaniu, jakkolwiek przewiduje, że środek ten wywoła opłakane skutki dla pokoju Włoch.“

Następną dobę spędził Cavour wpadając naprzemian to w rozpaczliwe przygnębienie, to znów w najwyższe rozdrażnienie, tak, że przyjaciele byli w obawie, żeby się na życie swoje nie targnął. Pozwólmy w tém miejscu mówić wiernemu przyjacielowi Cavour'a, Castelli'emu, który w najboleśniejszéj, być może, chwili jego życia, znajdował się przy nim:

„Około 4-éj (20-go kwietnia), pisze on, byłem w archiwum ministeryalném, gdy nagle weszli Minghetti, Andinal i Farini silnie wzruszeni, mówiąc do mnie: „śpiesz do Cavour'a; wracamy właśnie od niego, nie chce się z nikim widzieć, może się stać nieszczęście, usiłuj dotrzeć.“ Pobiegłem do domu Cavour'a, a gdym wszedł, spotkałem starego kamerdynera, który ze łzami w oczach rzekł do mnie: hrabia siedzi sam w gabinecie; spalił mnóstwo papiérów i zakazał mi puszczać kogokolwiek do siebie. Na miłość Boga sprobuj pan wejść. Wszedłem do pokoju nie stukając we drzwi i zastałem go siedzącego pośród mnóstwa w nieładzie rozrzuconych papiérów. Na kominie tlały listy i podarte papiéry. Cavour, nie mówiąc słowa, spojrzał tylko na mnie osłupiałym wzrokiem.

Wiem, że nie wolno tu nikomu wchodzić, rzekłem doń na pozór spokojnie, choć z bijącém sercem, gdyż spojrzenie jego kazało lękać się wszystkiego. Czyż mam wierzyć temu, iż taki Cavour chce opuścić plac boju przed walką i nas wszystkich na sztych wystawić? Nie mogłem daléj mówić, gdyż łzy mi się puściły. Cavour wstał i uścisnął mnie konwulsyjnie. Poczém chodził chwilę jak szalony po pokoju i stając nagle przedemną, odrzekł powoli: uspokój się Castelli, stawimy wszystkiemu czoło i zawsze wspólnie.

Pobiegłem uspokoić przyjaciół. Późniéj strasznéj téj sceny nigdy już Cavour nawet pobieżnie nie wspomniał.“

Pomijamy opis trwogi, jaką Cavour w ciągu następnych dwóch dni przechodził, jak niemniéj wymianę not między gabinetami mo-

carstw, oraz inne zdarzenia, których ostatecznym rezultatem było *ultimatum* Austryi; natomiast przytoczymy jeszcze słowa Castelli'ego:

„Przed południem 23-go—pisze on—wchodziłem na schody pałacu ministeryum, aż oto ujrzałem śpieszącego ku mnie z jakimś papiérem w ręku d-ra Casseus'a, lekarza górno-włoskiego Towarzystwa kolejowego. Była to depesza od jednego z kolegów z Novarry, który donosił, że widział w wagonie na drodze ku Turynowi hr. Kellersberga i hr. Ceschi, jadących z austryackiém *ultimatum* Jeszczem nie zdążył przeczytać do końca, gdy Cavour wszedł na schody. Z rozjaśnionego oblicza mojego odgadł on, że się zdarzyło coś nadzwyczajnego; słowa nie mówiąc, wyrwał mi papiér z ręki, przebiegł go oczyma i pędem zbiegł ze schodów, żeby przyjaciołom w izbie zwiastować tę wesołą nowinę.“

Pod wieczór oczekiwano posła austryackiego. O 12-éj zwołał Cavour izbę na nadzwyczajne posiedzenie. Żałujemy, że musimy zaniechać powtórzenia mowy, którą wygłosił podówczas w izbie.

Kiedy galerye frenetycznie klaskały, a deputowani z podniesionemi rękami wołali: *Viva il Re, viva l'Italia!* Cavour'owi wsunięto bilecik ze słowami: Już przybyli!

Kartkę tę przysłał jeden z przyjaciół, który oczekiwał na dworcu przybycia oficerów austryackich. Niepostrzeżenie wymknął się Cavour z izby i ściskając rękę owego przyjaciela powiedział: „Wychodzę z ostatniego posiedzenia izby sardyńskiéj, następne będzie to już posiedzeniem królestwa Włoskiego.“ Do jednego zaś z posłów, którego spotkał na dole, rzekł: „Przez wiele nocy okam nie zmrużył, chodząc tam i napowrót po pokoju. Gdyby nam Austrya wojny nie wypowiedziała, lub Napoleon słowa nie dotrzymał, wypadłoby mi do Po się rzucić.“

Od téj chwili działalność Cavour'a była tak nieustanną, że w istocie trudno pojąć, jakim sposobem siły fizyczne nie odmówiły mu posłuszeństwa, a umysł pozostał trzeźwy. Długoletni jego sekretarz, J. Arton, w książce swojéj o Cavour'ze pisze (str. 33):

„Kto nie był przy nim w miesiącach kwietniu, maju i czerwcu, nie może mieć wyobrażenia o jego działalności. Był on równocześnie prezesem ministrów, ministrem spraw zagranicznych, wewnętrznych, wojny i marynarki. Kazał sobie postawić łóżko w biurze ministeryum wojny i biegał w nocy od jednego ministeryum do drugiego, wydając rozkazy wojskowe, noty dyplomatyczne i rozporządzenia policyjne...“

Nie mamy zamiaru pisać historyi wojny z r. 1859, ani malować

świetnych zwycięstw odniesionych przez wojska związkowe. Zostańmy przy Cavour'ze.

Ósmego lipca odbył się wjazd tryumfalny cesarza i króla do Medyolanu, a 9-go przybył tamże Cavour, wezwany przez Wiktora Emanuela. Trudno byłoby opisać uniesienie, z jakiém go przyjęto. Był bohatérem dnia, a wizerunek jego uwieńczony laurem, widniał we wszystkich oknach. Kiedy pewnego poranku wychodził z willi Bonapartych, zbliżyły się ku niemu dwie damy z najlepszego towarzystwa i uścisnęły go publicznie. Tłumy ludu byłyby go zgniotły na ulicy, gdyby sekretarz jego (Nigra) nie był wpadł na szczęśliwą myśl, wołając: „Proszę zrobić miejsce hr. Cavour'owi, idzie bowiem z ważném doniesieniem do króla.“

Wiadomo powszechnie, jak się skończyła ta zwycięska wojna; wiadomo również, jak ją Napoleon nagle przerwał pod kłamliwym pozorem, jakoby się zanosiło na pokojową interwencyą wielkich mocarstw; jak premier sardyński dopiéro wtedy się dowiedział o postanowieniu zawieszenia broni, kiedy się już odbyła konferencya między dwoma cesarzami, a preliminarya pokojowe zagajono, że tak powiemy, za plecami Wiktora Emanuela; jak Cavour w obec téj nieprawdopodobnéj pogłoski, zrozpaczony popędził do obozu, gdzie go Napoleon z powodu „rozstrojonych nerwów“ nie przyjął, a książę Napoleon nagle gdzieś się podział. Wiadomo nareszcie i to, jak Cavour ostro się przemówił ze swoim królem, śmiało mówiąc, że kraj jego zdradzono, że powinien abdykować i jak następnie wrócił do Turynu.

Gniew i oburzenie Cavour'a przeciw Napoleonowi nie miały granic. Arton pisze: „Widziałem go po powrocie z Villafranca, bladego jak chusta; w ciągu trzech dni postarzał się o trzy lata.“ Farini zaś nadmienia, że był w tak głęboką boleść pogrążony, iż budził litość.

Następnego dnia po swoim powrocie przyjmował Cavour Kossutha, przybywającego w towarzystwie Francuza Pietri. Była to dobra sposobność do dania folgi uczuciu. Pietri napomknął o pogłosce, jakoby Cavour miał ustąpić i wyraził żal, jaki krok ten może sprawić cesarzowi. „Co pan chcesz“, odrzekł Cavour, „w polityce trudno nieraz upatrzyć właściwą porę i tryb postępowania, czasami nawet z zasadami nie bardzo się skrupulizuje; ale jest coś, z czém człowiek, mający serce w piersiach zawsze ściśle powinien się liczyć, a tém coś, jest honor. Wasz cesarz zbezcześcił mnie, mój panie, tak, zbezcześcił, zbezcześcił. Mój Boże! dał mi słowo, że się nie zatrzyma, póki Austryaków z Włoch nie wypędzi; jako wynagrodzenie zastrzegł sobie Nizzę i Sabaudyą. Ja nakłoniłem króla, żeby tę ofiarę poniósł.

Mój król, mój dobry, szlachetny król zaufał moim słowom, zgodził się, aż oto teraz, wasz cesarz chowa nagrodę do kieszeni, a nas puszcza z kwitkiem. Na domiar tego wszystkiego, chce jeszcze mojego króla i innych książąt włoskich wciągnąć do konfederacyi z Austryą pod prezydencyą papieża; tego jeszcze tylko brakło! Zostałem zbezczeszczony w oczach mojego króla... wszakże z tego pokoju nic nie będzie. W ostateczności podam jednę rękę Solaro della Margherita (przywódca prawicy), a drugą Mazzini'emu; zawiążę sprzysiężenia, zostanę rewolucyonistą, ale do wykonania umowy nie dopuszczę, nie, po tysiąc razy nie!" Zaraz po tém, chociaż do głębi wzburzony, musiał wraz z kolegami udać się na spotkanie obu monarchów. Napoleon ścisnął go za rękę. Następnego dnia kazał mu powiedzieć, że go przyjmie, jeżeli się zechce powściągnąć od wszelkich wymówek. Na posłuchaniu obiecał Napoleon gorąco się ująć za sprawą włoską u wielkich mocarstw reprezentowanych na kongresie; i do Wiktora Emanuela odzywał się, że uregulowanie stosunków w środkowych Włoszech będzie najbliższą troską, a odstąpienie Sabaudyi ma zejść na plan podrzędny. Pomimo tego, w trzy miesiące później, gdy minister Dabormida przybył w nadzwyczajnéj misyi do Paryża, Napoleon znów natarczywie domagał się Sabaudyi i Nizzy.

Cavour już przestał wierzyć słowom cesarza francuskiego, a gdy 19 lipca Ratazzi z polecenia króla nowy gabinet, z La Marmorą na czele, tworzył, usunął się do Leri. Niezadługo jednakże pozostawał w samotności, coś go ciągnęło do „szpitala politycznie rannych", gdzie już nieraz pociechę i ukojenie znajdował. W końcu lipca wyjechał do Szwajcaryi, gdzie częścią pieszo, częścią na małych wózkach zdążał do Presinge, do przyjaciela swojego de la Rive. Boleść jego jeszcze nie ustała, więc bez ogródek puszczał wodze zgorzkniałemu uczuciu. Szlachetne atoli jego serce, niechętnie wierzące w złość ludzką, nie pozwalało mu podejrzéwać cesarza o interesowne pobudki i tajne intrygi. Otworzył on (cesarz), tak mówił do siebie, uszy na złe podmuchy, rozumiejąc przez to cesarzową, Walewskiego i wielu innych, którzy chcieli się cofać, chwytając Napoleona za strunę sentymentalną, wystawiając mu cierpienia armii. De la Rive zapewnia, że Cavour był nietyle zgnębiony, ile raczéj zgorzkniały, że na nowo rozważał w swéj głowie zniszczone plany i nadzieje. Zewnętrzny wygląd jego świadczył o wewnętrznéj gorączce. Powtarzał tedy: „nie za siebie, lecz przed siebie, naprzód musimy teraz spoglądać. Zagrodzono nam drogę, trzeba szukać innéj." Dwadzieścia lat przyjdzie pracować nad tém, co w kilka miesięcy mogło być osiągnione. Nic na to nie poradzimy. Zresztą, Anglia niczego jeszcze dla Włoch nie

uczyniła; teraz na nią koléj. Zajmę się Neapolem. Powiedzą, żem został rewolucyonistą; mniejsza o to, musimy iść naprzód.“ Powoli, jasny umysł jego brał górę, a mózg dzień i noc pracujący snuł nowe plany, nowe nadzieje, nową politykę.

Zatrzymując się przydłużéj nad tym najobfitszym w czyny i najboleśniejszym peryodem jego życia, czynimy to dlatego, że właśnie czas ów uwieńczył głowę wielkiego męża stanu i szlachetnego patryoty koroną nieśmiertelności i położył węgielny kamień pod mauzoleum, które go wkrótce potém nagle, wśród najdzielniejszéj siły męskiéj i kwitnącego zdrowia, na wieczny spoczynek przyjęło.

Powróciwszy do Piemontu widział dowody spółczucia, uznania i zachęty, jakich mu nie szczędzili najszlachetniejsi mężowie, tak włoscy, jak i francuscy. Powoli przekonywał się, że położenie sprawy nie było tak beznadziejne, jak mu się zdawało podczas zawierania pokoju w Villafranca, że poczynione anneksye we Włoszech mniéj lub więcéj Napoleonowi zawdzięczać należało, i że byłoby nieuczciwie usuwać się w téj arcyważnéj chwili od służenia ojczyźnie.

Pozostał więc w Leri, ale znowu brał udział w zdarzeniach i radą wspiérał ministeryum, którego nietrwałość od początku widział. W połowie listopada jeździł do Turynu dla wzięcia udziału w naradach dotyczących regencyi w Toskanii, ale tego samego dnia powrócił do Leri wielce przygnębiony: oto dowiedział się, że ma wkrótce nastąpić kongres. Już w październiku zapytywano Cavour'a, czyby chciał na nim reprezentować Sardynią, na co twierdząco odpowiedział. Potém już ani słowa w téj sprawie, co go obraziło. 14-go listopada pisał do Farini'ego: „W obec tego majaczenia, które godności kraju szkodzi, mnie ubliża, a dla posłannictwa Sardynii jest szkodliwe, już nieraz chciałem zerwać z tém ministeryum więcéj może niezdolném, niż bojaźliwém. Jedynie myśl, że skandal musiałby naszéj sprawie zaszkodzić, wstrzymuje mnie od tego; ponoszę więc ofiarę za ofiarą i dźwigam w milczeniu zadane mi upokorzenie.“

Mylił się wszakże. Jak tylko 22 listopada Walewski z rozkazu cesarza wystąpił z urzędowym projektem kongresu, ministrowie ponowili zapytanie wprawdzie nie urzędowo, ponieważ obawiano się, że cesarz niechętnie widziałby wybór Cavoura. Tymczasem inaczéj się stało; cesarz nietylko się zgodził, lecz wpłynął i na Wiktora Emanuela, który po gwałtownéem wystąpieniu Cavoura w Villafranca, nie taił swojéj niechęci, ażeby wybór potwierdził. Stąd wynikła żywa polemika między stronnikami Cavoura i Rattazzi'ego. Napaść na Cavour'a nie przyczyniła się do podtrzymania i tak już zachwianego gabinetu. Rozeszła się wieść, że ministeryum, a zwłaszcza Rattazzi

paraliżuje wysłanie Cavoura na kongres, i to właśnie przyśpieszyło upadek gabinetu. Życzenie narodu, by Cavour stanął na czele spraw państwa, tak dalece wszystkich ogarnęło, że ministeryum w poczuciu własnéj bezsilności podało się do dymisyi 16 stycznia, proponując królowi, ażeby wezwał Cavoura do utworzenia nowego gabinetu.

A zatém w 6 miesięcy po ustąpieniu, widzimy go znowuż u steru, i to w chwili, gdy trudność i komplikacye ze wszech stron piętrzyć się zaczęły.

31 grudnia cesarz Francuzów napisał ów głośny list do papieża, w którym, z całym szacunkiem dla głowy kościoła, wykazywał konieczność zrzeczenia się państwa kościelnego. Walewski, który nieustające motał intrygi, otrzymał dymisyą, a miejsce jego zajął Thuvenel, znany ze swojéj dla Włoch sympatyi. Polityka cesarza, co się tyczy Włoch, weszła w nową fazę: porzucił myśl kongresu, postanowił związać się z Anglią, w celu dźwignienia Włoch i dla tego życzył sobie mieć w Paryżu Cavoura, który, jak to widać z prywatnego listu księcia Napoleona, miał „wielki wpływ na cesarza“.

Tym sposobem w r. 1860 stanęły przed Cavourem sprawy nieobliczonéj doniosłości zarówno w zakresie polityki zagranicznéj, jak i wewnętznéj. Zniesienie klasztorów w Umbryi, organizacya przyłączonych krajów, odstąpienie Sabaudyi i Nizzy. Więc téż mózg jego pracował dzień i noc, ażeby się najrozmaitsze nici, które w swym ręku trzymał, nie splątały.

Kiedy jeszcze miano do załatwienia anneksyą Włoch środkowych, Garibaldi czynił przygotowania do wyprawy na Sycylią. Cavour znalazł się w położeniu rzadko spotykającém ministra. Wobec mocarstw zagranicznych trzeba było udawać, że się na ruch w południowych Włoszech nie zezwoli; tu musiał króla zasłaniać, a nawet w pewnéj mierze pilnować, gdyż trawiła go żądza oswobodzenia Neapolu i Sycylii; tam znów trzeba było formalnie zatykać usta Garibaldi'emu, który „szaleństwami swojemi gotów był wszystko popsuć“, ażeby się wstrzymywał od napuszystych proklamacyi. Na domiar trudności, Garibaldi obrażony ustąpieniem Nizzy, rodzinnego swojego gniazda, uważał krok ten za osobistą obrazę i podburzał przywiązane do siebie masy ludu.

Nareszcie chorągiew włoska powiała od Alp aż do Etny jak to Cavour przed laty prorokował; wszakże pozostały jeszcze dwa punkta rzucające czarny cień na zjednoczone państwo; mianowicie, Rzym i Wenecya, do oswodzenia któréj Garibaldi z młodzieńczym zapałem, Cavour zaś spokojnie i rozumnie zdążali. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy życia, zajmowała Cavoura, przed innemi, głównie sprawa

rzymska. Pisał wtedy do hrabiego Dabormidy; „Wystąpienie Garibaldi'ego nie zmniejszyło wcale troski mojéj odnośnie sprawy rzymskiéj, która codzień na ważności zyskuje“. Świadczą o tém i inne listy Cavoura adresowane do zaufanego dra Pantaleone w Rzymie, a zwłaszcza ostatni z 29 maja 1861 r. na dzień przed chorobą, z któréj już nie powstał.

Cavour był silny i zdrów, nigdy téż żadnéj ciężkiéj choroby nie przebywał; czasami cierpiał na kongestyą do głowy, ale puszczenie krwi zwykle przynosiło mu ulgę. Tak samo było i z ostatnią chorobą. Obiadował tego dnia z bratem w domu, poczém udał się w odwiedziny do przyjaciół, którzy zauważyli tym razem w gościu niezwykły brak humoru. Na wizycie krótko bawił, a wróciwszy do domu położył się do łóżka; ale doktora wezwał dopiero dnia następnego i kazał sobie krew puścić. Na trzeci dzień wzmogły się kongestye, nastąpił mocny zawrót głowy, myśli traciły zwykłą jasność, nocą majaczył głośno o sprawach politycznych. Ponieważ cierpiał na bezsenność i nocami chodząc po sypialni, snuł plany polityczne, przyzwyczajono się do tego i nikt nie żywił obawy. Tylko stary sługa i synowica, margrabina Alfieri nieodstępująca go na chwilę, zatrwożeni tym stanem, prosili Cavoura, ażeby żadnych odwiedzin nie przyjmował, a szczególniéj, żeby się wstrzymał od pracy — gdyż mimo choroby, na trzeci dzień po zapadnięciu, z sekretarzem swoim dyskutował bieżące sprawy i rozkazy wydawał. Na czwarty dzień wzmógł się jeszcze bardziéj nawał krwi do głowy, któremu znów zaradzono upustem krwi już piąty raz z rzędu. Zdawało się, że nastąpiła stanowczo poprawa; po południu zebrał u siebie na radę ministrów, która parę godzin trwała. Wieczorem pokazała się gwałtowna gorączka, a w nocy nieustanne majaczenie. Piątego dnia, gorączka ustała, ale nastąpiło zupełne sił wyczerpanie, co przypisano nowemu krwi puszczeniu. Wezwani lekarze Riberi i Maffori uznali chorobę za zjadliwą gorączkę, a stan chorego za beznadziejny.

Brat jego, margrabia i margrabina Alfieri, Castelli, Farini, Nigra kolejno czuwali przy łożu chorego, ministrowie zaś, zagraniczni dyplomaci i znakomitsi obywatele wszelkich stanów, przybywali dowiadywać się o nowiny. Ulica, plac przed domem, schody, aż do przedpokoju zalegały gęste masy, oczekujące w trwodze wiadomości. Oto jak te ostatnie chwile opisuje przyjaciel, Castelli: Nocą z 4 na 5-y czuwaliśmy przy nim wraz z Farinim, aż do 3-éj po północy, poczém udaliśmy się do domu, ażeby odrobinę spocząć. O 6-éj rano przybiegł służący, oznajmiając, że mnie Cavour wzywa do siebie. Gdym przybył, obecni oświadczyli mi, że chory chce samnasam ze mną pozo-

stać. Zaledwiem przystąpił do łoża, zawołał: O Castelli, Castelli! poczém zamilkł. Przypuszczając, że mnie poznaje, zacząłem mu dodawać odwagi. Spojrzał na mnie osłupiałym wzrokiem i zawołał głośno: Ależ król musi wiedzieć... Potém słychać było niewiążące się ze sobą zdania, myśl przeskakiwała od przedmiotu do przedmiotu. Wsparł głowę na mojém ramieniu i trzymał ją ze dwie godziny, a ja tymczasem okładałem czoło jego lodem".

Około południa zebrali się lekarze i uznali, że zgon jest bliski. Wiadomość o tém rozbiegła się lotem błyskawicy po mieście, zaczęły się gromadzić tłumy ludu przed domem. O godzinie 9-éj wieczorem przybył król boczną bramą, ażeby wyminąć zbite masy ciekawych.

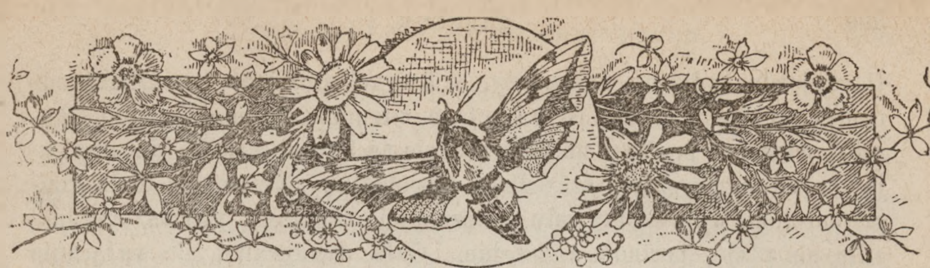
„Jakże tam, Cavourze—a ściskając serdecznie jego rękę, dodał— „chciałem sam cię widzieć". Cavour podźwignął się, spojrzał na niego i zawołał: „O najjaśniejszy panie", poczém znów opadł na łoże. Wiktor Emanuel zaczął budzić w nim odwagę, ale chory już go nie poznawał wołając: Z tymi Neapolitańczykami trzeba skończyć... Jutro rano o 5-éj niech do mnie przyjdzie Arton, nie mamy ani chwili do stracenia".

Wiktor Emanuel popatrzył na niego i ze łzami w oczach opuścił pokój. Chciał parę słów przemówić do margrabiny Afieri, ale głos mu zamarł; dopiéro spotkawszy w dalszéj sali Farini'ego i Castelli'ego prosił, by mu o 4-éj dali znać, co nastąpi. O 3-éj rano dał się słyszéć jasny, czysty głos chorego tak wyraźnie, że go w bocznych pokojach słyszano. Rozprawiał o Rzymie i Napoleonie. Wkrótce po 4-éj zaczęła się agonia, głos stracił dźwięczność. Castelli udał się do króla, który już od godziny wstał i czekał na niego. „Czy już umarł?" — zawołał król, chwytając przybywającego za ramię. „Jeszcze nie, najjaśniejszy panie, zresztą nie miałbym siły przynieść téj wiadomości". „Wiem, mój poczciwy Castelli, jakeście go kochali".

Castelli wracając od króla, spotkał po drodze dra Maffori: Cavour już nie żył.

Alfa.





Z TEORYI I FAKTÓW PRZYRODNICZYCH.

VI.

Różnice fizyologiczne rozmaitych ras. — Europejczyk pod zwrotnikami. — Wpływ warunków cieplikowych i chorób zakaźnych. — Aklimatyzacya europejska. — Wpływ rozmaitych wysokości na zdrowie ludzkie.— Projekt kolei na Jungfrau. — Dawniejsze badania. — Obserwacye i doświadczenia w balonach.—Wyprawa Janssena na Montblanc. — Jéj naukowe rezultaty.

Porzućmy na chwilę to miejsce, do którego przykuci jesteśmy na globie ziemskim, i starajmy się myślą objąć owę wielką rozmaitość odmian i kształtów, jakie wskazuje człowiek rozsiedlony wszędzie niemal na stałym lądzie naszéj planety. Udajmy się pod opiekę antropologa, a wskaże on nam różnice w budowie i objętości czaszki ludzkiéj, w długości szkieletu, w obwodzie klatki piersiowéj, w długości rąk i nóg, w kolorze skóry, zabarwieniu tęczówki oka, w kształcie i barwie włosów; etnolog zaś i etnograf zwrócą uwagę naszą na nieskończoną rozmaitość obyczajów, wierzeń, form życia i t. d. Czyż z góry wobec tego skłonni nie będziemy przypuścić istnienia pewnych fizyologicznych i patologicznych różnic pomiędzy rozmaitemi rasami ludzkiemi? W saméj rzeczy niejednokrotnie zajmowano się badaniem tych różnic; gdy spostrzegano pewne uchylenia fizyologiczne od owego przeciętnego typu, który wyrobiono sobie dla człowieka zamieszkującego cywilizowane części Europy i Ameryki, wówczas mówiono o zboczeniach; starano się zboczeń tych odnaleść przyczyny, stwierdzić ich bezpośrednią lub pośrednią zależność od warunków otaczającéj człowieka przyrody. Mimowoli przechylano się do przypuszczenia, że każda rasa, każdy odłam wielkiéj rodziny ludzkiéj stworzony jest dla pewnych określonych warunków geoklimatycznych, a przypuszczenie

to stwierdzały liczne przykłady, w których widziano, że aklimatyzacya człowieka w obcych dlań strefach z trudnością się odbywa. Choroby, właściwe pewnym miejscowościom na kuli ziemskiéj, dziesiątkują obcych przybyszów, szczędząc krajowców. Zwłaszcza w dziedzinie patologii wpływ przyrody, otaczającéj człowieka, pierwszorzędne, o ile się zdaje, posiada znaczenie. Cała zaś sprawa nie wyłącznie tylko naukę interesuje; w ostatnich czasach, kiedy dążność państw europejskich do kolonizacyi tak szerokie przybiéra rozmiary, sprawa ta dotyka mnóstwa pytań czysto praktycznych, pytań prawdziwie życiowych. Więcéj niż kiedykolwiek dziś żywo zajmuje Europę pytanie: czy i w jakich warunkach aklimatyzacya europejczyka w obcych mu strefach, głównie zaś pod zwrotnikami, jest możliwa, czy posiadamy dość znaczny materyał naukowy, na którym sądy nasze w tym względzie oprzéć byśmy mogli? W kwestyach naukowych, których niewielu badaczy się dotyka, panuje nieraz zamęt co do ostatecznych wniosków. Gdy pytanie jakie nie zajmuje wielkiego ogółu ludzi nauki, wówczas często nazewnątrz wydobywają się poglądy sprzeczne z istotnym stanem rzeczy. Do niedawna, o ile się zdaje, opinia naukowa nie dość wiernie była informowana w kwestyi, którą tutaj poruszamy.

Przysłuchajmy się temu, co w tym względzie mówi prof. B. J. Stokvis z Amsterdamu w wykładzie wygłoszonym na ogólném posiedzeniu ostatniego międzynarodowego kongresu lekarskiego w Berlinie.

Porównawcza patologia ras ma za zadanie zbadać wpływ rasy na wrażliwość na pewne choroby, na przebieg tych chorób i ich skutki; powinna stwierdzić, o ile rozmaite rasy i ludy odporne są względem jednakowych wpływów chorobnych. Zadanie to trudneby było do rozwiązania, gdybyśmy skutkiem dawno przez rozmaite kolonizacyjne rządy odczuwanéj potrzeby — nie posiadali obfitego i pewnego materyału o stosunkach chorób i śmiertelności w armiach, służących w krajach zwrotnikowych. Wojska w angielskich, francuskich, portugalskich i holenderskich koloniach składają się w części z europejczyków, w części z krajowców; w armii Stanów Zjednoczonych Ameryki północnéj, człowiek biały stoi w szeregach obok czarnego swego brata. Wszędzie mamy tu do czynienia z silnymi, zdrowymi ludźmi, prawie jednakowego wieku, w pełni życia, pozostającymi przeważnie w jednakowych całkiem warunkach. Odbywa się tu przeto doświadczenie musowe, trwające od wielu lat, obejmujące tysiące osobników. Nie należy co prawda zapominać, że jednakże zachodzą pewne nierówności w warunkach życiowych pomiędzy obydwiema rozmaitemi antropologicznemi i etnograficznemi częściami tych armii. Żołnierz-

europejczyk wojsk angielskich i holenderskich w Indyach wschodnich, prawie nigdy nie jest żonaty i zamieszkuje koszary, kiedy przeważna część sepoyów, sikków, hindusów, malajczyków i amboinesów, spędza życie z rodziną we własnych ciasnych chatach; przepisy religijne powstrzymują krajowców od napojów alkoholowych, którym żołnierze europejscy, pomimo wszelkich kar i napomnień, niestety nazbyt często się oddają; rozmaitość w układzie organizmu również pewną tu rolę odgrywać może. Pomimo to wszakże, porównanie dwu antropologicznych części tych wojsk, nieskończenie wyższą ma wartość dla porównawczéj patologii ras i dla rozstrzygnięcia poruszonego pytania, aniżeli wszelkie inne spostrzeżenia i sprawozdania o indywiduach, należących do odmiennych ras, lecz jednocześnie różnego wieku, różnéj płci, o których ogólnych warunkach życiowych najczęściéj nic nam nie wiadomo.

Dwie głównie wrogie potęgi zagrażają zdrowiu i życiu europejczyka pod zwrotnikami: jedna spoczywa w warunkach termicznych właściwych tym krajom, drugą stanowią choroby zakaźne, charakterystyczne dla tych stref. Mówimy tu o zwrotnikowo-termicznych warunkach, unikając umyślnie terminów „klimat“ lub „warunki meteorologiczne“. Wyraz klimat zbyt często jest źle zrozumianém zbiorowém pojęciem, obejmującém najzupełniéj różne warunki, bądź źródło swe mające w atmosferze, bądź w gruncie lub wodzie. Te ostatnie wszakże są prawie wszystkie natury czysto infekcyjnéj, meteorologiczne zaś stosunki, które wyrażamy temperaturą powietrza, wilgotnością, prężnością pary wodnéj w powietrzu, prądami powietrznemi, kierunkiem wiatrów, stopniem oświetlenia i t. d., o tyle tylko mają znaczenie dla organizmu ludzkiego, o ile mogą sprowadzić zakłócenia w regulowaniu temperatury ciała; są to więc wszystko pierwiastki termiczne. Gdy chodzi o szkodliwe wpływy termiczne w krajach zwrotnikowych, możemy pominąć nawet ciśnienie atmosferyczne. W naturalnym biegu rzeczy tylko obniżenie ciśnienia atmosferycznego ma znaczenie jako moment etiologiczny. A obniżenie to w krajach zwrotnikowych równa się zniknięciu temperatury zwrotnikowéj. Wysoko położone miejscowości pod zwrotnikami właściwie już nie są miejscowościami tropikalnemi.

Prace Davyego, Brown-Séquarda, Maurela i Jousseta dowodzą, że pod wpływem panujących pod zwrotnikami warunków cieplikowych, wszystkie osobniki tamtejszych ras — murzyni, hindusi, anamici, senegambijczycy, czarni mieszkańcy Antylów, kochinchińczycy, malajczycy — odróżniają się od mieszkańców stref umiarkowanych większą częstością respiracyjną, mniejszą pojemnością życiową, mniejszym ob-

wodem klatki piersiowéj, mniejszą wydatnością oddychania brzusznego, większą częstością tętna, większą obfitością krwi i stosunkowo znaczniejszym rozwojem organów brzusznych w porównaniu z organami jamy piersiowéj, znaczniejszém wydzielaniem potu, przy silnie zmniejszoném oddawaniu moczu, temperaturą ciała wyższą prawie o 5—6 dziesiątych stopnia i wreszcie ciężarem ciała zbyt małym w stosunku do długości ciała. Co się tyczy funkcyi zwierzęcych, omawianych ras, to okazało się przy bardzo ścisłych pomiarach, że ludy zwrotnikowe w porównaniu z rasami klimatów umiarkowanych, wyraźnie mniejszą posiadają czułość w dotyku i bólu, daléj nie mają tak subtelnie rozwiniętego zmysłu wzroku i słuchu, oraz w tym stopniu co europejczyk, zdolności odróżniania barw; wreszcie w wieku dojrzałości zupełnéj stoją niżéj europejczyka pod względem siły mięśniowéj i zdolności psychicznéj, natomiast przewyższają go pod względem płciowym.

Byłoby zbyt śmiałém i nieusprawiedliwioném twierdzeniem, gdybyśmy chcieli w tych różnicach fizyologicznych upatrywać przyrodzone jakieś właściwości rasowe. Wszystkie prawie te uchylenia dają się objaśnić przez wyższą zewnętrzną temperaturę i powtarzają się zazwyczaj podczas gorącego lata śród ludzi zamieszkujących okolice umiarkowane. Długoletnie właśnie doświadczenie, przechodzące z pokolenia na pokolenie, doprowadziło nas do tego, że w gorącéj porze roku mniéj zwykliśmy pracować, urządzamy wakacye, oddajemy się odpoczynkowi. Lecz dla mieszkańca chłodniejszych stref, wraz z zimniejszą porą roku zjawia się nowy bodziec do pracy, a tego nie odczuwa człowiek żyjący pod zwrotnikami.

Otóż, gdy europejczyk na stałe przenosi się w kraje podzwrotnikowe, naówczas po krótszym lub dłuższym okresie przejściowym, staje się człowiekiem żyjącym niby wieczném latem, jeśli tak powiedzićć wolno. Lecz przemiana materyi w organizmie jego, jak tego dowiedli Mourson i Gloggner, zmienia się w stopniu bardzo nieznacznym; wszelkie różnice dają się sprowadzić jedynie do dwu przyczyn: odmiennego pokarmu i wydatniejszego pocenia się. Skład krwi pod wpływem wysokiéj téj temperatury tak mało jest zmieniony, że p. Marestang znalazł w krwi europejczyków, którzy przez 2—20 lat żyli w Tahiti, Gwadelupie i Nowéj Kaledonii, zupełnie normalną ilość hemoglobiny, oraz prawidłową zawartość ciałek krwi. Badacz ten wprost zaprzecza istnieniu tak zwanéj anemii zwrotnikowéj, jakoby będącéj skutkiem odmiennych warunków meteorologicznych.

Lecz, czy ten europejczyk osiadły pod zwrotnikami ustępuje krajowcowi w odporności względem panujących stosunków atmosfery-

cznych? Jeśli pomyślimy, że jego ośrodki nerwowe, służące do regulowania temperatury ciała, wyćwiczone są w obec zmiennéj temperatury zewnętrznéj, to z góry już wyda się nam prawdopodobném, że łatwiéj niż krajowiec bronić się on będzie od przyczyn, wywołujących przeziębienia — oczywiście o tyle tylko, o ile przez zbyt długi pobyt w gorącéj strefie owéj zdolności regulowania temperatury nie utraci. Rzeczywiście spostrzeżenia potwierdzają ten wniosek: przeziębienia najrozmaitszego rodzaju lepiéj znosi pod zwrotnikami europejczyk, aniżeli krajowiec. We wszystkich armiach kolonialnych choroby organów oddechowych (katary, zapalenia płuc, oskrzeli i t. d.; nie mamy tu na myśli gruźlicy) i śmiertelność przez nie powodowana, wykazują większe liczby dla żołnierzy-krajowców, aniżeli dla europejczyków.

Rzut oka na statystykę, mieszczącą dane co do chorób przewodu pokarmowego, może nie tyle jest pocieszający, lecz bliższe wejrzenie w przyczyny i tu prowadzi do wniosku, że europejczyk bynajmniéj nie bardziéj niż krajowiec jest upośledzony w zwrotnikowym pasie.

Nie powinniśmy jednakże zapominać o tém, że przystosowanie takie do nowych warunków życia, jeśli ma być trwałe, odbywać się musi powoli, stopniowo. Szybka zmiana warunków otaczającéj przyrody nie jest w stanie odpowiednio przekształcić naszych organów. Ameba słodkowodna umiéra, gdy nagle przenosimy ją do słonéj wody. Lecz drogą długiego, stopniowego przeobrażania możemy ją jednakże w zupełności zamienić na amebę słonowodną. Szybko ogrzane, tętniące serce żaby w ciągu krótkiego czasu wyczerpuje się skutkiem nadmiernie częstych uderzeń, lecz ogrzéwane powoli tętni przez czas bardzo długi.

Powróćmy wszakże do statystyki. Tutaj właśnie osobliwą napotykamy sprzeczność pomiędzy danemi, jakie zebrano w kilku ostatnich dziesiątkach lat, a temi, które obiegały Europę w połowie tego wieku i które głównie przyczyniły się do wyrobienia tak smutnego poglądu na sprawę aklimatyzacyi europejczyka pod zwrotnikami. Należy wnosić z tego, że dawniejsze liczby nie mają źródła swego w rzeczywistym braku odporności organizmu europejczyka, lecz pochodzą z pewnych przyczyn zewnętrznych. W jednym z początkowych dziesiątków naszego stulecia, od 1819 do 1828 roku, w armii holenderskiéj w Indyach Wschodnich podczas wojny i epidemii umiérało rocznie eurpejczyków 170 na 1,000, krajowców zaś tylko 138; w dziesiątku od 1869 do 1878 r., również podczas niszczących wojen i cholery, średnia roczna śmiertelność śród żołnierzy europejczyków wynosiła 60,4 na tysiąc, śród krajowców 38,7; wreszcie w ostatnim dziesiątku 1879 — 1888, jakkolwiek wciąż wojna i cholera zabiérały swe ofiary, śmiertel-

ność żołnierzy europejskich obniżyła się do 30,6 na tysiąc, kiedy śród krajowców podniosła się do 40,7. Ten sam mniéj więcéj stosunek daje się zauważyć w armii angielskiéj. Zwróćmy się do Indyi Zachodnich, a napotkamy znów to samo. Na Jamajce np. średnia roczna śmiertelność żołnierzy europejskich od r. 1820 do 1836 wynosiła nie mniéj, jak 121 na tysiąc, w szeregach zaś murzynów 30 tylko; w ostatnim zaś dziesiątku (1879 — 1887) 11,02 na tysiąc europejczyków, a 11,62 u murzynów.

Gdzie szukać przyczyn tych tak uderzających zmian? Czyż rasa zupełnie się przekształciła? Przeczą temu zarówno ścisłe rozumowanie, jak i badania w tym względzie dokonane. Rasy pozostały tém, czém były, ze wszystkiemi swemi własnościami; zmieniły się tylko i poprawiły zewnętrzne warunki, w jakich się wojsko znajduje. Poprawa zaś ta nie jest dziełem przypadku, nie jest szczęśliwym losem. Jest ona w zupełności błogim skutkiem tych środków, jakie przedsięwzięto w doborze odpowiednich osobników, przeznaczonych na wysłanie pod zwrotniki, w pieczy o dobrą wodę, o zdrowe i odpowiednie pożywienie, odzież i mieszkanie, o utrzymanie wszystkich organów w harmonijném współdziałaniu. Praktyczna hygiena współczesna niewieloma podobnie doniosłemi zdobyczami poszczycić się może.

Słów kilka jeszcze o niektórych chorobach zakaźnych. Przedewszystkiém o malaryi, tym biczu krajów zwrotnikowych. Ona to właśnie czyni tak niebezpiecznym pobyt w niżéj położonych częściach archipelagu malajskiego, nad brzegami Gangesu i Nilu, w licznych wreszcie miejscowościach Afryki i Ameryki. Dla krajowców ma ona być tylko łagodną rózgą, którą przezorna matka-ziemia niekiedy swe dzieci karze dla własnéj ich korzyści; lecz prawdziwie niemiłosiernie ma się obchodzić z europejczykiem, który pod tym względem z największą zaledwie trudnością po kilku dopiéro pokoleniach, może się do warunków przyrody tropikalnéj przystosować. Lecz liczby z ostatniego okresu naszego wieku mówią zupełnie co innego. W ostatnich 25 latach obiedwie części wschodnio-indyjskiéj armii holenderskiéj, prawie żadnéj nie wykazują różnicy pod względem wypadków choroby i śmiertelności z malaryi. W armii angielsko-indyjskiéj hindus i sepoy choruje równie często na malaryą, jak i Anglik, a umiéra on znacznie częściéj niż człowiek biały. W armii Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnéj czarny żołnierz tyleż cierpiał i cierpi od malaryi, co i biały; a przy ścisłém porównaniu białych i czarnych, zupełnie w jednakowy sposób odżywianych i odziewanych, tak nieznaczną w ogóle znajdowano różnicę pod względem wrażliwości na malaryą, że w wielu sprawozdaniach wprost czytamy: nauka o odporności rasy

etyopskiéj na malaryą nie ma żadnéj podstawy i nie jest prawdziwą. Te same wiadomości dochodzą z najrozmaitszych okolic Afryki.

W stosunku do tyfusu osiadły żołnierz europejski w nieco gorszych znajduje się warunkach, aniżeli urodzony pod zwrotnikami. We wszystkich koloniach angielskich w Azyi, w Indyach Zachodnich, na wyspie Św. Maurycego, na Św. Helenie, tyfus zabiéra ofiary z pomiędzy białych szeregów, zwłaszcza z młodych przybyszów, a zupełnie prawie nie dotyka czarnego. Lecz podczas wojny emancypacyjnéj w Ameryce więcéj czarnych padło od tyfusu niż białych, a w Nowéj Kaledonii „kanakowie“ nie mniéj zostają nawiedzani przez tyfus, niż Francuzi. W koloniach holenderskich na wyspach Malajskich tyfus tak jest rzadki, że przez pewien czas nawet skłaniano się do przypuszczania, że w ogóle ta część świata wolną jest od téj choroby; dopiéro sekcye w kilku wypadkach wykazały niesłuszność tego mniemania.

Co się tyczy żółtéj febry, któréj głównem siedliskiem jest wschodnie wybrzeże Ameryki i zachodnie Afryki, to choroba ta w rzeczywistości bardziéj opada europejczyka, aniżeli krajowca. Lecz tu winą jest nie właściwość rasowa, ale jedynie względna krótkość pobytu europejczyka w tych krajach. Zarówno lekarze brazylijscy, jak i znany lekarz francuski Corre i duński Kalmer, nie przyznają specyficznéj, we właściwościach rasowych spoczywającéj odporności autochtonów afrykańskich i amerykańskich względem żółtéj febry.

Bardziéj, niż wymienione choroby, zagrażają życiu ludzkiemu pod zwrotnikami dysenterya i cholera. Postępy wszakże, uczynione w ostatnich latach na polu hygieny, bardzo korzystnie już się odbiły na stosunkach śmiertelności z powodu dwu tych chorób. Z 18,6 na tysiąc w latach 1864 — 1868 śmiertelność w wojsku europejskiém w Indyach Wschodnich, ojczyźnie cholery, spadła do 6, a nawet do 3 na 1,000.

Jeszcze o jednéj tylko chorobie słów kilka. Jestto uznana już od dość dawna za zakaźną chorobę, beriberi. Przez długie lata europejczycy wyjątkowo tylko byli nawiedzani tą chorobą, lecz liczba jéj ofiar coraz bardziéj wzrasta. W r. 1886 liczba europejskich żołnierzy chorujących na beriberi wynosiła już 286 na tysiąc; a śmiertelność 7 na tysiąc. Bliższe przyczyny, wpływające na taki stan rzeczy, dotąd mało są poznane.

„W żadnéj nauce—oto słowa prof. Stokvisa—systematyzowanie i usilne oddzielanie od siebie rozmaitych istotnych czynników nie jest bardziéj szkodliwe, aniżeli w naukach biologicznych... Jeżeliśmy dotychczas oddzielnie rozprawiali o czynnikach cieplikowo-zwrotniko-

wych i infekcyjnych, to chyba nikt sztucznego tego podziału błędnie nie zrozumiał. Obadwa te pierwiastki ściśle są ze sobą złączone. Że pod zwrotnikami panują głównie: malarya, cholera, dysenterya, pochodzi to od właściwych téj strefie warunków cieplikowych, zależy od owéj niestałéj równowagi, w jakiéj pozostają ośrodki nerwowe, regujące temperaturę ciała, oraz organy brzuszne pod wpływem wyższéj ciepłoty. Skutkiem tego tworzy się grunt przyjazny, na którym lepiéj mogą się rozwijać plasmodium malaryi, wibryon cholery i mikrob dysenteryi. Czyż i w naszych strefach umiarkowanych cholera, dysenterya i malarya nie występują w pewnych porach roku, mianowicie w najgorętszych miesiącach letnich i na początku jesieni?“

W sprawozdaniu niniejszém pomijamy inne argumenty przytoczone przez Stokvisa, a popierające ogólny wniosek, że europejczyk przy dostatecznéj ostrożności, przestrzegając ściśle przepisy hygieny praktycznéj, doskonale może się przystosować do wszelkich klimatów na kuli ziemskiéj.

Bardzo pobieżnie w pracy Stokvisa dotknięty został punkt, dotyczący wpływu ciśnienia powietrza na zdrowie i życie ludzkie. A i ta kwestya, jakkolwiek na pierwszy rzut oka wydawać się może czysto teoretycznie naukową, niedawno rozważnie była traktowana z powodów wyłącznie praktycznych.

Przed kilku już miesiącami znani w specyalnych kołach inżynierowie szwajcarscy, Köchlin i Trautweiler, przedstawili radzie związku szwajcarskiego dwa projekty zbudowania kolei żelaznéj na szczyt jednéj z najwyższych gór w Alpach, Jungfrau. Koleje górskie nie są już dziś nowością, a od czasu zbudowania kolei na szczyt Rigi, wspaniałéj góry unoszącéj się nad jeziorem Czterech-kantonów, w Szwajcaryi prawdziwa nastała gorączka budowania kolei na szczyty górskie. Koléj na Rigi istnieje już lat kilkanaście, w ubiegłym zaś roku sztuka inżynierska w Szwajcaryi święciła tryumf niemały, otwiérając drogę na szczyt groźnego Pilatusa. Najwyższa ta koléj europejska dochodzi wszakże tylko do wysokości mało co większéj nad 2,000 metrów. Szczyt Jungfrau zaś wznosi się 4,130 metrów nad poziomem morza, a projektowana przez wymienionych inżynierów koléj, ma na długości 6 kilometrów wznieść się na wysokość 3,200 metrów. Trudności wynikające stąd, że tor w większéj swéj części ułożony ma być powyżéj granicy wiecznych śniegów, mają być usunięte przez zbudowanie całéj drogi w tunelu. Projekt nie napotyka téż żadnych przeszkód technicznych. W obec jednego wszakże pytania zawahał się departament kolejowy związku szwajcarskiego i oddał to pytanie do rozstrzygnięcia trzem profesorom: Gerlichowi i Veithowi

z Zurychu i Kroneckerowi z Berna. Chodzi mianowicie o to, czy droga wznosząca się do téj wysokości, przedstawia zupełne bezpieczeństwo dla zdrowia ludzkiego o tyle, o ile w zwykłych warunkach nie wystawieni jesteśmy na działanie tak bardzo niskiego ciśnienia atmosfery. Odpowiedź udzielona przez wymienionych profesorów, wyczerpuje tę kwestyę całkowicie; w krótkiém streszczeniu przeto postaramy się ją tu podać.

Wiadomo dobrze, że ludzie podejmowali wycieczki na bardzo wysokie szczyty, a balonami wzbijali się nawet do 10,000 metrów nad powierzchnię morza. Miliony ludzi żyją w Andach i Himalajach powyżéj 3,000 metrów nad morzem. Miasto Potosi w Boliwii, które w początku XVII stulecia liczyło 160,000 mieszkańców, położone jest równie wysoko jak szczyt Jungfrau; w Tybecie i Himalajach, znajdują się miasteczka i wioski jeszcze wyżéj. A zatém do wszelkich warunków może się organizm ludzki przystosować. Lecz oto drugie pytanie: jak znosimy przejścia od jednych warunków do odmiennych?

Według tego, co mówi Peschel w tym względzie, sądzićby można, że rozmaite rasy stworzone są niejako dla rozmaitych klimatów. Nowsze jednak spostrzeżenia poważnych podróżników i badaczów (p. wyżéj Stokvis) przeczą temu stanowczo. Co się zaś tyczy specyalnie wpływu, jaki wywiéra na człowieka zmiana wysokości nad powierzchnią, to z dawien dawna wiadomo, że organizm często bardzo poważnym ulega zaburzeniom na znaczniejszych wyniosłościach. Dawniejsze i nowsze spostrzeżenia, opisują z wielką ścisłością objawy t. zw. choroby górskiéj, znanéj w Ameryce południowéj pod nazwami: „puna“ i „sorocho“, w Tybecie „mundara“ albo „bies“. Choroba ta może nawet sprowadzić śmierć, jak o tém donoszą: Tschudi w opisie podróży po Peru, Gervinus w swéj historyi XIX stulecia, mówiąc o przejściu Anglików przez Andy, d'Orbigny i Karol Darwin. Najobszerniéj i najdokładniéj sprawa ta jest rostrząsana przez znakomitego fizyologa Pawła Berta, w dziele jego o ciśnieniu barometryczném. Według Berta, do 3,000 metrów wysokości, podróżnik nie dostrzega na sobie żadnych niepokojących objawów. W granicach wszakże 3,000—4,000 metrów, występuje wyraźne, coraz bardziéj wzmagające się przyśpieszenie tętna i oddechu. W rozmaitych wszakże miejscowościach kuli ziemskiéj groźne objawy choroby górskiéj występują u człowieka nie na jednakowéj wysokości. W Alpach np. zazwyczaj już pomiędzy 3,500 a 4,000 metrów pewne zakłócenia dają się odczuwać, na wulkanach zaś oceanu Spokojnego, wyższych nad 4,000 m. rzadko kiedy turyści uskarżają się na jakiekolwiek cierpienia. To samo zauważono też w górach Kameruńskich, a na Kilimandżaro

New doszedł do 5,000 metrów, nie doznawszy poważniejszych dolegliwości. W Ameryce północnéj notowano wypadki słabości około 3,500 metrów; lecz w Meksyku występują one dopiéro powyżéj 4,500, a nawet na szczycie Popokatepetla, około 5,420 m. nie są one zazwyczaj bardzo zatrważające. Wzdłuż łańcucha górskiego, ciągnącego się przez Amerykę południową, zaburzenia w organizmie podróżników występują w niektórych miejscach już na wysokości 2,845 m. (Chuguisaca), w innych na 4,350 m. (Cerro de Pasco), kiedy w górach sąsiadujących z Quito, najbezpieczniéj przekroczyć można granicę 5,000 i 5,500 metrów. Tę samą rozmaitość widzimy i w górach środkowéj Azyi; bracia Schlagintweit, bez niebezpieczeństwa dotarli do 6,882 m. Zresztą znane są i takie góry, które w pewnéj wysokości przedstawiają niebezpieczeństwo, a u szczytu bezkarnie pozwalają podróżnikowi oddychać. Znane jest np. takie miejsce na Montblancu. Dodać trzeba jeszcze, że wiele tu znaczą także indywidualne właściwości fizyologiczne. Na Etnie np. Borelli cierpiał poważnie od rozrzedzonego powietrza, Spallanzani zaś wpływu tego wcale nie odczuwał, a Ferraro nawet czuł się lepiéj, niż u podnóża góry. Z ludzi, którzy wspinają się na Montblanc, jedni uskarżają się na cierpienia, inni nic przykrego nie odczuwają. Tyndall, gdy po raz pierwszy wstępował na Montblanc, czuł senność, za drugim razem nieco był osłabiony, a za trzecim poważnie niedysponowany. Znużenie łatwo wywołuje chorobę górską, odpoczynek usuwa ją; wspinanie się przeto tém jest uciążliwsze, im wyżéj się znajdujemy. Doszedłszy już prawie do szczytu Montblancu, Saussure musiał odpoczywać co 10—15 minut, aby módz zaczerpnąć powietrza i iść daléj. We wszystkich wszakże przytoczonych tu wypadkach mamy do czynienia ze stopniowém przechodzeniem do coraz większych wysokości, które zatém bez zastrzeżeń nie może być porównane z podnoszeniem się na znaczną wyniosłość przy pomocy kolei, jak to miałoby miejsce na Jungfrau. Dotychczas szybkie przejścia od powierzchni ziemi do poważnych wysokości uskuteczniane były tylko za pomocą balonów. Smutnie zakończyło się w roku 1875 wzbicie balonu, w którym Crocé-Spinelli, Sivel i Tissandier zamierzali dokonać badań bankowych. Na wysokości 7,000 metrów, wszyscy stracili przytomność, a po opadnięciu balonu, pierwszych dwóch znaleziono bez życia. Już na wysokości 5,200 m. Coxwell zauważył w balonie pierwsze zaburzenia w oddychaniu; niektórzy zaś badacze uczuwali pierwsze objawy działania rozrzedzonego powietrza już na wysokości 3,500 metrów, a nawet niżéj. Fizyolog turyński A. Mosso w badaniach swych, z całą ścisłością naukową wykonanych, opisuje dokładnie zmiany, jakie występują w tętnie, oddechu i krążeniu krwi u człowieka na wysokości około

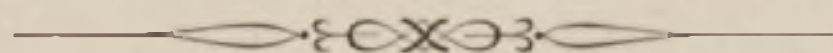
3,300 i 4,100 metrów. Sprawą tą zajmują się także dawniejsze badania Hoppe-Seylera, Leydena i Cyona; wszystkie zaś te spostrzeżenia nie przemawiają za tém, aby z góry twierdzić było można stanowczo, że przejażdżka koleją na szczyt Jungfrau nie wywrze szkodliwego wpływu na zdrowie człowieka.

Wymienieni wyżéj profesorowie szwajcarscy nie wahają się przyznać, że do wysokości 3,000 metrów, koléj na Jungfrau mogłaby funkcyonować, nie narażając zdrowia podróżników, lecz nie radzą udzielać koncesyi na zbudowanie kolei, aż na sam szczyt, dopóki badania naukowe nie dowiodą, że właśnie na téj górze wyżéj także zdrowie ludzkie na niebezpieczeństwo nie będzie wystawione.

Mówiąc o wyprawach na wysokie góry, trudno przemilczéć o niedawno szczęśliwie przeprowadzonéj wyprawie na szczyt Montblancu przez słynnego astronoma paryskiego Janssena. Sześćdziesięciosiedmioletni uczony nie uląkł się niebezpieczeństw, jakie przedstawia wdarcie się na wysokość 4,820 metrów nad poziom morza i w umyślnie sporządzonych saniach dotarł do wierzchołka. W opisie téj wycieczki mówi Janssen o działaniu fizyologiczném tego przejścia z warstw niższych do wyższych w atmosferze i przedstawia je w barwach wcale nie czarnych. Głównym wszakże celem téj ryzykownéj wyprawy były badania spektroskopowe; chodziło mianowicie o rozstrzygnięcie pytania, czy tlen znajduje się w atmosferze słońca. Dawniejsze badania pozwalały przypuszczać, że właściwe tlenowi ciemne prążki, ukazujące się w widmie słonecznem, pochodzą z tlenu zawartego w atmosferze ziemi. Dzięki obserwacyom, dokonanym obecnie na szczycie Montblancu, przypuszczenie to zamienia się w fakt pewny. Nie opisujemy tu bliżéj sposobu badania; doniosłość naukowa samego faktu zupełnie jest zrozumiała. Prócz tego zaś brak tlenu w atmosferze słońca nasuwa pewne uwagi co do przyszłości słońca.

„Gdyby mianowicie wespół z wodorem, którego obecność na słońcu jest już dawno dowiedziona, istniał tam tlen, to w miarę, jak nasze ognisko centralne ulegać będzie stygnięciu, przy wyczerpaniu zasobów ciepła, jakie jeszcze posiada, nastąpićby musiało połączenie obu tych gazów. W zewnętrznych warstwach téj atmosfery utworzyłaby się para wodna, która według tego, co o własnościach jéj wiemy, stanowiłaby potężną zawadę dla promieni słonecznych, a zwłaszcza dla ciemnych promieni cieplikowych. Promieniowanie zatém słoneczne zaczęłoby słabnąć prędzéj i silniéj, aniżeli to nastąpić może wskutek jedynie samego stygnięcia naszéj gwiazdy dziennéj.“

Maksymilian Flaum.



MAREK REVERDIL,

LEKTOR I BIBLIOTEKARZ

KRÓLA STANISŁAWA AUGUSTA.

1765—1787.

(Dokończenie).

XIV.

List króla. — Refleksye Reverdila. — Karyera Eliasza Reverdila na dworze duńskim.—Porównania. — Starania Glaira. — Przywilej na Jaworów. — Boscamp. — Podarunek.

Notatka z d. 10 kwietnia 1776 r. obejmuje szereg jeremiad nad niewdzięcznością króla wbrew świadczonym mu usługom.

„Otrzymałem—pisze Reverdil—list króla, wyrażający żal z powodu trapiącej mnie obecnie dolegliwości, lecz jeśli się ma choć trochę sympatyi dla mnie, jakże można zostawiać mnie w takiej niepewności, wystawionego na wszelkie cierpienia fizyczne i moralne? Jakże pogodzić ów szacunek, jaki się to niby dla mnie żywi, z ową miernością fortuny, w jakiej pozostaję, pomimo wszystkich usiłowań moich, aby los swój polepszyć? Istotnie, gdy się zważy, jaki to majątek zbił p. Bert w rodzinie Mniszchów, p. Vulliaumez u księcia Adama, gdy następnie się zważy, że rodzina Potockich zapewniła 6,000 dukatów p. Auberjenois i Constançonowi, inni zaś, Potoccy, 2,000 dukatów p. de Cerene za trzy tylko lata usług, gdy się zważy, że król duński dał 6,000 dukatów i prezenta w powozach i szkatułce złotej bratu memu, przy wróceniu mu wolności [1], gdy się widzi, co Jego

[1]) Powołana tu okoliczność odnosi się do głośnego w dziejach duńskich wypadku, w którym Eliasz Salomon Reverdil, radca tajny i mentor słabego na

Królewska Mość uczyniła dla p. Barnevala, Pattersona, Ghiggiottiego, Bacciarellego, Canalettiego, Boecklera i Glaira, wtedy dopiéro

---

umyśle króla Chrystyana VII-go, niepoślednią odegrał rolę. Poślubiona przez króla duńskiego Karolina Matylda (1766 r.), siostra króla angielskiego Jerzego III-go, niewiasta usposobienia żywego i wyobraźni ognistéj, nie znalazła na dworze duńskim w otoczeniu swego małżonka tego szczęścia, jakie w małżeństwie znaleść się spodziewała. Król Chrystyan, poddany szkodliwym wpływom dworzanina Holcka i metresy swojéj, Milady, zatruł pierwsze chwile pobytu młodéj królowéj w Danii. Oddany rozkiełznanym namiętnościom, zniszczył zdrowie fizyczne i niezbyt silny z natury umysł, pozostawiwszy młodą kobiétę pokusom otoczenia dworskiego. Wezwany na dwór królewski dr. Jan Fryderyk Struensee, stał się niebawem nieodłącznym towarzyszem i doradzcą osamotnionéj przez króla kobiéty, a wpływ jego wzrósł do tego stopnia, że go w r. 1769 zamianowano radzcą stanu, lektorem króla i królowéj. Mieszkając w pałacu Christiansborg, w bezpośredniém zetknięciu z królewskimi małżonkami, budził zawiść w otoczeniu i stał przedmiotem nienawiści królowéj Julianny, wdowy po Fryderyku V-ym, która z niechęcią i żalem widziała tron duński w posiadaniu Krystyana VII-go, z wrzekomem ubliżeniem prawom syna jéj, Fryderyka.

W miarę wzmagania się wpływu Struenseego na dworze, tracił król Chrystyan na powadze w oczach dworzan; natomiast wzmagała się dzikość jego, granicząca prawie z obłędem. Jedynego doradzcę swego i przyjaciela, Eliasza Reverdila, człowieka zacnego, wysokich zdolności dyplomatycznych i uczciwości wypróbowanéj, w przystępie gniewu skazał na wygnanie, z którego go dopiéro Struensee wyzwolił, wezwawszy napowrót do zamku Hirscholm. Rola, jaką po powrocie swoim z wygnania odegrał Reverdil, wywołała najżywsze pochwały z ust historyka owéj epoki: „*Tant que le roi fut guidé par les conseils de la reine et de Reverdil, il ne compromit pas la dignité royale aux yeux du public et l'union regna dans le ménage royale*“ (Lagrèze, str. 140). Wiadomo, jak fatalny koniec miały rządy Struenseego na dworze duńskim. Oskarżony przez królowę-wdowę Juliannę o stosunki miłosne z królową Karoliną Matyldą, skazanym został wraz z ministrem Brandtem na śmierć męczeńską w r. 1772. Jednocześnie wyrzeczonym został rozwód między królewskimi małżonkami. I w tym wypadku Eliasz Reverdil okazał się mężem podniosłego ducha, odwagi i sprawiedliwości niezłomnéj. On jeden ośmielił się podnieść głos w obronie potępionéj królowéj, a memoryał, jaki podówczas w charakterze b. mentora króla ogłosił publicznie, świadczy o charakterze prawym Reverdila.

„Czyż nie prawda, Najjaśniejszy Panie — pisał — że od początków Twego małżeństwa nie okazywałeś najmniejszego szacunku dla świętości związku małżeńskiego? Czyż nie prawdą jest, iż kilkakrotnie wyrażałeś się, że zwalniasz żonę swą od ślubu wierności? Czyż nie jest prawdą, żeś sam podniecał dworzan do nadskakiwania królowéj? Czyż nie mawiałeś przed wieloma osobami, iż pieszczoty królowéj są dla Ciebie wstrętnemi? że największém nieszczęściem Twojém jest obowiązek zajmowania się Nią? Komisarze Twoi mieli czelność domagać się od królowéj wyjawienia jéj wspólników. Wszyscy Jéj przyjaciele wtrąceni zostali do więzienia, okuci w kajdany, a mimo to milczeli. Lecz to, czego oni nie wypowiedzieli, sumienie Twoje winno wyznać. Tyś sam był jedynym Jéj kusicielem!

poznaje się moje upośledzenie. Mógłbym wraz z panem Freron wyrzec: *Et à moi—rien!*

Do wydziału bibliotecznego przyłączono w r. 1776 dział rycin, skutkiem czego Reverdil prosił, aby mu do pomocy dodano p. Correvon, na co król zgodzić się nie chciał, z uwagi, *qu'il ne convenoit pas se charger de nouveaux serviteurs, quand on pouvoit a peine payer les anciens...*

Wówczas to już nastąpiła epoka reform znacznych w wydziale skarbowym. Sejm skonfederowany r. 1776 pokasował wiele łupieskich nagród i zmniejszywszy wydatki skarbowe prawie o połowę, obciął też znacznie listę cywilną królewską (Korzon, III, 55), z któréj część wydatków szła na utrzymanie prywatnéj biblioteki króla.

Dopiéro za staraniem niejakiéj pani Devillier, guwernantki w domu księcia Jabłonowskiego i jéj wychowanicy, która miała poślubić wielkiego hetmana Branickiego, posada pomocnika do wydziału rycin powierzoną została panu Correvonowi.

W październiku 1776 r. notuje Reverdil, że nie mogąc opędzić kosztów utrzymania powozu i koni sprzedał je i pozyskane z tego źródła pieniądze oddał opuszczonéj przez króla pani pułkownikowéj. Natomiast najął sobie Reverdil za umiarkowaną cenę „dworek“ w pobliżu miasta, aby módz korzystać z mieszkania i ogrodu letnią porą.

„Wreszcie za staraniem pana Glaira (któremu niech Bóg błogosławi!) wyjednany mi został od króla przywiléj na miasteczko Ja-

---

Czy przypominasz sobie Najjaśniejszy Panie chwilę, gdy ta księżniczka, którą obecnie potępić pragną, powierzoną została Twojéj miłości i prawości? Anglicy oddali Ją samą Twojéj opiece, pozbawioną rad przyjaciół. Zaledwie wyszedłszy z dzieciństwa zachowała jego urok, niewinność i naiwność, lecz umysł Jéj podniosły budził podziw w otaczających. Byłeś têm zdumiony. Wszystkie serca zwróciły się ku Niéj. Jéj miłosierdzie obudziło sympatyę dla Niéj we wszystkich warstwach narodu. Czyż i wówczas nie zaniedbywałeś żony, aby wraz z fawor ytem swoim i nędznymi jego komparsami oddawać się wybrykom lubieżności? Okazywałeś królowéj więcéj niż obojętność. Królowa kochała Cię i milczała, zachowując spokój pozorny, w obec dworzan i płacząc po kątach na łonie ochmistrzyni dworu. Była to osoba zaufania. Pozbawiłeś Ją téj pociechy i dałeś Jéj w zamian siostrę swego faworyta. Otoczyłeś królowę kobiétami moralności dwuznacznéj. Cóż może więcéj uczynić mąż-prowokator, o jakim wzmiankuje prawo? Człowieka, którego oskarżają o wspólnictwo w cudzołóstwie, sam narzuciłeś królowéj wtedy, gdy go od siebie odtrącić pragnęła. To Ty sam złamałeś przegrodę, jaka go od królowéj oddzielała. To ty sam tolerowałeś te stosunki występne! Błędy Twoje, Najjaśniejszy Panie, są nieodłącznemi od błędów żony Twojéj. Choćby cały świat Ją potępiał, Tobie potępiać Jéj nie wolno. Zabrania Ci tego uczucie szacunku dla samego siebie, jeśli już nie uczucie sprawiedliwości bezwzględnéj!“ De Lagrêze: *La reine Caroline Math. et le Comte Struensee*, str. 222.

worów na Litwie, w parafii Soleckiéj [1]), przedmiot sporny, który może coś stanowić, albo téż być niczém, co zobaczymy zresztą w roku przyszłym.“ Natomiast, jezuita Albertrandy, który pełnił przez kilka miesięcy czynności lektora, otrzymał ze szkatuły króla 200 dukatów pensyi stałéj.

„Pracowałem usilnie przez lat dwanaście i należy mi się nagroda. Król duński uczynił wiele dla brata mego, choć nie był do tego zobowiązany w takim stopniu, ile J. K. Mość za tyle moich trudów, względów i małżeństw.“

Ostatnia ta wzmianka dowodzi, że już w owym czasie uważał się Reverdil za prawego następcę króla w stosunku do pani Dahlke.

„Nie wspominam tutaj o misyi p. Boscampa Lasopolskiego do Konstantynopola [2]), jako o krzywdzie mnie osobiście wyrządzonéj. Nie jestem waryatem, a jednak może to służyć za przykład, jak nieodpowiednio los darzy swemi łaskami ludzi jednako uzdolnionych...

„Król mówi mi: Przybyłeś tu, aby być lektorem, a nie masz ani oczu, ani płuc... Lektor bez oczu i bez głosu!“

„A cóż znaczą prace moje tyloletnie, w których dałem przecie dowody i dobrych oczu i dobrych płuc, czytając po ośm godzin dziennie w dwóch posiedzeniach, po pięć i po trzy godzin!“

„Powyższe słowa były mi powiedziane nawet bez cienia złośliwości w chwili, gdym był zaproszony do stołu królewskiego.

— *Ce que je veux dire*,—rzekł mi król na wstępie — *ne doit rien vous faire, vous savez que je suis fort content de vous!*

„22-go marca przedstawiłem imieniem pułkownikowéj Dahlke rachunek za broń turecką, złożoną z czterech szabel, jednego kandziaru, 1 strzelby damasceńskiéj, srebrnéj, ocenionych na 1,500 dukatów.

„Przyznano za to dziesięć dukatów miesięcznie, w oczekiwaniu czasów lepszych. Nie jestto wcale podarunek, jeśli się zważy, że to ma służyć dla dwojga osób, z których jedna ma dziecko na wychowaniu.

„Jestto istotnie rzecz szczególna, że podczas gdy byłem sam dręczony niepewnością co do swego losu, musiałem jeszcze prowadzić korespondencyę z p. Manou, gazeciarzem z Clêves, który się znajdo-

---

[1]) „Słownik geogr.“, III, 59.

[2]) Boscamp był Wołoszynem. Ciemna ta figura służyła prawdopodobnie jako „kanał“ do komunikowania listów króla posłom państw ościennych. Powieszonym został Boscamp w r. 1794 przez lud warszawski. Korzon, III, 19.

wał w takiém samém, co i ja położeniu, i prosić jego imieniem o to, o co ja sam daleko słuszniéj miałbym się prawo upomnieć.

„Więc gdy mi Jego Król. Mość poleciła zamówić medal z napisem: *ne cede malis*, z trudnością przyszło mi powstrzymać się od zapytania: czy to raczéj względem mnie samego maksyma ta nie jest odpowiedniejszą?

XV.

Nowe rozczarowania.—Wyjazd Glaira.—Marszałek Rzewuski.—Nowy katalog biblioteki.—Pani Dahlke.—Drugie małżeństwo Reverdila. — Ultimatum. — Groźby króla.—Rozwody.—Kanclerz Młodziejowski.

Zniechęcenie Reverdila i rozczarowanie podają mu sposobność do coraz częstszych żalów i gorzkich uwag nad nicością własną i zawiedzionemi nadziejami.

„Jeżelim się nie nauczył języka polskiego, jeżeli nie nadskakuję nikomu, jeżeli się zaniedbuję i oddalam od wszystkich, czyż można się temu dziwić? Do czegoż mnie posłużyło postępowanie wprost przeciwne, jeśli każda chwila przynosi ze sobą nowe rozczarowanie? Byłem dotychczas człowiekiem, uganiającym się za fortuną; obecnie będę takim, co oczekuje jéj z założonemi rękoma, w łóżku...“

„Na domiar, skradziono mi sakiewkę z kilkudziesięciu dukatami i zegarek, wartości 40 do 60 dukatów, lecz, dzięki Bogu, ten ostatni odzyskałem.“

Do zmartwień bibliotekarza przyłączyły się i ciągłe spory z marszałkiem nadwornym Rzewuskim [1]), który żądał ustawicznie, aby dla jego osobistych potrzeb ułożonym został oddzielny katalog biblioteczny.

„Czyż można codziennie tworzyć katalogi? — pyta Reverdil. — Czyż zresztą nie jest lepiéj, że ich nie ma, jeśli mają służyć jedynie jako ułatwienie w pożyczaniu książek, wywołującém nieład w bibliotece.“

W tym czasie wyjechał p. Glaire z jakąś misyą poufną i ustąpił Reverdilowi swego mieszkania. Do pokoju Reverdila przeniesioną została część biblioteki.

„Podczas gdy książki rozrzucone były bezładnie, zuchwały Rzewuski znowu mi zrobił scenę, że nie może z biblioteki korzystać, on,

---

[1]) O tym Rzewuskim pisze Bernoulli (Liske, 243). Jest on uprzejmym i rozumnym człowiekiem, a jako marszałek nadworny, *grand maitre de la maison du roi* i kasztelan krakowski, używa wielkiego znaczenia.

który mnie więcéj w ciągu lat dwóch wymęczył, aniżeli król w ciągu lat dziesięciu, on, któremu kilkaset książek wypożyczyłem i który miał ich zwykle parę dziesiątków u siebie! Cóż on takiego dla mnie uczynił, abym tak miał dla niego się trudzić?"

„Ze zmartwienia znowu zaniemogłem, a król był tyle łaskaw, że mnie odwiedził, lecz jednocześnie zapowiedział, że mieszkanie Glaira zajmować będę czasowo, aż do jego powrotu."

„Przeszedłszy do biblioteki, król, zamiast dziwić się jéj obecnemu wyglądowi, troszczył się głównie o to, abym wrócił do dawniejszego swego mieszkania" [1]).

Równocześnie znajdujemy notatkę, że za staraniem Reverdila udzielonym został niejakiemu panu Ossoudy przywiléj na utrzymywanie lektyk.

„Powinienby mi przecie p. Ossoudy dać jakieś wynagrodzenie z części swoich zysków, osiąganych z tak korzystnego przedsiębiorstwa, lecz zawiodłem się i na tém, jak zwykle..."

„Jakby na domiar przeciwności, król rozkazał mi wieczorami oczekiwać jego zleceń, przez co pozbawiony zostałem sposobności do wieczornych spacerów."

„Nakoniec około tego czasu, przepełnionego po brzegi kłopotami, pan Correvon zaczął się odemnie domagać zwrotu jakiéjś należności za pożyczenie pani Dahlke kilku flaszek wody mineralnéj (*eau de Cells*). Ona utrzymywała, że to był prezent, lecz jeśli tak nie było, dlaczegóż mnie się czepiać?

„Żądałem dodatku dziesięciu dukatów miesięcznie dla owéj pani, z powodu kosztów utrzymania jéj dziecka, lecz mi odmówiono...

„Zgryziony wszystkiemi temi niepowodzeniami, oddałem się zupełnemu zniechęceniu i stąd to pochodzi luka w moich notatkach z lat: 1777, 1778 i 1779. Zanotuję wszakże najważniejsze moje z owych lat przykrości.

Moje drugie małżeństwo, którego historyi szukać należy w papiérach téj pani, lub u mego brata... Miało ono być dla mnie źródłem korzyści, a stało się tylko aktem politowania z méj strony i źródłem przeciwności, spowodowanéj następnemi faktami:

„Na skutek próśb pani, Jego Królewska Mość zażądał odemnie

---

[1]) Bernoulli, zwiedzając w towarzystwie Reverdila bibliotekę króla, tak ją opisuje: „Ustawioną jest ona w dwóch pokojach, przy sypialni bibliotekarza i złożoną jest z 5 tysięcy tomów. Co do porządku i zręcznego ustawienia nie robi wrażenia przyjemnego; obejmuje wszystkie nauki, bo król posiada szerokie wiadomości i lubuje się we wszystkich. Dzieł z miedziorytami nie ma tutaj; znajdują się w zbiorze miedziorytów pod dozorem hr. Augusta Moszyńskiego(Liske, 222).

ultimatum stawianych przezemnie warunków. Między temi warunkami było: polepszenie mego utrzymania, zdwojenie ilości świec, dziesięć dukatów miesięcznie na karetę i konia...

„Król nastawał niecierpliwie na przyspieszenie mego małżeństwa i zagroził w przeciwnym razie niełaską. Zgodziłem się, bądź z powodu, żem nie chciał utracić tego, com już posiadał, bądź z powodu nadziei osiągnięcia większych korzyści. Było to zresztą zapisaném z góry, że się zgubię, gdyż zaledwie krok ten uczyniłem, aliści spotkały mnie udręczenia, z liczby których wymienię te tylko, jakie mnie dotknęły ze strony dworzan.

„Bądź, z powodu, że owo małżeństwo zawarte w r. 1778, sprawiło niewygodę moim sąsiadom (poprzednio mieszkałem sam), bądź, że mi zazdrościli wygodniejszego nieco urządzenia, dosyć, że zaczęli znosić na mnie przed królem plotki. Z biletu dnia 2 grudnia 1778 roku widzieć można, iż najpodrzędniejsza kreatura, stróż (*un strus*), naraziła mnie na to, że król osobiście przybył na miejsce, aby sprawdzić zasadność oskarżenia (?), które uznał za kłamliwe, lecz nie przeszkodziło to nadal, by przez mój pokój wynosić nieczystości...“ (*les ordures*).

Z powyższych notatek wynika, że drugie małżeństwo Reverdila z panią Dahlke przyszło istotnie do skutku. Jaką drogą stać się to mogło, w obec pierwszego małżeństwa z Marcyanną Konstancyą L.? pamiętnik nie wyjaśnia. Prawdopodobnie wyrzeczonym został rozwód, na podstawie zobopólnéj zgody, co, w epoce Stanisława Augusta, było na porządku dziennym.

O rozpowszechnieniu się rozwodów i łatwości ich, dowodzą wszystkie z owego czasu istniejące pamiętniki.

Dostateczna powołać w tém miejscu list pasterski biskupa Młodziejowskiego [1]), użalający się nad rozluźnionym węzłem małżeńskich ślubów, rozrywanym podówczas z nadzwyczajną łatwością i rozpowszechnionym nadmiernie w społeczeństwie, aby to przypuszczenie, w obec faktu nowego małżeństwa Reverdila z panią Dahlke, stało się zasadném [2]).

---

[1]) K. Wł. Wójcicki, „Arch. Dom.“, str. 55.

[2]) Gorszące fakty rozluźnionych węzłów rodzinnych za Stanisława Augusta przytacza J. I. Kraszewski w „Studyach do hist. ducha i obyczaju“ ówczesnéj epoki. „Rozwody przewidywane były już w intercyzach ślubnych“ (T. I, str. 147).

XVI.

Księga skarbowa.—Pensya Reverdila. — Utrzymanie biblioteki. — Jéj wartość. — Kłopoty małżeńskie pana bibliotekarza.

W księdze skarbowéj z owéj epoki, przechowywanéj w prywatnéj bibliotece w Warszawie, znajdujemy szczegółowe pozycye kosztów utrzymania biblioteki Stanisława Augusta.

Czytamy tam, że Reverdil pobiérał rocznie 14,400 złp., czyli 800 dukatów; vice-bibliotekarz, zamianowany późniéj, ks. Lubański 3,120 złp.; Rożyński 3,240 złp. Urzędnicy do „kupfersztychów": Meline 4,515 złp., Marival 2,400 złp.; dozór numizmatów kosztował: ks. Albertrandy 4,860 złp.; kopista 864 złp. Lektorowie: Gawroński 4,321 złp., Duhamel 7,200 złp. Astronomowie: Bystrzycki 2,160 złp., Czajkowkowski do robienia map 1,080 złp.,—w ogóle 52,480 złp. [1]).

Reverdil podaje, że z początkiem 1779-go r. pobiérał na koszta utrzymania biblioteki 16¾ złp. miesięcznie, a nadto, że odjęto mu 30 świéc.

W r. 1778-ym rozkazano masztalerzowi Döbelowi dać Reverdilowi wierzchowca, lecz wybrano dlań nędzną szkapę i zabroniono koniuszemu towarzyszyć panu bibliotekarzowi na spacerach w liberyi dworskiéj.

„W latach 1778 i 1779—pisze Reverdil—upadek spraw publicznych, ogólne zubożenie, rozbiór kraju, rozrzutność króla z jednéj strony, a zobojętnienie jego na los mój, z drugiéj, zawieszenie wypłaty pensyi z kasy, śmierć mojéj matki, wady mojéj żony, jéj choroba, nieszczęśliwy poród, zawiść dworzan, dokuczliwość ze strony sąsiasiadów, lenistwo mego pomocnika, napełniły umysł mój czarnemi myślami, w obec przeświadczenia, iż w ciągu lat piętnastu do niczego nie doszedłem i że odejdę jeszcze biédniejszym, aniżeli nim byłem, tu przyjechawszy."

„Wiadomo, że już w r. 1777 koszt utrzymania biblioteki zredukowanym został do 20 dukatów miesięcznie, z czego strącając 3 dukaty na służącego, na drobne wydatki, atrament, pióra, ołówki, piasek; 2 dukaty na świéce, odjęte mi od czasu małżeństwa, zostało zaledwie 15 dukatów. Za te pieniądze król często polecał mi kupować książki notowane podczas odczytów, sprowadzać klasyków i t. p., co mnie wprawiało w stan wielkiego rozgoryczenia.

---

[1]) Korzon podaje koszta utrzymania biblioteki według rachunków z r. 1787 na 46,300 złp. T. III, 62.

„Pewnego razu zażądał król podania sobie wartości biblioteki. Odpowiedziałem, że wartość ta wyniesie od 3 do 4-ch tysięcy dukatów.“

„Następnie zażądał król od następcy mego, ks. Gawrońskiego, lektora, abym złożył rachunek z wydatków moich miesięcznych na bibliotekę. Złożyłem ten rachunek za lata 1776—1779, z którego mi się okroiło może 51 dukatów.“

„Rachunek ten odczytano, sprawdzono i zatwierdzono bardzo łaskawie, z czego byłbym bardzo zadowolony, gdyby nie owa szczególna zasada, według któréj sądzą, że powinienem być i pozostać na zawsze biédakiem...“

„Z obliczenia wypadło, że pobiéram pensyi około 1,000 dukatów, licząc już w to stół 120 dukatów dla pani Dahlke i 120 dukatów na utrzymanie małżeństwa.“

„Król uznał ów rachunek za wygórowany, com poznał z wykrzyknika: *ouf!* jaki zrobił; przyczém zauważył, że p. Ogrodzki nie pobiéra wyższéj pensyi, choć różni się odemnie wiekiem i stanowiskiem.“

„Poprzestałem na odpowiedzi, że p. Ogrodzki jest bogaty i rad byłem dodać, że gdybym miał tyle, ile on, chętniebym darmo służył; nadmieniłem jednak, że nie mam ani starostw, ani królewszczyzn, ani kaduków, ani beneficyów, ani posady w Radzie nieustającéj i że gdyby J. K. M. podobało się dać mi na chléb i wodę dla owych dwojga dam, ktoremi byłem obciążony (*à ces deux dames, dont j'etois chargé*) byłbym zadowolonym.“

„Jakkolwiek zwiększenie stołowego było jednym z warunków mego małżeństwa, nic mi na to nie dodano, a przecież tyle razy prosiłem, aby pani Dahlke miała przynajmniéj czémś ugasić pragnienie, tak, abym w obec moich miernych dochodów nie był tak obciążonym... Ileż to razy prosiłem, aby jéj wypłacono odrazu należność za broń, a tymczasem dotychczas wypłacono za to dziesięć dukatów. Jeżeli mimo to nie ma możności rozwieść się (*me dèmarier*), to dlaczegóż mam być pozbawiony drugich dziesięciu dukatów miesięcznie?“

„Takiém jest źródło mego majątku, do jakiego doszedłem po 15 latach utrapień, między którémi najmniejszemi są: moja ekspatryacya, zależność i dwa małżeństwa...“

„Aby ocenić, że ów majątek nie jest wielkim, dostateczna zauważyć, że otrzymuję: 1) dla pierwszéj mojéj żony dukatów 10, 2) na utrzymanie moje, stół i powóz 60 dukatów, na wydatki miesięczne 20 dukatów. Dodawszy do tego wydatki nieprzewidziane, łatwo poznać, że zamiast utracić niezależność i przywiązać sobie kamień

do szyi, lepiéj było rzucić się w morze, aniżeli przybyć tutaj, do Polski.“

„Nawet lokaje dworscy i kamerdynerowie są bogatsi odemnie i od moich kolegów: Rieul'a, Bacciarellego, Merliniego, Lebruna. Glair'a, Ghiggiottiego, nie mówiąc już o krajowcach: np. o Ogrodzkim, z którym śmiesznie byłoby porównywać się, gdyby nie przytoczony przez króla samego przykład. Nareszcie, nie mówię tu o bardzo wielu osobistościach hojnie nad zasługi nagradzanych, jak np. o księżnéj kanclerzynie, Tomatysowéj, Schütterowéj i wielu innych pośledniejszych, jak np. pani Vulliaumez.“

XVII.

Asygnacya na Blanca.—Encyklopedya.—Magna Charta.—Correvon.—Dokuczliwość pani Dahlke.—Spór o dwadzieścia dukatów.—Koszta dwóch małżeństw. — Proces z wierzycielami pana Dahlke.—Komisya ekonomiczna.

22-go lutego 1780 r. król dał Reverdilowi asygnacyę na bankiera Blanca, celem sprowadzenia z Paryża książek zamówionych przez kawalera St. Leu u księgarza Saugrain, który już od roku wstrzymywał transport, z powodu niezapłacenia mu kwoty 1,048 dukatów [1]).

Gdy książki te nadeszły, zażądał król, aby Reverdil za nie zapłacił z płacy na bibliotekę przeznaczonéj.

„Żądają odemnie—pisze Reverdil—nietylko zapłacenia za transport książek, ale i za transport biustów jednocześnie sprowadzonych, kosztujący przeszło 76 dukatów, choć biusta te nic wspólnego z biblioteką nie mają. Dano mi wprawdzie 50 dukatów, lecz ta kwota nie pokrywa kosztów ani jednego, ani drugiego przedmiotu; a ponieważ sprowadziłoby to zamęt w rachunkach, dlatego uznałem za właściwe zaliczyć ową przesyłkę na kredyt króla.“

„29-go marca, kiedym składał rachunki królowi, uprzedziłem, że do rachunku tego nie weszła suma około sto dukatów za encyklopedyą, wziętą od pana Sussona i umieszczoną w Łazienkach. Obecnie, król wręcza mi ów rachunek Sussona i żąda, abym zań zapłacił. Kiedym odmówił, król zażądał przedstawienia sobie noty dotyczącéj méj pensyi. Trzeba mieć istotnie szczęście! Zaledwiem doszedł do czegoś, już żałują tego i chcą mnie ograniczyć. Więc gdy kasa generalna odmawia zapłaty, żądają, abym to, co otrzymuję ze szkatuły

---

1) O tym obstalunku wzmiankuje korespondencya z p. Geoffrin, str. 321 i 441.

królewskiéj obracał na książki. Mamże z głodu umiérać, czy téż długi zaciągać? Tylko com skończył walkę o siebie, już mnie narażają na walkę o los kobiéty!“

Wśród takich sporów zaszło nareszcie „pamiętne porozumienie“ (*une memorable transaction*), mocą którego Reverdil miał od 1 kwietnia 1780 r. otrzymywać z kasy generalnéj 60 dukatów, a ze szkatuły królewskiéj drugą takąż sumę, z któréj to płacy 100 dukatów miało się liczyć na osobisty rachunek bibliotekarza, a 20 dukatów na bibliotekę.

„Wszystko to byłoby znośném—pisze Reverdil—gdyby się odnosiło jedynie do uregulowania mego utrzymania, naturalnie pod warunkiem, że mi dadzą mieszkanie i zaspokoją *ultimatum*, które stanowi *magnam chartam meam*, a mianowicie, jeśli mi dopomogą do pozyskania rozwodu, z zapewnieniem obojgu moim żonom stosownego utrzymania, lub mnie dla ich utrzymywania, gdyż niepodobna, aby to, co otrzymuję, miało starczyć dla trzech lub czterech osób.

Ze stycznia 1781 r. datuje się notatka:

„Dwór nie przestaje być niesprawiedliwym, Correvon leniwym, moja żona niewdzięczną, ja zaś—pełnym obaw o przyszłość.“

„7-go stycznia, po obiedzie, król wziął mnie na stronę, aby mi powiedzieć, bym nie naruszał 20 dukatów przeznaczonych na książki, gdyż mam dosyć, aby żyć z pensyi otrzymywanéj z prywatnéj szkatuły królewskiéj. Tyle miałem na to do odpowiedzenia, żem tylko przecząco poruszył głową. Istotnie, nigdy już nie będę zrozumianym, ani poznanym!“

„14-go lutego król wezwał mnie znowu do gabinetu swego, aby się rozmówić ze mną co do pomocnika, jakiego mi dać chce w miejsce p. Correvona, który odchodzi. Nie zaniedbałem tym razem oświadczyć królowi trzech rzeczy głównych, mianowicie: że kwota, jaka pozostaje dla mnie, nie starczy mi na utrzymanie własne i tych, którzy ze mnie żyją, że jeśli naruszam 20 dukatów, to z winy tych, co mnie do tego zmuszają, że jeśli nie mam naruszać owéj kwoty, a mimo to nie otrzymuję całkowitéj pensyi, to znaczy tyle, ile gdyby mnie w zupełności jéj pozbawiano.“

„Na to król upornie utrzymywał, że pieniądze na bibliotekę przeznaczone, są nietykalne, ja zaś twierdziłem, że takiemi powinny być pieniądze dla mnie przeznaczone.“

„Król zażądał, abym mu następnéj środy przedstawił wykaz swoich wydatków. Jeżeli to ma posłużyć do tego, aby mi wykazać konieczność oszczędności—jestto wprost śmiesznèm, a jeżeli to ma być argumentem do zmniejszenia mi pensyi, byłoby to wprost niegodziwém.

„Wszystkie te spory mają w sobie coś upokarzającego. Wiedzą przecie dobrze, że nie jestem chciwym, po tylu dowodach mojéj bezinteresowności, wobec obciążenia mnie dwiema żonami i dwojgiem dziećmi (*en me chargeant de deux femmes et de deux enfants*), lecz niepodobna mi być bezinteresownym, co do przyszłości, przy względzie, że nie mam dotąd ani fortuny, ani własności. Tegoby nie powinien zapominać król.

„13 czerwca 1781 zażądałem mieszkania dla p. Webera, następcy Correvona, użytkowania z Belwederu podczas lata, stajni i wozowni. Pierwszego i drugiego odmówiono mi; co do trzeciego, kazano mi się zapisać na listę u wielkiego koniuszego Kickiego i zawiadowcy gmachów, jenerała Rieul'a.

„Otrzymałem niedawno pozew od kupca Rudnickiego, z żądaniem zapłaty 200 dukatów, za męża mojéj żony Dahlke. Oddałem tę sprawę patronowi Baczyńskiemu.

„W końcu lipca nie otrzymałem jeszcze ze szkatuły króla pensyi za czerwiec, a ponieważ kasa jeneralna nie płaci mi już od roku, jestem w zupełności pozbawiony środków utrzymania i trzeba mi będzie naruszyć swój kapitalik..."

„Kilka dni temu, gdym szedł do p. Glaira na Koszyki, aby się przed nim użalić nad strasznem swém położeniem, zgubiłem w Ogrodzie Saskim zegarek złoty z łańcuszkiem, kluczykami i pieczątkami, wartości około 60 dukatów.

„Król, dowiedziawszy się o tém wezwał mnie do siebie i zapytał czy zegarek mój był repetyerowym i dodał uprzejmie, że go znalazł. Na niezręczną moją odpowiedź, że to nie był repetyer, sądziłem, że będą tyle uprzejmi i dadzą mi zegarek kosztowniejszy od zagubionego, lecz omyliłem się... Dano mi wprawdzie ładny zégarek, ale nie wartujący więcéj od mojego...

„Zaproponowano mi, abym pożyczył królowi ośm tysięcy dukatów na jego rewers, kontrasygnowany przez wielkiego koniuszego Kickiego. ·

„P. Glaire zgodził się pośredniczyć w téj sprawie, na warunkach nieco lichwiarskich z uwagi na moje ubóstwo; lecz to wywołało protest ze strony Kickiego i Cieciszowskiego, prezesa komisyi ekonomicznéj, którą właśnie utworzono [1]), po uwolnieniu się p. Rzewu-

---

[1]) Komisya ta ustanowioną została 11 maja 1787 r. reskryptem, który wkładał na nią obowiązek zawierania wszelkich kontraktów, puszczania arend, zawiadywania wszelkiemi dochodami, przyjmowania od poddanych i sądzenia skarg na dzierżawców, sprawdzania rachunków i kwitowania kontrybuentow. Drugim re-

skiego [1]). „P. Glaire postanowił wprost udać się do króla i żądać zawizowania rewersu przez komisyę ekonomiczną. Pożyczka miała być spłaconą w lat kilka, co dałoby mi prawo zaliczenia się w poczet wierzycieli jego królewskiéj mości. Król odmówił, utrzymując, że jeżeli żyć będzie, to sam zaspokoi dług (w lat pięć, lub sześć, to znaczy za pięć lub sześć wieków...), a jeżeli umrze, to mi się ów tytuł na nic nie zda. Wszystko to było pokropione dworską święconą wodą, w słowach: że mnie kocha, że uznaje moje kłopotliwe położenie, że jest zadowolonym z méj służby i że mi życzy jak najlepiéj,..

„Nareszcie w końcu sierpnia, po dwóch miesiącach dokuczliwéj niepewności, zaszedłem raz wypadkiem do bankiera Blanca, gdzie mi wręczono rewers na 1560 złotych, to znaczy, że król arbitralnie wyrządził mi największą krzywdę, odciągnąwszy mi 475 złotych, w chwili właśnie, gdy mi był dłużnym przeszło 520 dukatów i to w czasie, gdy już doszedłem lat pięćdziesięciu, po 17 latach służby, wbrew wszystkim zapewnieniom słownym i piśmiennym, utrzymując dwie żony i dwoje dzieci, czegom się podjął tylko w nadziei, że pensya będzie mi podwyższoną.

„Jakoż, przyjąwszy pieniądze, nie zaniedbałem dodać w końcu pokwitowania, że ono nie ma znaczenia zupełnego zrzeczenia się pretensyi.

„Tak więc postąpiono sobie gorzéj ze mną, aniżeli z Glairem, który ma już majątek, aniżeli z Barnevalem, który ma posadę w radzie nieustającéj, aniżeli z Ghiggiottim, który ma beneficya, aniżeli z Boscampem, który jest bardzo bogatym, aniżeli z Bacciarellim i wszystkiemi kochankami króla, źródłem wszystkich moich utrapień!

„Czyż tak się godzi ze strony króla, aby zamiast uczynić mnie szczęśliwym, uczynił mnie tylko ofiarą, męczennikiem i dudkiem? O ileż inaczéj postąpił sobie król pruski, dawszy 17 tysięcy dukatów swojemu lektorowi żonatemu, a przecież więcéj byłem wart królowi polskiemu, aniżeli p. Katé królowi pruskiemu. Jakżeż można mnie

---

skryptem z tegoż roku zniesiono pensye różnym osobom dotychczas płacone, oświadczono uroczyście, że nad tabele już ułożone (budżet) król pod żadnym pozorem nie pozwoli sobie większych wydatków, że asygnacyi, skryptów, zobowiązań się pod jakimkolwiek tytułem wydawać i podpisywać nie zechce, ale je z góry poczytuje za fałszywe, podstępne i uwłaczające majestatowi. Komisya ta składała się z sześciu członków. Korzon III. 59.

[1]) Rzewuski, marszałek nadworny od r. 1780 objął po Tyzenhauzie dzierżawę ekonomii litewskich, zobowiązawszy się płacić 40 tysięcy dukatów więcéj. Po upływie trzech lat, ekonomia ta, przeszła na synowca króla Stanisława. Korzon, III, 56.

pozbawiać dodatku, który miał mi służyć jako pomoc w ponoszeniu kosztów małżeństwa, tém uciążliwszych, że połączonych z obowiązkiem płacenia długów męża mojéj żony! Jakiém prawem naruszają umowę, jeśli *ja* z niéj się nie zwalniam.

„Niedostatek, zobojętnienie króla po zamachu, pozbawienie starostw, podziały, moje dwa małżeństwa, wszystko to napełnia mnie goryczą. Z trudnością wybaczę królowi, iż mnie postawił względem siebie w takiém położeniu, że zamiast służyć mu gorliwie, z przywiązania, muszą ciągle tylko walczyć z niedostatkiem i przeciwnościami!

„26 września 1781 r. Komisya dała mi asygnacyą za 6 miesięcy, płatną za miesięcy ośm. Udałem się do króla z reklamacyą, lecz przekonałem się, że to z jego wiedzą wyrządzono mi tę krzywdę.

„W owym to czasie, żona moja prosiła króla o pomieszczenie jéj syna w korpusie kadetów, lecz odmówiono jéj tego prawa, jakkolwiek jednym z warunków mego *ultimatum* było uwolnienie mnie od tego dziecka i od wszelkich kosztów jego utrzymania i wychowania [1]).

„Nakoniec p. Correvon został uwolnionym. Było to uwolnienie mimo jego woli, ale słuszne, lecz wcale nie gwoli mnie uczynione. Nie podobał się królowi ani jako lektor, ani jako podbibliotekarz. Cóż byłoby, gdybym ja się poskarżył, że Correvon nic nie robi, a to co robi jest bardzo niedołężne? Dano mi zastępcę w p. Rożyńskim, bardzo miłym młodzieńcu, tylko nieco uszczypliwym...“

XVIII.

Pamiętniki Stanisława Agusta.—Zlecenie dane Reverdilowi do ich skopiowania.— Komisya skarbowa żąda nowego katalogu biblioteki. — Bastian.—Medal dla Lhulliera.—Rachunki bibliotekarza. — Obiad w Łazienkach. — Przejazd W. X. Pawła przez Polskę.

Notatki z r. 1782 zaczynają się od nowych narzekań na to że król wezwawszy 2 stycznia do swego gabinetu Reverdila, rozkazał mu zapłacić z pensyi rachunek księgarza Lexa i wziąć na nowy kre-

---

[1]) Korpus katedów założony w r. 1765 przez Stan. Augusta, składał się z czterech brygad, na czele których stali brygadyer i podbrygadyer. Uczono tu matematyki, inżynieryi, fortyfikacyi, prawa, ekonomii, geografii, historyi polityczněj i naturalněj, nauk pięknych, łaciny, polskiego, francuskiego, niemieckiego, rysunków, tańców, fechtowania. Trzecia część uczniów miała pochodzenie z Litwy. Mieszkali oni w pałacu na ten cel zakupionym› w skrzydłach mieszkali profesorowie i inne osoby do zakładu należące. Szefem był sam król, komendantem ks. Adam, wicekomendant Fryd. Moszyński. Profesorami byli oprócz Pfleideren i Dubosc, jakiś uczony ze Strasburga i kilku Polaków. Liske, 221.

dyt partyę książek, z obowiązkiem zapłaty należności w późniejszym czasie.

„Nie usłuchałem tego zlecenia, gdyż pozbawiłoby mnie to pewnych oszczędności, niezbędnych dla mego utrzymania. Cóż to za biblioteka, jeśli nie ma ani pomieszczenia odpowiedniego, ani pomocników, ani środków egzystencyi?

„23 stycznia 1782 r., dał mi król do przepisania dalszy ciąg swoich pamiętników, o których sądziłem, że są już zaniechane lub powierzone komu innemu...

„Po tylu dowodach oziębłości między nami, dać mi do przepisania pamiętniki sięgające epoki tyle krytycznéj, bo pobytu króla w Rosyi!

„Ten dowód zaufania wzruszył mnie bardzo, gdyż przekonał, że wierzą mojéj dyskrecyi i lojalności“ [1]).

„8 lutego 1782 r. Komisya skarbowa u k r a d ł s z y m i (*sic*) 475 złotych z mojéj pensyi, bez względu na zapewnienia królewskie, zażądała odemnie dwóch katalogów biblioteki, choć już cztery ich egzemplarze istnieją, i choć mi zagraża nowa nad niemi robota, z powodu zamierzonych przenosin biblioteki. Byłbym tę pracę wykończył, ale sam tego zrobić nie mogę, bo Weber jest chory; ja sam niedomagam, a przytém nadejdzie lato i pora rozrywek wiejskich niezbędnych dla mego uzdrowienia. Obawiam się zresztą zimna i dni krótkich.

„P. Bastian kontroler kasy jeneralnéj odesłał mi rachunki z żądaniem pokwitowania bezwarunkowego, ze wszelkich pretensyi za przeszłość.

„Po obiedzie (było to we środę) j. król mość darowała mi kolekcyę srebrną w pudełku safianowem, czerwoném, obejmującą wszystkie medale wybite za jego panowania. Bardzo piękny prezent, lecz

---

[1]) Mowa tu prawdopodobnie o pamiętnikach, których część wydaną została w przekładzie z francuskiego przez Bron. Zaleskiego, a poprzednio, w części, przez Kazimierza Szulca (Poznań 1862). Że Stanisław August napisał całość swoich pamiętników, mamy wiadomość we wspomnieniach Jana Sagatyńskiego, pazia królewskiego (Poznań, 1845). Opisując tryb życia króla powiada: „Codzień wstawał o szóstéj; po śniadaniu czytywał gazety, potém pisał pamiętniki swego życia, przy biurze, które zawsze starannie zamykał, chowając klucz do kamizelki“. A daléj: Co zaś pisał tego wiedzieć nie można, bo tego nikomu nie wyjawił. Po śmierci jego, Cesarz Paweł, będący przy jego zgonie, kazał naprzód wszystko opieczętować a przyszedłszy nazajutrz, w swéj przytomności wszystko z owego biurka powybierać i do siebie zawieść“. L. Siemieński: „Ostatni rok życia Stan. Augusta“ (Kraków, 1862).

mój Boże, jakżebym był uradowany temi drobiazgami, gdyby mi król dał środki z czego żyć.

„24 kwietnia 1782. J. król. mość przesłala mi medal złoty *merentibus* dla pana Lhullier [1]), któremu dar wręczyłem za pokwitowaniem.

„Otrzymałem wreszcie 3998 złp. zaległéj pensyi od 1 lipca do 31 grudnia 1780 r. płatnych przez Blanca za miesięcy ośm.

„19 maja. P. Weber otrzymał dymisyę jako niezdolny i chory a pensya jego z rozkazu króla mnie daną została na koszta trzymania kopistów.

„Tym sposobem pozostaje jeszcze do wykonania artykuł trzeci mego *ultimatum* z r. 1778, dotyczący dodatku 20 dukatów miesięcznie na utrzymanie mojéj drugiéj żony (z domu Ciecierzyńskiéj), wartość ogrodu i domku, koszta podróży do Krakowa, Gdańska i Szwajcaryi, tam i z powrotem, wreszcie umieszczenie syna mojéj żony w korpusie kadetów.

„Przez delikatność i z obawy, nie powtórzyłem przed królem tego, że się nie poddaję rozporządzeniom komisyi ekonomicznéj. P. Glaire, którego o to prosiłem, nie znalazł jeszcze sposobności do powtórzenia tego królowi, że nie powinienem zaspakajać rachunków do mnie się nie odnoszących. Zaprawdę, jestto bolesném cierpiéć tyle udręczeń, bez nadziei zaradzenia złemu“.

„Lipiec 29. Nieprzyjemny obiad w Łazienkach z powodu zajścia z p. Camelli o wierzyciela, pana Rożyńskiego i z powodu K. Lubańskiego, który intryguje, aby przyjąć pomocnika. Zły to człowiek, a nie chcę zostać jego oskarżycielem.

„14 sierpnia. Mówią tu o przejeździe w. księcia, lecz wątpię, by przejazd nastąpił [2]).

„Z powodu takich pomocników, jak Correvon i Weber, nie byłem jeszcze w stanie należycie biblioteki uporządkować i żyję w ciągłéj obawie, by nie zażądano książek, którychbym znaleść nie był w możności. Nareszcie, po kilku miesiącach pracy udało mi się wybrnąć z tego kłopotu i doprowadzić książki do porządku, gdy nagle otrzymałem rozkaz przeniesienia ich na nowe pomieszczenie. Ten

---

[1]) Lhullier, matematyk genewski, bibliotekarz ks. Adama Czartoryskiego i ochmistrz młodych książąt, kształcił się pod matematykiem i filozofem Le Saye, a w Warszawie otrzymał 150 dukatów nagrody od komisyi edukacyjnéj za projekt do matematycznego podręcznika. Liske. 220.

[2]) W. Ks. Paweł z żoną, pod przybraném nazwiskiem hr. du Nord, przejechał istotnie przez Polskę, dążąc za granicę. Koszta przyjęcia wyniosły 632,013 złp. Korzon. III. 63.

nowy, choć obszerniejszy lokal, wspanialszy i kosztowniejszy, jest arcy niewygodny. Większość szaf bardzo płytka, nie może pomieścić książek *in folio*, a nawet *in quarto*; zawiera wiele kluczy do różnych działów a do każdéj z szaf są dwa klucze. Rygle górne niedostępne, drzwi komunikacyjne do mego pokoju źle urządzone i t. d.

„Tymczasem książki leżą w bezładzie, przeszkadzają robotnikom, a są tak nawalone, że trudno się znaleść między niemi. Na domiar utrapienia, komisya skarbowa domaga się nowego katalogu! Dano mi przytém inne mieszkanie, czegom od roku unikał, lecz teraz, gdy trzeba urządzić mieszkanie dla w. księcia, trudno będzie się uchronić.

„Żałować będę zwłaszcza mieszkania zajmowanego przez moich pomocników, których nie będę miał pod ręką, nie mówiąc już o garderobie i o skrytce, które mi jednocześnie zabrano.

„Coraz mniéj jestem rozumianym, znanym i uzwględnianym, cofam się coraz bardziéj wstecz i widocznie przyjdzie mi żale swoje ponieść chyba do grobu!“

XIX.

Nowe oszczędności.— Ksiądz Lubański.— Czosnowski.—Mathis.— Świéce biblioteczne.— Sprawozdanie ze stanu biblioteki.— Różyński.— Gniéw króla. — Nieprzyjemne obiady Reverdila.

4 września 1782 r. zapadło postanowienie, iżby Reverdil ze złotych 350, jakie otrzymywał miesięcznie dla pomocników biblioteki, zatrzymywał do swojéj wyłącznéj dyspozycyi 270 złotych, pod warunkiem płacenia ks. Lubańskiemu 80 złotych; resztę zaś wydatków miał król wyłącznie na swój brać rachunek. Drobne dodatki, mieli również otrzymywać pomocnicy: Czosnowski i Mathis, służący w bibliotece.

„31 października ks. Lubański objął obowiązki swoje. „Czyż warto w tém miejscu wzmiankować—pisze Reverdil— iż jednocześnie zmniejszono mi liczbę świéc, zmniejszono ilość atramentu i lekarstw i zaprzestano prenumeraty gazet francuskich. Wszystko to dowodzi, jak mną tu pomiatają i że odjętoby mi powietrza, jakiém oddycham, gdyby to tylko było możebném. Inny dowód. Pokój mój główny służy jako pasaż do biblioteki i uważany jest do tego stopnia za jéj część składową, że doń wstawiono pięć wielkich szaf; lecz gdy wyznaczono frotera do usług biblioteki, dopuszczono się téj nikczemności, że zabronili froterowania mego pokoju, pod pozorem, że do mnie należy.

„Z tém wszystkiém J. Król. M. rozkazała 9 listopada 1782 r.

aby mi urządzić remizę na trzy powozy i stajnię na sześć koni. Wszystko dobre widocznie pochodzi od niego, a złe—od otoczenia.

„4 grudnia 1782. Nowe zuchwalstwo! Zamiast pochwalić mnie za pracę, jakiéj się w zastępstwie chorego Webera podjąłem, zamiast oddać sprawiedliwość mojéj energii, iż wspólnie z Różyńskim urządziłem bibliotekę w nowém jéj pomieszczeniu, pomimo, iż translokacya jéj odbyła się dopiéro w końcu sierpnia i że nie ma nawet wygodnego stołu do pisania, że dni teraz są bardzo chłodne i krótkie i że J. K. Mość ciągle domaga się nowych książek, jakby nic nie zaszło: sławetna komisya skarbowa żąda nieustannie ułożenia nowego katalogu, najpóźniéj do 1 lutego 1783 r., pod zagrożeniem natychmiastowego mego wydalenia.

„Jakby na domiar złego, król, ze swéj strony domaga się sprawozdania ze stanu biblioteki za rok ubiegły. Muszę uprosić Glaira, aby to sprawozdanie za mnie złożył.

„19 grudnia 1782 r. najstraszliwszy ze wszystkich dzień. Ileż się nacierpiałem! Jego Król. Mość przybyła do mnie z oświadczeniem, że bezwarunkowo należy wydalić Różyńskiego, człowieka podejrzanego, zasługującego na ucięcie ręki. Oczywista to potwarz, gdyż Różyński jest bardzo rozumny i pilny młodzieniec. Zawsze zajęty przy mnie pracą, rzadko kiedy wychodzi na miasto i to dla załatwiania zleceń. Nie pojmuję, co mu zarzucać mogą? [1]). Tylu ludzi złych, nicponiów, trzymano na dworze, a tego jednego, co jest coś wart, chcą mnie pozbawić! Widocznie nowa to jakaś intryga ks. Lubańskiego, który mnie ciągle daje chrześciańskie nauki, a sam zasługiwałby na naukę na temat miłosierdzia chrześciańskiego."

„Ofuknął mnie przytém król, że mało pracuję nad biblioteką. Jakaż to niesprawiedliwość, wobec wszystkiego, com zrobił już i co robię nieustannie sam jeden, bez pomocy, lub nękany przez pomocników leniwych i bezużytecznych! Miałbym doprawdy ochotę nie zajrzéć więcéj do biblioteki, lecz wyglądałoby to na obawę przed moim delatorem.

„Napisałem do króla, prosząc go o zostawienie mi czasu do usprawiedliwienia Różyńskiego, i do urządzenia swych zajęć według własnego mego uznania, wydalenia księdza Lubańskiego, który w krótkim czasie tyle mi wyrządził utrapień.

---

[1]) Fakt ten odnosi się prawdopodobnie do istnienia owego „kanału", za pośrednictwem którego szły tajne doniesienia o czynnościach króla do posłów państw ościennych.

„1783 rok, 1 stycznia. Zaproszono mnie do stołu króla. W oktawę tegoż dnia, ten sam spotkał mnie zaszczyt.

„9 stycznia. Przelałem na Glaira, ziomka mego, radcę tajnego gabinetu króla, przywiléj swój na Jaworów, pod warunkiem, że ułoży za mnie sprawozdanie ze stanu biblioteki.

„11 stycznia. Blanc, kasyer królewski, odmówił mi zapłaty asygnacyi na 3,998 złp.

„22 stycznia. Nie douwierzenia! Zostałem znowu zaproszony do stołu króla, jakby nic między nami nie zaszło. Przed obiadem król bardzo łaskawie rozmawiał ze mną o interesach i dał mi ciąg pracy, wymagającéj dyskrecyi. Rozmawiał długo i z dobrocią o różnych sprawach moich osobistych i spytał: dla czego nie korzystam z owych 360 złp., które otrzymuję miesięcznie?

„Odpowiedziałem, wskazując na list mój, dany za pośrednictwem Glaira, a leżący na stole, że przyczyna ta jest wyjaśnioną.

„Na to król oświadczył: że nastąpiła reforma nawet w stosunku do jego najbliższych, że otrzymuję mimo to znaczną pensyę, i że nic więcéj dla biblioteki uczynić nie można.

„Na to nic nie odpowiedziałem, bo cóż tu było do odpowiedzenia?

„1783 r. 29 stycznia. Znowu obiad u króla i znowu żywa z nim rozmowa, z wynurzeniem żalów nad mojém ubóstwem, potrzebami i zawiedzioną nadzieją urzeczywistnienia danych mi przyrzeczeń. Król wyraził zdziwienie, iż nadzieje te oparłem na małżeństwach. Oświadczył zresztą gotowość zwracania mi czterech dukatów miesięcznie, z własnéj szkatuły. Na to oświadczyłem stanowczo, iż nigdy się nie poddam reformie ekonomicznéj, choćbym nawet z tego powodu miał się narazić na przykre następstwa.

„Król uniósł się:

— Nigdy w tym tonie do ciebie nie przemawiałem. Jeśli tak będzie dłużéj, wpadniesz w niełaskę u mnie...

„Nareszcie oddałem komisyi ów katalog, sporządzony pośpiesznie, w ciągu sześciu tygodni i otrzymałem zaległéj pensyi za sześć miesięcy 3998 złp.

„5 lutego. I znowu obiad u króla, jeszcze nieprzyjemniejszy od poprzedniego. Król był znowu uprzejmym, ja zaś, o ile mi niezręczność moja pozwalała, bardzo wstrzemięźliwym. Mówiłem o oświetleniu biblioteki. Król przyrzekł, że ją odwiedzi. Jakoż przybył, obejrzał i nic nie postanowił.

„Żona moja chora. Dręczą ją spazmatyczne wymioty... a ja muszę na domiar prowadzić kosztowne procesy z wierzycielami jéj pierwszego męża.

„Oto gorzkie owoce owego małżeństwa, w które się niebacznie dałem wciągnąć, w nadziei, że będę protegowanym...

— Nie mów ciągle o tych małżeństwach — rzekł król — bo będą drwić z ciebie!

XX.

Reklamacye w pismach holenderskich. — Redaktor gazety de Clèves. — Obrona sądów polskich. — Spory nowe o pensyę — Argumenta królewskie. — Nowa pociecha Reverdila.

Notatka z d. 2 lutego 1783 obejmuje wzmiankę o jakiejś reklamacyi uczynionéj z polecenia króla w gazetach zagranicznych z powodu artykułu wymierzonego przeciw sądom polskim.

„Zmuszony byłem — pisze Reverdil — pracować dzisiaj przez noc całą nad obroną sądów polskich wobec p. Manou, redaktora gazety „*de Clèves*“, aby sprostował artykuł N. 12 na str. 97, w którym przeciw owym sądom wystąpił [1]) z powodu dekretu kanclerza Okęckiego i podkanclerzego Małachowskiego, którym przyznali panu Zubechoer prawo aresztu na własności pana Tomatysa [2]). Materyał do téj obro-

---

[1]) W jednéj z poprzednich notatek wzmiankował Reverdil o korespondencyi prowadzonéj z redaktorem téjże gazety (XIV).

[2]) O hr. Thomatisie bardzo zajmujące szczegóły zebrał J. Bartoszewicz w dodatkach do „Pamiątek hist.“ Święckiego (T. II. 383). Był to awanturnik, którego widoki karyery sprowadziły na dwór króla Stanisława, wespół z Solarim, Bertogliatim i Casanovą. Chełpił się hrabiowskim tytułem, ładnie mówił, dużo wiedział, lecz więcéj jeszcze kłamał. Z aktorkami bawił się wesoło. Pułkownik Byszewski porąbał go raz za Casanovę „rozumując, że Włoch a Włoch to wszystko jedno“. Król dał mu szambelanię, więc mu się kłaniano i o względy ubiegano. Został przedsiębiorcą teatru z Kurtzem, lecz współka ta niedługo trwała. Wyjechał następnie Thomatis za granicę i bawił długo w Sardynii, pod imieniem hr. de Valere. Powróciwszy do Warszawy, postanowił wymurować pałac, arcydzieło sztuki budowniczéj. W tym celu zakupił prawem emfiteutyczném grunt za Mokotowem, górą królików zwany. Na nim wystawił gmach, nakształt willi Metelli pod Rzymem (capo di Bove). Cieplarnie i oranżerye stanęły tam za wąwozem, prowadzącym w dolinę; resztę wzgórza zajęły najpiękniejsze drzewa owocowe. Pałac w Królikarni stawiał Merlini. Rzecz wiadoma, że król Stanisław z wielkiemi walczył przeszkodami, zanim wykończył Łazienki. Thomatis zapragnął podbić swoim pałacykiem króla i zachęcić go do kupna Królikarni. Znaleziono też przy restaurowaniu obecnego pałacu w Królikarni, napis łaciński brzmiący w przekładzie: Karol Thomatis, Włoch, hrabia Waleryi w Sabaudyi, dla własnéj wygody i przyjemności, pałac ten wybudował i przyozdobił, przyłączywszy do niego ozdobny ogród... Stanisławowi Augustowi i t. d., odnowicielowi sztuk pięknych i najwspanialszemu opiekunowi nauk, poświęcił 1786 r.“ Do pałacu swego spraszał Thomatis gości. Król i mnóstwo osób z Warszawy, często tutaj

ny dano mi gotowy, lecz jam miał obowiązek opracować go należycie. Była tam mowa i o pałacu Młodziejowskiego [1]).

Tymczasem, spory z powodu dwudziestu dukatów pensyi, na utrzymanie biblioteki miesięcznie wyznaczonéj, trwały w dalszym ciągu.

Reverdil obstawał przy tém, że owa kwota winna służyć na opędzanie kosztów jego małżeństwa, król zaś innego był zdania.

„W kwietniu 1783 r. — pisze Reverdil — posłałem do Nion, w Szwajcaryi, tranzakcyę swoją, zawartą z królem w kwietniu 1780 r. zapewniającą mi 100 dukatów miesięcznie, z poleceniem zrobienia z niéj wyciągu urzędowego.

„17 kwietnia król raczył mnie odwiedzić i oświadczył stanowczo, aby kwota 20 dukatów obracana była wyłącznie na potrzeby biblioteki.

„Większéj niesprawiedliwości nie podobna mi było wyrządzić...

„Przypomina mi się tu proroctwo, które wyrzeczone było przy

---

bawili. Wesołość, żarty, śmiechy i dobry ton panowały w Królikarni. Dla gości nieproszonych do pałacu, Francuz Toignon, założył w r. 1783 traktyernię. Kiedy Thomatis umarł? niewiadomo. W roku 1798 spadkobiercy wzywali przez gazety adwokatów, aby dokumenta spadkowe przysyłali do domu Wasilewskiego na Krakowskiém-Przedmieściu. Synowie Thomatisa wstąpili do wojska. Od Thomatisów przeszła Królikarnia do ks. Radziwiłłów, a następnie do rodziny Pusłowskich.

[1]) Ustęp powyższy należy zestawić z analogiczném wydarzeniem z r. 1768 z powodu paszkwilu przeciw administracyi polskiéj w gazetach holenderskich zamieszczonego. W metrycе koronnéj (T. 234, str. 429) wynalazł Korzon manifest następującéj osnowy: („Dzieje wew." T. IV. cz. I. str. 166). „Przed nami i księgami niniejszemi metryki koronnéj, kancelaryi wielkiéj, osobiście stanąwszy WW. Ignacy Twardowski, Kaliski i A. Moszczeński Inowrocławski, wojewodowie etc. solenny podali manifest brzmienia takowego: Gdy niewiadomy dotąd złośliwy wymysł wydrzeć nam usiłuje (cześć?), czerniąc nas przed światem przez artykuł z Warszawy do gazet w Utrechcie pod d. 21 Junii, roku teraźniejszego, pod liczbą 50 drukowany i inne publiczne wieści, jakobyśmy kupcom (na) nieukrzywdzenie przez cały rok skarbu koronnego na końcu roku zaprzysięgać kazali i aż za szpetnym okupem (na shańbienie honoru aż nazbyt, lecz nie na uspokojenie, gdyby u nas była, chciwości wystarczającym) od téjże przysięgi uwolnić ich musieli, do któréj, sprzeciwiającéj się razem cnocie i rozsądkowi akcyi, że i cienia podobieństwa nie było: przeto czyste i tak sprosnym zyskiem nie zmazane ściągając ręce, przeciwko czci niegodnemu autorowi kalumnii, ten podpisujemy manifest, ofiarując się, ile sposobność pozwoli, tegoż autora dochodzić i win prawem na opisców ludzkiéj sławy wskazanych, ścigać na nim będziemy a co tylko do dowodu i ukarania tak sprosnego fałszu ściągać się może, nic czynić nie omieszkamy?"

Dla czego zwracano się z krytyką rządów wewnętrznych do gazet zagranicznych w Utrechcie i Kliwii wychodzących? kwestya ta, wobec braku materyału faktycznego, na teraz dokładnie wyjaśnioną być nie może.

pierwszém powitaniu: *Enfin, je Vous tiens!* lecz jam w t a k i m sensie tych słów nie pojmował...

„Powtórzył król ponownie swoje znane argumenta: że pensya moja jest bardzo znaczną, większą, aniżeli pobiéra szef gabinetu, Cieciszowski, chociaż jest dzietnym. Mógłbym na to odpowiedzieć, że porównanie jest niewłaściwe, że raczéj należałoby porównać los mój z dolą pp. Ghiggiotti, Barnevala, Lebruna, Bacciarellego.

— Wszystko to prawda—odrzekł król— lecz obecnie nie jestem w stanie dać więcéj...

„Na to zgoda, lecz przynajmniéj powinienby zostawić mi to, co już posiadam.

„Do takiego trybu postępowania króla ze mną, przyczyniły się bezwątpienia następne okoliczności: że powiedziano królowi na ostatnim obiedzie środowym, iż żona moja jest w ciąży, że król zajęty był w owym czasie wyposażeniem panny Bacciarelli (na to miał fundusze...), że kłopotał się zapewnieniem panu Wilczkowi, człowiekowi bogatemu i mającemu los dzieci swoich zapewniony, dość intratnéj posady. Piękna sprawiedliwość!

„14 maja, po obiedzie (pocóż mnie zapraszają na obiady?) król znowu zaczął rozwijać znane swoje poglądy: że pracuję mało, że się obawia, abym się nie zbogacił.

„Co do pierwszego, zażądał, abym dlań osobiście sporządził katalog, a przecież niedawno dopiéro pracę taką wykończyłem dla komisyi! Następnie, zapytał mnie, ile téż wydatkowałem na bibliotekę, z pieniędzy otrzymanych od p. Blanca? Drżąc z obawy i gniewu, wybełkotałem zaledwie słów parę: iż co do tego istnieje przecież umowa.

Na to król:

— To jest ostatnie moje słowo!

— Ach! — zawołałem — nie sądziłem tak, kiedym się żenił...

„Przedstawiłem przez p. Glaire prośbę, w któréj odwołałem się do sprawiedliwości i litości króla, lecz i p. Głaire mi odrzekł, że jestem wprawdzie nieszczęśliwym, ale mógłbym być w gorszém jeszcze położeniu.

„To znaczy, że mam do czynienia z potworem, który, bez względu na moje położenie nie chce ustalić losu tych, z któremi miał dwoje dzieci!!

„W takich to smutnych okolicznościach nastąpił połóg mojéj żony... Zostałem ojcem dziewczynki. W innym razie, byłbym prosił króla, aby ją do chrztu trzymał, lecz tym razem duma moja i ambicya wstrzymały mnie od tego kroku, a ponieważ nie mam do kogo się zwró-

cić, biédne dziecko moje zapewne długo na chrzest będzie musiało czekać!...

XXI.

Nowy spór o świéce dla biblioteki. — Ryx. — Decyzya króla. — Ostateczny układ z Reverdilem.—Ojciec Benvenuti.—Koncerty Paesiello i Todi. —Misya pana Bronikowskiego do Anglii. — Podróż żony i kochanki króla do Grecyi i Włoch.

„8 października—pisze Reverdil—zażądałem dodatku świéc dla bibliotcki. Król zapytał, ile ich potrzeba dziennie? i wyznaczył, wbrew memu żądaniu, dwie tylko, co jest zbyt mało na tak wielki pokój, w którym obecnie pracuje trzech pomocników. Jakoż, byłbym w kłopocie, gdybym nie zaoszczędził świéc z letniéj pory, lecz i tych pan Ryx wydać mi nie chciał. Widocznie ma powód gniéwać się o coś na mnie, a domyślam się, że powodem gniewu jest okoliczność następująca:

„Będzie temu lat 25, lub 30, poznałem w Mont (Pont?) de Beauvoisin, pannę Krystynę Crêtêt, która udawszy się do Paryża, otrzymała od p. Billou list polecający do mnie, abym jéj pomógł w odzyskaniu od pana Ryxa znacznego spadku po jéj szwagrze, Collignonie, znajdującego się w posiadaniu kamerdynera królewskiego. Oto powód, dla którego, biblioteka nie będzie należycie oświetlona...

„Nareszcie 24 listopada 1783 r. zawarty został między mną a królem ostateczny traktat pokoju, mocą którego:

„Król zapewnił mi, oprócz mojéj pensyi i gratyfikacyę w kwocie 6,000 dukatów.

„Kwota 20 dukatów, czyli 360 złp., jaką pobierałem od 1 lipca 1781 r. na wydatki biblioteki będzie służyć dla mnie wyłącznie, a od 1 kwietnia 1782 r. kwota owa będzie zarachowywaną na poczet owych wyżéj wzmiankowanych 6,000 dukatów.

„Niezależnie od 20 dukatów pobiérać będę pensyę 1,200 złp. miesięcznie.

„Gdybym gratyfikacyę 6,000 dukatów otrzymał wcześniéj, w ciągu lat trzech lub czterech, to kwota 20 dukatów będzie mi potrąconą.

„Nie będę miał żadnéj pretensyi do spadkobierców J. Król. Mości.

„W to wszystko nie wchodzi mieszkanie, opał, światło i wierzchowiec. (Dla czego pominąłem lekarstwa?).

„W razie wcześniejszego zwolnienia mnie z posady, gratyfikacya nie przepadnie.

„Nie było to wprawdzie wszystko, do czego miałem prawo, lecz cóż miałem czynić, w obec kategorycznego oświadczenia króla:

— *Ne parlez pas de vos mariages, car on se mocqueroit de vous!*

„Więc to jest śmiesznem ufać królewskiemu słowu?

„Rok 1784, 27 stycznia. Wybornym jest kalambur ojca Benvenuti, który wytłómaczył wszystko, co wyżéj było przywiedzione tém, iż zmieniono mi nazwisko, skróciwszy je o trzecią część. Istotnie, zmniejszyli mi pensyę o trzecią część.

„31 marca zauważył król, że ojciec Benvenuti, człowiek już podżyły, większe zrobił postępy w nauce polskiego języka, aniżeli ja.“

Wprawdzie ojciec Benvenuti nic innego do roboty nie ma, jednak nie chciałem wyjaśnić królowi powodu mojéj niechęci do języka polskiego *„puisqu' j'en prevois tous mes malheurs.“*

„5 kwietnia 1783 r. P. Paesiello i pani Todi, pierwszy, kompozytor, a druga—śpiéwaczka, przybyli tutaj i ów biédny król, od którego nie śmiałem żądać należnego mi dodatku miesięcznego, dał owym artystom za trzy piosnki w pieniądzach i kosztownościach około czterech tysięcy dukatów, to jest, prawie tyle, ile ja się bezowocnie domagam od lat przeszło dwudziestu.

„Inny przykład postępowania królewskiego. Szambelan Bronikowski wysłany został do Anglii w sprawie zabezpieczenia króla na życie, co kosztowało 20 tysięcy dukatów za 200 tysięcy kapitału. Lecz bankierzy holenderscy nie chcieli zrobić interesu na czas tak krótki i 20 tysięcy dukatów przepadło, oprócz kosztów podróży, gdyż pan Bronikowski zwrócił tylko 3,000 dukatów z sumy 26,000 dukatów, jaką podniósł z kasy na ten interes. Król ucieszył się bardzo z téj oszczędności, a pan szambelan uważa się nadal za wyjątkowo uczciwego człowieka!

„Ogromnie wiele wydają teraz pieniędzy na sejm, mający się odbyć w Grodnie i znowu mówią o nowych oszczędnościach, jakie się zaprowadzić mają.

„P. Wodzicki, oficer korpusu kadetów, którego usługi są nic nieznaczące w porównaniu z mojemi, otrzymał 4 tysiące dukatów, poręczonych przez komisyę ekonomiczną i płatnych w ciągu lat trzech, z okazyi swego ślubu.

„Pani generałowa Grabowska udaje się do Włoch z licznym orszakiem, a baronowa Schütter jedzie do Włoch i do Grecyi. Téj ostatniéj podróż tyle potrzebna, ile generałowéj...

„Nie odmawiają sobie widowisk bardzo kosztownych [1]) i ustawicznych a rujnujących przebudowań Łazienek.

[1]) Dla zabawy królewskiéj — pisze Magier w „Estetyce m. Warszawy“ — zbiérał się nieraz teatr towarzyski z osób dobrze królowi znanych i dawano sztu-

I w obec tego wszystkiego nie módz spełnić tego, co się przyrzekło cudzoziemcowi! Słusznie p. Delalande twierdzi, że cudzoziemiec w tym kraju uważa się za konia pocztowego. Słusznie mówi i p. Voltaire, że należy być albo młotem, albo kowadłem..."

XXII.

Wyjazd króla do Grodna na sejm.—List z podróży do Reverdila.—Bilecik Bacciarellego.—Prymas.—Nowy komendant zamku.—Zmiany w bibliotece. — Dogrumowa.—Projekty króla co do biblioteki.—Wyjazd Reverdila.—Littlepage. — Hovard i Rumford.—Losy biblioteki Stanisława Augusta.

Wyjechawszy we wrześniu 1783 r. na sejm do Grodna, król z Kobrynia pod datą 4 t. m. przesłał Reverdilowi bilecik téj treści: „*Adieu pour aujourd'hui. Vous ne sauriez douter, que c'est du meilleur de mon coeur que je vous souhaite toute sorte de bien.*"

„Zachęcony temi słowami — pisze Reverdil — oraz przez kilku przyjaciół, jakkolwiek postanowiłem sobie niczego już od króla nie żądać, chciałem wszelako sprawdzić szczerość wynurzonych mi życzeń."

„Napisałem przeto, że z okazyi zamierzonego powierzenia bratu króla pierwszéj godności w Rzpltéj—prymasa [1]), możeby należało pomieścić mnie na liście tych wójtowstw, jakie miał do rozporządzenia; że to nie obciążyłoby skarbu, a pozwoliłoby królowi wyświadczyć mi łaskę."

Na to otrzymałem od Bacciarellego bilecik treści następującéj:

„Kochany przyjacielu! Otrzymuję właśnie od Jego Król. Mości list, w którym rozkazuje mi oświadczyć ci, że z braku czasu odpowiedzieć nie może obszerniéj i dlatego przepisuję tu dosłownie ustęp ciebie dotyczący: „*Je le salue cordialement, et ne l'oublierai surement pas dans l'occasion; mais, que ce qu'il croit être en grand nombre, est beaucoup moins nombreux, qu'il ne le suppose.*"

„Nadmienić trzeba, że podpisany na bileciku Bacciarelli od-

---

ki francuskie w sali jednéj zamku. Tam grywał generał Rieul (nie Brühl), szambelan Wojna, znany z miłego swego głosu i inni młodzi panowie. Z dam zaś: p. Sewerynowa Potocka, księżna de Nassau, z panien: panny Gutakowskie i t. p., na które to widowiska starosta Ryx dawał bilety do wejścia.

„W sali srebrnéj dawane były koncerta przez odwiedzające Warszawę sławne śpiéwaczki, jaką była łagodna w śpiewie Buonafini, wysokiego głosu Todi, Banti i Morigi, ulubiona w aryach Crespi."

[1]) Dzięki staraniom króla, drugi brat jego, Michał, z opata czerwińskiego wyniesiony został na godność prymasa.

dawna posiada już wójtowstwo. Co do mnie, z pewnością nikt o tém myśléć już nie będzie.“

„Tymczasem myślą już o beneficyach dla ks. Lubańskiego, co jest słusznėm, lecz z tego wynika, że więcéj myślą o tym, co ma już dosyć, aniżeli o mnie, mającym już 20 lat służby, połączonéj z tyloma uciążliwościami.“

„Podczas nieobecności króla zamierzyłem skorzystać nieco z roskoszy niezależności, wyjechać gdziekolwiek do wód, lecz obowiązek przejrzenia katalogu dla zrobienia uzupełnień, jeszcze bardziéj moje kłopoty życiowe uczynił uciążliwszemi.“

„Doznałem znowu przykrości ze strony generała Byszewskiego, mianowanego komendantem zamku, który mi zabronił otwiérania okien biblioteki. I tak, biblioteka ta, zamknięta przez większą część roku, stała się istną lodownią. Zwrócona ku północy, od strony tarasu nie daje nawet możności córeczce mojéj korzystania ze świéżego powietrza. Cofnięto jednak ten zakaz i usprawiedliwiono się przedemną, że się to stało jedynie z obawy o całość przedmiotów, opiece mojéj powierzonych.“

„W lutym 1785 r. Nie wiem, jakie powody skłoniły Jego Król. Mość do przeniesienia estampów do biblioteki. Są one bardzo ładne, ale nie ma miejsca na wygodne ich pomieszczenie.“

„Jakkolwiek ranną porą biblioteka ta stanowi jedynie przejście z jednéj części mego mieszkania do drugiéj i dla wszystkich jest otwarta, jednakże ksiądz Albertrandy zamierza wzbronić memu służącemu przechodu przez nią, chociaż nie ma tu nic do rozkazywania.“

„1785 r. 17-ty luty. Jakkolwiek nie ma nic wspólnego między mną, a sprawą p. Ryxa [1]), jednakże ten związek prawdopodobnie może być dopatrzonym. Cesarz, niezadowolony z dekretu niekorzystnego dla księcia Adama, może aresztować dochody księcia Kazimierza, lecz J. K. Mość może to sobie powetować na jego pensyi. Już raz ten środek był zastosowanym [2]).

---

[1]) Mowa tu o procesie Dogrumowéj, awanturnicy, wmieszanéj w sprawę generała Komarzewskiego, w któréj Ryx niepoślednią grał rolę.

[2]) „Rozprawy sejmu czteroletniego wyciągnęły—pisze Korzon—na jaw niektóre operacye wykonane ku pożytkowi krewnych bez wiedzy sejmu, mocą władzy królewskiéj, stosuneczków dyplomatycznych lub intryg. Brat, Kazimierz Poniatowski, otrzymał ogromne starostwo Szadów, niby tytułem wynagrodzenia za żołd awansowany w czasie zamieszek dla regimentu, ktorego był szefem i za utratę 16 tysięcy dukatów rocznego dochodu w starostwie Spiskiém, zajętém przy pierwszym rozbiorze przez Austryę. Tak się tłómaczył sam Stanisław August w izbie sejmo-

„Marzec 1785 r. Jego Król. Mość miała zamiar uczynić bibliotekę swoją publiczną. Zwróciłem uwagę króla na trudności, jakie to spowoduje, i król od zamiaru swego odstąpił. Uwolniło mnie to od wielu przykrości, gdyż i tak biblioteka jest prawie publiczną, skutkiem mnogości wypożyczanych z niéj książek i częstych wizyt, jakie się w niéj odbywają. Informacyami zajmuje się jeden z pomocników, więc gdyby jeszcze biblioteka dla wszystkich była otwartą, mógłbym stracić głowę.

„Częste mam zajścia z szambelanem-cerberem Gaszyńskim, podczas widowisk dworskich w zamku lub Łazienkach. Usuwa mnie on na sam koniec, jakkolwiek sam wiem, gdzie jest moje miejsce, a zajmuję zawsze jedno z pośledniejszych."

„Jego Król. Mość zakupił znowu bibliotekę od p. Czarneka, chociaż był uprzedzony, że tam nic nowego nie ma. Dowód to bezużyżyteczności moich starań o unikanie dubletów; dowód to zresztą, że kto ma na takie wydatki, nie powinien był zmniejszać mi pensyi.

„1787 rok 1 kwietnia. Winienem oddać tu sprawiedliwość nowemu prezesowi komisyi ekonomicznéj, p. Ostrowskiemu, kasztelanowi czerskiemu, który nie wyrządził mi żadnéj krzywdy przy objęciu urzędowania. Z tém wszystkiém odjęto mi 115 świéc kwartalnie, co czyni 460 sztuk rocznie."

Zażądałem uwolnienia, celem wyjazdu do Krakowa, Krzeszowic i Altwasser, podczas miesięcy: czerwca, lipca i sierpnia, z prośbą o wypłacenie mi mojéj pensyi z góry. Skończyło się na zmniejszeniu mi gratyfikacyi, a tymczasem przyjęto do służby młodego Amerykanina Littlepage'a [1]) i dano mu odrazu taką pensyę, o jaką ja tak długo się ubiegałem.

---

wéj w r. 1790, kiedy była mowa o odbiéraniu donatyw, albo pociągnięciu donataryuszów do wyższego podatku. Nikt nie wytknął mu, zapewne przez grzeczność, że kraj nie był obowiązanym tak dalece pieścić całego rodu Poniatowskich, iżby wynagradzał mu wszelkie szkody, jakie skutkiem rozbioru ponieśli. Ale Kublicki zrobił uwagę, że książę ex-podkomorzy pobiéra wynagrodzenie za utracone intraty Spiskie ze skarbu cesarsko-austryackiego. Król faktowi samemu nie zaprzeczył, takie tylko podał sprostowanie, że „nie za Spiskie, ale za Stryjskie i inne bierze ze skarbu cesarskiego i to nie w całości, ale w połowie..." Więc już chyba tylko od skąpego Fryderyka II-go nie wyżebrali Poniatowscy pieniędzy, nienasyceni w swych żądzach zbytkowania i wesołego używania, nawet wśród najstraszniejszych nieszczęść krajowych" (III, 51).

[1]) Ów Littlepage był figurą zagadkową. Używał na dworze Stanisława Augusta wyjątkowego miru i w ciągłych z królem pozostawał stosunkach. Wysyłany był w rozmaitych misyach tajemniczych do dworów zagranicznych i po-

Nie mówię tu o gratyfikacyi, jaką oprócz tego otrzymał na wyjazd z królem do Kaniowa, bo to jest racya stanu, która mnie zupełnie nie dotyczy... [1]).

Na tym urywku kończy się pamiętnik Reverdila. Czy wrócił ze swojéj podróży do Krakowa i co się z nim następnie stało? nie wiadomo. To tylko pewna, że ku końcowi panowania Stanisława Augusta, bibliotekarzem był już ksiądz Albertrandy, który przystąpił do opracowania dokładnego katalogu biblioteki królewskiéj i sporządził jedenaście jego tomów [2]). Figuruje wprawdzie jeszcze w r. 1793-im nazwisko Reverdila w wykazie długów królewskich, ale o dalszym udziale owego cudzoziemca w pracach około biblioteki nie ma wzmianki [3]).

Wiemy natomiast, jakie były losy tego zbioru. Połowę nabył Tadeusz Czacki ze zbiorem monet za 7,500 dukatów dla gimnazyum krzemienieckiego. Resztę biblioteki, którą król, jadąc do Petersburga [4]), zabrał ze sobą, po jego śmierci darował cesarz Paweł I Anastazemu Bratanowskiemu, mohylewskiemu biskupowi prawosławnemu, późniéj biskupowi astrachańskiemu. Skutkiem testamentu tego ostatniego, przeszła ona w posiadanie seminaryum prawosławnego w Astrachaniu, gdzie się dotychczas znajduje [5]).

---

bierał pensye „gratiskowe.“ W r. 1793 figuruje on jako wierzyciel króla na sumę 432 tysiące złotych. W rzeczywistości był to tajny agent Igelstroma (Korzon, III, 20). On to wprowadził na dwór Stanisława Augusta głośnego filantropa i reformatora więzień Hovarda, który bawił w Polsce równocześnie z kawalerem Rumfordem, wynalazcą preparowania zupy dla biédnych z odpadków kości. Odgłosem wizyt owych i stosunków z Littlepagem są oparte na autentycznych danych wzmianki u Rzewuskiego: „Pamiętn. Bartł. Michałowskiego“, t. I, str. 100—102 (wyd. warsz.).

[1]) W spisie osób, które towarzyszyły królowi do Kaniowa figurowali jedynie: ks. Naruszewicz, generał Konarzewski, Ryx, Littlepage i Camelli. K. Wł. Wójcicki: „Arch. Domowe“, 126.

[2]) Wzmiankuje o Albertrandym, jako o bibliotekarzu króla, Schmidt, w podróży swéj po Polsce z 1793 r. J. I. Kraszewski: „Biblioteka pam. i podr.“ Drezno, str. 300.

[3]) Pod d. 9 września 1793 r. czytamy w owym wykazie: Reverdilowi za książki dostarczone do bibliotek J. K. M. 2,700 złp. Korzon, III, 79.

[4]) „Smutna to była chwila — pisze Magier — w zamku królewskim, kiedy ten pan Warszawę, w któréj mile swe życie przepędził, swe mieszkanie i służących miał opuścić. Wyszedłszyy z swych pokojów, ubrany na drogę w rysiéj kierezyi i aksamitnéj czapce czarnéj, Voltairowską zwanéj, otoczony całym prawie dworem, każdemu prawie bez wyjątku dawał swe ręce do ucałowania, powtarzając te słowa: Póki mnie będzie dobrze, póty i wam.“ „Rękop. Z.“

[5]) F. Radziszewski: „Wiadomość hist.-stat. o znakomitych bibliot. i arch. publ. w Polsce.“ Kraków, 1875, str. 92.

XXIII.

Znaczenie pamiętnika Reverdila.—Dzieje zakulisowe.—Charakterystyka pamiętnikarza.—Rola cudzoziemców na dworze Stanisława Augusta.—Zakończenie.

Gdyby pamiętnik Reverdila zawierał w sobie materyał historyczny, rzucający światło na dzieje krajowe z końca XVIII wieku, na osoby i stosunki polityczne téjże epoki, bezwątpienia należałoby ów pamiętnik ogłosić w całości, w oryginale i zaopatrzéć go komentarzem, wyjaśniającym na podstawie współczesnych źródeł fakta, o jakich wzmiankuje.

Z tego jednak, co w poprzednich rozdziałach podane zostało, łatwo przyjść do przekonania, że materyał w dzienniku Reverdila zawarty, oprócz faktów odnoszących się do najbliższego otoczenia Stanisława Augusta, i to, faktów, przeważnie prywatnego, zakulisowego charakteru, nie nosi na sobie cechy historyczno-politycznéj, a stanowi raczéj kronikę pobieżną umysłowych zajęć, a poniekąd i najprywatniejszych stosunków króla Stanisława, przydatną dla lepszego scharakteryzowania jego skłonności i upodobań, kronikę ze wszechmiar ciekawą, lecz nie nadającą się do podniesienia jéj do godności historycznego obrazu epoki.

Jedna, najwybitniejsza strona téj kroniki, dotycząca starań króla około urządzenia biblioteki zamkowéj, najprzód prywatnéj, a następnie publicznéj, o czém, jak dotąd głuche tylko istniały wzmianki, znalazła w pamiętniku Reverdila wyczerpujące wyjaśnienie.

Szczegóły, do tych starań królewskich odnoszące się, uwydatniają nam dokładniéj, niż dotychczas, osobistość monarchy, pełnego najlepszych chęci i wykwintnego wykształcenia umysłowego; malują nam barwnie epokę ogólnych starań o podniesienie oświaty krajowéj, o zaopatrzenie społeczeństwa w dostępne do kształcenia się środki.

Ta jedna choćby zaleta pamiętnika zdolna jest pokryć płaszczykiem pobłażania szczegóły skandaliczne, o jakich Reverdil z dziwnym rozpisuje się cynizmem.

Wiedziano dotychczas, że król Stanisław August do anachoretów nie należał i do nich się zaliczać nigdy nie miał ochoty, lecz nie wiedziano, aby w życiu swojém hulaszczém dopuszczał się sposobów, przypominających Ludwika XIV-go w bezwzględném narzucaniu grzechów własnych—usłużnym i giętkiego karku dworakom.

Pamiętnik Marka Reverdila zrywa zasłonę z królewskiéj alkowy i ukazuje ją nam jako stekowisko namiętności poziomych, z całym aparatem środków cynicznych, czyniących otoczenie dworskie posłu-

słusznėm narzędziem samowoli monarchy lekkomyślnego, w sposobach do zaspakajania swych wybryków namiętności nie przebiérającego.

Wiarogodność owych szczegółów żadnéj wątpliwości poddaną być nie może, ile że autor pamiętnika bynajmniéj o jego ogłoszeniu nie myślał i że wszystko to, co przytacza, nosi na sobie cechę spowiedzi przed sobą samym, bez odcienia żalu za spełnione występki, rodzaj wynurzeń natury jak najosobistszéj, niemniéj jednak do scharakteryzowania epoki bardzo podatnéj.

Szczegóły prywatnego życia Stanisława Augusta pobieżnie dotychczas znano. Pamiętniki króla i jego korespondencya ogłoszona w rozmaitych wydawnictwach, stanowią raczéj retoryczną próbę usprawiedliwienia się przed potomnością z politycznych grzechów. Jestto robota na okaz, wykonana bez przekonania i szczerości, z wiedzą, że ją kiedyś czytać i oceniać będą...

W pamiętniku Reverdila mamy obrazek, odnoszący się do początkowych lat królowania monarchy, zajętego poważną myślą gruntownego wykształcenia umysłowego i zdradzającego już na wstępie te skłonności, jakie następnie w całéj pełni ku zdemoralizowaniu społeczeństwa był rozwinął...

Podaje go człowiek z najbliższego otoczenia królewskiego, wtajemniczony w sieć intryg dworskich, świadek codziennych niemal czynności swego pana, któremu służy bez skrupułów, z zaparciem się niemal swéj człowieczéj godności.

Jako typ karyerowicza i dusigrosza, dbającego jedynie o kieszeń własną i o własną karyerę, choćby za cenę upodlenia, lamentującego nieustannie nad niewdzięcznością i skąpstwem króla, pomimo wszystkiego, co dlań przez szereg ćwierćwiekowéj prawie służby nieustannie czynił, nie stanowi Reverdil wyjątku, w epoce, przepełnionéj osobistościami *ejusdem farinae*... Charakteryzuje go wszelako najzupełniejsza obojętność dla losów kraju, wśród którego spędził życie i na którego zgon polityczny własnemi patrzył oczyma. Każdy inny, większéj nieco wartości moralnéj człowiek, znalazłszy się w tak ciekawéj, dziejowéj doniosłości epoce, cudzoziemiec zwłaszcza, byłby tak, jak to brat Reverdila, przyboczny króla duńskiego, uczynił, pozostawił po sobie choćby ślad wrażeń tych wypadków, jakie się przed nim przewinęły; byłby znalazł jakiekolwiek słowo współczucia nad niedolą swego pana i tych, którym go narzuciły losy...

Marek Reverdil obojętnie przechodzi około tych wypadków, zaledwie słówkiem wspomina o faktach ważniejszych i to wyłącznie w odniesieniu do swoich poziomych, względnie obficie zaspakajanych

aspiracyi; nie znajdując w swoim słowniku ani jednego wyrazu dla wypowiedzenia żalu nad ogólną niedolą. Jaki pan, taki kram.

I nie jeden tylko Reverdil grzeszy takim indyferentyzmem dla otoczenia. Przeważna większość owych cudzoziemców, przybłędów z całego świata, snujących się około osoby marnotrawnego króla, żywiących się obfitemi odpadkami od stołu monarchy, łaknie tylko grosza i odznaczeń, zachowując się nieraz wrogo względem społeczeństwa, którego sztuczną stanowiła narośl.

Prawda, że ów element cudzoziemski na zamku królewskim z końca XVIII-go stulecia zostawił ślady swego działania w pięknych wzorach pędzla, rzeźby i budownictwa, roskoszujących nas do dziś dnia urokiem swoich okazów i zaciérających w estetyczném zadowoleniu następców krwawe i brudne plamy epoki, któréj swój byt zawdzięczają. Takież same słówko pobłażania należy się i Markowi Reverdilowi, którego staraniom zawdzięcza potomność uporządkowanie ocalałych zabytków piśmiennictwa, które, chociaż następnie rozproszone i oddalone od ogniska swego powstania, służyły czas pewien umysłowéj kulturze pokolenia, wychowanego pod kierunkiem jednego z najświatlejszych mężów swéj epoki i w pomnikowych jego dziełach należycie spożytkowanemi zostały.

Alexander Kraushar.





Muzeum rzemieślnicze.

Tak długo oczekiwane Muzeum rzemieślnicze, ma wreszcie powstać w Warszawie. Przychodzi ono do nas pod bardzo skromną nazwą. Snać trudno nam się zdobyć na coś większego, i uważamy, że należy być oględnymi w obietnicach. Zagranicą, gdzie rządy, a co najmniéj miasta, przykładają się do zakładania i utrzymania muzeów, muzea nie zadawalniają się tak drobnym rozmiarem i ograniczonemi aspiracyami. Paryskie konserwatoryum sztuk i rzemiosł, zapoczątkowane w r. 1775, przez sławnego mechanika Vaucansona i legowane w r. 1783 państwu jako muzeum maszyn, instrumentów i narzędzi, przeznaczonych do wykształcenia klas roboczych, w r. 1794 przeszło na etat państwa, i stało się pierwowzorem dla innych tego rodzaju instytucyi. Liczy ono kilkanaście tysięcy okazów, bibliotekę z przeszło 20,000 tomów książek i ma wykłady bezpłatne z geometryi, mechaniki, fizyki, budownictwa, chemii zastosowanéj do przemysłu, chemii rolniczéj, tkactwa, ekonomii politycznéj, prawa handlowego, statystyki i innych. Z tego konserwatoryum zrobiło się Muzeum i Sorbona. Wiedeń ma dwa w tym rodzaju muzea: austryackie Muzeum sztuk i przemysłu przy Stubenringu, założone w r. 1863 i Muzeum technologiczne dla rzemiosł. Berlińskie Kunstgewerbe - Muzeum, założone w r. 1867, popierane przez rząd, rozwija się znakomicie i ma bardzo cenne okazy z rozmaitych wieków i od rozmaitych ludów, aż do chwili obecnéj. W Monachium król Maksymilian II założył tak zwane Muzeum narodowe, z bogatym, historycznie ułożonym zbiorem okazów, przeważnie przemysłu niemieckiego. W Stutgarcie w r. 1849 założono także Muzeum; jak stwierdzają tamtejsi ekonomiści, olbrzymio się przyczyniło ono do rozwoju rękodzieł, a następnie i handlu, a w rezultacie do zwiększenia dobrobytu ogólnego w całém królestwie Wirtemberskiém.

Słowem, gdziekolwiek tylko pomyślano o rozwinięciu przemysłu

rękodzielniczego, wszędzie starano się o dwie rzeczy — o dobre szkoły przemysłowe i o muzea. Nawet Galicya, gdy jęła się kłaść tamę napływowi towaru niemieckiego i czeskiego — o muzeach sobie przypomniała. Więc w Krakowie dr. Baraniecki tworzy Muzeum, skromne to prawda, niesystematycznie urządzone, ale zawsze dające jakiekolwiek wzory dla tamtejszych rękodzielników. We Lwowie dzieje się lepiéj. W r. 1873 tworzy się komitet w celu założenia Muzeum, jako środka zdolnego „podnieść przemysł i rękodzielnictwo“. Obywatel Lwowa, Franciszek Bałutowski, daje początek ofiarom i składa 6,000 zł. reńskich, z tych 5,000 na fundusz żelazny a 1,000 na zakup okazów. Korporacye przemysłowe i rzemieślnicze, tudzież zakłady publiczne idą w ślad za ofiarodawcą, wydział krajowy dodaje 1,000 reńskich, miasto 3,000, i zbiéra się pokaźna sumka, za którą zakupiono w Wiedniu na wystawie odpowiednie przedmioty i Muzeum otwarto. Hrabia Włodzimierz Dzieduszycki zaopatruje nadto Muzeum swoim kosztem w okazy wyrobów krajowych i robót domowych. W r. 1874 instytucya ta otrzymuje statut, w którym cel Muzeum tak jest określony: „Muzeum przemysłowe we Lwowie ma na celu wpływać na rozwój przemysłu i rękodzielnictwa w kraju, a przez dostarczenie odpowiednich okazów i środków pomocniczych, które wiedza i sztuka dają, starać się o udoskonalenie rękodzielnictwa i przemysłu krajowego w kierunku technicznym i estetycznym“. Cel ten we wszystkich muzeach jest jednakowy, choć nie jednakowo określony. Lwowskie Muzeum dziś ma już byt zapewniony. W r. 1887 Towarzystwo galicyjskie kasy oszczędności, z okazyi 40-letniego panowania cecarza Franciszka, przeznaczyło 400,000 złr. na wybudowanie gmachu dla Muzeum i szkoły dla przemysłu artystycznego, przy tém Muzeum istniejącéj. W ślad za tém rada miejska Lwowa dała grunt pod gmach i wzięła na siebie koszta utrzymania tegoż. Muzeum ma bibliotekę z 1,520 tomów złożoną i szkołę rysunków i modelowania, snycerską i hafciarską.

Warszawa dawno odczuwała potrzebę takiego muzeum. Jeszcze w r. 1870 pewne grono osób [1]) wystąpiło do władzy ze staraniami, o założenie w Warszawie Towarzystwa zachęty przemysłu, które za główny środek oddziaływania uważało Muzeum. Sprawa ta nie dostała się wówczas do dzienników, i może dobrze będzie, dla historyi, przytoczyć tutaj streszczenie zasad owego Towarzystwa, podług no-

---

[1]) Panowie: Fraget Julian, Jeger Gracyan (nie żyje), Łapiński Aleksander, Makowiecki Aleksander, Nagórny Antoni, Scholtze Adolf, Spiess Ludwik, Szlenker Karol i Temler Aleksander.

tatki wręczonéj ówczesnemu namiestnikowi w Królestwie. Była ona taka:

„Budzić się poczynający przemysł miejscowy potrzebuje koniecznie — i wzorować się na tém, co już gdzieindziéj zrobiono, jako téż mieć zachętę w szerszém uznaniu ogółu. W tym celu przemysłowcy tutejsi, zapatrując się na błogie skutki, jakie dla sztuk pięknych wydało od lat 9 istniejące Towarzystwo zachęty sztuk pięknych, na wzór tegoż pragnęliby założyć w Warszawie Towarzystwo zachęty przemysłu i rzemiosł, którego celem byłoby staranie się o postęp i rozwój przemysłu i rzemiosł. Środkami do osiągnięcia tych celów byłoby:

1) Muzeum stałe, mieszczące w sobie produkta surowe, narzędzia, machiny, modele i plany systematycznie ułożone, oraz przedmioty będące wyrobem fabryk, pracowni rzemieślniczych, oraz pojedyńczych pracowników — i wogóle wszelkie przedmioty, mające zastosowanie w przemyśle i w rzemiosłach;

2) Zakupywanie w Muzeum złożonych a doskonałością wyróżniających się okazów i rozlosowywanie takowych między członków;

3) Dawanie objaśnień ustnych lub piśmiennych, w rzeczach tyczących się: narzędzi, machin, modeli, planów, oraz sposobów wyrobu i rozwoju fabrykacyi;

4) Zakupywanie dla użytku członków dzieł i pism specyalnych, krajowych i zagranicznych;

5) Wyznaczanie premii dla zdolniejszych robotników;

6) Pośredniczenie w sprzedaży rozmaitych przedmiotów, w Muzeum wystawionych.

Fundusze do założenia podobnego Towarzystwa i urządzenia Muzeum powstałyby z ofiar dobrowolnych, złożonych przez osoby zajmujące się sprawą rozwoju przemysłu. Fundusze zaś na dalszy rozwój interesów i utrzymanie Towarzystwa powstaną:

a) ze stałych składek rocznych od członków;

b) z wpływów za zwiedzanie przez publiczność Muzeum i korzystanie z objaśnień;

c) z opłat rocznych składanych przez właścicieli fabryk i pracowni rzemieślniczych, za nabycie stałych biletów wejścia do Muzeum;

d) z rabatu od przedmiotów sprzedanych za pośrednictwem towarzystwa;

e) z ofiar jednorazowych i zapisów testamentowych.

Członkowie dzieliliby się na pięć kategoryi:

1) Członkowie z w y c z a j n i, płacący rocznie po kop. 50 i mający

prawo zwiedzenia darmo Muzeum i wybierania zarządu, ale nie mogą być wybieralnymi;

2) Członkowie wybieralni, płacący rocznie rs. 1 kop. 50 i oprócz bezpłatnego dla siebie biletu wejścia, mogą być wybieranymi do zarządu i mają prawo do wygrania rozlosowanych przedmiotów;

3) Członkowie rzeczywiści, płacący po rs. 5 rocznie i oprócz praw przynależnych członkom wybieralnym, mają jeszcze bilet wejścia dla siebie i swéj rodziny;

4) Członkowie protektorzy z opłatą roczną rs. 25 i z prawami członków rzeczywistych; wreszcie

5) Członkowie honorowi nie wnoszący żadnych składek, ale zaproszeni na członków, w dowód uznania lub wdzięczności, przez Towarzystwo.

Sprawami Towarzystwa kierowałby komitet z pomiędzy członków Towarzystwa, przez tychże członków wybrany".

Ustrój tego Towarzystwa miał być wielce zbliżony do Towarzystwa zachęty sztuk pięknych. Zakup okazów, rozlosowywanie takowych, sprzedaż okazów wystawionych, udzielanie premii—wszystko to było wzięte z pomienionego Towarzystwa. A czém dla tego ostatniego była wystawa, tém dla Towarzystwa zachęty przemysłu, miało być Muzeum. Tylko w zdobywaniu członków zachodziły różnice. Towarzystwo zachęty przemysłu starało się oprzéć na masach—stąd dopuszczenie na członków osób z bardzo małemi składkami—po kop. 50 i po rs. 1 kop. 50 od osoby. Nadto inicyatorowie przypuszczali, że Muzeum przez nich proponowane, uważane będzie za rodzaj szkoły z metodą poglądową i starali się uprzystępnić młodzieży rzemieślniczéj wstęp do Muzeum — i w tym celu wprowadzili w rubryce dochodów: opłaty roczne składane przez właścicieli fabryk i pracowni rzemieślniczych, za nabycie stałych biletów wejścia do Muzeum, które to bilety miały być rozdawane uczniom i czeladnikom rzemieślniczym, lub téż praktykantom.

Projektowane jednak Towarzystwo do skutku nie przyszło.

W r. 1874 z okazyi Wystawy przemysłowo-rolniczéj w Warszawie — znowu sprawa Muzeum na wierzch wyszła. Ówczesna redakcya „Gazety przemysłowo-rzemieślniczéj" zaproponowała, aby utworzono przy Magistracie warszawkim Muzeum miejskie i aby z owéj Wystawy przedmioty godniesze uwagi, zostały do Muzeum zaofiarowane. Myśl ta między wystawcami zyskała ogólne poparcie i wiele przedmiotów zadeklarowano ofiarować do Muzeum miejskiego; jak np. Welke Alfons z Kielc—okazy marmurów krajowych, Herkner Ludwik okazy kamienia litograficznego polskiego. Brzozowski z Do-

maniewic, bracia Temlerowie i Szwede okazy tyczące się przemysłu garbarskiego, Kowalski Tadeusz modele pługów rozmaitych, Neuman Hugo okazy tkanin metalowych, szkoła Żabikowska monografię pszenicy i wiele innych. Sprawą tą zainteresował się ówczesny prezydent Warszawy generał Witkowski, chodziły wieści, że Muzeum przemysłowe ma być założone przy Magistracie i zostawać pod tegoż kontrolą i pod zarządem komitetu z grona obywateli wybranego. Na fundusz zaś zakładowy, przeznaczony miał być remanent dochodów z ówczesnéj Wystawy rolniczéj, około 15,000 rs. wynoszący.

I ten także projekt spełzł na niczém.

Natomiast z inicyatywy szczupłego liczebnie grona ludzi zamożnych, powstało Muzeum przemysłu i rolnictwa. Zatwierdzenie otrzymało ono w dniu 1 lipca 1875 roku, i ma na celu „dawać przemysłowcom i gospodarzom wiejskim możność naocznego badania przedmiotów, mają cych związek z rodzajem ich zajęć, tudzież zapoznawania się z ulepszonemi narzędziami i sposobami produkcyi“. Muzeum ma prawo posiadać: 1) kolekcye mineralogiczne, botaniczne i zoologiczne; 2) zbiór maszyn, przyrządów i narzędzi, oraz planów i rysunków przedmiotów, stosujących się w przemyśle i gospodarstwie wiejskiém; 3) kolekcye produktów gospodarstwa wiejskiego oraz wyrobów fabrycznych i rzemieślniczych; 4) bibliotekę i 5) laboratoryum doświadczalne; nadto Muzeum może urządzać wystawy i odczyty publiczne.

Zdawało się, że z mocy téj ustawy, sprawa weszła na dobrą drogę. Tymczasem, pomimo wpływu lat 15, właściwego Muzeum, t. j. przystępnych dla publiczności zbiorów, kolekcyi i biblioteki, nie ma zupełnie. Pierwotni założyciele i zaproszone przez nich osoby, z dużym nawet nakładem pieniężnym, doszli do pięknego gmachu, ozdobnéj sali, słowem do odpowiedniego pomieszczenia na Muzeum, ale Muzeum samo jest znowu, jak przed dwudziestu laty, mrzonką niedoścignioną. Główném zadaniem Muzeum stało się urządzanie po kilka na rok, wystaw rolniczych lub przemysłowych. Wszelakie przedstawienia, oraz poważne lub zjadliwe krytyki prasy, nie wzruszyły mocnego postanowienia komitetu Muzeum, żeby Muzeum nie istniało. W miejsce poważnéj naukowéj instytucyi, o szerokim wpływie instrukcyjnym, mamy tylko salę, którą wynajmują po największéj części potrzebujący reklamy fabrykanci i rzemieślnicy, w formie udziału w wystawach.

Rozumie się, że ta gospodarka lękliwa, czy nieumiejętna, czy jak ją tam wreszcie w przyszłości historya zdefiniuje, upaść kiedyś musi, ale faktem się stało, że kraj ma gmach muzealny bez okazów, ma piętnaście lat istniejące Muzeum—bez muzeum.

Dziś potrzeba muzeum wzmogła się jeszcze silniéj. Chwilowy rozkwit naszego przemysłu i rzemiosł—przeminął. Zapanowała stagnacya, a w ślad zatém i troska o wydobycie się z tego okresu wegetacyjnego ujawniła się niejednokrotnie i w prasie i w tutejszém Towarzystwie popierania przemysłu i handlu. Stała wystawa prób i okazów wyrobów przemysłowych, założona przy Towarzystwie, była pierwszym objawem chęci ratowania się od zastoju. Drugim takim objawem był projekt sekcyi rzemieślniczéj tego Towarzystwa, założenia „Muzeum rzemieślniczego“. Motywa wniosku odpowiedniego rozpoczynają się od tych słów: „Stwierdzoném zostało niejednokrotnie, iż rzemiosła nasze nie rozwijają się należycie i z téj racyi nie są w stanie wytrzymać konkurencyi z zagranicą. Wyroby dotychczasowe naszych rzemieślników, z bardzo małemi wyjątkami, nie zalecają się ani pomysłowością, ani sposobem wykonywania, ani téż zewnętrznym swym wyglądem. Stare, pierwotne sposoby wyrabiania, zabierające wiele czasu i zbyt dużo pracy samym wykonawcom, są przyczyną stosunkowo wysokich cen, jakie rzemieślnicy zmuszeni są nakładać na swoje wyroby. Brak zaś smaku i gustu estetycznego nie może w żadnym razie dodatnio wpływać na zbyt tych produktów. Zagranica braki te usunęła przez zakładanie licznych szkół rzemieślniczych z jednéj strony, a fundowanie muzeów — z drugiéj“.

Surowe te motywa, aczkolwiek dotkliwe dla dumy naszego rzemieślnika, uznane jednak zostały za prawdziwe, przez licznych rzemieślników obradujących naonczas na posiedzeniu sekcyi rzemieślniczéj. Ze smutkiem wyznawali, że postęp u nas w rzemiosłach nie idzie w równéj mierze z postępem zagranicznym. Ale gdzie się tu uczyć — pytano — kiedy nie ma szkół, ani specyalnych, ani ogólnych odpowiednio przystępnych? kiedy nie ma skąd zaczerpnąć wzorów? nie ma gdzie poznajomić się z owocami ruchliwego postępu zagranicznego? Kto u nas daje jakąkolwiek pomoc? gdzie jest ta dobroczynna opieka, dobro maluczkich mająca na celu? Przemysł wielki, obfitujący w kapitały, radzi sobie jako tako skutecznie, ale te drobne kółka przemysłowe, te mało zamożne warsztaty rzemieślnicze, te nie umieją zdobyć się na środki zaradcze, a znikąd pomoc do nich nie przychodzi. Więc z radością poparto myśl założenia Muzeum rzemieślniczego, i znowu nie w Muzeum przemysłu i rolnictwa, ale przy warszawskiém Towarzystwie popierania przemysłu i handlu.

Zarząd tego Towarzystwa — projekt swéj sekcyi przyjął z zapałem. Wyznaczona delegacya opracowała odpowiednią instrukcyę a P. Naczelnik Kraju dał swoje zezwolenie. Co więcéj, w tym czasie, jeden z tutejszych finansistów zadeklarował się złożyć na rzecz pro-

jektowanego Muzeum, hojną ofiarę w sumie rs. 25,000, i stał się tém dla naszego Muzeum — czém dla krakowskiego był dr. Baraniecki, a dla lwowskiego p. Bałutowski.

Czém ma być instytucya projektowana, wskaże instrukcya z któréj główne artykuły przytaczam a resztę streszczam.

§ 1. Przy warsz. oddz. Tow. pop. przem. i handlu tworzy się „Muzeum rzemieślnicze“, mające na celu popieranie rozwoju rzemiosł, przez zapoznawanie rzemieślników z okazami wyrobów i ze środkami, za pomocą których owe wyroby najkorzystniéj i najwłaściwiéj mogłyby być wykonanemi.

§ 2. Muzeum rzemieślnicze ma zawierać własne, lub téż czasowo mu dla wystawienia użyczone:

a) okazy wyrobów rzemieślniczych — wzorowych, wyróżniających się, bądź dawnych bądź nowych, jako téż wogóle zasługujących na rozpowszechnienie, zarówno krajowych jak zagranicznych;

b) płody surowe i półprodukty do wyrobów rzemieślniczych służące;

c) warsztaty, narzędzia, maszyny, motory dla drobnego przemysłu i inne środki pomocnicze;

d) rysunki, fotogramy, wzory, kopie, modele i t. p. przedmioty, udoskonalenie rzemiosł na celu mające;

e) bibliotekę dzieł i pism specyalnych, krajowych i zagranicznych.

Następne pięć artykułów mówią o udzielaniu objaśnień (§ 3), o kopiowaniu wzorów i użytkowaniu z biblioteki (§ 4); o opłatach za zwiedzanie muzeum (w niedziele darmo — § 5), o podawaniu wiadomości o nowościach w pismach i wydawaniu broszur specyalnych (§ 6), i o wypożyczaniu okazów do muzeum (§ 7).

§ 8. Fundusze na założenie, rozwinięcie i utrzymanie Muzeum powstają: *a*) ze składek stałych, z wyraźném przeznaczeniem na rzecz Muzeum; *b*) z ofiar jednorazowych i zapisów na ten cel przeznaczonych; *c*) z opłat za wejście od zwiedzających Muzeum; *d*) z procentu od funduszów do Muzeum należących i wszelkich innych wpływów przypadkowych. Fundusze z powyższych źródeł zebrane, nie mogą być łączone z innemi funduszami Towarzystwa (Popierania przem. i handlu), lecz wyłącznie winny być na rzecz Muzeum rzemieślniczego obracane.

§ 9. Ofiary i zapisy jednorazowe znaczniejsze, począwszy od rs. 500, nie mogą być obracane na bieżące potrzeby Muzeum, lecz służyć mają wyłącznie na zakup przedmiotów w § 2 niniejszéj in-

strukcyi wyszczególnionych, celem powiększenia zbiorów Muzeum, chybaby ofiarodawca wyraźnie swój cel ofiarowanym funduszom nadał.

§ 10-ty określa z ilu członków składać się ma komitet i kto owych członków ma prawo obiérać, t. j. pięciu z rozmaitych sekcyi Towarzystwa, a czterech z liczby ofiarodowców; § 11 podaje sposób dokonywania wyborów; § 12 wyszczególnia atrybucye i obowiązki komitetu; §§ 13 i 14 wskazują sposób załatwiania spraw w komitecie, a § 15 mówi o delegacyi rewizyjnéj, z trzech członków złożonéj, i jéj przeznaczeniu.

Wreszcie ostatni § 16 szczegółowo określa, co się stać ma ze zbiorami Muzeum, w razie gdyby Tow. pop. przem. i handlu z jakichbądź przyczyn Muzeum rzemieślniczego prowadzić nie mogło. Instrukcya przepisuje, że wówczas całe Muzeum rzemieślnicze przejdzie na własność Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie, — albo do Muzeum miejskiego warszawskiego, o ile ono istnieć będzie, lub wreszcie do innéj instytucyi tego rodzaju, ale zawsze z obowiązkiem utrzymywania przedmiotów, po Muzeum rzemieślniczém przejętych, tak, iżby te i nadal do pożytku publicznego służyć mogły. O ileby zaś, w chwili zwinięcia Muzeum rzemieślniczego, żadna z powyż wymienionych instytucyi zbiorów Muzeum przejąć i nadal w sposób przystępny do użytku publicznego takowych utrzymać nie chciała lub nie mogła, w takim razie okazy lub inne przedmioty w naturze Muzeum rzemieślniczemu ofiarowane, zostaną w takim stanie, w jakim wówczas znajdować się będą,—zwrócone ofiarodawcom, lub ich prawnym spadkobiercom, o ile po odbiór najdaléj w ciągu roku, od daty ogłoszenia o zamknięciem Muzeum rzemieślniczego, sami dobrowolnie się zgłoszą. Przedmioty zaś przez Muzeum z funduszów gotowych zakupione lub przez ofiarodawców w terminie powyższym prekluzyjnym nie odebrane, równie jak i gotowe fundusze, jakieby Muzeum w owéj epoce posiadało, — będą przez ostatni komitet Muzeum, wedle jego uznania rozdzielone pomiędzy instytucye naukowe, społeczne i dobroczynne w owéj epoce w Warszawie istniejące.

Dotąd instrukcya.

Charakterystycznym może się wydaje ten niepomiernie długi artykuł 16-ty, przewidujący możność rozwiązania się Muzeum. Niestety! jest on wynikiem czasu i okoliczności. Upadek niektórych dawniéj fundowanych u nas instytucyi naukowych lub społecznych, uczy przezorności. Że uczy przezorności — to nie byłoby jeszcze złém. Ale oddziaływa on zrażająco na dobre chęci jednostek ofiarnych i służy za motyw samolubom, swą nieużytość zmuszonym czémciś upozorować.

Instrukcya wytrąca w pewnym stopniu broń wymówki drugim, — a pierwszym daje gwarancyę, że ich dobre chęci i ofiary nie pójdą na marne.

Zresztą, ludzie istotnie dbali o dobro ogólne, nie krępują się nigdy jakiémś smutném przewidywaniem. Czy instytucya trwać będzie wieki, czy tylko lat dziesiątki—sprawa to mniejszego znaczenia. Jeżeli tylko instytucya (choćby w swém istnieniu przerwaną została) oddziałała jednak na pewne pokolenie społeczeństwa, to już wywiązała się ona ze swego zadania, gdyż złożyła w łonie społeczeństwa ziarna nauki, postępu i udoskonalenia, których ogień nie spali, nie zabierze woda. W następnych pokoleniach wyrośnie znowu siła odradzająca, siła, która rzeczy zburzone zgromadzi, upadłe i zniszczone — podniesie.

Sprawa Muzeum rzemieślniczego nie należy jednak do takich, którymby grozić mogła zagłada. Instytucya sama, dążąca do zadośćuczynienia potrzebom mas roboczych, dziś gdy te masy wszędzie osłonione są wyjątkową może opieką, przetrwa zawsze wszelkie przesilenie, jakiéjkolwiek byłyby natury. Nie w strachy zatém się nam bawić, nie tworzyć przeszkód urojonych, ale ochoczo do budowania owéj instytucyi jąć się należy.

Artykuł 2 instrukcyi zdaje się, że dokładnie określa zadanie Muzeum. Muzea zagraniczne możnaby rozdzielić na dwa kierunki, na dwa typy. Jedne lubią gromadzić zabytki przemysłowe z dawnych wieków, silą się na przedstawienie dziejowego rozwoju każdéj gałęzi przemysłowéj i rzemieślniczéj, dają porównawcze okazy przemysłu w różnych krajach — i mają charakter, że się tak wyrażę, etnograficzno-historyczny. Inne znowu muzea nie wkraczają w dziedzinę starożytności, nie ubiegają się za *curiosami* ludów mało znanych, ale gromadzą to wszystko, co może podnieść rzemiosła obecne, co zdoła im wskazać nowe sposoby produkcyi i zbytu, co udogadnia samą pracę, czyni ją tańszą, produkcyjniejszą, a wyroby jéj lepiéj popłatnemi i więcéj pożądanemi. Muzea takie mają charakter instrukcyjno-informacyjny. Są one pewnego rodzaju szkołą poglądową dla rzemieślników i wskazówką, w jakim kierunku ma iść produkcya warsztatowa. Muzeum rzemieślnicze nasze ma właśnie być urządzone podług tego drugiego typu. Zadaniem jego wskazać, że taki a taki wyrób rzemieślniczy cieszy się obecnie znacznym zbytem za granicą, a tém samém i u nas może być rozpowszechniony; że w ciesielstwie np. wprowadzo-

no nowy rodzaj wiązań w dachach łukowych, że w kowalstwie znowu sztachowania czyli zgrubiania żelaza dokonać można za pomocą takiego a takiego nowego przyrządu, — że do bejcowania czyli farbowanie drzewa, np. na czerwono, używają nowéj farby,—że do przetapiania bronzu wynaleziono odmiennéj budowy piece płomienne, a do podklejania zakładek i przyszew inny zupełnie klajster. Daléj, projektowane Muzeum ma zgromadzić wzory rozmaitéj ornamentacyi dla stolarzy, ślusarzy, snycerzy i innych, aby w razie potrzeby, można sobie taki wzór wybrać, przerysować i zastosować. Ma w działaniu przekonać o skuteczności nowych maszyn, narzędzi — ma zapoznać z drobnemi motorami gazowemi, naftowemi i innemi, które udogodnić i produkcyjniejszą uczynić mogą pracę rzemieślnika. Słowem, zadaniem Muzeum rzemieślniczego jest informować o wszystkich nowościach obchodzić mogących krajowe rzemiosła, dowodnie przekonywać o użyteczności najnowszych wynalazków, — stawiać przed oczy wyniki postępu fachowego za granicą, a tém samém zachęcać do prób i zastosowania swego postępu i między nami. To śledzenie bieżącego postępu nie wyłącza jednakże wzorowania się na godnych zastosowania wyrobach z przeszłości. Dlatego to w instrukcyi powiedziano, że Muzeum zbiéra okazy wyrobów wyróżniających się „bądź dawnych, bądź nowych.“ Średniowieczne rzemiosła stały bardzo wysoko. Wiele wzorów mogą z nich czerpać ślusarze, konwisarze, złotnicy, snycerze, stolarze, bronzownicy i inni. Muzeum chętnie takie wzorowe okazy pomieści pod swoim dachem, choć strzedz się będzie stanowczo lichych wyrobów, których całą zaletą byłaby tylko metryka.

Artykuły 7 i 8 mówią o funduszach instytucyi. Przytoczyłem je w całości, aby uwydatnić, że Muzeum ma być instytucyą opartą wyłącznie na współudziale ludzi dobréj woli. Jednorazowa ofiara pana H. W. nie jest wszystkiém dla instytucyi. To jest tylko dobry początek, — to tylko dobra zachęta dla innych. Muzeum takie nie może ograniczyć się na kapitale zakładowym dwudziestu pięciu tysięcy rubli. Musi ono zgromadzić większe kapitały na zakup okazów, musi postarać się o fundusze na utrzymanie instytucyi. Gdzieindziéj takie sprawy załatwiają się inaczéj; my musimy sobie z góry powiedzieć: że tylko my, społeczeństwo, możemy i musimy Muzeum rzemieślnicze i ufundować i utrzymywać. W wykazie funduszów na utrzymanie jest wprawdzie pozycya „z opłat za wejścia od zwiedzających“, ale pozycya ta nie pokryje nigdy wydatków koniecznych tak na utrzymanie, jak i na rozwijanie ciągłe instytucyi. Muzeum służyć powinno dla mas rzemieślniczych, które tak u nas, jak

i wszędzie, nietylko że nie mają na drogie opłaty za wejście, ale które nadto trzeba wprost zachęcać, aby uczyć się chciały i z Muzeum korzystały. Stąd to przepis w instrukcyi, że w niedziele, t. j. w te dni, gdy rzemieślnik może poszukać sobie jakiéjś rozrywki lub nauki—wejście do Muzeum będzie bezpłatne.

Instrukcya fundusze dzieli właściwie na dwie kategorye. Dary, począwszy od rs. 500, każe obracać na zakup przedmiotów czyli okazów muzealnych — i tworzy z tych funduszów rodzaj kapitału zakładowego. Mniejsze dopiéro wpływy, t. j. niżéj 500 rubli, przeznacza na utrzymanie instytucyi.

Komisya, proponująca instrukcyę, nie bez powodu wprowadziła ograniczenia i rozgraniczenia. Lękała się ona, aby dary większe, na rzecz instytucyi wniesione, nie rozlazły się na koszta przedwstępne, na rzucanie się na najem drogich lokali, na zbytkowne nakłady, na kupno szaf, gablotek i t. p. Przykład ładnego gmachu z bardzo pięknie ornamentowaną salą, ale stojącego bezużytecznie — kazał się chronić wszelkiemi siłami od naśladowania. Gdy komitet Muzeum większe ofiary może obrócić tylko na zakup okazów, zniewolony będzie nie czerpać z gotowego, ale starać się, i teraz w początkach i późniéj, o gromadzenie funduszów, z którychby można utrzymać Muzeum—to jest opłacić mieszkanie, wynagrodzić kustosza i służbę, sprawiać szafy, stoły i inne utensylia, i ponosić wszelkie niezbędne wydatki prowadzenia instytucyi. Nie będzie zatém mógł ów komitet czerpać z pierwotnie nagromadzonego kapitału, ale musi się zakrzątnąć około pomnażania onego i od samego początku przyzwyczai się do większego nakładu starań, który w przyszłości uchroni instytucyę od zastoju i zaniedbania.

Z drugiéj strony spodziéwać się należy, że społeczeństwo nasze nie odpowié milczeniem na gorliwe krzątanie się komitetu. Odwoływanie się do owych 25,000 rs. byłoby błędem, gdyż z owych pieniędzy komitet nic wziąć nie może na koszta urządzenia i prowadzenia, lecz tylko na zakup okazów. Dotychczas na owo urządzenie zadeklarowano zaledwie 700 rs. To drobnostka w porównaniu z wydatkami, jakie ponieść potrzeba. Ofiarność publiczna musi się tu zamanifestować, jeżeli mamy miéć Muzeum rzemieślnicze. A miéć go musimy.

Instrukcya dąży jeszcze do zapewnienia ofiarodawcom możności oddziaływania na prowadzenie Muzeum i kontrolowania całéj gospodarki. W tym celu daje w komitecie cztery miejsca ofiarodawcom i dwa w komisyi rewizyjnéj. Wybrane przez nich osoby będą miały

zatém sposobność ciągłego czuwania nad biegiem spraw w instytucyi i strzeżenia, aby nie weszła na drogi fałszywe lub wadliwe.

Początek jest zrobiony. Mamy hojną ofiarę na pierwsze zakupy okazów, mamy pozwolenie władzy, mamy grono ludzi dających swą pracę. Czy z tych materyałów zdołamy wznieść gmach poważny i pożyteczny? to już zależy od dalszego poparcia ze strony naszego społeczeństwa. Co ono zrobi tym maluczkim w przemyśle — to sobie zrobi.

A. Makowiecki.





Z RUCHU EKONOMICZNEGO.

Kredyt melioracyjny i stan gospodarstwa rolnego w Rosyi i innych państwach. — Młynarstwo zbożowe w Królestwie i Cesarstwie. — Prace nad ulepszeniem „systemu Maryjskiego.“—Stosunki własności ziemskiéj i kolonizacya w ruskich posiadłościach środkowo-azyatyckich. — Wystawa środkowo-azyatycka w Moskwie. — Wystawa francuska w Moskwie.

Przed paru miesiącami ukazało się dzieło p. Jana Blocha, traktujące o kredycie melioracyjnym i o stanie gospodarstwa wiejskiego w Rosyi i innych krajach. Stanowi ono niezmiernie cenny nabytek tak dla literatury, jak dla saméj sprawy kredytu melioracyjnego, ponieważ wiąże się bardzo ściśle z jéj wykonaniem w państwie Rosyjskiém.

Ogólny przewrót w rolnictwie, który tak wyraźnie wykazuje potrzebę kredytu melioracyjnego, mającego na celu dostarczenie środków na ulepszenia kultury ziemi,—zaznaczył się najwyraźniéj może w Rosyi. Jeżeli zważymy, że od r. 1872 do 1889 spadek cen pszenicy wyniósł w Rosyi 42%, żyta 46%, a owsa 34% i jeśli pamiętać będziemy, że Rosya, prócz ziarna, produkuje przeważnie tylko wełnę, cukier i spirytus, które również bardzo znacznie spadły w cenach,—wywnioskować stąd możemy łatwo, jak zgubne skutki pociąga za sobą gospostwo tego rodzaju, jak upadająca dochodowość ziemi zmniejsza zdolności kredytowe ziemianina, doprowadzając zarazem ceny ziemi do ostatecznego upadku. Dla wybrnięcia z tych złych warunków skutecznym środkiem jest zmiana systemu produkcyi rolnéj, mająca na celu podniesienie dochodowości ziemi. Europa zachodnia i Ameryka, mając inny system produkcyi rolnéj, w którym wybitne miejsce zajmuje mięso, mleko, masło, séry, jaja, kukurydza, okazujące w stosun-

ku do ósmego lat dziesiątka znaczną zwyżkę cen [1]), osiągnęły rezultaty tego rodzaju, że przy ogólném (w Europie i Stanach Zjednocz.) spożyciu produktów rolnych, wartującém 89 miliardów marek rocznie, ogólna suma zniżki cen w tych produktach od r. 1861—70 do 1882—5 wyniosła 4,125 milionów, a suma zwyżki cen w pewnéj grupie produktów rolnych wyniosła 7,295 milionów marek. Ogólnie więc biorąc, we wzmiankowanym okresie, nastąpiła zwyżka o 3,170 milionów marek. Rosya zaś, nie produkując na wielką skalę ostatniéj grupy produktów, z téj zwyżki wcale nie korzystała. Potrzeba więc kredytu, który pozwoli na odpowiednie przemiany w gospodarstwie rolném jest naglącą w Rosyi, więcéj niż gdzieindziéj, na przeszkodzie zaś jéj staje słaba odpowiedzialność kredytowa własności ziemskiéj, pochodząca ze zbytniego obdłużenia téjże na najrozmaitsze cele, w których kultura ziemi odegrała bardzo małą rolę. Zachodzi więc potrzeba nietylko kredytu melioracyjnego właściwego, lecz również konieczność dostarczenia rolnictwu kapitału obrotowego, który w Rosyi pilniejszą stanowi potrzebę, niż zagranicą, gdyż natężenie robót polnych tutaj musi być, z powodu warunków klimatycznych, większém niż na Zachodzie.

To téż ze względów powyższych p. Bloch w swém dziele, prócz kredytu melioracyjnego właściwego, traktuje obszernie sprawę kredytu krótkoterminowego.

Kredyt melioracyjny w Królestwie, w przeszłości, zawdzięczać należy Bankowi Polskiemu. Od r. 1833 udzielał Bank kredytu na maszyny rolnicze. Pożyczki te do 1878 r. wyniosły 4,945,032 rs. 34½ kop. Dając w ten sposób możność nabywania najrozmaitszych maszyn, Bank oddziałał bardzo dodatnio na rozwój gospodarstw rolnych i nie narażał się wcale prawie na straty, wynoszące zaledwie około ½% od udzielonych pożyczek. Bank dawał téż pożyczki na zakupno gipsu, guana i t. p. nawozów, nabywał i ustępował na kredyt bydło, późniéj udzielał kredytu na te operacye przedsiębiorcom i wreszcie bezpośrednio właścicielom ziemskim. Zachęcając do użycia materyałów budowlanych ogniotrwałych, przyznawał téż Bank kredyta na zakupno materyałów. Pożyczki na zakłady przemysłowe z rolnictwem związane, na przyrządy gorzelnicze, maszyny parowe i wreszcie udzielanie pożyczek na urządzanie dróg podjazdowych, wyczerpują działalność Banku w tym względzie, któréj przerwanie wykazało zgubne skutki dla rolnictwa naszego témbardziéj, że ta działalność

---

[1]) Mięso wołowe 29%, wieprzowe 4%, baranie 46%, mléko 41%, masło 23%, séry 5%, jaja 19%, kukurydza 7%.

nie została dotychczas niczém zastąpioną. Jak zaś jest konieczną, dowodzi obdłużenie własności ziemskiéj w Królestwie conajmniéj do 66% jéj wartości. O obdłużeniu majątków ziemskich w Cesarstwie sądzić można z tego, że do r. 1888 własność ziemska od chwili uwłaszczenia chłopów otrzymała 1,099,798,000 rubli, jako wykup od rządu, od banku szlacheckiego, włościańskiego i prywatnych zakładów hypotecznych. W początku r. 1888 suma długów własności ziemskiéj w Banku szlacheckim i prywatnych instytucyach kred. rolnych wynosiła 711,280,000 rubli. Usiłowania rządu, mające na celu ulepszenie kultury, a tém samém podniesienia zdolności kredytowéj własności ziemskiéj, nie były prowadzone systematycznie; w pojedyńczych zaś wypadkach dawały znakomite rezultaty, jak np. przy osuszaniu błot. Na zaznaczenie zasługują prace „ziemstw", mające na celu ulepszenie gospodarstw rolnych włościańskich. Pomimo to, stan rolnictwa jest tak opłakany, że „wszystko pozostaje do zrobienia." Istotnie, jeśli zważymy, że w Rosyi europejskiéj pszenica daje 5,6 ziarn, żyto 4,9, owies 3,3, jęczmień 4,5, kartofle 4,4 i jeśli porównamy je z urodzajami w Europie zachodniéj, to okaże się, że urodzaje Rosyi są o 59% niższe od urodzajów zagranicznych na jednakowych przestrzeniach. Według zaś danych komisyi do zbadania stanu rolnictwa w Rosyi, urodzaje tutaj są 2½ razy mniejsze, aniżeli we Francyi i Prusach, 2 razy aniżeli w Austryi i 8 razy mniejsze niż w Wielkiéj Brytanii. Urodzaje u włościan w Rosyi są mniejsze niż u większych posiadaczy o ⅐ (mniéj więcéj). Zwierząt domowych utrzymuje Rosya, w stosunku do przestrzeni uprawnéj, mniéj niż Europa Zach. o 62%. Te cyfry mówią najwyraźniéj o potrzebie ulepszeń w państwie. Jeżeli zagranica narzeka na przesilenie rolne, to co o tém zjawisku należy powiedzieć w Rosyi? Zwiększenie zaś urodzaju w Rosyi, chociażby o jedno ziarno, dałoby dla własności ziemskiéj zwiększenie dochodu o 260 milonów.

Jednym z najważniejszych czynników, jakie mogą wpłynąć na wyjście z obecnego smutnego stanu rolnictwa, jest więcéj intesywna kultura ziemi. Wprowadzenie jéj jednak wymaga środków, które dostarczonemi być muszą przez rząd lub inicyatywę prywatną, korzystającą z organizacyi odpowiednio przez rząd popartéj. Organizacya kredytu melioracyjnego w formie utworzenia towarzystwa prywatnego, jest bardziéj pożądaną ze względu, że urzeczywistnienie odnośnéj instytucyi państwowéj każe na siebie zbyt długo czekać i sama działalność instytucyi rządowéj nie byłaby dość sprężystą.

W bardzo bliskim związku z kwestyami poruszonemi powyżéj

znajduje się, u nas szczególniéj, kwestya młynarstwa zbożowego, którą chciałbym tutaj poruszyć z powodu niezwykłego w naszéj literaturze technicznéj zjawiska — dzieła p. S. Małyszczyckiego p. t. „Młynarstwo zbożowe.“ Niski stopień rozwoju młynarstwa u nas dotychczas nie pozwala na zaspokojenie własnych nawet potrzeb. Sprowadzamy rok rocznie pokaźną ilość mąki z gubernii graniczących z Królestwem, z głębi Cesarstwa, a nawet z zagranicy; jednocześnie, wywóz naszéj mąki, jeśli pominiemy kilka prób dokonanych przez większych młynarzy, redukuje się do zera. Zadaniem zaś polityki ekonomicznéj każdego kraju rolniczego, produkującego na wywóz, winno być dążenie do wywozu zboża w stanie większym. Węgry i Ameryka osiągnęły z téj polityki olbrzymie korzyści. Przyczyn złego w tym względzie szukać u nas należy w braku przedsiębiorczości, poczynając od budowy maszyn młynarskich, a kończąc na handlu mąką. Stan młynarstwa naszego nie jest nawet zbadany, maszyny młynarskie i urządzenia młynów sprowadzane są z zagranicy, fachowe wykształcenie młynarzy krajowców jest, z małemi wyjątkami, bardzo niskiém.

Autor opisuje sześćdziesiąt kilka młynów większych, funkcyonujących obecnie w Królestwie. Pierwszy młyn parowy u nas założony został w Warszawie przez hr. Łubieńskich na Solcu w r. 1825. Młyn ten stawał się parokrotnie własnością b. Banku Polskiego i wreszcie został nabyty w 1870 r. przez p. J. Blocha. Młyn w Słodowcu pod Marymontem, młyn pp. Ginsberg et Kohn w Częstochowie, młyny w Łowiczu, Międzyrzeczu, Zegrzynku, w Firleju pod Radomiem i w Lublinie należą do największych, data zaś ich założenia nie sięga daléj wstecz poza rok 1856. W XVI-ym wieku historycy zaznaczają istnienie w Polsce czterdziestu kilku większych młynów. W tym wieku zaczynają się pojawiać królewskie zakazy budowania młynów na pewnych rzekach. Z usiłowań robionych w ostatnich czasach, a mających chociaż pośrednio na celu polepszenie stanu młynarstwa u nas, należy zaznaczyć obrady (w 1886 r.) delegacyi młynarskiéj przy Towarzystwie przemysłu i handlu. Poruszono tam wiele kwestyi żywotnych dla młynarstwa, rezultaty jednak tych rozumnych obrad padły widocznie na grunt nie urodzajny co do przedsiębiorczości, gdyż skutków żadnych nie wydały.

Stan młynarstwa w Cesarstwie stosunkowo jest również bardzo smutny. Starania ministeryum finansów nic w tym względzie nie zdziałały. Brak umiejętności fachowéj, wielkie koszta budowy ulepszonych młynów, nieznajomość wymagań rynków zagranicznych, brak

właściwéj numeracyi gatunków mąki, brak dobrze zorganizowanego kredytu, a obok tego przyczyny pochodzące z niskiego rozwoju ekonomicznego Cesarstwa, razem z ciężarami, jakie młynarstwo ponosi — są to warunki, o które rozbija się rozwój młynarstwa w Cesarstwie. W r. 1888 wszechrosyjski zjazd młynarski w Moskwie radził wiele, szczególnie o handlu mąką. Nic z tego jednak nie doprowadzono do skutku, a jak jest solidarném poczucie potrzeby poprawienia stanu młynarstwa w państwie, dowodzi ten fakt, że gdy prezes poprzedniego zjazdu młynarskiego umarł, zjazd zwoływany na rok bieżący nie doszedł do skutku. Okazało się więc, że I. N. Szatiłow wołał na puszczy; teraz zaś nawet i wołającego nie ma.

W obec powyższych uwag, dzieło p. Małyszczyckiego nabiéra tém większéj wagi. Dzieło to jest wyczerpującém co do techniki młynarskiéj, daje bardzo obszerny zarys ogólny przemysłu młynarskiego, stwarza polskie nazwy przedmiotów i czynności młynarskich i zastępuje w ten sposób dotychczasowy nasz żargon młynarski. W ogóle dzieło to posłużyć może skutecznie do skierowania wielu młodych ludzi na właściwą drogę pracy fachowéj, starszym zaś zawodowcom za podręcznik, którego tak potrzebują. P. Małyszczycki, pisząc to dzieło zupełnie bezinteresownie, spełnił wysoce obywatelski czyn, a stowarzyszenie studentów w Rydze, które poniosło ciężar nakładu téj pracy, zasługuje w zupełności na uznanie.

Na handel zbożowy, a pośrednio na młynarstwo wywrze znaczny wpływ gruntowne ulepszenie „systemu maryjskiego“, rozpoczęte bardzo uroczyście w Diewiatynie (pow. wytegrski) d. 8-go listopada r. b. Roboty mają być wykonane w ciągu lat pięciu, a suma na ten cel wyznaczona wynosi 12½ milionów rubli. Roboty te na tysiącowiorstowéj długości mają być dokonane bardzo okazale, a jakie skutki ich uskutecznienie pociągnie za sobą, sądzić można z tego, że z 80 — 90 milionów pudów zboża, jakie Petersburg otrzymuje rocznie, 46% przychodzi drogą wodną, przeważnie przez „system maryjski“, łączący Wołgę z Petersburgiem. Znana drożyzna taryf kolejowych ruskich powiększa jeszcze dogodności korzystania z dróg wodnych.

W obecnéj chwili wzbudzają równie silne zajęcie stosunki ekonomiczne w posiadłościach ruskich w Azyi Środkowéj. Rozmaite petycye i sprawozdania, podawane p. ministrowi skarbu w czasie jego bytności w Azyi, wykazały, że posiadłości tamtejsze znajdują się w zależności ekonomicznéj od ludności rdzennie miejscowéj. Nie-

zmiernie zawikłana kwestya własności ziemskiéj ludności miejscowéj nie została dotychczas rozstrzygniętą, co pociąga za sobą rozmaite utrudnienia w nabywaniu ziemi przez ludność napływową, nie mającą dotychczas prawa zawierania aktów kupna; dla kupienia kawałka ziemi, trzeba dowieść, że sprzedający istotnie może ziemią rozporządzać. Dla nabycia 100 dziesięcin w jednym kawałku, często trzeba odszukać 30 — 40 właścicieli. Ludność zaś miejscowa ma pod względem przechodzenia własności nieruchoméj wszelkie ulgi co do opłat podatkowych i zawiéra bez trudności umowy w obec swych własnych władz. Nawodnianie znajduje się w rękach ludności miejscowéj, bazary również; ceny produktów surowych zależne są także od krajowców, urządzających w razie osiedlania się ludności napływowéj strejki. Krajowiec uprawia ziemię taniéj, aniżeli napływowa ludność i ma bardzo pierwotne potrzeby, co utrudnia walkę ekonomiczną. To téż nic dziwnego, że dotychczas Rosyanie w okręgu Taszkienckim posiadają zaledwie 10 tysięcy dziesięcin ziemi. Gdzieindziéj osiedlanie się postępuje znacznie wolniéj. Ziemia zdobyta z takim trudem, często nie na własne imię, lub wzięta w długoletnią dzierżawę, wyzyskiwana jest najczęściéj przez uprawę bawełny, bez względu na wkrótce następujące wycieńczenie gleby. O rolnictwie więc ludności napływowéj dotychczas nie ma mowy. Lepiéj jest z przemysłem, chociaż zakłady przemysłowe, odpowiednio prowadzone, są w tamtych krajach dotychczas wyjątkowém zjawiskiem. Niewiadomo zupełnie, jakie reformy zostaną przedsięwzięte dla poprawienia warunków kolonizacyi tych posiadłości, mających tak wielką wagę dla Rosyi. Już obecnie dostarczają one 800 tysięcy pudów bawełny rocznie (gdy cały dowóz bawełny z Azyi wynosi tylko około 2 milionów pudów), a ileż jeszcze pozostaje do zrobienia w eksploatacyi bogactw miejscowych kopalnych, w kulturze najrozmaitszych roślin, niemożliwych do uprawy w Rosyi europejskiéj ze względu na klimat, w hodowli zwierząt i t. d.

Do poznania Azyi Środkowéj, jéj bogactw i potrzeb przyczyni się bezwątpienia znacznie, zamierzona na początek roku 1891 w Moskwie wystawa środkowo-azyatycka. W bardzo obszernym programie obejmuje ona wszelkie przedmioty, służyć mogące dla obznajmienia się z bogactwami przyrodzonemi i wytwórczością posiadłości środkowo-azyatyckich, z ich historyą i życiem współczesném, z badaniami, jakie co do tych krajów prowadzono, a z drugiéj strony zgromadzi okazy wszelkich towarów, jakie posiadłości owe sprowadzają bądź z Rosyi, bądź téż z innych krajów europejskich i azyatyckich. Oczywista, że dobre wykonanie tego programu przynie-

sie niezaprzeczone korzyści pod względem kolonizacyi i handlu z Azyą Środkową.

W ogóle na wiosnę roku 1891-go zapowiada Moskwa znaczne ożywienie. Otwierająca się tam w maju wystawa francuska, ma obznajmić ogół z wyrobami francuskiemi, sprowadzanemi do Rosyi. Tutaj též znajdujemy bardzo obszerny program i nawet już dowody, że będzie dobrze wykonany, chociaż i wystawa środkowo-azyatycka, ze względu na powagę swych założycieli, ma wszelkie szanse powodzenia.

Tadeusz Zaleski.





O TÉM I OWÉM.

Znałem staruszka, który miał zwyczaj często powtarzać, tak, iż mu się to niemal zamieniło w przysłowie— „dobrze i to wiedzieć na te ciężkie czasy“. Może się więc komu z was, miłościwi panowie a bracia, przyda się wiedzieć, na te ciężkie czasy, to com tutaj wyczytał to w gazetach, to w jakichś sprawozdaniach urzędowych.

Z tych urzędowych sprawozdań, drukowanych „a musi to być prawda, kiedy wydrukowane“ [1], pokazuje się dokumentnie, że teraz czasy wszędzie złe. Snać jakieś złodajne mikroby się namnożyły.

Zanim się znajdzie drugi Pasteur, coby je szczépił na naszéj skórze w sposób ochronny, one się same szczepią w sposób zabójczy, i tak mnożą, że zjedzą ludzi z kretesem, jeśli się w porę nie opatrzą.

Gdzie niegdzie roztropniejsi biorą się do roboty i robią co kto może. Każdy podług swego uzdolnienia. Hasłem wszędzie: trzymajmy się kupy. Stąd przeróżne spółki, towarzystwa, stowarzyszenia.

Jedném z takich towarzystw, które bardzo zasługuje na pochwałę, a co więcéj na naśladowanie, i dla celu swego, acz ten nie nowy, i dla wytrwałości, oraz dowcipnych środków, jakich użyło, jest „Towarzystwo zachęty do nauki elementarnéj na wsi“ (Po francusku ono się nazywa: *Société libre d'encouragement pour l'enseignement primaire*). Fundamentem onego: inicyatywa prywatna.

Z podziwieniem, a nawet z rozczuleniem się czyta, jak ci zacni ludzie walczyli z przeciwnościami, nieuchronnemi w każdéj nie egoistycznéj sprawie, z przeszkodami, które im stawiali umyślnie ich

---

[1]) Stare nasze przysłowie.

przeciwnicy polityczni — i jak, z niczego niemal, taką piekną obywatelską rzecz stworzyli.

Zacznę *ab ovo*.

Było to w czerwcu, w 1879 r.

Panowie radcy gminni radząc i o tém i owém (od czegóżby byli radcami?), narzekając na złe czasy, co jest przywilejem każdego, i radcy i nie radcy— zaczęli przemyśliwać — co znów nie jest przyrodzoną własnością każdego — jakieby znaleść lekarstwo na te niegodziwe czasy, na te przeróżne biédy, które nas trapią, a których już chyba tyle co piasku na pustyni.

Jeden proponował to, drugi proponował owo, w końcu zgodzili się wszyscy na to, że jedną z największych biéd jest ciemnota, brak oświaty. Ale nie dość, że się zgodzili wszyscy, taki szczęśliwy trafunek i u nas, choć bardzo rzadko, wydarzyć się może — oni postanowili zrobić coś więcéj. Zamiast pójść spać, by odpocząć po trudach, jak to bywa gdzieindziéj, nie zwlekając, złożyli składkę, utworzyli komitet i tak się zawinęli, że projekt, który się urodził na początku czerwca, przy końcu tegoż czerwca dojrzał; jaśniéj mówiąc, wszedł w życie. A proszę nie zapominać, że to się dzieje nie w wielkiém, ludném, bogatém mieście, ale w gminie, która liczy, według ostatniego spisu, 3,216 mieszkańców, z tych:

chlebodawców, zwierzchników przedsiębiorstw, urzędników, komisantów, wraz z rodzinami	875 osób
robotników i służby z rodzinami	2,341 „
Ogółem . .	3,216 miesz.

Otóż ta gmina posiada szkół publicznych:

dla chłopców .	2
„ dziewcząt .	2
Szkół prywatnych, kongreganistów	2
Dzieci od lat 6 do 13	445
Dzieci w szkołach publicznych téjże gminy. . . .	259
„ „ prywatnych	147
„ „ gmin sąsiednich	70
Uczniów w szkole średniéj prywatnéj	30
Ogółem . .	506

Zdawałoby się, że skoro jest szkoła i uczniowie, zatém wszystko w porządku, i że narady panów radców, cała ich krzątanina, zgoła niepotrzebne.

Ej, kto tak mniema, nie zna ułomnéj natury ludzkiéj. Czy to wszyscy rodzice, zwłaszcza śród prostactwa, dbają aby ich dzieci coś umiały? Czy nie bywają nauczyciele niezdatni i niesumienni, a ucznio-

wie leniwi? Nie dość jest napisać dobre prawo, potrzeba dać baczenie, aby się je wykonywało; a jeśli się nie wykonywa, to na opieszałych lub opornych trzeba poszukać stosownego środka.

Stowarzyszenie bardzo słusznie sobie poczęło, biorąc na uwagę nasze wady przyrodzone, i głównie na nie skierowawszy baczność.

Oto co opiéwa II paragraf statutu rzeczonego towarzystwa:

„Towarzystwo ma na celu zachęcić i ułatwić uczęszczanie do szkoły, nagradzając pilnych, wspomagając niezamożnych, dostarczeniem bądź książek szkolnych, bądź potrzebnego ubrania, albo wreszcie wspierając rodziców, którzy posyłając dzieci do szkoły, pozbawiają się ich pomocy w pracy i zarobku. Towarzystwo będzie się téż starało o utworzenie stypendyów, o założenie czytelni i t. d.“

Warunkiem pomocy, warunkiem *sine qua non*, jest pilne uczęszczanie do szkoły.

Wysokość udzielonego wsparcia stosuje się do dochodów wspomaganéj rodziny. Wsparcie to jednak bardzo, bardzo małe — boć Towarzystwo samo niebogate. Po latach dopiéro 10 środki jego doszły do 14,848 fr. 83 cnt., a wydatki rozmaite pochłonęły 10,333 fr. 55 cnt.

Ciekawe są statystyczne dane w téj materyi:

1) Pewien strycharz, ojciec rodziny, zarabia dziennie 2 fr. 50 ct. Żona, obarczona małoletniemi dziećmi, zarabia dziennie zwijaniem nici na szpulkę 20 ct. Chłopiec dwunastoletni zarabia dziennie 50 ct.

Dzieci mają sześcioro, z których troje uczęszcza do szkoły.

Rodzina zatém składa się z ośmiu osób i ma 3 fr. 20 ct. dochodu, czyli 40 ct. dziennie na utrzymanie każdéj:

2) Pewna wdowa zarabia 75 ct. dziennie, a ma czworo dzieci. 15 ct. na osobę. A są i tacy, którzy zaledwo 12 ct. mają!

Tym nieszczęśliwym Towarzystwo nie mogło więcéj nad 15 fr. rocznie udzielić!

Nie przepomina Towarzystwo o nauczycielach i nauczycielkach. I tych zachęcić potrzeba.

Ofiarowano nauczycielce 1,50 ct. (wyraźnie 1 fr. 50 ct.) rocznie za każdą uczenicę, która nie częściéj nad cztery razy miesięcznie opuści lekcye. Następnie ta kwota została podniesioną do 2 fr.

Zdaje się, że teraz wszystko powinno iść gładko. Gdzie tam!

W 1884 r. następują nowe wybory municypalne. Nowi urzędnicy, do przeciwnego obozu należąc, domagają się wydania kasy szkolnéj. Prawo (podług przepisów z d. 28 marca 1882 r.) było za nimi. Towarzystwo schyliło głowę przed prawem, lecz rąk nie opuściło.

Na posiedzeniu 29 września 1884 r. postanowiło prowadzić dalej rozpoczęte dzieło, nie oglądając się na subsydya rządowe, a tylko na własne rachując siły.

Zmieniło pierwotną nazwę „*Caisse des Ecoles du Mont St. Aignan*“ na nazwę „*Société libre d'encouragement pour l'enseignement primaire*“; położyło nacisk na to, że nie jest stronnictwem politycznem, lecz stowarzyszeniem, zachęcającém do nauki, podniosło wkładkę założycielską ze 100 na 200 fr. [1]) a członków od 2 do 5 fr. rocznie (założyciele raz tylko są obowiązani do takiéj sumy) i powtarzając swoje: że „jeśli państwo nie może zrobić wszystkiego, to stowarzyszenia i inicyatywa prywatna powinna mu dopomóc, na nowo jęło się swego zadania. Ba, nawet je rozszerzyło, bo powzięło zamiar założenia dwu ochronek dziecinnych dla tego drobiazgu, który na naukę uczęszczać nie może, a spędzając czas na ulicy, na rozmaite wypadki i na zepsucie bywa narażony.

Skoro otrzymano sankcyę dla tych zamiarów, ze zdwojoną energią wzięto się do ich przeprowadzenia. Zebrano 61 podpisów i 1,531 fr. 25 ct.

Tymczasem nowa administracya obcięła o połowę dodatkową płacę nauczycieli świeckich [2]).

Co robi Towarzystwo?

Dopełnia z własnéj kieszeni to, co magistrat odjął. Wyniosło to wprawdzie tylko 325 fr., ale dla początkującego stowarzyszenia, już raz dotkniętego konfiskatą, nie marną była ta kwota. Zafrasowali się wszyscy: co począć?

Ktoś napomknął o loteryi.

Urządzono więc loteryą. Dziesięć tysięcy biletów, po 25 ct. bilet.

Czysty dochód wyniósł 1,769 fr. 80 ct.

Chwałaż Bogu, zawoła każdy. Taka wytrwałość to prawdziwa cnota, a cnocie słusznie się nagroda należy. Teraz zapewne wszystko pójdzie jak z płatka. Bogdaj tak!... Czy dzieci rozumieją, a nawet czy wiedziały o tém co się dla nich Towarzystwo nakłopotało i natrudziło? Seksterna, książki, odzież, nie były dostatecznym bodźcem do

---

[1]) Która ma być uiszczona najdaléj do lat 10.

[2]) „Pour donner à une nouvelle école libre congréganiste des subsides, à l'aide des quels on pût faire le vide dans l'école laïque des filles, les administrateurs municipaux s'empressèrent de réduire de moitié les suppléments de traitement précedemment alloués aux instituteurs laïques. De plus une institutrice congréganiste fut personnellement comprise dans les libéralités de la nouvelle administration“. Sprawozdanie z 1889 r.

nauki. Roboty ręczne, igiełka, ta poczciwa towarzyszka ubogiéj kobiéty, która naprawia zgrzebną bieliznę, a która nie szpeci i delikatnych rączek, choćby cerowały pończoszkę — igiełka, powiadam, nie miała wielkiego powabu dla tych dziewczynek wiejskich.

Towarzystwo, które pokonało tyle trudności, nie da się zbić z drogi opieszałością dziatwy. Nie zważa nawet na nią! Zakłada szwalnię, „damy opiekunki“ kupują igły, nici, naparstki, perkal, płócienko, kroją bieliznę, sukienki, fartuszki i zawiadamiają, że każda dziewczynka, która uszyje swą sukienkę czy koszulę z możliwą starannością, stanie się onéj właścicielką.

Wnet wszystkie gorliwie się zaczęły przykładać do ręcznych robót, i nielubionéj lekcyi oczekują z niecierpliwością. Że zaś tylko starsze dziewczynki biorą w niéj udział, młodsze wyglądają z upragnieniem chwili, w któréj na nie przyjdzie koléj.

Niemniéj dowcipnie poradziło sobie Towarzystwo na leniuszków, którym szkoła nie do smaku. Urządziło tanią kuchnię. Wprawdzie szczupły fundusz zmusił ograniczyć ją do najgorszéj pory roku, to jest do czterech miesięcy, w których biednéj, niedostatecznie odzianéj dziatwie, nazbyt trudno powracać do domu na posiłek, ale i w tym krótkim przeciągu czasu, rezultat okazał się nader pomyślnym. Dobrze to powiada nasze stare przysłowie, że „czapką, papką i solą, ludzie ludzi niewolą!“ Biedactwo małe, łaknące ciepłéj i zdrowéj strawy, zaczęło się garnąć do szkoły, wprzód 25% nie uczęszczało regularnie; tania kuchnia zredukowała to do 8%.

Rachunki wykazują, że podczas czterech miesięcy zimowych 1886/87 r. rozdano *gratis* 1,378 śniadań, które kosztowały 131 fr. 90 ct.

W następnym roku rozdano 2,358 porcyi (*repas chauds*). Kosztowały one 204 fr. 40 ct., czyli średnio 8,7 ct. posiłek.

Sprawozdanie kończy się temi słowy:

„Towarzystwo nie chce się wdziérać ani w dziedzinę pedagogiki, ani administracyi, ale bezstronnie i bezinteresownie pragnie przyjść z pomocą oświacie i ludziom“. Odzywa się przytém do spółbraci dobréj woli, aby za przykładem sąsiadów (Niemców), zawiązywali się w stowarzyszenia ku wspólnéj pracy około wspólnego dobra.

Obyż ich głos nie był głosem wołającego na puszczy. Obyż licznych wszędzie znalazł naśladowców!

---

2) Towarzystwo bibliograficzne. Nie trwóżcie się, nie krzyczcie, nie uciekajcie!... Nie o elzewiry, nie o białe kruki, nie o żadne rzadkości pergaminowe idzie. Uchowaj Boże. To rzecz bi-

bliofilów, nie moja. Takiemi uczonościami nie będę ani wam ani sobie psuł głowy. Tu idzie poprostu o dobrą książkę.

Nie dość bowiem zachęcać dzieci do nauki elementarnéj, nie dość nauczyć je czytać; trzeba im dać dobrą książkę do czytania.

Towarzystwo bibliograficzne wzięło sobie za cel walkę ze złém historycznem; czyli, mówiąc bez ogródek, chce fałsze historyczne, zakorzenione tradycyą, książką, legendą i t. p. prostować za pomocą wydawnictw różnych swoim kosztem, dzieł użytecznych, pism peryodycznych, odczytów, czytelni i bibliotek zakładanych po wsiach, miastach i t. d.

Chwalebny ów zamiar znalazł poparcie u władz duchownych i świeckich. Pius IX błogosławił go „jako pożyteczny dla religii i dla kraju“, Leon XIII „dziękował za jego usługi“. Hr. Paryża, hr. Chambord zapisali się na członków — wystawa powszechna przeszłoroczna zaszczyciła nagrodą.

Kwitnący stan towarzystwa świadczy o jego sile i zdrowiu. Snać rzecz pożyteczną traktuje umiejętnie. Bo nie dość — oj, pamiętajmy o tém — nie dość imać się saméj pracy, trzeba się imać umiejętnie. Trzeba zachęcić, wciągnąć do niéj, utrzymać w niéj obojętnych, niedbałych, leniwych, światowych, słowem wszystkich maruderów postępu. A to nie łatwa sprawa!

Ale Francuzi to przemyślny naród! Może pierwszy prochu nie wymyśli, ale wymyślony udoskonali, zastosuje, zachwali, i rozgada, i wmówi każdemu, że jemu się największa zasługa należy. Takie to już ich przyrodzenie!

Toć i Towarzystwo bibliograficzne tak potrafiło zachwalić swój towar— co przyszło tém łatwiéj, że gatunek dobry — iż adherentów, stronników, popleczników huk! Bez nich nie wiodłoby się Towarzystwu tak, jak się wiedzie. Klientela zaś kupuje ich wydawnictwa, prenumeruje ich czasopisma, za ich pomocą zaopatruje swe biblioteki (Towarzystwo kupując wielkiemi ilościami, może ustępować 20%) i tym sposobem popiéra pożyteczną działalność.

Działalność ta zwróciła moją uwagę z dwóch przyczyn: dla bezpośredniéj swéj wartości i dla usługi, jaką wyświadczyć może. A nas tu smarują tak, że niech to!... Wszak od potwarzy bronić się wolno każdemu.

To Towarzystwo już wypuściło młodą latorośl ze swego pnia, która się nazwała *Société d'histoire contemporaine* i zamierza prostować błędy historyczne od rewolucyi 1789 r. Pono ich sporo. Są bowiem stosy, literalnie stosy, nietkniętych jeszcze dokumentów.

Szeregowiec.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„Dzieje literatury powszechnéj z ilustracyami.“ Warszawa, własność, nakład i druk S. Lewentala.

„Dziejów literatury powszechnéj“, wydawanych od lat 10-ciu w „Bibliotece najcelniejszych utworów“, pojawił się obecnie tom III, którego część pierwsza, zawierająca czasy humanizmu i reformacyi w krajach romańskich, znajduje się już od kilku tygodni na półkach księgarskich.

Książkę rozpoczyna pan Edward Porębowicz, dając nam na 178 stronicach zwięzłą i treściwą, a mimo to wyrazistą charakterystykę piśmiennictwa włoskiego w epoce humanizmu i odrodzenia (wiek XV i XVI-ty). Czuć tam, że autor nietylko z książek czerpał swą wiedzę, lecz że oddychał przez czas dłuższy powietrzem i poznał bliżéj naturę i sztukę Włoch; że nietylko wczytywał się w „inwektywy Poggiusza, satyry Filelfa, i poezye Panormity“, ale przyglądał się tym niezwykłym figurom na starych medalach i marmurach.“ Właściwym sobie, barwnym, oryginalnym, nerwowym stylem, naszpikowanym zlekka, lecz nie przeładowanym zanadto archaizmami i neologizmami, wtajemnicza nas Porębowicz w wewnętrzne życie téj dziwnéj, a ciekawéj epoki, kiedy to „wszędzie wstawał świéży, rankiem wonny duch z ksiąg zbutwiałych, spleśniałych marmurów i chłodem pobielonych kości“; kiedy królowie, książęta, kardynałowie i papieże z równym zapałem oddawali się studyom humanistycznym, jak i krwawéj a wiarołomnéj polityce, w jednakiéj nieomal mając cenie rzadki rękopism i dobrze zahartowany sztylet, piękny posąg i flakonik piorunującéj trucizny. Nakreśliwszy ogólne tło dziejowe i rzuciwszy na papiér kilka szkicowych, lecz mimo to plastycznych sylwetek znakomitszych humanistów, przechodzi autor do odrodzenia poezyi włoskiéj, prze-

platając rozbiory utworów fantazyi i biografie poetów, wizerunkami duchowemi ich ukoronowanych i umitrowanych mecenasów. Z pośród tego mnóstwa interesujących szkiców i studyów literackich, nanizanych na jedną nitkę, wyróżnia się niezwykłą wypukłością oryginalna charakterystyka Machiavela, którego portret wyrzeźbił autor prawdziwie *con amore*. Uśmiechnięty Ariosto i czuły Tasso roztapiają się prawie wśród barwnego kolorytu książki, ale za to tragiczny profil Giordana Bruna, stanowiący niejako odpowiednik do spiżowéj postaci autora „Księcia“, odrzyna się ponuro od słonecznego tła. Wraźliwa, artystyczna natura p. Porębowicza nie pozwala mu widać na zupełnie przedmiotowe traktowanie rzeczy. Krytyk to się rozgrzéwa, to stygnie, względnie do stopnia sympatyi, jaką w nim wzbudza dana osoba, lub dzieło.

Od zalety téj, czy téż wady, wolne są prace p. J. A. Święcickiego, który wziął na siebie opracowanie reszty literatur romańskich. Wszystko tu gładkie, spokojne, równe. Autor nie zapala się i nie olśniewa czytelnika oryginalnemi porównaniami i zwrotami, lecz jasno, przejrzyście, a systematycznie prowadzi swój wykład. Dzieło p. Porębowicza silniéj oddziaływa na wyobraźnię i bardziéj pobudza do myślenia, treść pracy p. Święcickiego za to łatwiéj zostanie zrozumianą i przyswojoną przez przeciętnego czytelnika.

P. Święcicki zaczyna od literatury hiszpańskiéj, któréj wiek złoty dziwne stanowi przeciwieństwo z odpowiednią epoką piśmiennictwa włoskiego. Tu bezwzględna prawie swoboda myśli i słowa, tam zaś najohydniejszy despotyzm duchowy; tu zupełna obojętność w kwestyach religijnych, granicząca niemal z pogaństwem, tam ultrakatolickie ideały i aspiracye, zarówno w życiu, jak sztuce. A jednak, rzecz dziwna, pośród tych niekorzystnych warunków, na tym niepłodnym pozornie gruncie zrodziła się w Hiszpanii wspaniała poezya, któréj jeden odłam, a mianowicie dramat, dosiągł takiego stopnia rozwoju, że, według zdania najznakomitszych krytyków, i formą i treścią nie ustępuje w niczém teatrowi Szekspira i jego współczesnych.

Pisarzom scenicznym zatém, których na półwyspie Pirenejskim liczono w owe czasy na setki, utwory ich zaś na dziesiątki tysięcy, wydzielił autor lwią część swéj pracy. W wyczerpujących studyach o Lopezie de Vega, Tellezie, Calderonie, Alarconie, Rojasie i t. d. przebija dokładna znajomość, zarówno samego przedmiotu, jak i bogatéj jego literatury. Nie jestto dla nas zresztą żadną niespodzianką. Wiedzieliśmy o tém, że p. Święcicki zna gruntownie dzieje dramatu hiszpańskiego, któremu na parę lat przed napisaniem literatury, poświęcił cały szereg sumiennych monografii. Szkoda tylko, że, ilustru-

jąc krytykę bardzo obszernemi cytatami, z olbrzymiéj masy sztuk Calderona i Vegi wybrał te właśnie, które przed niedawnym czasem pojawiły się w „Bibliotece najcelniejszych utworów", są więc dostępne większości czytelników. W obec wielkiego ubóstwa literatury przekładowéj u nas z jednéj, a niezmiernego bogactwa teatru hiszpańskiego z drugiéj strony, korzystniéjby było, zamiast powtarzania na dwudziestu przeszło stronicach rzeczy niedawno drukowanych (Vega 1881, Calderon 1887) powołać się tylko na nie, w tekście zaś podać streszczenie i wyjątki z innych mniéj znanych utworów, jak to autor uczynił przy komedyach Moreta, którego najlepsze dzieło „*Desden con el desden*", zostało pominiętém i zastąpioném przez inne, jedynie ze względu na istnienie polskiego przekładu Pieńkowskiego (dopisek aut. na str. 296), chociaż, mówiąc nawiasem, spolszczenie to, uwięzione w jednym ze starszych roczników czasopisma „Kłosy" (1866), przez niewielką tylko liczbę osób czytaném być może.

Po dramaturgach następują noweliści i romansopisarze, wśród których góruje sympatyczna postać twórcy „Don Kichota." Autor, zgodnie z większością współczesnych krytyków, traktuje ten utwór z uznaniem, ale bez idealistycznéj przesady Bouterwecka i wstępujących w jego ślady estetyków i komentatorów szkoły romantycznéj. Historya szlachetnego hidalga z la Manczy jest tylko „krytyką ksiąg rycerskich i feudalizmu, dokonaną pod wpływem odrodzenia." O głębokim symbolizmie, dającym się wyciągnąć z treści i charakterów romansu, Cervantes prawdopodobnie nie myślał. Większość objaśniaczy, idąc za ironiczną radą Göthego:

Im Auslegen seid frisch und munter!
Legt Ihr's nicht aus, so legt was unter!

podsunęła hiszpańskiemu pisarzowi swoje własne zapatrywania na świat i na ludzi. Trzeźwy ten pogląd krytyczny zdaje się być bardzo bliskim prawdy. Słynny badacz i znawca literatury, Marc-Mounier, którego dzieła p. Święcicki widocznie nie zna, bo go pomiędzy źródłami swéj pracy nie cytuje, tak się odzywa o Cervantesie w swojéj „Historyi literatury spółczesnéj" (*Hist. de la litt. mod. La Reforme de Luther à Shakespeare*, Paryż, str. 395): „Pomiędzy mnóstwem autorów, którzy pragną więcéj, niżeli zrobić są w stanie, zdarzają się niekiedy tacy, co robią mimowoli więcéj, aniżeli chcieli — jednym z nich był Cervantes." Chciał on napisać satyrę na kiepskie romanse, a stworzył wzuszającą epopeę walki pomiędzy sercem a rozumem, pomiędzy poezyą a prozą codziennego żywota.

Zamknąwszy krótką charakterystyką historyków i teologów

dzieje literatury hiszpańskiéj, przechodzi autor do historyi literatury portugalskiéj. Potężna indywidualność Kamoensa wypełnia prawie całkowicie ramy tego niezbyt obszernego (40 stronic) studyum. Autor rozbiéra bardzo szczegółowo „Luzyady“, popiérając swoje zapatrywania całym szeregiem umiejętnie dobranych i pięknie przetłómaczonych wyjątków [1]).

Ostatnie arkusze książki poświęca p. Święcicki literaturze francuskiéj XVI-go wieku. Dominującemi osobistościami tego okresu—zatrzymujemy się ciągle przy osobistościach, w epoce odrodzenia bowiem ludzie zdawali się panować nad ideami nie idee nad ludźmi — byli: Rabelais i Montaigne. Każdego z nich scharakteryzował autor bardzo dobrze, zamało jednak, zdaniem naszém, zwrócił uwagi na rodzime, antyklasyczne żywioły w dziełach twórcy „Pantagruela.“ Ten tytan humoru i olbrzym erudycyi był ostatnim przedstawicielem szczerego galijskiego ducha, który późniéj pod wpływem studyów nad piśmiennictwem starożytném znikł prawie z oblicza literatury pięknéj, przejawiając się tylko od czasu do czasu w satyrach, w piosenkach, lub teatrach maryonetek. Montaigne — to już klasyk skończony, Ronsard zaś i jego plejada posuwają kult łaciny i greczyzny do przesady, którą Malherbe musiał zwalczać. Rabelais, chociaż znał autorów starożytnych gruntownie i lubił ich przy lada okazyi cytować i przerabiać, pozostał w głębi ducha Francuzem, dla którego rzymska toga i grecka chlamyda były tylko zabawnym maskaradowym kostyumem. Bez wyraźnego podniesienia téj strony fizyognomii literackiéj Rabelais'go, charakterystyka znakomitego pisarza nie może być uważana za zupełną.

Tyle o pojedyńczych działach i autorach „Dziejów literatury.“

Co do całości wydawnictwa, to na wielkie uznanie zasługuje plan ogólny, według którego materyał historyczny ugrupowany został, nie w pionowe, stojące obok siebie, masy, lecz w warstwy poziome, ułożone jedna na drugiéj koleją wieków. Tym sposobem, zamiast luźnego zlepka piśmiennictw różnych narodów, otrzymujemy jednolitą historyą literatury świata. Układ podobny, używany zdawna w historyi powszechnéj, został, o ile nam wiadomo, zastosowany po raz pierwszy na taką skalę do dziejów piśmiennictwa. Mniéj szczęśliwy jest, zaprowadzony w pojedyńczych opracowaniach, a zbyt ściśle przestrzegany podział na „rodzaje.“ Dopóki się ma do czynienia z jakąś mało znaną, lub téż ubogą w wielkie talenty epoką,

---

[1]) Całość w przekładzie p. Adama M-skiego wyszła współcześnie prawie z omawianemi przez nas „Dziejami literatury.“

szablon podobny nie bardzo przeszkadza, większość bowiem pisarzy średniéj miary uprawia przez całe życie jedną tylko niwę. Charakterystyczną cechą epoki odrodzenia atoli była uniwersalność jéj przedstawicieli, którzy, obrabiając współcześnie kilka literackich dziedzin, w każdéj z nich dochodzili do mistrzowstwa. Niejeden epik był znakomitym lirykiem, mówcą i satyrykiem, polityk zaś dzielnym nowelistą i komedyopisarzem. Pokrajmy działalność podobnego człowieka według szematu „rodzajów“, a zamiast jednolitéj, skończonéj postaci, otrzymamy rozrzucone członki, *disjecta membra poetae*. A co będzie, kiedy dzieje literatury dojdą do czasów Göthego, lub Victora Hugo? Cóż się stanie z tymi płodnymi pisarzami, jeżeli dramat, romans, epopea, liryka, nauka, polityka i inne rubryki, podzielą się ich spuścizną duchową, jak żołdacy rzymscy szatami Chrystusa? W nowszych czasach, jak o tém świadczy ciekawe dzieło Brunetière'a „*Evolution des Genres dans l'histoire de la Littérature*“, historya rodzajów zaczyna się wyodrębniać i wydzielać z ogólnéj historyi literatury, która powinna głównie uwzględniać prądy duchowe, oraz budzących je i budzonych przez nie pisarzy. Niedogodność wywołana tém rozbijaniem charakterystyki autorów na drobne cząsteczki, wzrasta w dwójnasób z przyczyny braku szczegółowego regestru w książce. Poprzednie dwa tomy posiadają tylko bardzo ogólny i niedokładny spis rzeczy, w obecnym i tego nawet nie ma. Ten, drobny na przór niedostatek, utrudni niezmiernie korzystanie z wielkiego kilkotomowego dzieła, jakim po latach paru staną się „Dzieje literatury.“ Zwracamy na to uwagę wydawcy; rzecz dałaby się naprawić. Należałoby również pomyśléć o ilustracyach, sprawiających wprawdzie imponujące wrażenie w tytule książki, tracących jednak wiele przy bliższém poznaniu. W pierwszym tomie było ich sporo, niezgorszych i umiejętnie dobranych, w drugim znaleźliśmy już bardzo mało, w trzecim jest ich także niewiele, a w dodatku rozdzielonych nieproporcyonalnie, bo kiedy literaturę hiszpańską ozdobiono 7-miu czy 8-miu rysunkami, literaturze francuskiéj dostało się tylko dwa bohomazy, wśród których brak nawet wizerunku Rabelais'go! Wartość artystyczna tych rycin nie licuje bynajmniéj z wartością naukową i literacką całego dzieła. Nie mamy pretensyi, żeby warszawski nakładca dawał równie świetne ilustracye, jak te np., które zdobią pokrewną pracę Karpelesa, w każdym razie jednak możnaby się postarać o cokolwiek lepsze drzeworyty, zwłaszcza że wydawnictwo „Dziejów liter.“ do najtańszych bynajmniéj nie należy.

Ignacy Matuszewski.

Adam Szymański: Szkice, tom II. Petersburg. Nakładem autora, 1890.

Nazwisko autora, o którym obecnie pomówić zamierzamy, należy już dziś do najpopularniejszych u nas. Utwory jego wywierają na czytelnikach olbrzymie, nie bywałe wrażenie. To ogólne zainteresowanie się i niemal rozrzewnienie, z jakiém czytelnicy odnoszą się do powieści p. Szymańskiego, tłómaczy się przedewszystkiém tematem, na którym rozsnuwa utalentowany pisarz swe obrazy, po większéj części ponure, jak ta ziemia, na któréj się rozgrywa tyle dramatów życiowych.

Samo opracowanie pozostawia, być może, nie jedno do życzenia, ale ma w sobie wielką siłę i prawdę. Autor posiada lirę o niewielu strunach, ale za to głos ich i brzmienie tak donośne, szczere, serdeczne a rozdzierające dźwiękiem, że każdemu zadumać się każą i łzy wycisną z oczu.

W zbiorku ostatnim mieszczą się dwa szkice, jeden większych rozmiarów p. t. „Hanusia“ i drugi drobniejszy zatytułowany „Dwie modlitwy“.

W Hanusi użył p. Szymański formy opowiadającéj, a więc najpierwotniejszéj, co najmniéj się nadaje do artystycznego wykończenia. Opowiadający zapoznaje nas z p. Jacentym Siekierką, ex-gajowym, przebywającym w głębi obwodu jakuckiego. Człowiek to twardy, nieugięty, zasad niezmiernie surowych. Poznał on i pokochał przed 12 laty prześliczną dziewczynę Hanusię, zbiegłą tu z ciężkich robót, która, nietyle przez zepsucie ile raczéj skutkiém nieszczęśliwych okoliczności, dopuściła się niegdyś zbrodni. Pan Jacenty bierze ją do domu, a po roku przekonawszy się, że grunt w niéj dobry i że jest pracowitą, szczerze do swego zbawcy przywiązaną, korzystając z przejazdu księdza katolickiego występuje z propozycyą poślubienia jéj. Tu natrafia jednak na niespodziewaną przeszkodę. Hanusia nie chce, a raczéj jak twierdzi, nie może mu podać ani swego nazwiska, ani winy, za którą do ciężkich robót skazaną została, wobec czego p. Jacenty pomimo całego przywiązania do niéj, nie godzi się na poślubienie kobiéty, na któréj sumieniu może krew ludzka ciąży.

Nieustanne, dręczące pytanie „kto ona“?, nie daje mu spokoju, nie oddala jednak Hanusi, kochając ją pomimo wszystkiego, choć gwałtowne sceny, rozłączają ich często chwilowo. Taki stan rzeczy trwa lat dwanaście, w końcu atoli wypędza Hanusię od siebie, a ta idzie na służbę do osoby, opowiadającéj nam właśnie jéj dzieje, do któréj nabiera zaufania, i w chwili uniesienia i szczerości, wyznaje przed nią swoją historyę. Córka zamożnego, surowego mieszczanina,

w szesnastym roku życia uwiedziona a następnie porzucona, czując, że ma zostać matką, z obawy gniewu ojca i potępienia przez opinię publiczną, ukrywa swój stan najstaranniéj. Katastrofa następuje przedwcześnie w ogrodzie, ona zaś słysząc obok głosy ludzkie, zatyka w szalonym strachu ręką usteczka dziecku i po chwili przekonywa się, że je udusiła. Za to zostaje skazaną na 6 lat rot aresztanckich, a kara ta tak ją przeraża, że ucieka i aż do Jakucka się dostaje. Tu autor dla efektu rozminął się z literą prawa, gdyż za przewinienie przy tak łagodzących okolicznościach skazanoby nieszczęśliwą, nie zaś wyrodną matkę, co sama przez pół jeszcze dzieckiem była, zaledwie na osiedlenie w Syberyi.

Hanusia, widząc jak okrutnie się z nią obeszli ludzie, pyta czy choć Bóg będzie miłosierniejszy, a chcąc go przebłagać, do swego i tak ciężkiego życia, dodaje jeszcze dobrowolną pokutę.

W układzie tego opowiadania, razi przedewszystkiem pewna nieproporcyonalność, tak, że czytelnik przez pół tomu trzymany pod grozą tajemniczéj zbrodni Hanusi, w końcu doznaje pewnego rozczarowania i nie widzi racyi tych wszystkich tajemniczych omówień i przygotowań. Opowiadanie Hanusi jest nieco za rozwlekłe, sama zaś myśl zasadnicza nie przemawia nam zupełnie do przekonania, boć trudno, ażeby społeczeństwo, uznając nawet względną jéj krzywdę, mogło puszczać bezkarnie przewinienia tego rodzaju, jak zabójstwo dziecka, chociażby nawet w jakiémś uniesieniu popełnione. Wrażenie, które powieść wywołuje, jest głębokie i wstrząsające — refleksye jednak późniejsze, jakie się nasuwają, nie mogą nas dla niéj korzystnie usposabiać. *Karol J. Nitman.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *P. Mantegazza*, **Chora miłość.** Warsz., Gebethner, 1891. Jestto romans nietylko „hygieniczny“, ale nawet bardzo moralizujący i idealistyczny. Widocznie, uczony antropolog florencki lubi odpocząć po pracy w zakresie ściśle naukowym—w dziedzinie anielskich uczuć i marzeń. Bohatérami romansu jest kochająca się niemniéj od Wertera i Charlotty para, ale stoi pomiędzy niemi straszna przeszkoda w postaci... nie męża, lecz choroby. W myśl danéj ojcu przysięgi i własnych postanowień, opartych na zrozumieniu obowiązków rodziców względem dzieci, nie chce nieszczęśliwa dziewczyna, ostatnia z licznego zmarłego na suchoty rodzeństwa, szerzyć daléj wśród ludzkości straszliwéj choroby przez swe potomstwo, którego się téż wyrzeka, wyrzekając się ukochanego. Bohatérka umiéra w końcu, bła-

gając kochanka o to, by nie spieszył za nią, lecz usiłował żyć dla dobra ludzi.

— **Jak można w małżeństwie nawet znaleźć szczęście?** przez autora „Świata kobiéty.“ Przeł. z angiel. Prażmowska (Paprocki, 1891). W bardzo prosty sposób odpowiada autorka całą treścią swego dzieła na stojące na czele jego pytanie: trzeba żeby mąż i żona pod wszystkiemi względami byli dobrze dobrani, żeby mieli serce, żeby zrozumieli siebie wzajemnie, nie przestając się kochać i żeby wreszcie oboje posiadali wielki zapas wyrozumiałości, cierpliwości, a nawet czułości. W obec takiego określenia warunków szczęścia w małżeństwie, staje się zrozumiałém owo „nawet“, témbardziéj złowrogie, że spłynęło ono z pióra takiego oczywistego zwolennika małżeństwa i takiego optymisty, co do jego szczęśliwości. — Książka nader jest zajmująca, bardzo ją ożywia anekdotyczny sposób opowiadania. Autor traktuje bez uprzedzeń prawo obojga małżonków do szczęścia i nie szczędzi gorzkich prawd zarówno brzydkiéj, jak i pięknéj połowie ludzkości. Kwestya traktowana tu jest szczerze i bezstronnie i z wielką prawdziwością przykładów: zapewne tłumy mężów i żon bez trudu się poznają w niektórych szkicach małżeńskich. Tok opowiadania, pomimo swego przedmiotu, jest dziewiczéj czystości, że można tę książkę bez strachu nawet rękom pensyonarek powierzyć.

— **Nowele** *Maryi Rodziewiczówny* (Warszawa, S. Lewental, 1890, str. 231). **Szary proch,** *Maryi Rodziewiczówny* (Kraków, Żupański i Heuman, 1890, stron. 243). W zbiorze nowel płodnéj autorki mieści się pierwszy jéj podobno utwór literacki, drukowany pod napisem: „Jazon Bobrowski“. Można już w nim dostrzedz te cechy talentu, które zapewniły następnie p. R-éj szeroki rozgłos i zyskały gorącą sympatyą. Możnaby powiedziéć, że „Jazon Bobrowski“ był pierwszym fragmentem wielkiéj powieści o znaczeniu i potędze woli w życiu społecznem. Helena Bobrowska, utraciwszy w młodości wybrańca serca, już nie pomyślała, aż do śmierci o szukaniu nowych uczuć lub zapomnienia, lecz kryjąc ból w głębi duszy, wystąpiła wobec ludzi jako gospodarna, oszczędna, rozumna, wytrwała, lecz wielce pobłażliwa istota, któréj celem stało się nietylko utrzymanie własnego majątku, lecz przysporzenie go nie w celach osobistych, ale dla poratowania krewnych, dla rozsiewania dobra wkoło siebie. Nie występuje ona w noweli osobiście, gdyż w chwili jéj rozpoczęcia się już nie żyje, a mimo to ona jest dominującą w całym utworze postacią,

ona ku sobie ciągnie sympatyą czytelnika, ona i z po za grobu oddziaływa dobroczynnie na losy tych, co w noweli, jako żyjące i działające są określone. Pewne podobieństwo co do siły woli ma do niéj Jazon Bobrowski. Ponieważ jednak zalety bohatéra opowiadania miłosnego, poznajemy tylko z relacyi autorki, a w czynie widzimy go w dość powszednich i mało znamiennych sytuacyach, nie może on miéć dla nas tego znaczenia w przedstawieniu idei woli, co zmarła Helena, i pomimo swego tytułowego bohaterstwa musi ustąpić na plan drugi. Bohaterka Jania, wychowanka Heleny, jest dziewczyną bardzo sympatyczną z powodu swojéj energii, szczerości, swobody i rozumu; szkoda tylko, że obmyślane dla nadania dramatyczności, przyrzeczenie jéj ręki bardzo pospolitemu młodzieńcowi, ażeby ją późniéj cofnąć, czyni ujmę zarówno jéj bystrości, jak i jéj uczuciowości. Inne nowele w zbiorku zawarte, są to mniéj lub więcéj ładnie i zgrabnie opowiedziane anegdoty, niekiedy pełne brawury i wesołości („Nad program“, „Historya o białym wole“). W osobno wydanéj powieści p. n. „Szary proch“ p. R. nanowo podjęła ulubiony temat o charakterach dzielnych, dobijających się przebojem majątku i uznania. Tym razem za widownię akcyi powieściowéj obrała Żmudź. Bohaterem jest chłop Wawrzyniec Karewis, który w piętnastym roku życia wywędrował z wioski, szukając zarobku i chleba. Przez lat dziesięć pracowitością, trzeźwością, uczciwością i sprytem, potrafił w służbie okrętowéj przejść wszystkie szczeble niższe, aż do godności kapitana, pozyskał zaufanie właściciela statku, pana Matschke, i miłość jego córki Grety. Sam pan Matschke ofiarował mu rękę córki i nie zraził się wcale ani jego chłopskiém i litewskiém pochodzeniem, ani religią katolicką. Uszczęśliwiony Wawrzyniec po zaręczynach pojechał w odwiedziny do wsi rodzinnéj. Matki już nie zastał, ale ojciec żył jeszcze i biédował wśród licznie rozrodzonego potomstwa. Wawrzyniec z początku lekceważąco patrzał na stan i obyczaje chłopskie, a na propozycyą pozostania we wsi, odpowiadał zrazu drwinami, ale gdy go ojciec za poradą księdza wziął za serce, gdy go upoił kupiony za własne pieniądze kawałek roli, gdy go atmosfera rodzinna owiała; gdy pokochał smutną, ale dzielną i rozumną Rozalkę, gdy posłuchał biédnego ułomnego artysty-chłopa Rufina, uległ hardy charakter tym do duszy przemawiającym wpływom, pozostał we wsi, a zdobytém wśród ciężkiego zawodu doświadczeniem służył spółmieszkańcom, stając się ich przewodnikiem, gdy stary Szwedas, do owego czasu najczynniejszy, już daléj pracować nie mógł. Wawrzyniec, Szwedas, Rufin, Rozalka — to różnorodne odmiany jednego typu — silnéj woli i poświęcającego się serca. Jakkolwiek

w wykonaniu możnaby wytknąć niemało ujemności, jakkolwiek proces psychologiczny w duszy Wawrzyńca słabo został odtworzony, to przecież „Szary proch“ policzyć należy do najlepszych dotychczasowych utworów p. R-éj i umieścić go w jednéj kategoryi ze „Strasznym Dziaduniem“ i „Dewajtysem“, z któremi ma też pokrewieństwo wewnętrzne najbliższe. Kilkakrotnie zmuszeni będąc do wypowiedzenia niekorzystnego sądu o utworach p. R-éj, z tém większą przyjemnością zaznaczyć tu możemy zalety „Szarego prochu“, chociaż go za zupełnie dobry pod względem psychologicznym, stylowym i językowym uznać nie możemy.

= **Dary śmierci**, powieść przez *Jadwigę Wittówną*, odznaczona na konkursie „Kuryera Warszawskiego“ (Warszawa, S. Lewental, 1890, str. 290). P. Jadwiga Wittówna, córka znanego przed laty krytyka Karola, jest autorką początkującą; owładła do pewnego stopnia językiem i stylem, ale w psychologicznym rozbiorze charakterów, w plastycznem ich odtwarzaniu, w znajomości ludzi i świata, w kompozycyi wreszcie znać braki wielkie, nie takie jednakże, iżby ich pracą, obserwacyą, studyami, rozmysłem usunąć nie można było. Niektóre ustępy jéj powieści, jak mianowicie całą część pierwszą, możnaby nazwać zaledwie dobrém ćwiczeniem, inne, szczególniéj obraz towarzystwa w Znalezionéj, odznaczają się świeżością i oryginalnością. Formę opowiadania obrała sobie autorka pamiętnikową, niby-to najłatwiejszą, a w gruncie rzeczy jednę z najtrudniejszych, jeżeli ma być prawdziwie artystycznie utrzymaną w całym rozwoju powieści i jednę z najniewdzięczniejszych w naszym języku, gdy się w rodzaju żeńskim przeprowadza; mnóstwo bowiem czasowników w czasie przeszłym kończyć trzeba na niemiły dźwięk—*ałam*, który przez powtarzanie stać się może nieznośnym w czytaniu zwłaszcza nagłos. Bohaterka, a zarazem niby-to autorka pamiętnika, była córką oryginała, jak powiada, wychowaną przez niego samego w odosobnieniu, nie znającą zatém świata, nie mającą stosunków z rówienniczkami, mogącą istotnie różnić się wielce od innych panien w jéj wieku. Tak określony charakter przedstawiał istotnie, pod względem psychologicznym, studyum bardzo ciekawe, ale autorka go nie dokonała, rzadko sobie przypominając w ciągu powieści założenie, z którego wyszła. Ojciec Zofii, zakwalifikowany jako oryginał, nienawidzący kobiét, z początku tylko utrzymany jest w tém usposobieniu, gdy przyjacielowi swemu z lat młodych odmawia, by się ich córki z sobą zapoznały i razem lekcye brały; w dalszym ciągu jest on takim, jak inni przeciętni mężczyźni, a w Znalezionéj, gdzie tyle naraz było kobiét, nie

tylko od nich nie ucieka, lecz z niemi rozmawia a nawet się uśmiecha. Podobnie i jego córka, Zofia, w postępowaniu swojém bardzo słabe ma cechy owéj oryginalności wychowania. Może pierwszy jéj samodzielny postępek, zerwanie z narzeczonym Maryanem, dałby się do pewnego przynajmniéj stopnia objaśnić jéj życiem odosobnionêm. Ojciec jéj, straciwszy część majątku na cele na pół filantropijne, odstąpił od poprzedniego zamiaru zrobienia z córki kobiéty samodzielnéj, którąby się zgoła nie potrzebowała oglądać na zamążpójście, jako na stanowisko w świecie i środek utrzymania, i sam zagaił rozmowę w kwestyi wydania Zofii za inżyniera, pierwszego młodego mężczyznę, jakiego w życiu swém nieco bliżéj poznała. Zofia, w któréj „obudziło się serce“, z chęcią przyjęła propozycyę, została narzeczoną. Zaczęła wówczas czytać książki, które do owéj pory były jéj nieznane, a mianowicie romanse. Otworzyły jéj one świat zupełnie nowy, obudziły w niéj uczucia i wzruszenia, jakich nie doświadczała dotychczas nigdy. Rozbujana wyobraźnia w połączeniu z dawniejszemi naukami ojca o samodzielności kobiéty, wytworzyły dziwną w jéj głowie mieszaninę, która eksplodowała nagłą myślą, że obrączka zaręczynowa to kajdany. Odtąd obojętniała dla oddalonego Maryana, który pojechał na Kaukaz, by środki utrzymania sobie zapewnić; w końcu zaś stał się jéj wstrętnym, nie wskutek własnych jego niedoskonałości, ale wskutek téj myśli, że ma być jéj mężem. Maryan, powiadomiony przez ojca o stanie uczuć córki, odesłał pierścionek, a Zofia częścią z przeziębienia, częścią ze wzruszenia zapadła w ciężką, drugotrwałą chorobę. I w tym postępku kapryśna wyobraźnia wielką odegrała rolę; ale bądźcobądź brak doświadczenia życiowego, zupełne osamotnienie, rozdrażnienie nerwowe, spowodowane namiętnêm po nocach rozczytywaniem się w romansach i pracą naukową nad siły we dnie, były czynnikami pierwszorzędnego znaczenia. Inaczéj jest z dalszą jéj historyą, kiedy weszła w świat, szczupły wprawdzie, lecz bardzo urozmaicony w Zielonéj, kiedy przestała być samotnicą, mającą książki za jedyne towarzyszki. Pokochała wtedy literata, poetę, człowieka niepospolitego (choć tylko w zapewnieniu autorki i w przekonaniu bohaterki) Aleksego Lubomirskiego i miłość mu swoją pierwsza wyznała. Aleksy, skrępowany jeszcze wtedy miłością do Natalii, przyjął jéj wyznanie ze wzruszeniem, lecz jako przyjaciel, jako ojciec. Zofia odczuła straszliwe upokorzenie swoje, tak bowiem fakt ów wobec siebie nazwała, i nie przestając kochać, udawała, że nic z Aleksym nie chce miéć wspólnego, gdy ten po niejakim czasie zwrócił się do niéj z ofiarą swych uczuć. Mimo to na naleganie umierającéj babki bierze z nim ślub, i dręczy go pozorną swoją obojętnością, wymagając

by był od niéj zdaleka. Dopiéro gdy Aleksy zachorował, i to śmiertelnie, Zofia okazała swe namiętne do niego przywiązanie. Nie myślimy przeczyć możności takiego faktu; jeżeli go kobiéta pomyślała, to i wykonaćby mogła albo próbowała; tylko, że na taki stan umysłu zapatrujemy się jako na chorobliwość, która z wychowaniem pierwotném, jak je w powieści przedstawioném widzimy, w dalekim zaledwie pozostaje związku. Zakończenie powieści jest zagadkowém. Za Maryana wyszła przyjaciółka Zofii, Anusia, nic nie wiedząc o dawniejszym obojga stosunku. Wezwana przez chorą Anusię, przybywa do jéj domu, spotyka się z Maryanem; w czasie choroby dowiaduje się Anusia od staréj sługi tajemnicy i umiéra. Maryan prosi o rękę Zofii, a ta w odpowiedzi spisuje pamiętnik, z którego treścią zapoznaliśmy już czytelników. Rozwiązanie pozostawiono domyślności. Bohatérka otrzymywała tylko „dary śmierci".

= *Nagoda.* **Własnymi oczyma**, nowele (Lwów, Gubrynowicz i Schmidt, str. 294). W samym tytule zapewnia nas Nagoda, debiutantka w powieściopisarstwie, że co nakreśliła, własnemi widziała oczyma, że materyał brała z obserwacyi życia. Po przeczytaniu 13 nowel i obrazków, zawartych w tym tomie, trudno twierdzenie to podawać w wątpliwość. Istotnie są to rzeczy wzięte z życia codziennego, powszedniego, niczém zazwyczaj nie wybiegające po za zakres pospolitych zabiegów, trosk, smutków i krótkotrwałych radości. Najwięcéj jest naturalnie obrazków ze stosunku dwu płci do siebie. Autorka kréśli z upodobaniem postaci kobiéce pełne czułości, poświęcenia, wytrwania w uczuciu raz powziętém do grobu, zlekka zalotne, zlekka kapryśne. Ale i do mężczyzn nie ma urazy, choć im wymawia niekiedy zamiłowanie w starokawalerstwie, nie myśli ich czynić ani nieczułymi, ani tyranami. Dość pogodnie wogóle patrzy na świat, choć zna biédy i cierpienia i umié spółczuć z nieszczęśliwymi. Zazwyczaj przebywa wśród warstw inteligentnych na wsi i w mieście, mniéj lub więcéj dostatnich, czasami tylko schodzi na poziom szwaczek, kréśląc zawód serdeczny, poświęcenie najpiękniejszéj ozdoby, warkocza, na rzecz ukochanego, który kochał inną („Bez nagrody"), lub téż wśród służących, starając się obudzić w sercach pań większą względność dla potrzeb duchowych swéj służby („Wigilia Joanki"). Z charakterystyk najlepszym chyba jest „Optymista", biédny urzędnik, szczery, serdeczny i prosty, który najprzykrzejsze nawet zawody umié sobie na dobre wytłómaczyć i wśród dotkliwych cierpień własnych nie zapomina o cudzych, usiłując je złagodzić. Pięknym jest i wruszającym obrazek nauczycielki, wiernéj pierwszemu uczuciu,

które dla niéj stanowiło ożywczą dźwignię życia, gdy dla mężczyzny było chwilowym jedynie epizodem („Gdyby powrócił“). Wiele powabu ma „Kwietniowa jednodniówka“, przedstawiająca wesoło, swobodnie krótkie upojenie miłosném wzruszeniem dwojga kuzynów, przerwane trzeźwém upomnieniem do kończenia nauk. W innych znajdujemy temata dawne, niejednokrotnie już o wiele doskonaléj obrobione; kilka z nich ma charakter czysto anegdotyczny („Kmicic i Oleńka“, „Nawrócona“, „Postąpiliśmy“, „We troje). Ponieważ jednak przedstawione są poprawnie, jasno, dają się odczytać bez znużenia. Nie można tego powiedziéć o wyjątkowym w całym tomie artykule p. n. „Mój biédny Jaś“, który pisany jest stylem zupełnie odmiennym, patetycznym, usiłującym połączyć humor z sentymentalnością; chociaż i tu jeden epizod, gdy wygłodniały bohatér chce podnieść kromkę chleba rzuconą na podwórzu, by nią nakarmić jedynego towarzysza swego, kanarka, a wstydzi się tego i tchórzy, należy do dobrze wykonanych.

= **Sokole loty** przez *Z. D.* (Kraków, Żupański i Heumann. 1890, str. 118). Jak tytuł tego zbiorku poezyi, tak i niektóre utwory mówią wyraźnie o znacznych autora pretensyach, którym siły sprostać nie zdołały. Próby większych kompozycyi („Anna z Brzezin“, „Zdzisław“) są poprostu nieudolne; w lirycznych można znaleść prostotę i pewną szczerość uczucia, niekiedy trafne wyrażenie, wiersz melodyjny, ale i tu znajdujemy albo nieumiejętność w oddaniu myśli, albo zabawne porównania i przenośnie, albo liche rymy, albo formy gramatyczne zgoła fałszywe (np. *uń* zamiast u niego, str. 110). Dobre chęci i chwalebne intencye nie wystarczają do zyskania miana poety, choćby „sokoła“ tylko nie „orła“; nie pomogą nic „struny tak grube jak p s t r ą g i“ (str. 98); by obudzić ludzkość „ze snu gnuśności“, potrzeba myśli jasnéj, zapału wielkiego i zdolności niepospolitéj. Nie zamierzamy wcale odstręczać autora od tworzenia, lecz radzimy szczerze pracować dużo nad sobą, zanim nowe poezye w świat puścić zechce.

= *M. Rodoć.* **Satyry. III** (Warszawa, Gebethner i Wolff. 1890 str. 102). Znany jest talent satyryczny Rodocia (p. Biernackiego); w swoim czasie „Ateneum“ podało dość szczegółowy jego rozbiór wraz z oceną silnych i słabych stron; obecnie więc podając wiadomość o trzeciéj seryi wierszowanych jego utworów, dość będzie powiedziéć, że pozostał sobą, że chwyta na gorącym uczynku objawy życia bieżącego, zwłaszcza pod względem towarzyskim i politycznym, że o dobór rymów i piękność wyrażenia nie wiele się troszczy, że w rubaszności

ma dość wielkie zamiłowanie, uważając ją za dosadność i wiedząc, że zwroty rubaszne wśród ogółu czytającego przyjmowane bywają zazwyczaj przychylnie. Humoru, w estetycznem znaczeniu tego wyrazu, nie ma wcale w tych wierszach, ale jest dużo trafnéj obserwacyi, dużo słuszności w ocenie objawów życia, poddanych smaganiu satyrycznemu i dużo dowcipu. Za najudatniejszą ze wszystkich zawartych w tym zbiorze satyrek uważamy tę, w któréj kapryśna żona zmusza małżonka do zjedzenia spodka klajstru, a następnie odsuwa się od niego ze wstrętem, bo go czuć tym specyałem („Alfonsie! ach! ja się nudzę!“). W innych są różne stopnie udatności i dowcipu, poczynając od dobrego scharakteryzowania gapiowskiéj natury („Nie, to skandal, jakich mało“), a kończąc na wyśmianiu objawów serwilizmu względem partyi zwycięskiéj Stańczyków („Gdy cię los ściga, nieboże“).

= *Marya.* **Z dziejów boleści**, nowele. Wyrobnicy pióra, Czarne rękawiczki (Warsz., „Bibl. romansów i powieści“, 1890, str. 232). Wrażenie najpierwsze, jakie się otrzymuje przy czytaniu tych dwu szkiców powieściowych, daje się wyrazić w słowach: autorka silnie odczuwa to, co pisze, tak silnie, że nie może spokojnie rozpatrzyć się we własnéj robocie artystycznéj, chcąc co prędzéj wyrzucić ze swéj duszy szereg obrazów i zdań, które jéj spokoju nie dają, które do pewnego stopnia stanowią żywotną kwestyę jéj istnienia. Ale gdy się rozważy następnie szczegóły opowiadania, niejednokrotnie trącące staroświeczczyzną literacką, gdy w rysunku postaci, w pojmowaniu stosunku kreacyi poetyckich do rzeczywistości widzi się zależność od dawnéj szkoły powieściopisarskiéj, a w szczególności od Kraszewskiego, wówczas wrażenie owo znacznie zmodyfikować się musi. Mówimy sobie: zapewne, autorka odczuwa wiele stosunków bolesnych teraźniejszości, ale więcéj wskutek naczytania się i rozwagi, aniżeli wskutek własnego doświadczenia i pilnéj obserwacyi. Temat poruszony w „Wyrobnikach pióra“ zasługiwałby rzeczywiście na obrobienie artystyczne ze wszystkiemi szczegółami, jakich dostarcza obecne piśmiennictwo; szerokie to pole dla psychologa, powieściopisarza i socyologa; lecz w tych formach archaicznych, rzadko kiedy przeplatanych rysami ze spółczesnych stosunków, jak je autorka obmyśliła, może on tylko myślowo zadowolnić czytelnika. Ten aktor, któremu skrzydła złamała lekkomyślna żona i który późniéj w trzeciéj bramie powązkowskiego cmentarza gra rolę filozofa i opiekuna chromego Franka, co zapragnął być wielkim, a zmarniał w bardzo krótkim czasie przez nadmiar pracy i miłość niezaspokojoną, byłby odpowiedniejszy do ram

powieści z przed lat 50-ciu, niż do chwili dzisiejszéj. Nie myślę twierdzić, iżby uczucia i pożądania uległy w ciągu tych lat radykalnéj zmianie, ale to pewna, że formy, w których się one obecnie objawiają, są już inne niż były dawniéj, niż te, w których autorka je przedstawiła. Druga powiastka kreśląca wizerunek kokietki i dwu zmarnowanych mężczyzn, w przeprowadzeniu wątku mniéj jeszcze ma świéżości od „Wyrobników pióra“; przypomina się tu ciągle Kraszewskiego „Syrena“, „Orbeka“ i t. p. Styl nie należy do pięknych, a język bywa bardzo często niepoprawny; użycie 4-go przyp. po słowach z przeczeniem jest szczegółem bardzo rażącym.

= *Antonina Myszyńska.* **Marnotrawni**, powieść współczesna (Kraków, Wł. Anczyc, 1890, str. 203). Autorka występuje po raz pierwszy podobno przed czytelnikami i ze wszystkiemi właściwościami debiutantki: chciałaby się dobrze zarekomendować, wybiérając temat dość bogaty do pokazania różnych stron talentu, ale nie umié pomysłu należycie rozwinąć; chciałaby pisać interesująco, nie nudzić długiemi opisami, lub co gorsza refleksyami, a popełnia elementarne błędy w kompozycyi, rozrywając to, co powinno być w skupieniu. Zepsucie t. zw. warstw arystokratycznych, jaskrawo przedstawione w księżnéj Simonowéj, bezdusznéj zalotnicy, nikczemnéj żonie, nikczemniejszéj matce o pozorach bardzo wykwintnych i na pozór ujmujących, było już nieraz przedmiotem wielu naszych powieści; nie można jednak powiedziéć, ażeby p. M. nie potrafiła odnaleść i uwydatnić kilku rysów nie spożytkowanych przez swych poprzedników. Nie posiłkując się zbyt krzyczącemi szczegółami, umiała przecież dać poznać stosunek księżnéj i do zmarłego już w powieści męża i do jego przyjaciół, a opiekunów dzieci, i do tych dzieci, z którego jednego tylko syna pieściła, inne pozostawiając na łasce służby, i do świata wreszcie. Natomiast syn ten Witold, którego autorka chciała miéć bohatérem utworu, pomimo niektórych ustępów szczęśliwych (przygody szkolne, pobyt na dwu stancyach uczniowskich), wydaje się tylko szkicem charakteru, któremu powieściopisarka nie pozwoliła rozwinąć się należycie. Wychowanie jego siostry, szczegóły pobytu jego brata na stancyi arystokratycznéj widocznie są zaobserwowane, lecz niestety, nie wplecione organicznie w całość planu powieściowego, skutkiem czego nie robią odpowiedniego wrażenia. W sposobie opowiadania, autorka, jak się zdaje, zanadto strzegła się żywości, chociaż nie obcą jest ona jéj talentowi, czego dowodem bardzo żywo prowadzona rozmowa w drugiéj części utworu (str. 178 — 191). Najwadliwszą stroną powieści jest jéj

kompozycya, pełna przerw i łataniu, bez ześrodkowania efektów w jedno ogniwo.

— Redakcy a „Ziarna“ ogłasza konkurs na nowelę oryginalną, osnutą na tle współczesném, obyczajowém lub społeczném, przeznaczając nagrodę: rs. 100, jaka przyznaną zostanie n ajlepszemu z nadesłanych na konkurs utworów. Termin nadsyłania prac konkursowych pod adresem redakcyi „Ziarna“ (Warszawa, Aleje Jerozolimskie Nr. 43), oznacza się do 1-go lutego 1891, Prace nadsyłąne, ocenione zostaną najpóźniéj do dnia 31 marca 1891 roku, przez komitet sędziów, w którym przyjąć raczyli udział pp. Czesław Jankowski, Kazimierz Kaszewski, Julian Łętowski, Antoni Pietkiewicz (Adam Pług), Józef Śliwowski, redaktor „Romansu i Powieści“, a do którego ze strony redakcyi należéć będzie redaktor „Ziarna“ J. K. Korwin-Piotrowski. Nowela, uwieńczona nagrodą, wydrukowana będzie w odcinku „Ziarna“ w ciągu roku 1891 za wynagrodzeniem, niezależnie od premium konkursowego, według normy przez redakcyą przyjętéj.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Przed procesem i po procesie.—Co gorsze: zbrodnia czy nędza? — Czém naprawdę była Skublińska. — Zyski z nędzy i występku. — Mrowisko wydziedziczonych. — Kodeks i społeczeństwo. — O kim nie było mowy w procesie. — Najstraszniejsza okoliczność, na którą uwagi nie zwrócono. — Ratunek. — Dezynfekcya dzienników. — Pierwszy krok ku poprawie. — „Zakrywanie ran".—Zły przykład słusznéj zasady.—Dziennikarz i czytelnik. — Zabawne skrupuły redaktorskie. — W odmęcie.—Co się stało z wrześniową uchwałą fotografów. — Co w istocie oznacza święcenie niedzieli. — Nasza obojętność wobec kwestyi obchodzącéj Zachód cały. — Niedziela w Warszawie.—Słuszne żądania fotografów.—Egoizm i opinia. — „Czytelnia Naukowa". — Pierwszeństwo dla godniejszych.

Rozprawa sądowa rozświetliła już tajemniczą grozę, jaka zaraz po odkryciu otoczyła, wskutek opowiadań i domysłów, straszne mieszkanie przy ulicy Śliskiéj, pełne trupów dziecięcych.

Zeznania świadków, oraz dokładne poznanie ludzi, warunków i okoliczności bardzo zmieniły pierwotne wrażenie: dziś już wiemy, że główną morderczynią była nie zwierzęca dzikość Skublińskiéj, że trupami zawaliła poddasze nie banda zwyrodniałych zbrodniarzy, lecz poprostu... nędza!

Wyobraźnia, sumienie, serce doznały pewnéj ulgi. Zda się, że ktoś z przed oczu usunął przykry, dręczący widok kalectwa lub potworności. Ale czy wypadek śledztwa jest istotnie uspokajającym? Można wątpić—z dwojga złego nędza chyba gorsza.

Bandę zbrodniarzy odrzuciłaby ze społeczeństwa ręka sprawiedliwości, jako fusy wypadkowe. A kto i kiedy usunie nędzę?

W Skublińskiéj początkowo widzieliśmy pająka, który w ciemnym kącie rozciągnął sieci swoje i łapał nierozważne matki. Przekonaliśmy się, że podstęp, ani krwiożerczość nie odegrały tu pierwszéj roli. Ofiarę przedwcześnie gładzonego życia pobiérał istniejący układ stosunków.

Słów powyższych nie wysnuwam z doktryny jakiéjś i bynajmniéj nie uogólniam. Nietylko nie chcę wszelkiego występku szań-

cować względami na moralną nieodpowiedzialność jednostek, pozbawionych wolnéj woli, ale nawet w tym razie nie przemawiałbym za łagodzeniem wyroku.

Krwawego żniwa dokonywała tu fatalność, nie mniéj jednak osądzeni są winni wobec społeczeństwa. Ustawy i wyroki karne, to nietylko mściciele skrzywdzonego przez występek ogółu, one są lub być winny czynnikami umoralniającymi. One przyczyniają się do wytwarzania wśród społeczeństwa pojęć o têm co dobre, co złe, co niewinne, co karygodne.

Ale sprawa Skublińskiéj ma znaczenie inne. Grzéchem śmiertelnym byłoby nie skorzystać ze światła, jakie ona rzuciła na otchłanie życia nędzarzy. Gdybyśmy lekcye podobne całkiem mimo uszu puszczali, okazałoby się, żeśmy nawet po szkodzie nie mądrzejsi.

Wskutek tego należy usunąć pozory indywidualnego występku i przyjrzéć się się prawdzie nagiéj. Pozbyć się wrażeń i złudzeń pierwszego oburzenia, opartego jedynie na uczuciu zgrozy i poznać gdzie nasienie i gdzie rdzeń złego.

Na abstrakcyę, zwaną społeczeństwem, zwalać winy nie należy, myśmy sami winni i obowiązkiem jest tę winę własną zbadać dokładnie; bez tego poprawa nie nastąpi nigdy.

Istotna działalność Skublińskiéj polegała na pośredniczeniu pomiędzy matkami a instytucyą publiczną, która całkiem legalnie i otwarcie przyjmuje niemowlęta na wychowanie. Pośrednictwo takie conajmniéj nie jest zbyteczne, bo zawikłane formalności zabierają bardzo dużo czasu nawet osobom, znającym najprostszą drogę, zaś nieświadome ścieżek mogłyby błądzić miesiącami. Nieszczęśliwa matka-nędzarka nie może wytrzymać kilku tygodni bez miejsca i zarobku, ani zajmować się lokowaniem dziecka—nie miałaby gdzie mieszkać, nie miałaby co jeść.

Wszędzie, gdzie chodzi o załatwienie formalności prawnych, z biegiem czasu wyrabiają się pośrednicy w téj lub owéj postaci.

Bezpośrednich dowodów, aby Skublińska mordowała dzieci, śledztwo nie wykazało. Z dowodów pośrednich wnosić można, iż nie brała ich z zamiarem zabójstwa, bo na większości umierających niemowląt traciła: matki drugą połowę umówionéj sumy uiszczały dopiéro po otrzymaniu świadectwa, że żywe dziecko znajduje się w szpitalu Dzieciątka Jezus. Interes więc materyalny bynajmniéj do zabijania dzieci nie popychał, co téż stwierdził wyrok sędziów.

U Skublińskiéj umiérały tylko te dzieci, których nie zdążyła ona dosyć prędko oddać do szpitala. To téż ilość śmierci wprost zależała od długości procedury. W zwykłym czasie ilość ta była nieznaczna

czną w porównaniu do ogólnéj cyfry zejść niemowląt, pozbawionych opieki macierzyńskiéj.

Chwila odkrycia nie była czasem zwykłym. Jegomość, który otwiérał Sk. furtki do przytułku publicznego, na parę tygodni przedtém był aresztowany a wskutek zatamowanego ujścia dzieci się gromadziły i... marły.

Daléj, Skublińska ze swojego pokątnego pośrednictwa nie ciągnęła zysków nawet takich, któreby jéj pozwoliły na opędzanie najniezbędniejszych potrzeb powszednich. Zostało na sali sądowéj stwierdzone jako fakt niewątpliwy, iż zastawiała poduszkę własną, aby kupić mléka dla dzieci.

Kogo nie uderzy w całéj téj sprawie jakaś anomalia, jakaś szczególna nieproporcyonalność przyczyn i skutków, jakieś monstrualne aż niedopasowanie różnych pojedyńczych części do całości.

Nędzarka, pozbawiona zupełnie środków istnienia, chwyta się zajęcia, które może nie jest pożytecznémi, ale jest niewątpliwie potrzebném dla wielu i wielu istot biédnych i nieszczęśliwych. Bez téj pomocy pośredniczki, nie dałyby one sobie rady lub może chwyciłyby się środków gorszych.

Śledztwo nie wykryło wcale, aby do przyczyn winy zaliczyć należało jakąś szczególną złą wolę, lub dzikość charakteru Skublińskiéj.

I oto ta nędzarka, sięgająca nie wyżéj jak po jedyny może dostępny dla niéj kawałek chleba, nie pożądająca niczyjéj krzywdy, wikła się w gęstwinie całéj czynów nielegalnych, wykroczeń, nazwisko jéj staje się synonimem najohydniejszego okrucieństwa, na czas długi zgrozą przejmuje kraj cały. Ściąga na siebie karę ciężką i ściąga ją słusznie.

Zerwany przy pożarze na ulicy Śliskiéj dach odsłonił nam całe mrowisko wydziedziczonych, szamocących się w walce o byt na stroméj pochyłości. Nie są to zbrodniarze zawodowi, nie czyhają na cudze mienie lub życie, a jednocześnie podstawą ich bytu jest wykroczenie, wymijanie prawa. Każdy krok ich niepewny, każdą chwilę, każdy zarobek groszowy opłacać muszą. Żyją, jak dzikie zwierzęta w kniei, pod nieustanną groźbą pogoni.

Bardzobym nie chciał, aby ze słów moich wysnuć ktoś chciał oskarżenie dla prawa. Prawo nigdy zadowolnić nie może wszystkich potrzeb społecznych. Jako dzieło inteligencyi ludzkich, posiada foremne kształty, w jakie się nigdy nie układa naturalny bieg życia. Prawo możemy sobie wyobrazić jak wielokąt prawidłowy, którego liczba boków może wzrastać w miarę potrzeby, ale nie odpowié on nigdy nieustannie zmieniającym się zarysom rzeczywistości, wklęsłym

i wypukłym; w jedném miejscu przekroczą one kontur prawa, w innéın go nie dosięgną. Zadaniem kodeksu jest ścigać i karać każdego, kto przekroczył granicę przez jego ustawy nakreśloną.

Żadne prawo nie zwalnia obywateli od czuwania i nieraz ofiar.

Jeszcze bardziéj niechciałbym zwracać oskarżenia przeciw komukolwiek prócz przeciw nam samym, dla tego, że uśpiłoby to sumienia, usunęłoby jeden z bodźców do czynu; ta nawet drobna cząstka ulepszeń, jaką osiągnąć w naszéj jest mocy, nie zostałaby przeprowadzona.

Nie jednego zapewne z przysłuchujących się rozprawom w sali sądowéj uderzyła ta okoliczność, iż wszyscy ci nędzarze, jak ze zmorą pasujący się z koniecznością występku, którego ciężar, wzrastający z dnia na dzień, z coraz większą i większą siłą spychał ich niżéj i niżéj, pozostawieni byli całkiem sami sobie. Do ich nory ponuréj nie zaglądał nigdy kapłan ze słowem pociechy lub rady. Ich nie odnalazła siostra miłosierdzia. Ich nie znał nikt z nas.

I oni, ci występni męczennicy, nie wiedzą i nie domyślają się, iż można udać się o pomoc i ratunek do kogoś innego, niż do sprzedajnéj pijawki. Nie widzieli, a może nawet nie słyszeli, iż na świecie u bliźnich znaleść można współczucie i litość; do czynienia mieli tylko z twardym egoizmem, którego usługi potrzeba było koniecznie opłacać.

Kto zgadnie, czy tam była niewiedza, czy nieufność? W każdym razie widzimy dwa światy całkiem sobie obce. Płyną w jednym kierunku, niby dwie rzeki po spotkaniu się we wspólnym korycie, ale ich wody różnią się barwą, przezroczystością, ciężarem; ociérają się o siebie, ale nie przenikają się wzajem, przeciwnie gdy cząstka jednéj wpadnie w granice drugiéj przybiéra postać mętów.

I oto nagle jeden z tych światów się wstrząsa, zapala gniewem i sądzi świat drugi, którego nie zna, nie rozumié, którego jęków nie słuchał, którego sprawami się nie interesował.

Nie porywa go żal i skrucha, nie poczyna od bicia się w piersi i wołania: m o j a w i n a!

W tém wszystkiém tkwi straszna tragedya!

Skublińska i jéj spólnicy tonęli przy samym brzegu, w naszych oczach, i utonęli. Pomyśléć tylko, jak wielu wśród nas jest takich, którzy bez szczególnego wysiłku, może nawet bez kosztów, mogliby radą i wstawiennictwem wyprowadzić dzisiejszych skazańców z bagniska wykroczeń na grunt twardy, oszczędzić społeczeństwu skandalicznéj okropności. Nie małoby się téż znalazło takich, którzyby mogli i chcieli.

Upadek a następnie staczanie się nie napotyka najmniejszéj przeszkody. Społeczeństwo występuje dopiéro w chwili ostatniéj, jako sędzia nad miarę surowy w chwili, gdy jeszcze dokładnie nic mu nie było wiadomém.

Czyż w tém nie ma istotnéj tragedyi?

Tragedya potężniéć będzie, jeżeli warstwy dolne, gdzie spoczywają fundamenta bytu, pozostaną nadal w zaniedbaniu, jeżeli nikt się nie zatroszczy, czy nędza i ciemnota nie przetwarza wszystkiego w występek i dzikość—w zgniliznę.

W odpowiedzi na pytanie, co począć? nie należy — jak sądzę — wysilać się na komponowanie recepty powszechnéj, na wynajdywanie instytucyi zaradczych. Jedynym środkiem ratunkowym jest tu — zdaje się—przeświadczenie ogółu, jak najmocniéj wkorzenione w umysły i serca jednostek, iż obowiązkiem jest pamiętać o wydziedziczonych, znać ich, rozumiéć, nie żałować czasu i energii, a w razie potrzeby i pieniędzy. Tylko indywidualna chęć, gorąca i wszędzie obecna czujność może stanąć do walki z rozgałęzionymi przejawami złego, może sparaliżować choć w części smutne skutki nędzy, a może nawet samą nędzę złagodzić.

Takie przeświadczenie należy wyrabiać w sobie i w innych. Świéże wrażenie procesu Skublińskiéj, nietylko nam to przypomina, ale i ułatwia.

O tłumy biédactwa ociéramy się nieustannie. Wyziewy suteryn czujemy na wszystkich ulicach. Poddasza widzimy na każdym kroku. Nie jeden z nas codzień lub co tydzień przechodzi koło drzwi, kryjących nędzę, niemoc i występek. Tuż zaraz, po za szybą lub po za cieniutką deszczułką dusi się taka niedola, że zdolna jest poruszyć każde serce; rozmiarami swojemi woła ona do społeczeństwa o ratunek; a społeczeństwo pozostaje głuche i bezczynne.

Po straszném odkryciu na ulicy Śliskiéj nie powinniśmy przechodzić, jak dawniéj, spokojnie koło siedzib niedoli, nie powinniśmy obojętném okiem bez myśli i współczucia spoglądać na łachmany i wynędzniałe twarze. Należy pamiętać, co kryją te siedziby, należy uprzytomnić sobie, że te budzące nieraz odrazę postaci ludzkie, mają swoje potrzeby, pragnienia, że walczą o nie i cierpią, cierpią strasznie, że wreszcie z nędzy pozostawionéj bez pomocy i opieki siłą konieczności, któréj nie powstrzymają ani kościoły ani więzienia, lęgnie się zbrodnia!

Z powodu procesu Skublińskiéj podniesiono kwestyę dezynfekcyi dzienników. Gdzieindziéj zajmowano się tą kwestyą dużo,

u nas potrącano o nią niejednokrotnie, ale teraz dopiéro „Wiek“ postawił ją na gruncie praktycznego wykonania.

Moraliści biadają oddawna i w różnych końcach Europy, że w pewnych wypadkach interes dziennikarstwa jest biegunowo sprzeczny ze względami etycznemi. Każdy skandal reporterya zamienia na deszcz złoty dla gazet, społeczeństwo zaś truje się wyziewami zbrodni. Gorszące, rozpalające wyobraźnię szczegóły, nieraz wywołujące wprost chęć naśladownictwa, stają się wyłączną treścią rozmów w salonach, kuchniach i warsztatach.

Podobno w Szwajcaryi dzienniki w roku zeszłym umową wzajemną zobowiązały się nie drukować żadnych sprawozdań z procesów sensacyjnych. U nas kwestyę tę niegdyś poruszył p. Dawid w dziełku „O zarazie moralnéj“. Na podstawie obliczenia wiadomości, zawartych w rocznikach czterech najpopularniejszych pism codziennych (za r. 1884), doszedł on do wniosku, że „wpływ prasy brukowéj jest bardziéj ujemny, niż dodatni, średnio około dwudziestu razy bardziéj zły niż dobry“.

Właściwie dowodzenie jest tu całkiem zbyteczne. Wątpię, czy znalazłby się człowiek tak oryginalnego zdania, aby zechciał twierdzić, iż zajmowanie umysłów ogółu skandalicznemi szczegółami zbrodni nie jest bardzo szkodliwe. Również nikt zaprzeczać nie będzie, iż dzienniki nasze bardzo szczodrze szafują sensacyjnemi wiadomostkami. Mogą przeoczyć odkrycie naukowe, reformę społeczną doniosłą, ale z pewnością nie zaniedbają zanotować każdego samobójstwa, sprytnéj kradzieży, okrutnego morderstwa.

„Wiek“ postanowił nie dawać sprawozdań ze sprawy Skublińskiéj, gdyż nie są one wcale budujące i społeczeństwo bez nich doskonale obyć się może. „Kuryer Codzienny“ zaatakował odrazu stanowisko, przez „Wiek“ zajęte, za główny argument przytaczając postulat, iż ran przed społeczeństwem zasłaniać nie należy. „Kuryer Warszawski“ wypowiedział takie samo zdanie.

Postąpienie „Wieku“ jest — wedle naszego widzenia rzeczy — godne uznania, może tylko wypadek nie został dosyć trafnie wybrany i to zaszkodziło sprawie, odsłoniło słabą stronę i pozwoliło na atak z pewną dozą słuszności.

Istotnie sprawa Skublińskiéj nie należy do liczby takich, o którychby zamilczéć całkiem należało. Nie była to narośl wypadkowa, którą sąd z policyą wytną, wypalą a rana się sama przez się zagoi. Tu trzeba było pokazać społeczeństwu całą okropność i całą prawdę, gdyż społeczeństwo tylko może być lekarzem.

Dokładne informacye były w danym wypadku niezbędne i z tego względu, że początkowo rozeszły się wiadomości jaknajbardziéj mylne.

O ile więc „Kuryer Codzienny“ to twierdził—miał słuszność. Ale obok tego należało drobną nietrafność taktyczną odłączyć od wielkiéj w zasadzie słuszności.

Pomiędzy artykułem, rozstrząsającym przyczyny i skutki rozkładu społecznego a sprawozdaniem, obfitującém w szczegóły, najczęściéj wcale nie pouczające, lecz tylko drażniące ciekawość i łechcące grzeszne instynkty — leży przepaść ogromna. Niewyzyskanie wypadku byłoby zaniedbaniem obowiązku, ale sążniste sprawozdania wyrządzały ogółowi krzywdę — wśród nawału szczegółów, dobieranych bynajmniéj nie z myślą nauczania, rzadko kto dopatrzył się ziarnka pożytecznéj prawdy.

Naszém najmocniejszém przekonaniem jest, iż pierwszy krok „Wieku“ na drodze do poprawy i danie dobrego przykładu zasługiwały na uznanie i poklask.

„Kuryer Codzienny“, odpierając nasze zarzuty, może wskazać swój artykuł wstępny w sprawie Skublińskiéj i swoje sprawozdania z procesu. Rzeczywiście artykuł był dobry i na miejscu, sprawozdanie mniéj niż inne lub może wcale nie obfitowało w gorszące szczegóły. Ale czy to istotę rzeczy zmienia?

Przecie nikomu w takim wypadku, gdzie grzech jest całkiem powszechny, chodzić nie może o oskarżanie kogoś jednego, o pojedyńczy wypadek, o ten lub tamten dziennik. Nam się zdaje, iż omyłką „Kuryera Codziennego“ było to właśnie, że nietrafny wybór przykładu zasłonił mu całą jaknajsłuszniejszą zasadę.

„Kuryer Codzienny“ wytyka „Wiekowi“, iż się posługuje frazesami zwietszałemi, pozbawionemi myśli:—prawda. Ale, czy owo „niezasłanianie ran“, które stanowi główny argument „Kuryera“, nie jest téż frazesem bez treści, ściśle odpowiadającéj wypadkowi. Czy sprawozdawcy i pisma, powiadamiając ogół o przebiegu procesu, istotnie mieli na względzie pokazanie ran? Wszyscy wiemy doskonale, że nie. Sprawozdania podobne pomieszczane są dla tego, że ich pożądają czytelnicy. Jest to trafianie w słabe strony ogółu i wyzyskiwanie ich.

Jeżeli mamy być szczerzy, jeżeli nam chodzi istotnie o dobro ogółu, to nie ukrywajmy i téj rany czy ranki. Zajrzyjmy prawdzie wprost w oczy i niech zostanie stwierdzony głośny fakt, którego poznanie może się bardzo przydać społeczeństwu, iż główną sprężyną postępowania większości najpopularniejszych dzienników u nas i nie u nas, jest nie pożytek publiczny, lecz zdobycie prenumeratorów przez wyzyskiwanie i schlebianie słabostkom, które właściwie wypleniaćby

należało; że punktami wytycznemi dla ich wysiłków są względy konkurencyjne: — chodzi o to, aby rywal przez podanie większéj liczby i ciekawszych szczegółów nie odebrał czytelników i prenumeratorów.

Jestto i zabawne i smutne, jak ludziska pomimo tylokrotnego i tyloletniego doświadczenia wierzą jeszcze temu, co „stało“ w dzienniku, i opowiadają sobie z mocném przekonaniem o prawdzie wyczytanych wiadomości, jak gdyby je zaczerpnęli z najpoważniejszego źródła.

Pewna kategorya dzienników nie troszczy się bynajmniéj, czy wiadomość zdobyta jest prawdziwa lub wiarogodna. Trzeba szybko ładować swój wózek, aby współzawodnik nie skorzystał z chwili, prędzéj nie dojechał i więcéj nie przywiózł.

Fakt jest całkiem oczywisty. Rozprawiać można nad tém tylko, jak złemu zaradzić.

Widzieliśmy, jaką to prawdą częstowały gazety czytelników swoich, opisując odkrycia w mieszkaniu Skublińskiéj. Reporterzy widzieli nawet krew i mózg dziecięcy na drzwiczkach od pieca—i co z tego wszystkiego okazało się prawdą?—nic.

Kto tylko zna bliżéj ścieżki, któremi pędzi w chwili obecnéj dziennikarstwo europejskie (z jakiemiś wyjątkami), przeczyć nie zechce, że dba ono, jeżeli nawet nie wyłącznie, to przedewszystkiém, o ilość i jaskrawość podawanych wiadomości. Sprawdzanie, a szczególnie sprawdzanie skrupulatne wyszło całkiem z użycia.

Wiele pism, a może i wszystkie, w odmęt ten wciągnięte zostały pomimo woli i chęci i dziś się zeń wydobyć nie mogą. Oczekiwać, aby one same porzuciły polowanie na sensacyjność niepodobna. Naprzód utrzymanie bytu jest dla dziennika, również jak dla każdéj innéj istoty, prawem jeśli nie najwyższém, to w każdym razie bardzo ważném, którego lada wzgląd nie przemoże.

W prasie naszéj codziennéj nie ma tak budującéj zgody, aby spodziéwać się było można jednoczesnego porzucenia dotychczasowego korzystnego zwyczaju. A przytém nazajutrz po zapadłém postanowieniu wypełznie na widownię nowy dzienniczek, pocznie eksploatować zarzuconą minę złotodajną i zmusi inne do natychmiastowego naśladownictwa.

Ktoś może się łudzić, że redakcye są w stanie, nie usuwając sprawozdań z procesów skandalicznych, nie rugując całkowicie ze szpalt swoich gazet sensacyjnych wiadomostek, nadać im pozór przyzwoity, niegorszący, a usuwać kłamliwe plotki. Otóż nie. Robota dziennikarska wymaga wielkiego pośpiechu. Oglądać się za siebie, ważyć swoje słowa nie ma czasu. Trzeba ufać ludziom, trzeba wie-

rzyć sprawozdawcom, a nie ma najsłabszéj nawet rękojmi, aby wśród ostatnich byli wszyscy zawsze ludźmi skrupulatnymi i taktownymi.

W dodatku, i to może najgorsze, dziennikarz, puszczający w świat kłamstwa, lub tolerujący je w piśmie swojém, nie jest wcale sam kłamcą. Gdyby stał z boku, oburzałby się wraz z innymi. Ale on się roznamiętnia do swojéj roboty, zajęty myślą o nasyceniu ciekawości publicznéj, w pogoni za nowinami, zatraca całkiem poczucie względów innych, nie ogląda się ani na prawo, ani na lewo, staje się do pewnego stopnia nieprzytomnym, niepoczytalnym, widzi przed sobą jeden tylko cel—zdobycie wiadomości nadzwyczajnéj.

Bardzo to zabawne. Każdy redaktor mógłby nakomponować sam wiadomości stokroć więcéj i stokroć ciekawszych, niż te, które drukuje. Byłyby one również prawdziwe, albo raczéj równie nieprawdziwe, ale nie zrobi tego nigdy. Czeka, co mu reporterya naznosi. Gdybyśmy go mogli wtedy otrzeźwić i wydobyć szczere wyznanie, okazałoby się, iż wcale tego, co drukuje, za wiarogodne nie uważa, jest przekonany często, że źródło wiadomości reporterskich jest równie niepewne, jak zwykła fantazya, a jednak téj złudnéj podstawy potrzebuje dla samego siebie.

Wykorzenić zły obyczaj z gazet może jedynie publiczność sama, nie domagając się sensacyjnych plotek, protestując przeciwko karmieniu jéj skandalem. Gdyby redaktor odebrał raz, drugi i dziesiąty list z protestem od czytelników, że im zaśmiecają gazetę, gdyby dziennikarz poczuł, że ogół obojętnie patrzy na jego łamańce w poszukiwaniach nadzwyczajności—to zapał dzisiejszy ostygłby.

Prasa powinna w tym kierunku pracować. Nie mówię już o tych pismach, na których nie ciąży grzéch demoralizowania ogółu. Ale nawet i te, które zostały wciągnięte w odmęt i wycofać się odrazu nie są w stanie, mogą jednak od czasu do czasu przeciwdziałać zepsutym gustom i potrzebom swoich czytelników.

Ileby to pożytecznych rzeczy dowiedziało się społeczeństwo z gazet, gdyby tyle energii, sprytu, nakładów użyto w celu wyświetlenia spraw ważnych, ile ich strwoniono na zdobycie kilkunastu plotek o ostatniém zabójstwie na kolei.

Parę tygodni temu nadesłano mi z prośbą o poruszenie sprawy w „Kronice Ateneum“ następującą notatkę:

„W poniedziałek d. 15-go września odbyło się z inicyatywy p. Mieczkowskiego i w jego mieszkaniu zebranie fotografów w celu odbycia narady nad zapewnieniem swobodnego świętowania pracownikom, mianowicie retuszerom i kopistom, którzy mają tylko *sześć* dni wolnych w ciągu roku.

„Uczestnicy zebrania postanowili zapewnić kopistom i retuszerom zupełną swobodę w 12-cie dni świątecznych i wszystkie niedziele w ciągu roku. Dyżur w niedzielę miał obowiązywać tylko pozerów i administracyę.

„Znaczniejsze firmy na zebranie nie przybyły, podając jako jeden z powodów nieobecności młody wiek i niepraktyczny zapał inicyatora.

„Prawnie nie uczyniono nic dla zabezpieczenia umowy.

„Jedną z przeszkód do urzeczywistnienia postanowień jest zupełny brak solidarności pomiędzy pracownikami, mianowicie pomiędzy pozerami i administracyą, a retuszerami i kopistami.

„Pomimo zapadłéj uchwały roboty odbywają się w niedzielę i święta swoim trybem nawet w zakładzie inicyatora.“

Sprawę tę na razie poruszyło kilka dzienników i omawiał nieco jeden tygodnik. Potém wszystko ucichło, na całkowite zaniechanie umowy nie zwrócił nikt uwagi i biédni pracownicy, którym przez chwilkę zajaśniała nadzieja odpoczynku, nie mają téj nawet pociechy, że ktoś o nich pamięta i współczuje im.

Co prawda, człowiek, znający świat i stosunki, od samego początku mógłby wątpić, czy ta sprawa ukończy się pomyślnie. Ona wśród naszego społeczeństwa nie dojrzała jeszcze i nie weszła na porządek dzienny.

Świętowanie niedzieli na Zachodzie miało swoich rzeczników wśród uczonych i agitatorów publicznych, wśród kapitalistów i robotników, wśród najbielszych ultramontanów i najczerwieńszych rewoucyonistów [1]. Domagały się go stowarzyszenia religijne, kongresy. Sprawa ta żywo zajmuje wszystkich, ogół rozumié, że tu chodzi nietylko o mięśnie pewnéj liczby jednostek.

Zatrudnianie pracownika przez wszystkie siedm dni tygodnia, bez żadnego wyjątku, szkodzi życiu rodzinnemu, nie pozwala zadowolnić wielu umysłowych i moralnych potrzeb całym licznym warstwom ludności.

Robotnik wychodzi z domu rano natychmiast po wstaniu, wraca tylko na obiad i na spoczynek nocny. Jest zwykle tak zmęczony, że nie ma czasu i ochoty ani do gawędy, ani do wglądania w bieg życia domowego. A jednak interwencya i wpływ ojca są tu zawsze potrzebne bardzo.

Dopiéro w niedzielę wyrobnik ma czas rozejrzéć się po domu,

---

[1]) Między innymi niegdyś jeszcze P. J. Proudhon napisał dziełko: „De l'Utilité de la célébration du dimanche.“

ma dosyć wolną głowę, aby zastanowić się nad postępowaniem, nad charakterem synów i córek, wreszcie nad ich przyszłością. Dzień ten, gdzie świętowanie bywa ściśle przestrzegane, ojciec spędza wśród rodziny, gawędzi i bawi się, wyprowadza za miasto, do teatru i t. d. Jestto chwila odpoczynku, radości, miłości, w której ludzie nabierają sił do dalszéj pracy.

W kilku miastach, które znam w Niemczech, w Szwajcaryi i we Francyi, nie wyłączając Paryża, widzi się bardzo wyraźnie, iż dzień niedzielny świętują gromadnie całe rodziny w swojém własném zamkniętém kółku. Widzi się rodziców z dziećmi w kawiarniach, obsiadających oddzielnie stoły i sobą zajętych, na wycieczkach zamiejskich, na widowiskach, wreszcie na cmentarzach, na grobach brakujących a niezapomnianych członków rodzin. Dzielnice robotnicze Paryża wyglądają wtedy bardzo uroczyście, poważnie i budująco. W Szwajcaryi nawet listonosze mają odpoczynek.

Pominąwszy pobudki teologiczne, niedziele poświęcone są zadowoleniu potrzeb duchowych i to jaknajbardziéj odpowiada istotnym a doniosłym interesom zarówno jednostek, jak i społeczeństwa.

Jedni słuchają w dzień ten kazań, drudzy czytają ewangelię, lub książki inne, wreszcie zadawalniają się rozmową towarzyską. Jedne sposoby skuteczniéj i prościéj, inne bardziéj pośrednio prowadzą do tego samego celu. Pozbawienie człowieka pracującego możności zadawalniania potrzeb duchowych robi z niego maszynę, nie biorącą udziału w życiu ogólném, lub co gorzéj biorącą w niém udział jedynie wskutek popędu egoistycznego: gniewu lub zemsty.

Te są mniéj więcéj względy główniejsze, które rzecznicy świętowania podnoszą i wykazują. Do nas dochodzą zaledwie głuche echa tych zabiegów [1]). Tu i owdzie spotkać można wzmiankę, opis faktu, ale zainteresowania się sprawą samą nie ma wcale, jak gdyby ona była wciąż jeszcze rzeczą dla nas obojętną.

Tymczasem i nas już porywa powszechny prąd europejski. Świętowanie niedzieli wcale nie jest (przynajmniéj w Warszawie) ściśle przestrzegane. Nie mówiąc już o restauracyach, które tylko w Anglii zamykane są na znaczną część niedzieli, coraz większa liczba sklepów pozostaje otwartą przez cały dzień świąteczny; niektóre warsztaty funkcyonują do południa, inne dzień cały (fryzyerzy np.). Dawniéj żadna gazeta nie wychodziła w święta, dzisiaj w niektórych zecerzy w niedzielę pracują do 6-éj rano (oczywiście resztę dnia śpią).

---

[1]) Tylko w 1861 w drukarniach pism czasowych wprowadzono odpoczynek niedzielny, co przez lat kilkanaście trwało.

Jednėm słowem, mniejszą lub większą ilością faktów z mniejszą lub większą ich znajomością, każdy z nas wykazaćby potrafił, iż zwyczaj świętowania niedzieli coraz częściéj i gęściéj bywa łamany.

W obec tego, czasby już było przystąpić do teoretycznego wyświetlenia kwestyi i obznajmić ogół nasz w czém tkwi rdzeń jéj i jakie skutki sprowadzi ten lub ów obrót. Uczynić to nie trudno, gdyż wystarczy przetłómaczenie prac gotowych, wyczerpujących, które już próbę krytyki przeszły i stanowią rezultat wszechstronnego roztrząśnięcia wszelkich względów.

Jedyna komplikacya, jaką wprowadzą warunki miejscowe, wynika z obecności żydów. Ten szczegół musi już być przez nas samych rozważony.

Gdy się dokona takiego ogólnego przygotowania, każda sprawa pojedyncza będzie mogła odrazu otrzymać właściwszy kierunek. Nie będzie już szczegółem, obchodzącym jedynie bezpośrednio interesowanych, lecz wystąpi jako objaw kwestyi, któréj przebieg ważny jest dla całego społeczeństwa. Społeczeństwo téż całą wagą opinii swojéj przyczynić się będzie mogło do pomyślnego rozstrzygnięcia.

Obojętne traktowanie usiłowań fotografów dowodzi faktycznie, że poruszenie kwestyi, od lat tylu zajmującéj Zachód cały, zastało nas całkiem nieprzygotowanych, żeśmy z przykładu bardziéj rozwiniętych sąsiadów w danym wypadku wcale nie skorzystali.

Przechodząc od ogólnych kombinacyi do wypadku danego, dorzucić należy, że pierwsze domaganie się, czy pierwsza propozycya ściślejszego przestrzegania niedzieli, nie wystąpiła pod postacią żądań wygórowanych i pomimo istotnéj przeszkody, jaką stanowi brak pojęcia o doniosłości rzeczy, mogła była otrzymać rozstrzygnięcie inne, niż otrzymała.

Wielki byłby kłopot, gdyby świętować zapragnęli wszyscy dorożkarze lub posłańcy. Pewna strata dla właścicieli i niewygoda dla publiczności wyniknęłaby z zawieszenia roboty tych pracowników, bez których zakład fotograficzny musiałby być zamknięty. Znaczna część ludności tylko w niedzielę i święto ma czas i możność poświęcić godzinkę na uwiecznienie postaci swoich.

Ale w tym razie chodziło tylko o kopistów i retuszerów, bez których fotografowanie przychodzących jak najprawidłowiéj odbywać się może. Administracya i pozerzy byli w umowie wyłączeni.

Wzruszenie ramionami na projekt tak słuszny i lekceważące zakwalifikowanie go do rzędu mrzonek młodości, skłonnéj do uniesień, jest bardzo znanym przejawem egoizmu ludzkiego, który najdrobniejszy interes własny widzi w rozmiarach olbrzymich, a potrzebę wielką bliż-

niego gotów lekceważyć. Rzadko jedynie kiedy człowiek czyni ustępstwa na swoją niekorzyć dobrowolnie. Dlatego prawdopodobniejszą jest rzeczą, iż właściciele zakładów sami z własnéj inicyatwy nie obdarzą pracowników wolnością od pracy w niedziele i święta. Jednym z najważniejszych zadań opinii publicznéj jest właśnie miarkowanie egoizmu jednostek i przyprowadzanie go do porządku. Często zresztą samo przypomnienie wystarcza.

Powitać nam w tym miesiącu wypada instytucyę nowozałożoną, któréj brak oddawna już uczuwać się dawał wielu w mieście naszém. W dniu 26-ym z. m. otworzono przy ulicy Nowy-Świat nr. 34 „Czytelnię naukową.“

Dotychczas, zdaje się, czytelnia bardziéj obfituje w czasopisma, gdyż rozesłane ogłoszenie zwraca na nie główną uwagę. Znajdujemy w spisie 7 kategoryi pism peryodycznych: 1) polityczne, literackie i ogólno-naukowe, 2) filozoficzne, 3) pedagogiczne, 4) historyczne, 5) społeczne i ekonomiczne, 6) etnograficzne i przyrodnicze, 7) fachowe (ogrodnictwo, rolnictwo, przemysł, medycyna).

Po dziale pierwszym najbogatszy na ilość jest dział 5-ty. Wymieniono tu 11 aż tygodników i miesięczników. Pozwolę tu sobie na postawienie pytania, czy wybór jest zawsze dosyć trafny? Z wydawnictw francuskich spotykamy tylko dwa, a między niemi „*Bulletin de l'union universelle des femmes.*“ O ile wiem, wydawnictwo to bynajmniéj w żadnych kołach naukowych wielkiém uznaniem się nie cieszy i zdaje się mogłoby ustąpić pierwszeństwa wydawnictwom, z któremi liczą się ekonomiści i socyolodzy, przodujący dziś w téj dziedzinie. Nie znajdujemy wcale paryskich: „*L'économiste français*“ Leroy Beaulieu, „*La science sociale*“ Demolins'a, ani miesięcznika belgijskiego, poświęconego ekonomii politycznéj. Oczywiście, nie mamy zamiaru domagać się ni z tego ni z owego powiększenia liczby prenumerowanych czasopism, ale pragnęlibyśmy pierwszeństwa dla godniejszych.

Ogłoszenie zapowiada, że w miarę rozwoju czytelnia zaopatrzoną zostanie w wielki wybór dzieł poważnych dla osób pracujących na polu naukowém i dla młodzieży, oraz w większą ilość czasopism.

Można się chyba spodziéwać, iż, odpowiadając istotnym i pilnym potrzebom, czytelnia spotka przychylne przyjęcie i rozwinie się pomyślnie. Warunki daje dogodne i przystępne: otwartą będzie od godz. 10-éj do godz. 10-éj. Opłata miesięczna wynosi 5 złotych, bilet jednorazowy 14 groszy.

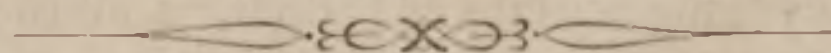
Lu. S.

NEKROLOGIA.

† **Maksymilian Nowicki**, urodzony 9 października 1824 r. w Jabłonowie, w pow. kołomyjskim, ukończywszy szkoły średnie i uniwersyteckie we Lwowie, poświęcił się stanowi nauczycielskiemu. Pierwszą posadę otrzymał w gimnazyum w Samborze, wykładał zoologią, która stała się wyłącznym przedmiotem jego studyów. W r. 1858 wydał po polsku i po niemiecku „Spis gatunków chrząszczowatych“, a w 1860, będąc już nauczycielem we Lwowie ogłosił: „*Enumeratio lapidopterum Haliciae Orientalis*“ (str. 269). Zwróciwszy na siebie uwagę świata uczonego, zostawszy członkiem wiedeńskiego towarzystwa zoologiczno-botanicznego, powołany był w 1863 r. na profesora zoologii w uniwersytecie krakowskim, gdzie do końca życia pracował, ogłaszając wyniki badań swoich w początku po niemiecku i po łacinie, a potém wyłącznie po polsku. Główniejsze prace wymieniamy: „O świstaku“ (1865), „Motyle Galicyi“, „Kozica“ (1868), „O pleniu kopalińskim“ (t. r.), „Zapiski z fauny tatrzańskiéj“ (1868—70), „Ryby i wody Galicyi pod względem rybactwa krajowego“ (1880). Najwięcéj rozpowszechnioną pracą Nowickiego była jego „Zoologia“, któréj pierwsze wydanie wyszło r. 1868/9, a piąte całkiem przerobione, w mnóstwo rycin zaopatrzone, 1880. Oprócz zasług ściśle naukowych, położonych przez ś. p. Nowickiego, niemało zrobił dobrego praktycznemi staraniami około podniesienia hodowli ryb w Galicyi, gdzie po części kosztem nawet własnym zarybiał główniejsze rzeki lepszemi gatunkami. Uznanie dla uczonego objawiły zarówno miejscowe, jak i obce akademie i stowarzyszenia, poczynając od Akademii umiejętności w Krakowie, gdzie do najpierwszych członków wydziału matematyczno-przyrodniczego w r. 1873 został policzony. Zmarł w Krakowie 30 października r. b.

† **Antoni Waga** urodzony w Grabowie (gub. warszawskiéj) r. 1799, kształcił się w szkole pijarskiéj w Warszawie, gdzie następnie

był nauczycielem. Zdolności jego zwróciły na siebie uwagę zwierzchności szkolnéj, w 1820 kosztem rządu wyjechał do Berlina na studya nad naukami przyrodniczemi. Za powrotem otrzymuje r. 1826 posadę nauczyciela w liceum warszawskiém, w 1829 w instytucie pedagogicznym, w 1832 w gimnazyum, oraz zostaje członkiem komitetu egzaminacyjnego. Bardzo młodo rozpoczął działalność piśmienniczą. W r. 1819 ogłosił „Rozprawę o naukach przyrodzonych a w szczególności o historyi naturalnéj“, w 1820 „O zwierzętach przez poetów i malarzy zmyślonych“, w 1825 „Rzecz o piórze, pod względem jego budowy, różnic i użytku“, w 1826 „Wiadomości z nauk przyrodzonych dla użytku szkoły guwernantek“ (str. 323), w tymże r. „Książkę dla dobrego chłopca“, „O nowym szczególnym gatunku pszczołowatego owadu“, w r. 1827 „Historyczno-naturalne opisanie zwierząt“. W późniejszych latach rozprawy swoje mieścił przeważnie w „Bibliotece Warszawskiéj“, któréj od założenia t. j. od r. 1841 był stałym spółpracownikiem. W 1859 r. wydał początek „Historyi naturalnéj“ (str. 218) a w 1860 „Atlas do nauki historyi naturalnéj“ z kolorowanemi 222 wizerunkami. W r. 1864 i 1866 z hr. Ksawerym Branickim zwiedził zachodnio-południową Europę, Nubię i Algeryę. Wydał następnie po francusku opis nowo-odkrytego przez siebie gatunku salamandry: „*Nouvelle espèce de Salamandre*“ 1876, nosi on nazwę: *Exaeretus Caucasicus Wagae*. Wiele téż tłómaczył pięknym poprawnym językiem, mianowicie Zoologię Milne-Edwardsa 1850 r. Zmarł w Warszawie 23 listopada r. b.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński.*—Redaktor *P. Chmielowski.*

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM”

w kwartale III-cim i IV-tym 1890 r.

1. **Ona.** Powieść przez *Maryę Rodziewicz* (Nowa biblioteka uniwersalna). Kraków, nakł. J. K. Żupańskiego & K. J. Heumanna; Warszawa, Gebethner i Wolff, 1890, 8-o, str. 265.
2. **Szary proch.** Powieść przez *Maryę Rodziewicz* (Nowa biblioteka uniwersalna). Kraków, nakł. J. K. Żupańskiego & K. J. Heumanna; Warszawa, Gebethner i Wolff, 1890, 8-o, str. 243.
3. **Dary śmierci.** Powieść przez *Jadwigę Wittównę* (odznaczona na konkursie „Kuryera Warszawskiego“). Warszawa, nakł. S. Lewentala, 1890, 8-o, str. 280.
4. *Paweł Mantegazza.* **Głowa.** Książka dla młodzieży. Przełożyła z upoważnienia autora *Marya z Siemiradzkich Obrąpalska.* Warszawa, nakł. księg. Paprockiego i S-ki, 1891, 8-o, str. 334.
5. **Poezye** *Władysława Stankiewicza.* Tom II. Warszawa, 1888, 8-o, str. 314.
6. **Dzieje literatury powszechnéj** z illustracyami. Tom III, okres pierwszy: Czasy humanitarne i reformacyi. Część pierwsza. Warszawa, nakł. S. Lewentala, 1890, 8-o, str. 564.
7. *Marya Rodziewiczówna.* **Nowelle.** Warszawa, nakł. S. Lewentala, (1890), 8-o, str. 231.
8. **Zadania i wyniki badań stereochemicznych.** Odczyt prof. *Wiktora Meyera.* Przełożył *Bronisław Znatowicz.* (Biblioteka przyrodnicza Wszechświata). Warszawa, 1890, 8-o, str. 58.
9. **Siły przyrody.** Popularny wykład fizyki i główniejszych jéj zastosowań. Podług dzieła *A. Guillemin'a* „Le monde physique“, opracowali *Józefowa Nusbaum* i *Henryk Silberstein.* Warszawa, nakł. księg. H. Olawskiego, 1889, 8-o, zeszyt 17—20.
10. **Buchalterya podwójna** (włoska). Wykład popularny dla samouków opracował *Gustaw Chwat.* Warszawa, nakł. autora, 1890, 8-o, zeszyt IV, str. 85—116 (cena zesz. kop. 20).
11. *Esteja.* **Kartki z życia kobiety.** Powieść, odznaczona zaszczytnie na konkursie „Kuryera Warszawskiego“, z 52 ilustracyami Czesława Jankowskiego. Warszawa, (1890), u S. Lewentala, 8-o małe, str. 456.
12. **Lites ac Res gestæ** inter Polonos Ordinemque Cruciferorum. Editio altera. Tomus I. Posnaniæ, 1890, 4-to, str. VIII i 462.
13. **W 450-lecie wynalezienia drukarstwa.** Słów kilka napisał *Franciszek Walczakiewicz.* Warszawa, nakł. autora, 1890, małe 8-o, str. 44.
14. *Angelo Mosso.* **Strach.** Studyum popularno-naukowe. Przełożył z oryginału włoskiego *Maksymilian Flaum.* Z drzewor. i 2 tabl. litogr. Warszawa, nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1891, 8-o, kart nlb. 2 i str. 292.
15. *Adolf Dygasiński.* **Pan Jędrzej Piszczalski,** opowieść z niedawnéj przeszłości. Kraków i Warszawa, u Teodora Paprockiego i S-ki, 1890, 8-o, tom I, str. 314, tom II, str. 178.
16. *L. A. Dąbrowski.* **Referaty.** Tiemnikow, 1890, 8-o, str. 62.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcy... o każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa

